

KOLEKCJONER CIAŁ
OBSERWUJE WSZYSTKICH...

SKO WYTT

MACIEJ
KAŹMIERCZAK

MACIEJ
KAŻMIERCZAK

SKO
WYT



MUZA

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

Projekt okładki: *Mariusz Banachowicz*

Redakcja: *GRAFOMAN Bartosz Andrzej Szpojda*

Redaktor prowadzący: *Małgorzata Burakiewicz*

Redakcja techniczna: *Sylwia Rogowska-Kusz*

Skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzkowski*

Korekta: *Barbara Milanowska (Lingventa)*

© by Maciej Kaźmierczak

© for this edition by MUZA SA, Warszawa 2023

ISBN 978-83-287-2779-3

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

Wydanie I

Warszawa 2023

Widziałem najlepsze umysły mego pokolenia zniszczone szaleństwem, głodne histeryczne i nagie, [...]

Allen Ginsberg, *Skowyt*
(przeł. Leszek Elektorowicz)

A jeśli Ja palcem Bożym wyrzucam złe duchy, to istotnie przyszło już do was królestwo Boże.

Łk 11, 20

Spis treści

CZĘŚĆ PIERWSZA

- 1
- 2
- 3
- 4
- 5
- 6
- 7
- 8
- 9
- 10
- 11
- 12
- 13

CZĘŚĆ DRUGA

- 14
- 15
- 16
- 17
- 18
- 19
- 20
- 21
- 22
- 23
- 24
- 25
- 26
- 27
- 28

CZĘŚĆ TRZECIA

- 29
- 30
- 31
- 32
- 33
- 34
- 35

36
37
38
39
40
41
42
43
44

CZĘŚĆ CZWARTA

45
46
47
48
49
50
51
52
53
54
55
56
57

CZĘŚĆ PIĄTA

58
59
60
61
62
63
64
65
66
67
68
69
70
71
72
73
74
75

76

77

78

79

80

POSŁOWIE
OD AUTORA

CZĘŚĆ PIERWSZA

Wybiła czwarta w nocy, gdy drżący na całym ciele mężczyzna znalazł się w pobliżu mostu. W pierwszej chwili wcale nie chciał na niego wchodzić. Potrzebował odetchnąć, poukładać w głowie myśli, choć wiedział, że nie będzie to łatwe. Nie mógł wyciszyć krzyków, które rodziły mu się w głowie. Miał nadzieję, że kilkustopniowy mróz załagodzi nieco sytuację i pozwoli mu choć trochę zapanować nad wewnętrznym chaosem. Gdy jednak zza ściany równo sypiącego śniegu wyłonił się zarys budowli, zrozumiał, że jest tylko jedno wyjście.

Po kilku krokach odwrócił się i zobaczył, że wszystkie ślady, które pozostawił za sobą, po chwili dosłownie znikają, jakby pogoda chciała ukryć jego zamiary. Oslaniała też sylwetkę mężczyzny przed oczami przypadkowych osób, które sporadycznie obok przejeżdżały. Kierowcy skupiali się na pilnowaniu odpowiedniego kierunku jazdy i nie wyteżali wzroku w poszukiwaniu przechodniów przy barierce. Tym bardziej tutaj, na moście. Nie chcieliby, żeby ta noc zmieniała się dla nich w koszmar.

Mężczyzna był jednak przekonany, że nigdy nie poczuliby tego, co od dawna czuł on. Jeszcze jakiś czas temu walczył, ale teraz już wiedział, że przegrał. Kiedyś musiał nastąpić moment, w którym należało się poddać. Dziś on nadszedł.

Wypełniała go złość. Rozczarowanie i frustracja. Było już jednak za późno na jakąkolwiek nową reakcję.

Doszedł do połowy mostu, stanął przy barierce i zapatrzył się w ciemną, przecinaną płatkami śniegu przestrzeń. Nie wiedział, czy rzeka jest zamarznięta i czy w ogóle mroczne pasmo, w które się wpatruje, jest wodą, czy może jeszcze twardym, daleko wysuniętym brzegiem, który

z pewnością przyjąłby jego bezwładne ciało o wiele chętniej. Spotkanie z nim przyniosłoby szybszą ulgę niż zanurzenie się w lodowatej toni.

Teraz nie miało to dla niego już jednak większego znaczenia. Chciał po prostu przejść za barierkę i zrobić ten jeden ostatni krok, mający przynieść ostateczną ulgę. Nie zastanawiał się więc dłużej i drżącymi, zamarzniętymi dłońmi złapał za stalowy pręt oddzielający go od przepaści. Poczuł, jak skóra przywiera do zmrożonej powierzchni, dając absurdalne w tym momencie poczucie bezpieczeństwa, jakby to delikatne połączenie miało uchronić go przed zsunięciem się z wąskiego i śliskiego krańca mostu, chociaż właśnie tego teraz najbardziej pragnął.

– *Ale czy na pewno?* – spytał samego siebie, lecz jego własny głos zabrzmiał dla niego bardzo nienaturalnie. Nie miał pewności, czy sam zadał to pytanie, czy może stojący kilka metrów dalej mężczyzna. Ledwo go dostrzegął; ubrany był w czern i zasypany śniegiem, dlatego zlewał się z tłem.

– Proszę nie skakać – powiedział, gdy podszedł nieco bliżej. – Na pewno jest choć jeden powód, dla którego warto żyć.

Zastanowił się chwilę, z powrotem spoglądając w otchłań. Zdawało mu się, jakby i ona patrzyła na niego swoimi ciemnymi, głębokimi oczami, które jednych przerażały, drugich hipnotyzowały, a jeszcze innych kusily.

Przechodzień stanął na wyciągnięcie ręki, ale nie zamierzał go dotykać. Nie wyjął nawet dłoni z kieszeni płaszcza. Nie chciał siłą przekonywać do swoich racji, a jedynie zachęcić do rozważenia innej opcji.

– Nic mi już nie zostało – odparł, powoli odsuwając się od barierki w stronę przepaści. – I nawet nie chcę szukać żadnych pozytywów.

– Ktoś cię skrzywdził? – spytał nieznajomy, oglądając się na przejeżdżający samochód. Pojazd na szczęście się nie zatrzymał.

– Wiele osób – odparł zgodnie z prawdą. – Każdy, kogo znałem. Prawie każdy – dodał po chwili milczenia. Nie mógł zapominać o tej, którą kochał bezwarunkową miłością.

Dla niej mógłbym zrobić wszystko, pomyślał.

– Więc zrób tę jedną ostatnią rzecz – powiedział obcy, jakby potrafił czytać w myślach. Może był tylko wytworem wyobraźni, którego

potrzebował załamany mężczyzna, żeby samego siebie przekonać do pomysłów, które dotychczas tylko tliły się gdzieś głęboko w nim.

- Myślisz, że to pomoże mi poczuć ulgę? - spytał, chociaż prawdziwa ulga czekała na niego kilkadziesiąt metrów niżej.

- Ty już nie poczujesz ulgi - odparł szczerze przechodzień. - Ale ci, którzy cię skrzywdzili, mogą poczuć ten sam ból, który znasz tylko ty. Właśnie tego ci teraz potrzeba.

- Tak - poparł go, cofając się z powrotem do barierki. - Właśnie tego mi teraz trzeba - powtórzył i wspiął się po metalowych prętach, lecz niespodziewanie noga omsknęła mu się na śliskiej powierzchni. W ostatniej chwili zdążył chwycić ją drugą ręką. Nie spadł, lecz nic w tamtej chwili nie poczuł. Wypełniała go pustka. Uświadomił to sobie i już wiedział, że jest gotów zrobić wszystko. Nic nie mogło go powstrzymać.

Pięćdziesięcioletnia Olga Błaszczuk dawno nie klęła tak głośno i siarczyście jak dziś.

– Mógłbyś mi chociaż trochę pomóc?! – krzyknęła do męża, który stał w oknie i przyglądał się jej z kubkiem kawy w ręku. – Chociaż raz – dodała, lecz na tyle cicho, że nie miał szans usłyszeć.

Pół godziny temu sama piła kawę. W pośpiechu, bo z jakiegoś powodu nie mogła się dziś obudzić. Przez drżące ze zdenerwowania dłonie wylała sporą część gorącego płynu na spodnie, które w jeszcze większym popłochu musiała zmienić. A nie miała już na to czasu, tym bardziej że przed domem stał zasypany śniegiem samochód. Wiedziała, że sporo czasu spędzi na jego odśnieżaniu, a potem jeszcze na skrobaniu szyb.

– I na co się tak gapisz? – warknęła do męża, gdy zmiatając z dachu śnieg, znów dostrzegła jego sylwetkę. Miała nadzieję, że jednak jej pomoże, ale mężczyzna najwyraźniej nie miał zamiaru wychodzić na mróz. Stał przy ciepłym grzejniku i cieszył się wolnym dniem. Nie pracował już od miesiąca i dobrze mu z tym było. Tymczasem żona musiała harować za dwoje, żeby móc jakoś związać koniec z końcem.

Za pięć minut powinna być w pracy, a dopiero co wsiadła do samochodu i odpaliła silnik. Uruchomiła wycieraczki, załała szybę zimowym płynem ze spryskiwacza i oczyściła ją z zamrzniętych plam. Ostatni raz spojrzała w stronę okna. Męża już za nim nie było, więc tylko zacisnęła w złości zęby i ruszyła przed siebie.

Ulice były zasypane i niemal nieprzejezdne. Pługi nie dawały rady, podobnie całoroczne opony w samochodach, które mijała. Olga swojego fiata pandę zaopatrzyła w zimowe, dlatego lepiej sobie radziła w zaspach, które tworzył wiatr. Mimo to do pracy jechała o wiele dłużej niż zwykle

i pod sklepem pojawiła się o pół godziny za późno. Domyślała się jednak, że w taką pogodę nikt nie będzie czuł potrzeby ani ochoty kupna tanich ubrań, w których gustowały głównie kobiety po pięćdziesiątce. Miała nadzieję, że żaden klient nie czekał przed sklepem na otwarcie, że nikogo nie zdenerwowała jej nieobecność, a tym samym nie ściągnie jej na głowę złości właściciela. Gdyby straciła teraz pracę, wraz z mężem mieliby sytuację tak trudną, jak jeszcze nigdy. Nie mogła na to pozwolić.

W końcu jednak zaparkowała i niedługo potem w pośpiechu otworzyła sklep. Wywiesiła tabliczkę „otwarte” i mogła w spokoju zrobić sobie drugą tego dnia kawę. Bardzo jej potrzebowała, chociaż ciśnienie cały czas miała wysokie.

Z parującym kubkiem stanęła w końcu przed oknem, jak to często robiła w dni bez większego ruchu, i zapatrzyła się w syjący śnieg. Wcześniej padało głównie w nocy, ale delikatnie i krótko. Nawałnice zapowiadano już od miesiąca, więc gdy wczoraj wieczorem podano w wiadomościach, że dzisiejszy poranek będzie wyjątkowo trudny, raczej nikt w to nie wierzył. I tym sposobem zima po raz kolejny zaskoczyła kierowców.

Olga patrzyła, jak co chwila przez pasaż przy Pałacu Kultury i Nauki, przy którym mieścił się jej sklep, przebiega ktoś w pośpiechu, zmierzając albo w stronę pobliskiego przystanku, albo samochodu stojącego przy Alejach Jerozolimskich bądź na Pankiewicza. Jej sklep znajdował się na rogu, mogła więc obserwować obie ulice. Ludzie nosili ze sobą szczotki do odśnieżania samochodów, kupowali szybko w sąsiednim sklepie z częściami samochodowymi zimowy płyn do spryskiwaczy albo z pomocą miski z ciepłą wodą zamierzali przywrócić szybom ich normalny wygląd.

Nikt zdawał się nie zauważać dziwnej rzeźby stojącej kilka kroków od witryny sklepu.

– Co to jest? – zapytała samą siebie.

Nie miała pojęcia, czym może być ta dziwaczna postać. Z pewnością wcześniej jej nie było. Doskonale знаła tu każdy kąt, lecz tajemniczej rzeźby ludzkich rozmiarów nie kojarzyła.

Odstawiła kubek na parapet i wyjrzała przez okno w drzwiach, skąd był lepszy widok. Oparła się o nie i wstrzymała powietrze, żeby szkło nie zaparowało. Dostrzegła dość karykaturalną postać, jakby ktoś chciał uchwycić w ruchu tancerza, który właśnie robi piruet. Dłonie miała złączone nad głową, nogi delikatnie rozstawione, a płaszcz, którym została okryta, wirował wraz z obrotem.

Choć Olga nie dostrzegała zbyt dobrze twarzy wyrzeźbionej postaci, głównie dlatego, że pokrywał ją śnieg, to zdawało się jej, że wymalowano na niej wyraz ogromnego bólu. Miała szeroko otwarte usta, przymknięte oczy i odchyłoną do tyłu głowę, jakby wcale nie o taniec chodziło, lecz próbę jak najgłośniejszego krzyku.

Gdy to sobie uzmysłowiła, założyła kurtkę i wyszła przed sklep. Miała ochotę zabrać stąd tę rzeźbę, czy też manekina, bez względu na to, kto i po co go tam postawił. Sądziła, że ktoś – może śmieciarze, gdy opróżniali pobliskie kontenery – wyciągnął z nich dziwną lalkę i postanowił zrobić jej i okolicznym mieszkańcom psikusa.

– Nedorzeczny żart – mruknęła pod nosem, gdy wyszła ze sklepu i podeszła do zasypanej śniegiem postaci. Wtedy dostrzegła, że jej środek jest pusty, tak samo jak miejsca na usta i oczy. Widząc to, zadrżała. Gdy jednak dostrzegła niesamowicie realny zarys żeber i zalaną krwią skórę, zrozumiała, że to nie jest ani manekin, ani rzeźba.

Robert Foks wyszedł ze szpitala psychiatrycznego, w którym przebywała jego żona. Jedyne, na co miał teraz ochotę, to bezrefleksyjne patrzenie przez szybę. Nie chciał o niczym myśleć ani tym bardziej niczego wspominać. Przede wszystkim tego, jak przed chwilą odwiedził wciąż nieufną wobec niego kobietę, która z jednej strony zdrowiała, ale z drugiej zdawała się pozostawać kimś, kto już nigdy nie będzie tą samą osobą, co kiedyś. Nie chciał też przywoływać w myślach ani jednej sceny z ostatnich tragicznych wydarzeń. Chciałby się od tego wszystkiego jakoś odciąć, ale wiedział, że nie jest to możliwe.

Byłoby to szczególnie uciążliwe, gdyby cały dzień siedział beczynnie w domu, dlatego mimo wszystko ucieszył go telefon od podkomisarza Pawła Radeckiego, który w kilku szybkich zdaniach poinformował go, że naczelnik chce widzieć Foksa z powrotem w wydziale.

– Mamy coś nowego. Jak szybko możesz pojawić się na miejscu? – spytał podkomisarz, którego głos nie wydawał się zbyt przyjazny.

Powrót Foksa oznaczał, że Radecki zostanie zdegradowany. Choć w poprzedniej sprawie poprowadził zespół zupełnie przez przypadek, a nie dlatego, że był dobry, to jednak odnalazł się na stanowisku Foksa. Teraz musiał pogodzić się z tym, że tych kilka tygodni świetności się skończyło i mógł jedynie liczyć na to, że komendant i naczelnik chwalą sobie jego pracę. Awans, tak czy inaczej, mógł mu się dzięki ostatniej sprawie przydarzyć znacznie szybciej.

– Na komendzie czy w kostnicy?

– Na miejscu znalezienia ciała.

Foks zawahał się.

– Nie zabraliście go jeszcze?

– Musisz sam to zobaczyć. Wydaje mi się, że miejsce i sposób ułożenia zwłok są tutaj dość istotne. Gajewski chce, żebyś sam wszystko dokładnie obejrzał.

Ego Foksa zostało tymi słowami przyjemnie polectane, chociaż zdawało mu się, że Radecki wypowiada je przez zaciśnięte zęby. Nie dało się jednak ukryć, że komisarz miał nie tylko większe doświadczenie, ale po prostu lepsze oko i niepowtarzalny zmysł. Był nie tylko dobrym śledczym, ale też umiał wejść w umysł tego, którego szukał. Nie od zawsze jednak to potrafił. Tak samo jak nie od zawsze myślał o wstąpieniu w szeregi policji. Skłoniła go do tego rodzinna tragedia, chociaż Foks dobrze wiedział, że po latach niewiele będzie mógł w tej sprawie zdziałać. Niemniej gdy zaczął tropić swojego pierwszego podejrzanego, wiedział, że właśnie to jest jego powołaniem.

Po uzyskaniu dyplomu z kryminologii i ukończeniu studiów podyplomowych z psychologii szybko wstąpił do policji, a potem jego kariera potoczyła się błyskawicznie. Wcześniej nawet nie zakładał, że dotrze tak wysoko, ale do tego właśnie podświadomie cały czas dążył. Teraz najlepiej wypełniał swoją rolę.

Niestety ze wszystkim wiązało się duże ryzyko.

Radecki podał mu adres i pół godziny później Foks był już na miejscu. Z trudem, ale jednak pokonał kilka całkowicie zasypanych ulic. Minął trzy stłuczki i kilkanaście prób pokonania zasp, które nie miały szans się udać. Jego volvo s60 dawało sobie radę, w razie czego w bagażniku miał zestaw opasek na śnieg i łańcuchy, więc nie obawiał się żadnej sytuacji. Tym bardziej że po ostatnim wypadku pojazd został dokładnie przejrany i w pełni wyremontowany. Chociaż Foks poświęcił na to większość oszczędności, to jednak zdawał sobie sprawę, że w tym momencie pieniądze nie mają tak naprawdę żadnej wartości. Chociażby przez inflację, która zżerała je niczym korozja podwozie starego grata, więc warto było weń inwestować prawie wszystkie zaskórniaki. Poza tym pieniądze w oczach Foksa straciły na wartości, gdy dostrzegł, że w życiu potrafią więcej zabrać niż dać. Dlatego ich nie żałował.

Zaparkował w pobliżu placu przed Pałacem Kultury i Nauki. Wszędzie powiewały na wietrze policyjne taśmy, a koło jednego ze sklepów stał wysoki parawan, przy którym czekał na niego Radecki w towarzystwie prokurator Kowalczyk i lekarza medycyny sądowej.

- Miło ponownie was wszystkich wiedzieć - rzucił na powitanie, chociaż miał nadzieję, że Kowalczyk tu jednak nie zastanie. Ostatnie, czego potrzebował, to się z nią teraz użerać.

Już niemal słyszał, jak prokurator śmieje się ironicznie z jego słów, ale ta tylko odwróciła wzrok. Zignorowała Foksa, co wydało mu się jeszcze gorsze.

- I ciebie również - odparł Radecki, a lekarz tylko skinął głową. Mieli na dłoniach rękawiczki, więc nie mogli się przywitać, ale gdy tylko Foks dostrzegł fragment tego, co znajdowało się za parawanem, zapomniał o jakichkolwiek dalszych uprzejmościach.

- Więc co my tu mamy? - rzucił tylko i bez dalszego wahania wszedł za parawan. Zamarł i zadrżał, jakby za kołnierz wleciał mu śnieg.

Kowalczyk wycofała się za taśmę i zapaliła. Radecki stanął u boku Foksa, a lekarz udał się do swojego samochodu. Skończył już wstępne oględziny, technicy obejrzeni cały teren i pozostawało tylko zabezpieczenie ciała, na które właśnie patrzył Foks.

Nie miał jednak pewności, co tak naprawdę widzi. W pierwszej chwili dostrzegł dziwną rzeźbę zasypaną przez padający śnieg. Potem dostrzegł rysy twarzy. Umysł Foksa uznał postać za realnie wyglądającego manekina, który został zabrany z jakiegoś sklepu odzieżowego. Ale wtedy dostrzegł wyraźnie zarysowujące się pod rozprutym brzuchem męskie genitalia, oczodoły i pustą jamę brzuszną z doskonale widocznymi zębami i kręgosłupem.

Otrząsnął się, rozumiejąc, że to człowiek, którego z niesamowitą precyzją pozbawiono wnętrzości. Ciało zostało wręcz idealnie wypatroszone. Skórę rozcięto od klatki piersiowej aż do krocza i rozsunięto jej płaty niczym poły płaszcza, co mogło też przypominać zwiewną sukienkę albo skrzydła, w tej formie jednak dość karłowate i raczej niezdolne unieść w powietrze, po czym oczyszczono ze wszelkich

ochłapów i fragmentów mięsa, zupełnie jakby ktoś to zrobił łyżeczką. Wyjęto też każdy organ.

Cofnął się nieco i z lepszej perspektywy przyjrzał niecodziennej pozycji ofiary. Ciało stało stabilnie na ziemi, nogi zatopiono w bryle lodu przywodzącej na myśl betonowe buty rodem z tandetnego filmu akcji. Ręce ofiara miała podniesione, jakby robiła piruet. Tak można było stwierdzić na pierwszy rzut oka. Po chwili jednak było już pewne, że przed śmiercią mężczyzna nie tańczył, lecz był do czegoś przykuty. Związano mu ręce i zaczęto najprawdopodobniej o wysoko umieszczony hak, w taki sposób, że sięgał do ziemi tylko koniuszkami palców.

Wystarczyła chwila w takiej pozycji, aby poczuć okropny ból. Wokół zamrożonej szyi dało się dostrzec siną pręgę. Zapewne tam znajdowała się kolejna pętla, więc gdy nogi opadały z siły, pętla zaciskała się coraz mocniej i mocniej.

– Jest duża szansa, że sprawca przystąpił do wyjmowania organów w czasie, gdy ofiara jeszcze żyła – powiedział Radecki. – Jest cała zalana krwią, grymas na twarzy zdradza, że niesamowicie cierpiała. Dałoby się pozbawić człowieka kilku narządów, zanim ten by zmarł. Oczywiście jeśli nie straciłby od razu przytomności, lecz można się domyślać, że sprawca zadbał o to, żeby szybko tę przytomność odzyskiwał.

– Bez wątpienia – odparł Foks. Domyślał się, że egzekucja była rodzajem jakiejś kary. Zemsty. Stojące przed nim ciało zostało poddane torturom, bo jego właściciel wyrządził komuś krzywdę, za którą ten postanowił odpowiedzieć krwią.

Z doświadczenia wiedział jednak, że kara najpewniej nie była zasłużona.

- Co może się równać takiej zbrodni? – spytał na głos.
- Możliwe, że dowiemy się tego, gdy już zidentyfikujemy ciało.
- Miał cokolwiek przy sobie?

Domyślał się odpowiedzi.

– Nic. Żadnych dokumentów, żadnych znaków szczególnych, jedynie zamrożona skóra i kości. Wokół ciała też niczego nie znaleźliśmy. Zupełnie czysto. Wszelkie ślady traseologiczne przykrył śnieg.

- Monitoring?

- Jest w pobliżu kilka kamer, ale śnieg sypie na tyle gęsto, że widoczność jest zbyt mała, żebyśmy mogli cokolwiek z nich odczytać.

- A co z najbliższymi sklepami?

- Monitoringu brak.

- Właściciele sklepów nie boją się złodziei albo wandalów? - zdziwił się Foks, ale gdy się rozejrzył, dostrzegł tylko sklep z tanią odzieżą, który zasłaniał teraz w większości parawan, a za rogiem znajdował mały punkt z częściami do samochodów, który zapewne prowadził jakiś siedemdziesięcioletni dziadek wraz z żoną. Przy Alejach Jerozolimskich, najbliżej sklepu odzieżowego, znajdował się pusty lokal. Dalej był warzywniak i dopiero za nim jakiś butik, potem chyba sklep mięsny, ale to już było za daleko.

- Jakoś mnie to nie dziwi - odparł Radecki. - Domyślam się, że po tej akcji postarają się coś z tym zrobić, ale z pewnością to miejsce na długie lata wyczerpało swój kryminalny potencjał.

- Pytanie, czy wcześniej jakkolwiek miało - odparł Foks. - Czemu ktoś wystawił ciało w takim właśnie miejscu? Musiał zdawać sobie sprawę, że podczas zamieci będzie mógł zrobić w centrum miasta dosłownie wszystko, ale czemu akurat tutaj? Morderca musi mieć jakiś związek emocjonalny z tym miejscem - sam sobie odpowiedział.

- Z lumpekiem? - zdziwił się Radecki. - Ktoś, kto ma jakkolwiek związek z tym miejscem, raczej nie pokusiłby się o tak wyrafinowaną zbrodnię. Prędzej widziałbym tutaj ofiarę uduszenia, zasztyletowania, no, może wyrzucenia z okna.

Foks skinął głową, przyznając mu rację.

- Trzeba będzie sprawdzić każdego, kto ma tutaj swój sklep, każdego właściciela posiadłości przy placu i wszystkich sprzedawców. Bardzo możliwe, że ktoś z nich znał albo ofiarę, albo sprawcę.

Radecki przytaknął.

Po chwili technicy zabrali ciało, a Foks skrzywił się, bo zapewne nie spełnił oczekiwań naczelnika. Gajewski miał nadzieję, że komisarz od razu coś znajdzie, ale sprawa nie wyglądała na zbyt prostą.

Takie jednak Foks lubił najbardziej.

Za oknem było już ciemno, gdy Foks pojawił się przy stole sekcyjnym Mazurkiewicza. Śnieg z coraz większą siłą uderzał w okna, budując naprawdę nieprzyjemny nastrój, szczególnie w takim miejscu. Zwykle Foks czuł się tutaj dość neutralnie, jak w wielu innych miejscach, w których śmierdzi zgnilizną i śmiercią. Przyzwyczyił się. Ale dziś, gdy na zewnątrz szalała zamieć, wielu ludziom odcinając drogę do domu, w towarzystwie licznych ciał, pod mrugającą niepokojąco żarówką i obok wypatroszonego ciała, komisarz czuł się naprawdę dziwnie. Co chwila po plecach przebiegał mu zimny dreszcz, a każde spojrzenie na niecodzienną ofiarę sprawiało, że mimowolnie się krzywił.

– Fakt, nie wygląda to zbyt dobrze – powiedział patolog, który dostrzegł niepewną mimikę komisarza. – Ani zachęcająco.

– A to jakkolwiek trup może wyglądać zachęcająco? – Spojrzał na niego z uniesionymi pytająco brwiami.

– Oczywiście. Każdy leżący tu trup, po którym nie widać wszystkiego na pierwszy rzut oka, jest wyzwaniem. Ale tutaj większość roboty została już wykonana. – Mazurkiewicz pochylił się nad wciąż zamrożonym ciałem, które przed chwilą wyciągnął z chłodni. Powoli zaczęło tajać, woda zbierała się na stole. – W ciele nie ma krwi, a to ona powinna teraz się z niego łać, a tymczasem mamy tylko dużo wody. – Dotknął czubkiem skalpela uniesiony fragment skóry. – Widać dość precyzyjne cięcie. Sprawca miał pewną rękę, ale nie posługiwał się skalpelem. Dysponował ostrym nożem, którym powoli rozciął cały korpus.

– Jak bardzo precyzyjne jest to cięcie? – zainteresował się Foks.

– Może nie chirurgiczne ani takie, jakie sam bym chciał teraz zrobić, ale ten ktoś ma doświadczenie w rozcinaniu ciała.

- Ludzkiego czy zwierzęcego?

- To zależy, jak wiele osób zdążył już zabić. Prędzej jest zwykłym rzeźnikiem niż lekarzem czy patologiem.

- Skąd ta pewność? Jeśli był lekarzem, to tym razem nie ratował niczyjego życia, mógł więc pozwolić sobie na swobodę, wręcz profanację - zauważył Foks.

- Racja, ale pewnych nawyków człowiek się nie pozbędzie. Ktoś, kto potrafi posługiwać się skalpelem, gdy będzie chciał pokazać swoje dzieło, nie użyje do jego stworzenia noża czy siekiery. Widać, że sprawca chciał nam zaprezentować swój kunszt, więc zrobił wszystko, na co było go stać.

- To samo widać we wnętrzu ciała? - zmienił temat Foks. Domyślał się, że Mazurkiewicz może mieć rację, lecz już nie chciał słyszeć jego władczego tonu, którym udowydniał komisarzowi, że wie więcej. Niemniej jego opinia była w tym momencie bardzo istotna.

- Zdecydowanie. Wnętrznosci nie wyjęto zbyt precyzyjnie, lecz po prostu je z środka wyrwano. Być może ktoś ręcznie wyciągał je po kolei.

- Ale musiał wiedzieć, od których zacząć, żeby ofiara nie zmarła od razu.

- Może miał fart. Możliwe też, że ją rozciął i poczekał, aż się wykrwawi. Ta opcja wydaje mi się najbardziej prawdopodobna. Potem zabrał się za opróżnianie korpusu. Gdy pozbył się już wnętrznosci, to wyskrobał wszelkie resztki, jakby chciał, żeby ciało stało się swego rodzaju naczyniem.

Foks wyobraził sobie ciało jako miskę, z której ktoś wyjada krwistą, zaprawioną dużymi kawałkami mięsa zupę. Miał pewność, że przez długi czas, myśląc o ofierze, nie będzie potrafił wyrzucić z głowy tego obrazu, choć nie sądził, żeby mieli do czynienia z kanibalem. Był wręcz przekonany, że torba z wnętrznosciami za jakiś czas zostanie gdzieś znaleziona. Może w domu ofiary, gdy dowiedzą się, kim była, może wypłynie na powierzchnię Wisły i za kilka miesięcy natknie się na nią jakiś biedak. Może już teraz krwawa plama widnieje gdzieś na śniegu niczym w filmie *Granice wytrzymałości*, gdy uwięzieni w szczelinie alpiniści doprowadzili do wybuchu worka z własną krwią na powierzchni, żeby oznaczyć miejsce, w którym utknęli.

– Ale w środku niczego nie znalazłeś?

– Nie – przyznał Mazurkiewicz. – W środku jest zupełnie pusto – dodał pośpiesznie, choć jego intensywny wzrok zdradzał, że spędzi jeszcze dużo czasu na poszukiwaniach.

Razem pochylili się nad ciałem, które zdążyło już odtajać. Patolog nieco wcześniej oczyścił zwłoki ze śniegu. Foks jednak cały czas nie mógł wygonić z pamięci widoku spod sklepu. Oszronione włosy, rzęsy, niesamowicie blada skóra, śnieg zbierający się w pustych oczodołach, ustach i oczywiście w korpusie.

Ciało sprawiało wrażenie sztucznego. Dlatego właśnie jego realność przerażała jeszcze bardziej.

Dwie poły skóry otwierające korpus powoli zaczynały już opadać, ale miało minąć jeszcze sporo czasu, zanim dotkną o wiele cieplejszej powierzchni metalowego stołu.

Mazurkiewicz odgiął je delikatnie, żeby nie zakryły otworu, lecz opadły na boki. Foks tymczasem spojrział w puste oczodoły i rozwarte usta, którym wycięto język. Wszystkie trzy otwory prezentowały się naprawdę ohydnie, szczególnie gdy świecąca z boku, psująca się żarówka rzucała pogłębiający to odczucie cień. Foks miał ochotę cisnąć czymś i zakończyć jej cierpienia. Nieprzyjemne buczenie z chwili na chwilę denerwowało go coraz bardziej, a Mazurkiewicz zdawał się tego w ogóle nie zauważać.

– Wyrwano go – odparł patolog, gdy komisarz spytał o cięcie na języku.
– Da się zauważyć ślad po obcęgach. To już z pewnością nie jest robota profesjonalisty. Ale na pewno sprawca chciał, żeby ten ktoś cierpiał. Złapał obcęgami w połowie języka i po prostu zaczął ścisnąć i ciągnąć, aż zardzewiała stal najpierw nacięła narząd, a potem tylko musiał raz szarpnąć. Od tego właśnie zaczął.

– Ofiara nie mogła krzyknąć.

– Ale sprawca chciał, żeby patrzyła na to, co robi, dlatego oczy najprawdopodobniej usunięto na końcu. Ofiara rzeczywiście nie mogła krzyknąć, ale widziała, jak sprawca najpierw rozcina ciało, a potem wrywa organy.

Foks obszedł ciało i stanął na wysokości krocza.

– Genitalia są nietknięte. Można więc wykluczyć motyw seksualny.

– Z tym bym poczekał do końca oględzin. Kto wie, czy nie znajdę na ciele śladów nasienia. To by oznaczało, że ofiara stała się bardzo ważnym dla sprawcy obiektem seksualnym.

Foks miał nadzieję, że tak się jednak nie stanie. Wolał wierzyć, że ktoś zabija z każdego innego powodu, lecz nie z pobudek erotycznych. To by oznaczało, że mają do czynienia z niewyobrażalną bestią, która oczywiście już teraz jawiła się w oczach śledczych jako ewenement. Jednak fakt, że genitalia pozostały nienaruszone, mógł oznaczać, że powód morderstwa był zupełnie inny. Jaki? Foks domyślał się, że nawet najlepszy profiler miałby problem z odgadnięciem motywu. Domyślał się, że Gajewski już kogoś wyznaczył do tego zadania, a Foks serdecznie mu tego współczuł.

Sobie także by współczuł, ale teraz było mu to na rękę. Chciał się w pełni czemuś poświęcić i miał ku temu znakomitą okazję.

To przykre, że ukojenie daje mi śmierć innych, pomyślał, choć zdawał sobie sprawę, że to bardzo duży skrót myślowy. Ale niestety prawdziwy.

– Coś ty się tak zawiesił? – spytał Mazurkiewicz, gdy Foks nie odzywał się chwilę. Było słychać tylko lampę i coraz mocniejsze uderzenia niesionego silnym wiatrem śniegu. Zapowiadało się na znacznie większą burzę śnieżną od tej, która przywitała Warszawę dzień wcześniej.

– Myślenie, mówi ci to coś? – odpowiedział pytaniem i zaśmiał się, żeby przypadkiem Mazurkiewicz nie wziął tego na poważnie. Znali się już bardzo dobrze, ale ich stosunki zdecydowanie były dalekie od przyjacielskich. Niemniej czasem warto było rozładować napięcie, tego już się obaj nauczyli. Nad zwłokami lepiej nie być śmiertelnie poważnym, bo człowiek zaczyna dostrzegać, jak wiele ma się wtedy z nimi wspólnego.

– Nie kojarzę – odparł bez cienia uśmiechu, ale Foks się tym nie przejął. Mazurkiewicz z natury był poważny, ale żarty do niego trafiały. Za bardzo jednak upodobił się do swoich sztywnych pacjentów, którzy też potrafili doskonale słuchać, ale rzadko kiedy odpowiadali. A gdy już się tak działo, to człowiekowi zdecydowanie nie było do śmiechu. – Chcesz poczekać na wyniki? – spytał patolog. – Chwilę mi to zajmie, mimo że brakuje nam zawartości, na której zwykle skupiam się najbardziej.

– Sam nie wiem... – odparł w zamyśleniu policjant. Gdy był w pobliżu ciała, lepiej mu się myślało. Sprowadzało go ono na ziemię, nie pozwalało myślom na ucieczkę. Ale odór bijący od trupa, którego nie udało im się jeszcze zidentyfikować, wyzwalany dzięki dodatniej temperaturze, sprawiał, że mimo wszystko myśli rodziły się nieco trudniej niż zwykle.

– Też to czujesz, prawda? – spytał patolog, a Foks pokiwał głową. – Ciało nie jest zbyt świeże.

– Śmierdzi jak kurczak, którego się rozmroziło na obiad, a który leżał cały dzień na blacie w kuchni, bo się o nim zapomniało, ale szkoda było wyrzucić, więc wylądował w lodówce. Od jak dawna może nie żyć?

– Wiesz, że przy zamrożonym ciele nie da się tego zbyt dokładnie określić, ale po odorze domyślam się, że znajdziemy jakieś ślady rozkładu.

Całkiem możliwe, że mężczyzna został zabity, ciało porzucono, ale sprawca postanowił po nie wrócić, pomyślał Foks. Może rozważył sprawę, opracował plan i stwierdził, że nie chce tego tak zostawiać. Albo zorientował się, że ofiara może go w jakiś sposób zdradzić, dlatego musiał ją wybebeszyć.

– Bardzo ciekawe, co zawierał żołądek – powiedział.

– Myślisz, że to właśnie o niego chodziło sprawcy?

– Możliwe. Żołądek, płuca. Może morderca nafaszerował czymś ofiarę. Jakimś jedzeniem, płynem. Czymś, co zostawiło jasny ślad. Może chciał pozbawić ofiary jednego organu, ale dla niepoznaki działał dalej. Wypruł wszystkie flaki, żeby nie nakierować nas na tę jedną rzecz. Rzecz, która nosiła ślady wskazujące na mordercę. Może jelita...

Patolog pokiwał poważnie głową, dając znać, że się z nim zgadza.

– Badanie krwi na pewno dużo nam powie – odparł. – Ale na to będzie trzeba chwilę poczekać. No i wyniki nie będą zbyt dokładne, skoro krwi w tym ciele jest jak na lekarstwo. W laboratorium nie będą zachwyceni.

– Może śnieg ich zasypie, nie będą mogli wyjść i z nudów odwałą robotę w szybszym niż zwykle tempie.

– Marzenie – odparł Mazurkiewicz, a Foksowi wydawało się, że kąciki jego ust delikatnie się uniosły. – Jak myślisz, co mógł zrobić z tymi wszystkimi wnętrznościami? – spytał, wracając do poprzedniego tematu. – Po co one komuś?

Foks znał wiele przypadków, w których ktoś wyjmował z ludzi wnętrzności. Aż robiło mu się niedobrze, gdy pomyślał, do czego zwykle służyły.

Kupił jedzenie na wynos, chociaż po wizycie w prosektorium zawsze odczuwał w żołądku pewien dyskomfort. Wiedział jednak, że musi coś zjeść, a wołał, żeby w razie czego zmarnował się fast food niż własnoręcznie przygotowane danie.

Rzucił papierową torbę na blat w kuchni, nalał sobie whisky, żeby nieco poprawić wewnętrzny chaos, i udał się do swojego gabinetu. Nie urządził go na razie w żaden sposób. Nie miał na to ani siły, ani ochoty. Kupił jedynie dużą tablicę, ale już po chwili okazało się, że jest zdecydowanie za mała, dlatego ze wszystkimi notatkami przeniósł się na ścianę.

- To się jakoś potem pomaluje - powiedział do siebie, gdy poprzedniego dnia wbił może setną pinezkę obok setnej kartki samoprzylepnej. Na razie niewiele mu z tej plątaniny kartek wychodziło, ale czuł się lepiej z faktem, że cokolwiek planuje. Nie szukał Nadii, jedynie powiązań między byłym prokuratorem Sikorą a jego ludźmi. Ktoś z nich musiał coś wiedzieć o dziewczynie, która została porwana, a potem gdzieś wywieziona. Może sprzedana, może wypuszczona, tego nie było wiadomo. Miała nadal status zaginionej. Foks wiedział jednak, że wciąż szuka jej ojciec, wiedziała o niej także prokuratura i straż graniczna. Ale cały czas nie było żadnego śladu po dziewczynie. Foks miał nadzieję, że może po prostu uciekła porywaczowi i teraz tuła się po Polsce w poszukiwaniu drogi powrotnej do domu. Tego w Warszawie bądź w Ukrainie.

Sprawa Sikory była powoli domykana. Znalaziono część jego klientów, większość ludzi byłego prokuratora albo nie żyła, albo dogadała się z policją. Dzięki temu śledczy dowiedzieli się, z kim jeszcze współpracowali i jakich mieli klientów. Jak gęsta była sieć dilerów i gdzie

dokładnie znajdowała się jego fabryka piko. Jej zamknięcie było już tylko kwestią czasu, ale tym zajmował się inny zespół.

Wszystkie pokrzywdzone dziewczyny znalazły schronienie i wróciły do domów. Nastolatki, które były wplątane w usługi seksualne, zostały objęte dozorem, ale nic im nie groziło. Inaczej sprawa się miała z Tomaszem Gosikiem, który popełnił zdecydowanie więcej błędów. Jemu groziła odsiadka, ale wiedział, że na nią zasłużył. Cieszył się, że wszystko to się wreszcie skończyło i gdy wyjdzie z więzienia, będzie mógł żyć w spokoju.

gorzej było z jego żoną i córką, które cierpiały o wiele bardziej. Ale na to już nie można było nic poradzić. Foks odwiedził kilka razy Iwonę, ale kobieta stała się dziwnie apatyczna, nie chciała z nim rozmawiać. A on miał aż nadto podobnych wrażeń, jeśli chodzi o własną żonę, na której wolał się skupić, dlatego darował sobie bycie psychologiem wobec kobiety swojego byłego partnera.

Wlał do ust cały alkohol, który miał w szklance, potrzymał chwilę i przełknął z błogością. Ostatnio pił zdecydowanie zbyt wiele i wiedział, że musi nieco przystopować. Dlatego rozkoszował się tymi ostatnimi łykami, na które mógł sobie teraz pozwolić.

Usiadł na podłodze i zapatrzył się w ścianę pełną notatek. Znajdowały się na niej wszystkie najważniejsze informacje dotyczące działalności Sikory i jego ludzi. Nigdzie nie było jednak kogokolwiek, kogo ten nazywał Bułgarem. Foks nie miał pojęcia, czy chodzi o pseudonim, czy może narodowość, ale tak czy inaczej, trop jego i Nadii urywał się w klubie Czarnego, jak nazywano byłego prokuratora w przestępczych kręgach.

– Kiedyś cię dopadnę – powiedział i już miał wstać, żeby dolać sobie whisky i spróbować skierować myśli na tor nowego śledztwa, gdy rozdzwonił mu się telefon. – Tak? – rzucił bez patrzenia, kto dzwoni.

– Lubisz układać puzzle? – spytał Radecki.

– Co? – Foks nie zrozumiał.

Dopiero godzinę później wszystko stało się jasne.

Zadrzał, wychodząc na zewnątrz. Było jeszcze zimniej niż rano, śnieg spał nieubłaganie, co w zestawieniu z mrokiem nocy tworzyło naprawdę nieprzyjemny, klaustrofobiczny wręcz klimat. Widoczność sięgała może kilku metrów, zimne płatki wciskały się za kołnierz, uderzały w twarz. Foks widział dziesiątki osób, które stały na przystankach lub z trudem przemierzały zasypane chodniki, i serdecznie im współczuł.

Miało się wrażenie, że wystarczy dosłownie chwila bezruchu, żeby zamarznąć i zostać zasypanym przez śnieg.

Może tym właśnie była nasza pierwsza ofiara, pomyślał. Bezdolnym, który nie schował się na czas przed zimą. Ktoś go znalazł i... No właśnie, co dalej?

Foks siedział w samochodzie, czując, że odrobina wypitego alkoholu już została zneutralizowana. Miał nadzieję, że nie wpadnie w poślizg ani nikt w niego nie uderzy, bo wolał nie przekonywać się o tym oficjalną drogą. A musiał pamiętać, że wciąż był na cenzurowanym. Wydarzenia sprzed kilku tygodni mocno nadszarpnęły jego reputację, musiał więc uważać, co i jak robi. Nie przechodził już nawet na czerwonym świetle, kichał w chusteczkę i zawsze mówił „przepraszam”, gdy przeciskał się przez tłum, ale teraz nie miał innego wyjścia, musiał wsiąść za kierownicę. Gdyby miał czekać, aż ktoś po niego przyjedzie, to równie dobrze mógłby dotrzeć na komendę rano i po prostu przeczytać raport z tego, co się właśnie wydarzyło.

A jak twierdził Radecki – wydarzyło się sporo.

On sam jeszcze nie dotarł. Zadzwoił po komisarza, gdy tylko dostał zgłoszenie od patrolu, który pojawił się tam jako pierwszy. Foks ucieszył się, gdy zobaczył podkomisarza, który szedł w stronę wejścia do metra, gdy on sam już przy nim stał.

– Powiedziałbym, że miło znów cię wiedzieć, ale... – zaczął Foks, lecz Radecki nie dał mu dokończyć.

– Też bym wolał być teraz gdzie indziej – wtrącił.

– Mimo wszystko jestem ciekaw, co tam się wydarzyło.

– Bardziej miałem na myśli tę cholerną pogodę – rzucił nieprzyjemnie, jakby to Foks był odpowiedzialny za nasilającą się burzę śnieżną. Z każdą godziną pogoda tylko się pogorszała, miasto zostało wręcz sparaliżowane. Trudno było gdziekolwiek dojechać. Foks domyślał się, że podkomisarz

utknął najpewniej w jakiejś zaspie i musiał tutaj dojść pieszo. Był cały w śniegu, przypominał teraz ciało, które wczoraj znaleźli.

Szybko wygonił z myśli to porównanie.

– Proszę zrobić przejście – zawołał Radecki, rozganiając tłum ludzi. Część z nich zapewne weszła na przystanek metra, żeby się schronić przed śniegiem, choć nie mogli liczyć na to, że ten nagle przestanie padać i będą mogli za chwilę wrócić spokojnie do domów. Reszta chciała po prostu skorzystać z metra, ale napotkali utrudnienia. Nie można było co prawda zamknąć całego przystanku, to spotkałoby się z publiczną krytyką i jeszcze bardziej sparaliżowałoby miasto. Dlatego miejsce zdarzenia odgrodzono taśmą policyjną, tym samym wyłączając z użytku połowę peronu.

Foks przesadził bramkę i omal się nie przewrócił, ślizgając się na błocie z topniejącego śniegu, który został tu naniesiony przez setki osób. Otrząsnął się z białego puchu już po drugiej stronie, gdzie mógł zdjąć płaszcz. Rzucił go na pobliską ławkę, ale aż się skrzywił, gdy zobaczył, jak ta jest ubrudzona. Musiał to jednak zrobić, żeby nie zanieczyścić miejsca zdarzenia, które jeszcze nie zostało odgrodzone parawanem. Taśma niewiele dawała. Lepiej sprawowali się dwaj policjanci, którzy pilnowali, żeby nikt pod nią nie przeszedł, ale mimo to ciekawscy napierali tak mocno, jak się tylko dało. Foks miał jednak szczęście, bo gdy sam przeszedł pod taśmą, podjechał pociąg, który zabrał większość gapiów.

Stanął przy usytuowanej pośrodku ławce, przy której znajdował się kosz na śmieci. Tuż obok na podłodze leżała rozerwana torebka foliowa, z której wylały się ludzkie wnętrzności.

– Co wiemy? – spytał policjanta, który podszedł do niego, gdy na miejscu pojawił się kolejny patrol. Nowe siły pomogły zabezpieczyć teren i funkcjonariusz, który przybył na miejsce jako pierwszy, mógł spokojnie zdać relację.

– Trzeba zabezpieczyć monitoring, bo na razie niewiele wiadomo – odparł, a Foks miał ochotę warknąć, żeby nie mówił mu, co ma robić, bo doskonale to wiedział. Zdawał sobie jednak sprawę, że policjant, mimo prostej postawy i kamiennej twarzy, mógł mieć po raz pierwszy do czynienia z czymś takim. I w środku po prostu się trząsł, i to nie tylko

z zimna, więc nie myślał o tym, do kogo się zwraca, a jedynie o tym, co powinno się zrobić. Mimo wszystko była to lepsza reakcja od odrętwienia czy pustki w głowie.

– Jakie było zgłoszenie? – doprecyzował pytanie.

– Ktoś widział, jak bezdomny wyjmuje z kosza na śmieci dużą torebkę. W środku znajdują się jeszcze takie dwie, spoczywają w większej, materiałowej torbie, którą bezdomny rozsunął i wyjął jedną z trzech paczek. Przechodzień zwrócił na to uwagę, bo z torebki coś ciekło, jakby krew. Bezdomny tego nie zauważył, był pijany i przemarznięty. Już się nim zajęliśmy – uprzedził kolejne pytanie Foksa. – Nie zdążył jednak nic zrobić, bo torebka pękła, zahaczył nią o ławkę. Wtedy wylała się z niej... podejrzana zawartość.

– Podejrzana, mówisz? – mruknął Foks, podchodząc bliżej. Opukał buty i stanął maksymalnie blisko cuchnącej brei. Była tam krew, tłuszcz, dało się dostrzec poszarpane fragmenty skóry. Najbardziej jednak w oczy rzucało się jelito grube, zatopione w krwistej brei niczym pęto kielbasy w pomidorowym sosie.

Foks niewiele dziś jadł, ale domyślał się, że nie byłby już w stanie niczego przełknąć. Co najwyżej wypić, tego akurat bardzo potrzebował.

– No to jeden trop z głowy – mruknął Radecki, który, co z dumą zauważył Foks, coraz lepiej znosił podobne widoki. – Wnętrznosci faceta nie wylądowały na czarnym rynku ani na talerzu, tylko w koszu na śmieci.

– Domyślam się, że na monitoringu raczej nie zobaczymy zbyt wiele – odparł. – Ale chciałbym zobaczyć oba zajścia. Da się to zrobić?

– Jasne. Jak tylko lekarz oceni, jak długo te wnętrznosci tutaj leżą, to od razu poproszę o materiały z tego dnia. Na pewno za chwilę będziemy mogli obejrzeć samo zajście z bezdomnym.

– Mam nadzieję, że nie będą robić żadnych problemów.

– W razie czego jakoś ci pomogę, gdybyś sobie nie radził – powiedziała prokurator Kowalczyk, która właśnie przeszła pod taśmą.

– Tylko jej tu brakowało – mruknął Foks na tyle cicho, że nawet Radecki go nie usłyszał. – Spokojnie, nie będzie takiej potrzeby – powiedział już nieco głośniej.

Kowalczyk jak zwykle była elegancka. Foks był przekonany, że zanim tu przyszła, odczekała kilka minut, aż z jej długiego do ziemi, czarnego płaszcza spłynie śnieg, a buty z pewnością przetarła chusteczką. Nawet jej włosy wyglądały schludnie, co przy takiej pogodzie graniczyło z cudem.

Wyjątkowo nie miała na nogach szpilek, a dekolt nie raził swoją głębookością. Zakryła szyję czarnym golfem, ale na tyle obcisłym, że męska wyobraźnia i tak od razu działała.

Większość facetów, która z nią pracowała, zachwycała się nią i ukradkowo podglądała każdy jej ruch. Foks potrafił to zrozumieć, ale sam nie mógł znieść jej ciągłych przytyków i ciętego języka, którego, zdawało się, używała tylko przeciwko niemu. Ludzie plotkowali i nazywali zachowanie prokurator szczeniackimi przepychankami. Wszyscy dostrzegali infantylną jej zalotów, poza nią samą.

– Na pewno? – Skrzywiła się, patrząc na zawartość torebki. – Bo widzę, że sprawa wypada ci z rąk.

– Jeszcze się nawet na dobre nie zaczęła – odparł.

– Tym bardziej przykro patrzeć, jak sobie nie radzisz.

Spojrzała mu prosto w oczy i uśmiechnęła się. Gdyby to była przypadkowa osoba na ulicy albo w barze, to Foks mógłby ze stuprocentową pewnością powiedzieć, że niedługo wyładowałiby w łóżku.

O ile oczywiście nie miałby żony. Jeszcze niedawno sądził, że stracił ją bezpowrotnie, ale z zupełnie innego powodu. Teraz wcale nie było lepiej, ale nie mógł jej zostawić samej, nawet jeśli będzie tego chciała. Nie po tym wszystkim, co przeszła. Potrzebowała chociaż minimalnego wsparcia z jego strony.

– Wszystko jest pod kontrolą – wtrącił się Radecki, a Foks po prostu czekał, aż Kowalczyk się wygada i sobie pójdzie. Nie miała tu czego szukać.

– Fajnie, że tak uważasz – odparła, nawet na niego nie patrząc. Radecki splótł tylko ramiona na piersi i spojrzał pytająco na Foksa. Ten wzruszył ramionami. – Mimo wszystko wolę wiedzieć, jak wam idzie.

– Miło z twojej strony – odparł Foks. – Jeśli chcesz, przyjrzyj się bliżej naszemu znalezisku i powiedz, co widzisz.

- Flaki – odparła automatycznie. – Dużo ludzkich wnętrzności.
- Nie aż tak dużo, reszta jest jeszcze w koszu.
- Czemu akurat tutaj ktoś wywalił resztki wyprutego faceta?

Foks od kilku minut zadawał sobie to samo pytanie. Sprawca musiał być z ofiarą zżyty. Podobnie jak z tym miejscem i okolicą, w której znaleziono ciało. Ale nic tu do siebie nie pasowało.

Z metrem było o tyle dobrze, że mieli do dyspozycji niezakłócony padającym śniegiem monitoring i mogli dowiedzieć się, czy na tym konkretnym peronie wydarzyło się już kiedyś coś ciekawego. Bo jeśli sprawca pofatygował się aż tutaj, żeby podrzucić wnętrzności, to znaczy, że miejsce to było dla niego istotne.

- Na razie niczego nie wykluczam – odparł dyplomatycznie Foks.
- Na przykład czego?
- Na przykład tego, że sprawca już po wszystkim wracał do domu metrem i było to pierwsze miejsce, w którym mógł się pozbyć dowodów swojej zbrodni.

Kowalczyk pokiwała poważnie głową.

- A jakaś inna opcja?
- Tu liczę na twoją inwencję twórczą.

Prokurator zacisnęła usta i nic nie odparła. Nie miała pomysłu, co się mogło wydarzyć, dlatego jej odpowiedzią było milczenie, które Foksowi i Radeckiemu bardzo pasowało.

Kilkanaście minut później na miejscu pojawili się technicy i lekarz. Jeden z patroli dowiózł parawan, którym zasłonięto kosz, wtedy rozpoczęto zabezpieczanie jego zawartości i tego, co wylało się z torebki.

Medyk ostatecznie potwierdził, że są to ludzkie szczątki, lecz była to tylko formalność. Zastanawiające było coś zupełnie innego.

- Widzicie to? – Wskazał na trzymaną w dłoni wątrobę.

Foks pochylił się nad nią wraz z Kowalczyk i dostrzegli, że organ jest dziwnie pocięty. Cięż było zbyt wiele, żeby uznać je za przypadkowe. Ktoś chciał wyryć na wątrobie jakiś obraz lub napis, którego teraz nie dało się niestety rozszyfrować.

- To już coś - powiedział Foks, patrząc, jak technik robi wątrobie zdjęcia pod różnymi kątami.

Gdy wyjęto trzecią torbę, a lekarz obejrzał już wszystkie znaleziska, mógł wydać ostateczny werdykt.

- Nie ma serca - powiedział jakby od niechcenia.

- Co? - zdziwiła się Kowalczyk.

- Mamy tu całą, że się tak wyrażę, zawartość człowieka. Wszystko, czego brakowało naszej ofierze. Poza sercem właśnie.

- Zachował je? - zastanawiała się na głos Kowalczyk.

- Zachowanie trofeum w tym przypadku wydaje się czymś wręcz naturalnym. To coraz lepiej buduje nam obraz sprawcy.

- Pytanie tylko, czy słuszny - zauważyła prokurator. - Widać, że to ktoś popaprany, kto może wodzić was za nos.

Foks wyczuł, że zaakcentowała słowo „was”. Dla niej byli zespołem tylko wtedy, gdy wszystko szło jak po maśle albo gdy sprawa ostatecznie została zakończona sukcesem. W momencie jednak, gdy pojawiały się trudności, nie było „nas”.

- Myślę, że ten ktoś sam chciałby się ujawnić, ale ma jeszcze coś do załatwienia. Gra z nami, bawi się w podchody. Albo może sam ze sobą? Zostawia ślady, bo te konkretne miejsca są dla niego ważne - myślał na głos. - Nie musi mu chodzić o wodzenie nas za nos. Wypełnia jakieś zadanie, którego elementy pieczołowicie przygotowuje, planuje i ostatecznie odprawia swego rodzaju rytuał.

- Chyba za długo w *Wiedźmina* grałeś. - Zaśmiała się. - Przystanek metra ma być dla niego jakimś miejscem mocy? Miejscem kultu?

- Jak się dowiem, to może ci to zdradzę - uciał i wycofał się razem z technikami. Radecki dopilnował, żeby miejsce zostało dokładnie oczyszczone, po czym przewiesił taśmy i odgrodził jedynie bezpośrednie miejsce zdarzenia. Nie było już im do niczego potrzebne, lecz należało zachować jego odrębność. Chociaż Radecki domyślał się, że bardzo szybko zostanie zdeptane i zanieczyszczone. Tak czy inaczej, wszystko dokładnie sfotografowano i nagrano, nic im nie umknęło.

A przynajmniej miał taką nadzieję.

Godzinę później weszli do biura warszawskiego metra. Od razu skierowano ich do osoby, która wyłowiła dla nich fragment materiału, w którym bezdomny sięga do kosza na śmieci.

Przy komputerze siedział młody, może dwudziestoletni chłopak w okularach. Bładość jego twarzy zdradzała, że dosłownie przed chwilą oglądał całe zajście, a skoro już wiedział, co wylało się na podłogę, to nie potrafił przestać o tym myśleć. Raczej nie pracował tu długo. Musiał się przygotować, że zobaczy jeszcze niejedno, choć trzeba było przyznać, że został od razu rzucony na głęboką wodę.

– Zapraszam – powiedział, gdy zobaczył Foksa i Radeckiego.

– Dostaniemy od razu cały materiał?

– Tak, nagrania z ostatnich trzydziestu dni już są zapisywane dla policji. Chwilę to jednak potrwa – uprzedził.

Foks skrzywił się. Nie dlatego, że musieli czekać, ale dlatego, że mieli dostęp do obrazu tylko z miesiąca. Monitoring miejski dysponował zwykle trzema miesiącami, biuro metra najwyraźniej nie skupiało się aż tak bardzo na zabezpieczeniu materiałów. Należało jednak przyznać, że pod ziemią działa się mniej niż na jej powierzchni.

Usiedli przy komputerze, a chłopak włączył nagranie.

– Wiadomo, kiedy ktoś mógł wyrzucić tę torbę? Od razu zacząłbym szukać – zaoferował chłopak.

– Tym już zajmą się specjaliści – odparł Radecki, patrząc, jak bezdomny siada na ławce i rozkłada swoje toboły. Miał przy sobie podartą sportową torbę i kilka reklamówek.

Foks spojrział na chłopaka i dostrzegł jego opuszczone ramiona i minę przypominającą tę u zbitego psa. Miał nadzieję włączyć się w ich sprawę. Komisarz był przekonany, że i tak będzie ślęczał nad nagraniami, szukając na nich sprawy.

– Jestem przekonany, że on zrobiłby to szybciej od naszych ludzi – powiedział do Radeckiego, ale na tyle głośno, żeby chłopak go usłyszał. Chciał go zmotywować do pracy. Komisarz wiedział, że dodatkowa para oczu była w tym momencie na wagę złota, bo tłumy, które przetaczały się przez przystanek, były wręcz nieprzeniknione.

Foks spojrział jeszcze raz na chłopaka. Teraz jego mina była zdecydowanie weselsza.

Bezdomny tymczasem zaczął grzebać w swoich rzeczach. Zrobił miejsce na dwie puszki, które leżały na szczycie stosu śmieci. Wyjął je, ale widać już było, że coś innego zwróciło jego uwagę. Może poczuł zapach, może dostrzegł fragment wnętrzości. Kilka godzin później, podczas przesłuchania, Foks miał się dowiedzieć, że bezdomny wziął pakunek za wyrzucone przez kogoś jedzenie na wynos. Dlatego wyjął z papierowej torby jedno z zawiniątek i chciał je sobie położyć na kolanach. Torba była pełna, już na samym nagraniu dało się dostrzec, co w niej pływa.

– Nie zastanowiło pana to, że zawartość cuchnęła, że było jej zbyt dużo? – spytał podczas przesłuchania.

– Ostatni raz jadłem dwa dni temu – odparł. – A i wtedy tylko na jakieś resztki trafiłem. Ucieszyłem się, że teraz było tego dużo. Pomyślałem, że to mój szczęśliwy dzień.

Na komisariacie dano mu jedzenie, gorącą herbatę i pozwolono skorzystać z łazienki. Mimo wszystko był to dla niego dobry dzień, choć Foksa przerażało, że można było takim nazwać chwilę, podczas której po prostu nie czuło się głodu i było w miarę ciepło. Zwykle ludzie tego nie doceniają, oczywiście do momentu utracenia kontroli nad własnym życiem.

Foks czasem się obawiał, że sam skończy podobnie.

Bezdomny chciał otworzyć torebkę. Wyjął ją z kosza, próbował położyć sobie na kolanach drżącymi rękoma, ale zahaczył o drewniane oparcie ławki. Spodnia część belki była dość ostra, jak się okazało, a torebce

wystarczyłoby nawet delikatne uderzenie, żeby pękła. Wtedy wszystko wylało się na podłogę. Mężczyzna najpierw tylko zaklął, rozszłoszczony, że stracił łup. Ale po chwili dostrzegł, że zawartość torebki nie była tym, czego oczekiwał.

Przechodnie starali się nie zwracać uwagi na to, do czego doszło. Na bezdomnych i ich problemy nikt nie chce patrzeć. Ktoś go jednak obserwował i wezwał policję, gdy tylko dostrzegł, że z torebki wylało się coś, czego zdecydowanie nie powinno w niej być.

- Obejrzałam zbyt wiele horrorów i dokumentów o seryjnych mordercach, żeby nie wiedzieć, co to było - powiedziała kobieta, która zadzwoniła pod numer alarmowy.

- Czy do momentu przyjazdu policji wydarzyło się coś jeszcze?

- Zupełnie nic.

Jej słowa potwierdzało nagranie. Bezdomny długo przyglądał się temu, co spoczęło na podłodze, a potem zajrzał do kosza i sprawdził, co jeszcze znajdowało się w torbie. Gdy dostrzegł podobne pakunki, zaczął się zbierać, ale widać było, że nie ma na to do końca ochoty. Nie miał dokąd pójść, a ławka na przystanku metra być może miała być jego azylem na najbliższych kilka godzin.

Przesunął się na drugi koniec siedziska, ale wiedział, że prędzej czy później ktoś będzie miał do niego pretensje o to, że nabrudził. Ale jego odrętwiałe i zmarznięte ciało odmawiało posłuszeństwa, potrzebował przez chwilę się nie ruszać i poczekać, aż krew zacznie żywiej krążyć w żyłach. Nie dane mu było odetchnąć, bo po kilkunastu minutach pojawił się patrol policji, który zgarnął go do radiowozu, a cały teren ogrodził taśmą.

Gdy Foks zobaczył siebie podchodzącego do miejsca zdarzenia, wstał z krzesła. Dalej oglądać już nie musiał.

- Kiedy możemy spodziewać się pełnego materiału? - zapytał dyspozytora.

- Całość przesyłania potrwa nieco ponad dwie godziny. W tym momencie mamy... - spojrzął do innego komputera, z którego przesyłano pliki - ...mniej więcej trzydzieści procent.

– Okej, przysyłemy tu kogoś za jakieś dwie godziny.

– Jasne – odparł i odprowadził ich wzrokiem.

Foks z Radeckim wyszli przed budynek i zaklęli w tym samym momencie, gdy uderzył w nich śnieg. Szybkim krokiem udali się do samochodu Foksa i już po chwili poczuli, jak topniejące kryształki spływają im po twarzy.

Radecki zaczął ścierać je ramieniem, Foks chciał zrobić to samo, ale musiał odebrać telefon, który nagle się rozdzwonił.

– Tak? – rzucił tylko i wysłuchał, co ma do powiedzenia aspirant Orłowski.

– Mamy już pełną listę osób zaginionych z ostatnich dwóch tygodni. Wśród nich znajdują się trzy osoby w przybliżonym wieku naszej ofiary, o podobnej budowie ciała.

– Psycholog przejrzał listę?

– Oczywiście. Jest tutaj i dalej pracuje nad zestawieniem, ale stwierdziłem, że można już pana komisarza poinformować o aktualnych wynikach.

– Jasne, dzięki. Problem jest tylko taki, że raczej długo się stąd nie ruszymy – powiedział, patrząc, jak tuż przed nimi ciągnie się sznur samochodów, które od kilkunastu minut nie ruszyły się nawet o centymetr. Kilometr dalej drogę zatarasował autobus, który próbował podjechać pod delikatne wzniesienie i niestety poległ na tym zadaniu.

– Pan Lewczuk pyta, kiedy pan komisarz mógłby pojawić się na miejscu.

– A pan Foks pyta, kiedy ludzie w końcu przestaną mnie wkurwiać – odparł ostro. Miał już po dziurki w nosie całej tej zimowej szarpaniny, ale zanosilo się, że szybko się to nie skończy. – I kiedy dostanę tę listę – dodał, tym razem nieco łagodniej.

– Już wysyłam – odparł zakłopotany aspirant, który przecież tylko przekazywał wiadomość, nie robiąc niczego złego. Może poza tym, że brakowało mu empatii i plastycznej wyobraźni, skoro sądził, że w taką pogodę komisarz bez problemu przejedzie przez całe miasto wyłącznie po to, żeby zobaczyć jeden dokument, który można było przesłać mailem.

- Dziękuję - odparł i rozłączył się. Spojrzał na swój w połowie rozładowany smartfon i miał nadzieję, że mimo mrozu nie padnie mu zbyt szybko. - Pieprzone iPhone'y - warknął, widząc, jak zwykle otwarcie poczty zabrało mu kilka procent z cennej baterii.

Aspirant przesłał mu zakodowany PDF, do którego hasłem jak zwykle był ustalony ciąg cyfr. W środku znalazł dwie kolumny. Na jednej zapisano nazwiska i adresy kilkudziesięciu zaginionych, natomiast na drugiej wyróżniono trzy nazwiska osób, które pasowały do opisu ich ofiary.

Foks skrzywił się, patrząc na dołączone zdjęcia.

- Coś nie tak? - zainteresował się Radecki, który zaglądał mu przez ramię.

- Widzisz tu gdzie naszą ofiarę?

Podsunał mu telefon pod nos. Podkomisarz długo patrzył, lecz ostatecznie tylko wzruszył ramionami.

- Trudno stwierdzić - odparł w końcu. - Ofiara nie miała oczu, wyrwano jej język. Twarz została mocno naruszona. Myślę, że nawet rodzina miałaby problem z rozpoznaniem w niej kogoś bliskiego.

- Dlatego jeśli ktoś ma zidentyfikować zwłoki, to trzeba dobrze wybrać. Niespecjalnie chciałbym podsuwać takie widoki przypadkowym osobom.

- Czyli mówisz, że na starość człowiek mięknie i zaczyna przejmować się innymi? - Radecki zaśmiał się, a Foks spojrzał na niego karcąco. Niemniej rozumiał to wtrącenie. Zwykle najważniejsze było śledztwo, nie uczucia innych. Czasem nawet samych ofiar, bo gdy istniała możliwość złapania sprawcy, to nie liczył się strach, płacz czy przerażenie tych, których trzeba było przycisnąć i zmusić do mówienia. Radecki wiedział, że po ostatnich wydarzeniach w Foksie wiele się zmieniło. Nie radykalnie, lecz dało się wyczuć nowe zachowania, emocje, nowe podejście do różnych sytuacji. Czy jednak było ono lepsze? To się jeszcze miało okazać.

- Nie o to chodzi. Po prostu... - Zamilkł, nagle dostrzegając w przesłanej liście coś bardzo ciekawego.

Psycholog wytypował trzech mężczyzn, lecz Foks nie miał pewności, czy dobrze trafił. Oczywiście nie do niego należało ostatnie słowo; to komisarz, jako prowadzący śledztwo, wraz z naczelnikiem i prokurator podejmowali ostateczne decyzje. Dlatego teraz wolał stawiać na własne przeczucia.

– W czym problem? – spytał Radecki, gdy Foks milczał chwilę, jedynie wpatrując się w listę.

Śnieg zasypał już przednią szybę samochodu i zrobiło się o wiele zimniej. Komisarz odpalił silnik, rozgrzał go delikatnie i uruchomił wycieraczkę, żeby przypadkiem nie stali się kolejną śnieżną zaspą.

– W tym, że wytypowane przez Lewczuka osoby średnio pasują do naszej ofiary – odpowiedział. – W ostatnim czasie zaginęło wielu mężczyzn w tym wieku, według niego pasują nam do profilu taksówkarz z Wilanowa, pracownik Domu Pomocy Społecznej ze Starej Ochoty i bezrobotny z okolic miejsca zbrodni, którego od dwóch tygodni nie ma w domu.

– Ten ostatni pasowałby do motywu jako przypadkowa ofiara – zauważył Radecki. – Której nikt najprawdopodobniej by nie szukał. A na pewno nie nazbyt intensywnie.

– Każdy z nich przede wszystkim przypomina naszą ofiarę, bez względu na motyw. Cała czwórka nie ma znaków szczególnych, reszta mężczyzn z listy ma tatuaże, wyraźne pieprzyki bądź blizny. W przypadku ofiary i trzech zaginionych nie ma żadnego punktu zaczepienia.

– Ale czy na pewno z ofiarą jest tak samo? – zastanowił się na głos Radecki.

– No właśnie...

Obaj wiedzieli, że cięcie na klatce piersiowej ofiary było nieprecyzyjne i nieregularne, tak jakby ktoś wykonując je, specjalnie wyciął „kłopotliwe” fragmenty skóry między mostkiem a genitaliami. Patologowi trudno było połączyć prawą i lewą stronę. Może z powodu odkształcenia się skóry na skutek jej rozciągania i zamrożenia, może dlatego, że jej część odrzucono.

Foks cały czas zastanawiał się, gdzie morderca mógł oprawić swoją ofiarę, a potem zostawić na długie godziny w oczekiwaniu na jej zamrożenie. Bez wątpliwości ciało było narażone na bezpośredni mróz i śnieg. Patolog potwierdził, że znajdowało się w bardzo niskiej temperaturze, takiej, jaka utrzymywała się przez ostatnie dni. Z pewnością więc morderca miał do dyspozycji miejsce odcięte od światła i wzroku postronnych osób.

W jaki jednak sposób mógł tam zaciągnąć swoją ofiarę? Bezrobotnego mógł skusić pracą, taksówkarza napiwkami za wniesienie do domu czegoś ciężkiego, a pielęgniarza pytaniem o kogoś chorego.

Pod tym względem każda osoba mogła pasować. Cała trójka zaginęła też około tygodnia temu, a właśnie takich osób szukano. Morderstwo nie było świeżą sprawą, to nie ulegało wątpliwości. Patolog potwierdził już, że mimo niskiej temperatury ciało nosiło ślady rozkładu. Niewielkie, ale jednak. Proces gnilny rozpoczął się, zanim wszystko doszczętnie zamarzło. Sam stan zmrożonych członków wskazywał na to, że morderca długo czekał, aż jego dzieło będzie gotowe do „wyeksponowania”.

– Musiał sobie przygotować coś na wzór uchwytu do operowania marionetkami. Może zrobił krzyżak, do którego przymocował linki, i na nim ukształtował ciało i skórę? – powiedział wcześniej do Radeckiego, Gajewskiego i prokurator Kowalczyk, gdy siedzieli razem nad materiałami.

– Myślisz, że bawił się ciałem jak lalką? – spytała Kowalczyk, a jej mina zdradzała, że jeśli odpowie twierdząco, to wybuchnie mu śmiechem prosto w twarz.

– Oczywiście, że nie. Musiałby być gigantem, żeby obsługiwać taką dużą i ciężką marionetkę. Chodzi raczej o to, że w ten sposób nadał jej ostateczny kształt.

– Co na to patolog?

- Przyznał, że ułożenie ciała rzeczywiście może to potwierdzać - odparł.

- Na ciele zostały ślady po jakichś linkach czy haczykach? - spytał trzeźwo naczelnik.

- Sęk w tym, że nie - mruknął w odpowiedzi Foks. Ta kwestia sprawiała mu największy problem. Gdyby teoria z marionetką okazała się słuszna, przynajmniej na dwóch płatach skóry dałoby się dostrzec wklucia, dziurki, przez które sprawca przeplótłby linkę. Tymczasem patolog niczego takiego nie znalazł.

- No to szukaj dalej - rzuciła z ironią Kowalczyk, która uwielbiała torpedować wszystkie jego teorie, chociaż sama zwykle nie miała zbyt wielu własnych. Jedynie siedziała w czarnej spódniczce, z nogą założoną na nogę, i słuchała, od czasu do czasu wydymając swoje duże, pomalowane na czerwono usta. Nie inaczej było tym razem, gdy wspólnie szukali odpowiedzi na nurtujące ich pytania, a Kowalczyk tylko wypinała swoje duże piersi i co rusz odpisywała na wiadomości lub po cichu odbierała telefony. Rzadko kiedy spotykali się wszyscy razem, za co Foks dziękował losowi, ale nawet wtedy nie oddawała się w pełni sprawie, nad którą przecież razem pracowali. Oczywiście pojawiała się zawsze, gdy była potrzebna, szczególnie podczas ujawniania zwłok czy ważnych dowodów, ale nie była skora do przekraczania progu gabinetu Gajewskiego, a tym bardziej Foksa.

Tymczasem nie zaglądała mu przez ramię i nie kontrolowała tego, co robi, ale ciasne wnętrze samochodu, w którym przyszło mu siedzieć, i sypiący bez przerwy śnieg przytłaczały go podobnie jak ta kobieta.

- Tak czy inaczej, trzeba ich sprawdzić - powiedział Radecki. - Nie wiem tylko, kiedy się to uda zrobić. Objechanie w taką pogodę rodzin zaginionych może graniczyć z cudem. *Kto byłby najbliżej?* - spytał samego siebie, po czym sprawdził adresy. Najbliżej znajdowało się mieszkanie pielęgniarki, w którym powinna być jego żona. Mogła też siedzieć w pracy, ale Foks domyślał się, że była na zwolnieniu. Pracowała z mężem w tym samym miejscu i z pewnością nie chciała tam bez niego wracać.

- Sprawdzisz ją? - spytał Radeckiego. - Myślę, że lepiej stąd wyjść i działać, niż czekać na cud.

- Ty do kogo pójdziesz?
- Na pewno do nikogo z tej trójki.
- Dlaczego?

Foks chciałby odpowiedzieć jakoś konkretnie, lecz nie wiedział, jak ubrać w słowa to, co zauważył.

Na liście znajdowało się nazwisko osoby, o której w zasadzie nie było nic wiadomo. Żadnej rodziny, dokładnego adresu zamieszkania, tylko miejsce zarejestrowania firmy, której właścicielem był wymieniony z imienia i nazwiska mężczyzna. Brakowało też zdjęcia. Nie dostarczono go podczas zgłoszenia zaginięcia. Jego nieobecność w pracy na drugi dzień zgłosili pracownicy, którzy potrzebowali dyspozycji, ale nie mogli skontaktować się z szefem. Nie wiedzieli, gdzie mieszka, nie mieli pojęcia, czy ma żonę lub jakąkolwiek rodzinę. A przynajmniej tak się wydawało Foksovi, bo gdyby cokolwiek wiedzieli, policja zostałaby o tym najpewniej poinformowana. Tymczasem właściciel dużej firmy pozostawał anonimowy, jego ludzie stracili pracę, a biuro zapewne zostało już dawno rozkradzione.

– Czemu sądzisz, że to on mógł być ofiarą? – spytał Radecki, gdy Foks podzielił się z nim swoimi podejrzeniami.

– Ten facet jako jedyny odstaje od całej listy. Każdy jest... jakiś – powiedział, nie mogąc znaleźć lepszego określenia. – W tym przypadku coś śmierdzi. Psycholog twierdzi, że mordercę z ofiarą coś łączyło. Jakaś emocjonalna więź, przez którą tamten chciał dokonać zbrodni aż tak brutalnej i niecodziennej. Ofiara musiała zająć mu za skórę. Oczywiście nie twierdzę, że została zabita na własne życzenie, ale miała jakieś zatargi z mordercą. Zatargi, które są powiązane z miejscem zbrodni i przystankiem metra. Jakkolwiek to absurdalne się na razie wydaje.

– Ale czemu akurat on?

– Tego właśnie mam zamiar się dowiedzieć – odparł, po czym wysiadł z samochodu. Sprawdził już dokładną trasę. Miał przed sobą jakieś

czterdzieści minut marszu na północny wschód, a Radecki zaledwie kilkanaście.

- Daj znać, jak porozmawiasz z rodziną pierwszego zaginionego - powiedział Foks i oddalił się bez czekania na odpowiedź.

Praktycznie całe miasto stało lub poruszało się w żółwym tempie. Nawet pługopiaskarki miały problem z pokonywaniem coraz większych zasp, które tworzył wiatr. Ten zawiewał śnieg nawet na poruszające się powoli samochody, obklejał koła, okna.

Komisarz czuł się jak bohater filmu *Cube*. Wszędzie wokół widać było tylko zlewające się z tłem białe bryły budynków, gdzieśgdzie poprzecinane czernią stali, szarością betonu bądź brązem sypiących się, ceglanych kamienic. Na ulicach ciągnęły się rzędy zasypanych pojazdów, między którymi wiatr przesuwiał coraz to większe zasy śniegu. Ludzie stawali się nieregularni, czasem trudno było ich odróżnić od przysłoniętych puchem koszy na śmieci, krzewów rosnących przy drodze czy stojących w oddali słupów ogłoszeniowych. Ulice przeobraziły się w płataninę bez końca, a choć każdy uparcie szukał wyjścia z tego labiryntu, zdawało się, że jego odnalezienie graniczy z cudem. Foks wcale by się nie zdziwił, gdyby nagle któraś ulica skończyła się pustką, bezkresną przestrzenią, gdzie lewitowaliby bez celu ci, którzy przez naciągnięty na głowę kaptur nie zauważyli przepaści. Śnieg zasypał witryny, znaki, trudno było odczytać nazwy ulic czy sklepów. W tym momencie Foksa prowadziła już wyłącznie intuicja.

- Świat się kończy - powiedział stojący pod wiatą przystanku autobusowego mężczyzna. Miał pięćdziesiąt, może sześćdziesiąt lat, długie siwe włosy wystające spod czapki i wypłowiałą brodę. Po minach jego przypadkowych towarzyszy widać było, że od dłuższego już czasu raczy ich podobnymi kwestiami, co w obliczu przytłaczającej pogody nawet nie było śmieszne. - Piekło zamarza, a na nas zamiast deszczu ognia został zesłany wieczny mróz. Już niedługo...

Foks nie dosłyszał, co jeszcze mówił mężczyzna, ale już nie raz w ostatnich dniach ktoś wypowiadał podobne słowa. Pogoda nie bez powodu przerażała, ludzie dopowiadali więc sobie różne teorie. Oczywiście najbardziej popularne dotyczyły apokalipsy, boskiego gniewu, który został zesłany na grzeszną ludzkość. Podobne przekonania szybko

przedostały się do świata polityki. Prawica grzmiała, że grzechy społeczeństwa sprowadziły na Polskę kataklizm, natomiast druga strona krzyczała, że zło wyrządzone przez partię rządzącą doprowadziło do tego, że sam świat postanowił doprowadzić do jej anihilacji. Społeczeństwo chętnie podjęło dyskusję, dlatego media raz po raz zalewał coraz bardziej absurdalny polityczny bełkot.

Śnieżycą z jednej strony została uznana za karę, a z drugiej za zapowiedź czystki. Jednak jej ofiarami stawały się osoby zupełnie przypadkowe. W swoich pozbawionych ogrzewania domach, na ulicach. Bezdomni nie mieli gdzie się skryć, pijacy znieczulali się alkoholem i jakby świadomie oddawali swoje ciała w objęcia mrozu.

Minął kolejne zasypane skrzyżowanie. Nawet nie musiał przejmować się światłami, nie było szans wpaść pod jakikolwiek samochód. Co najwyżej wpadało się na przechodniów, którzy przemierzali chodniki na ślepo, ale na szczęście nie było ich wielu. Kto tylko mógł, ten nigdzie nie wychodził.

Foks brnął przez coraz większe zaspę, aż w końcu dotarł do celu. Opadł już zupełnie z sił. Miałby ochotę złapać taksówkę, gdy w końcu doszedł do miejsca, gdzie nie tworzyły się już korki, ale w tych zaspach żadna podróż nie trwałaby zbyt długo. Zrobił dwa razy przystanek na papierosa, który co prawda gasł od wiatru i śniegu, ale mimo to Foks wyciągnął z niego maksimum przyjemności. Miał wielką ochotę wejść do sklepu po chociaż małą butelkę rozgrzewającego alkoholu, ale ostatecznie się przed tym powstrzymał. Jeśli miał zamiar z kimś rozmawiać, to nie mógł śmierdzieć whisky.

Gdy jednak pojawił się w miejscu pracy zaginionego mężczyzny, okazało się, że odór alkoholu i papierosów bijący od komisarza nie zrobiły na nikim najmniejszego wrażenia.

Marcin Drelich, pięćdziesięcioletni przedsiębiorca, posiadał na granicy Nowego Miasta i Starego Żoliborza dużych rozmiarów plac pełniący w tym momencie funkcję płatnego parkingu. W jego środku znajdował się spory budynek przypominający hangar czy magazyn. Wysoki i zaniedbany,

będący wiatą dla większych pojazdów, które Drelich wynajmował najróżniejszym firmom.

Podczas przerw na papierosa Foks po łebkach przeczytał, czym zajmował się Drelich. Jego ojciec wykupił niegdyś plac należący do firmy przewozowej, która ogłosiła upadłość. Założył komis samochodów używanych, który potem został przez jego syna przekształcony w parking. Otworzył firmę wynajmującą najróżniejsze pojazdy, które, jak domyślał się Foks, jego ojciec za życia próbował sprzedać. Teraz już jego flota była w miarę nowoczesna, lecz na stronie internetowej dało się wyłowić spośród kilku busów i ciągników siodłowych także dwa stare mercedesy sprintery, obecne na drogach od przynajmniej dwudziestu lat.

Drelich prowadził interesy z kilkoma małymi firmami, które dopiero się rozwijały i potrzebowały floty, na którą jeszcze nie mogły sobie pozwolić. Albo nie chciały, wiedząc, że mogą bez problemów wypożyczać środki transportu.

Problem pojawił się dopiero teraz, gdy facet, z którym podpisali umowy, zniknął.

– Pan do kogo? – spytał na wejściu ochroniarz. Siedział w małej budce przy szlabanie, miał w środku piecyk gazowy, ale ten musiał ledwo dawać sobie radę, bo mężczyzna założył puchową kurtkę, na którą dodatkowo narzucił gruby koc. Z jego budki powstało swoiste igloo; jedynie ścianka od frontu, ta najbliższej piecyka, była odśnieżona na wysokości oczu.

Foks skostniałymi palcami pokazał mu odznakę.

– Ja w sprawie Marcina Drelicha.

Mężczyzna pokiwał poważnie głową, ale nic nie odpowiedział, jakby zastanawiał się, co właściwie może to znaczyć.

– Wiadomo już coś? – spytał w końcu ochroniarz, przybliżając się do szyby. Od razu utworzyły się na niej białe smugi, które po chwili zaczęły zamarzać.

– Nie do końca – odparł Foks. – Dopiero się rozglądam.

– To samo mówiliście już kilka dni temu – powiedział niepocieszonym głosem.

– Ja jestem z innej ekipy. I z nieco innego powodu, nie zajmuję się bezpośrednio zaginięciem.

– W takim razie jak mogę pomóc?

– Zmieściłbym się tam u pana na chwilę? – spytał, pełen nadziei.

– Jasne, zapraszam.

Ochroniarz zrobił dwa kroki w bok, bo tylko na tyle pozwalała mu mała budka, i z całej siły pchnął barkiem drzwi. Dopiero przy trzeciej próbie śnieg odpuścił. Drzwi stanęły otworem, wpuszczając do środka nie tylko zimno, ale też kłęby kotłującego się śniegu.

Foks szybko schował się w budce i aż mu było głupio, bo całe ciepło, które ochroniarz zapewne kumulował tu od rana, w jednej chwili się ulotniło.

– Nic nie szkodzi – powiedział, widząc skrzywioną minę komisarza. Zaraz potem wyjął papierosa i z uwielbieniem wymalowanym na twarzy podpałił go. – Szczerze powiedziawszy, tylko czekałem na taki moment. Nie paliłem już dobre dwie godziny, nie chciałem się tu udusić od dymu.

– Mogę też zapalić?

– Ależ oczywiście – odparł ochroniarz, który, zdawało się, czekał nie tylko na moment podpalenia papierosa, ale też na jakiegokolwiek towarzystwo. Foks domyślał się, że od dawna nikt się tu nie pojawiał. Śnieg zasypał pobliską drogę, Foks brodził w zaspach niczym w sadzawce. Teraz czuł, jak bardzo przemiękły mu buty, dlatego stanął tuż obok grzejnika i starał się nie trząść z zimna.

Ochroniarz wyjął do połowy wypitą butelkę taniej whisky i nalał płynu w dwa plastikowe kubki. Foksowi zdawało się, że mężczyzna z pewnością używa ich wielokrotnie, co dało się dostrzec po zagnieceniach na bokach, ale w tym momencie nie miało to dla niego żadnego znaczenia.

– No to za tych, którzy już niestety nie mogą się napić. – Foks wznosił toast, gdy dostał jeden z kubków, i jednym haustem go opróżnił. Miał nadzieję na więcej, chociaż trunek był zdecydowanie słabej jakości, ale mimo to przyjemnie rozgrzewał przęłyk. – Dziękuję bardzo – powiedział, gdy otrzymał dolewkę. – Tego właśnie było mi trzeba.

– Z pewnością – odparł ochroniarz, który pił wolniej. – Domyślam się, że dostał się pan tu pieszo. A przynajmniej w tę okolicę.

– Samochód zostawiłem na Nowym Mieście – przyznał bez ogródek. – Nie było innego wyjścia.

– Nie wątpię. Tylko po co aż tak bardzo się pan męczył? – spytał, przechodząc w końcu do właściwego tematu.

– Zaintrygowało mnie zaginięcie pańskiego pracodawcy. W zasadzie ciekaw jestem, czemu wciąż pan tu siedzi, skoro go nie ma.

– Mam zapłacone, to i siedzę – odparł i jakby na poparcie swoich słów spoczął z powrotem na rozklekotanym krześle. – Mimo wszystko co jakiś czas ktoś się tu pojawia. Parking żyje swoim życiem, ludzie mają wykupione abonamenty. Nie sprzedają co prawda nowych, ale niektóre to i do końca roku będą jeszcze ważne.

– Coś mi się wydaje, że właściciele części samochodów srogo się rozczarują.

– A co, znaleźliście go? Znaczą się Drelicha.

– Trudno powiedzieć. Co dzień znajdujemy jakieś ciała, więc na razie prowadzimy jedynie, że tak powiem, badania porównawcze.

Ochroniarz skrzywił się. Miał na myśli znalezienie pracodawcy żywego, co najwyżej zalanego w trupa.

– Czyli jest ciało, które może być jego? – dopytywał z zaniepokojoną miną.

– Tak podejrzewamy. Trudno na razie coś jednoznacznie stwierdzić, tym bardziej że zaginięcie Drelicha jest dość tajemnicze.

– A to racja.

– Co pan wie o tej sytuacji?

Wzruszył ramionami.

– W sumie to nic. Po prostu szef nagle przestał pojawiać się w pracy.

– Zwykle bywał tu codziennie?

– Tak, całymi dniami, czasem i nocami siedział w swoim biurze. Nie miał chyba normalnego życia. Wydaje mi się, że po śmierci ojca, który tu wcześniej urzędował, został sam. Może i miał jakąś żonę i dzieci, ale nikt

o tym nie wiedział. Z nikim nie rozmawiał na ten temat, z nikim też się tutaj nie pojawiał.

– Nikt nic nie wie o jego życiu prywatnym? Gdzie mieszka albo z kim się widywał na co dzień?

– Ano nie – odparł krótko parkingowy i dopił whisky. Szybko też wypalił papierosa, dlatego chętnie sięgnął po kolejnego. Śnieg dobrze uszczelnił budkę, bo dym nigdzie nie ulatywał. W środku zrobiło się już szaro, lecz ochroniarz wiedział, że lada moment komisarz będzie chciał wyjść, a wtedy pomieszczenie znów się przewietrzy. – Nawet bym się nie zdziwił, gdyby się okazało, że on tak naprawdę tutaj mieszkał, a wyjeżdżał tylko załatwiać jakieś sprawy.

– Trzymał tu prywatne rzeczy?

– A bo to jedną. Możemy tam wejść.

– Szczerze przyznam, że nie chce mi się stąd wychodzić, całkiem tu przytulnie. – Komisarz się zaśmiał. – Ale gdyby to nie był problem, to warto byłoby jednak przejść się do jego biura.

– Żaden problem. Zamarznąć tu czy tam, co za różnica?

Foks skrzywił się, dopił whisky i zgniótł peta w przepelnionej popielniczce, za którą robiła obcięta do połowy puszka po jakimś mocnym piwie. Wszedł za ochroniarzem, który wyłączył grzejnik, zrzucił z siebie koc i naciągnął na głowę czapkę.

Foks był niemal pewny, że znalazł się w odpowiednim miejscu, musiał tylko rozstrzygnąć, po której stronie barykady znajdował się Marcin Drelich.

Biegiem rzucili się w stronę hangaru. Whisky nieco zaszumiała komisarzowi w głowie. Nie wypił jej zbyt wiele, ale po długim marszu był głodny i zmęczony, dlatego ta odrobina alkoholu mocno na niego podziałała. Ślizgał się na oblodzonych betonowych płytach, którymi wyłożony był plac. Śnieg przesuwiał się po nich swobodnie, żeby osiąść dopiero na ogrodzeniu i stojących w pobliżu samochodach.

Szybko dotarli do budynku. Obok szerokiej, stalowej bramy znajdowały się drzwi prowadzące do biura Drelicha. Po ich przekroczeniu wchodziło się do wąskiego korytarza stanowiącego coś na wzór poczekalni. Stały tam dwa krzesła, powoli umierała wysoka juka i kurzyły się stare czasopisma. Drelich najwyraźniej spodziewał się jakichś oczekujących, chociaż trudno było sobie ich wyobrazić w takim miejscu.

Za korytarzem znajdowały się drzwi prowadzące bezpośrednio do gabinetu.

– Jeśli pan chce, to może wrócić na swoje stanowisko pracy – powiedział Foks, gdy weszli do środka. Nie chciał przeszkadzać parkingowemu w wykonywaniu obowiązków.

– Nie sędzę, żeby teraz ktokolwiek się tu dobijał. Poza tym nie ma też nikogo, kto mógłby mnie zwolnić.

– To racja – przyznał policjant, choć domyślał się, że w tym wypadku zwyciężyła ciekawość ochroniarza, który chciał obserwować poczynania komisarza. Może też chciał mieć go na oku, żeby nie poczuł się zbyt swobodnie, a oględziny miały obiektywnego świadka. Jeśli tak właśnie było, to Foks był pełen podziwu, bo zwykle nikt o to nie dbał. – Opowie mi pan o Drelichu?

– A co pana najbardziej interesuje?

– W zasadzie to wszystko.

– W sumie nie ma co dużo opowiadać. Facet był zamknięty w sobie. Prowadził porządnie interesy i nie wdawał się w zasadzie z nikim w żadne znajomości. Nawet głupie rozmowy przy papierosie były dla niego czymś nieciekawym.

– Bywał tu tak często i z nikim nie gadał?

– Ano tak. Siedział u siebie, nauczył już wszystkich, żeby przychodzili wyłącznie w ważnych sprawach, załatwiali je szybko, bez zbędnego pierdolenia. Za przeproszeniem – dodał po chwili. – Taki już był.

Foks pokiwał poważnie głową, choć nie do końca słuchał ochroniarza. Skupił się na dokumentach, które leżały na blacie biurka. Pominął zmięte ubrania spoczywające na podartym fotelu z podnóżkiem, gdzie zapewne Drelich często sypiał w pozycji półleżącej.

– Ktoś ruszał jego rzeczy?

– Nie, jak wezwaliśmy policję, to polecili, żeby wszystko zostało na swoim miejscu, bo to może pomóc w jego odnalezieniu.

– A oni coś stąd zabrali?

– Nie wydaje mi się. Trochę powęszyli, przejrzelili komputer, ale widać było, że nie wiedzą, na co patrzą, więc w niczym im to pomóc nie mogło. Sam też niewiele dałem radę odpowiedzieć, ja tu tylko pilnuję. A poza mną i kierowcami trudno o jakiegokolwiek specjalistę. Znaleźli kontakt do księgowej, ale nie wiem, czy się z nią rozmówili. Ten policjant mówił, że przyślą tu później kogoś, ale chyba nikomu się nie spieszyło. Poza panem, jak widzę.

Foks przeglądał po kolei dokumenty, ale na biurku nie pozostawiono niczego ciekawego. Włączył komputer, lecz ten groził zawieszeniem się przy najmniejszym ruchu myszką. Foks musiał chwilę poczekać, aż wszystko się załaduje, i dopiero wtedy mógł zacząć szukać dalej.

– Wiadomo, nad czym w ostatnim czasie pracował Drelich?

– Ja wiem... – Ochroniarz zastanawiał się kilka sekund. – Przez ostatni rok nic tu się nowego ani tym bardziej ciekawego nie działo. Stali bywalcy wynajmują miejsca parkingowe, trzy firmy korzystają z samochodów Drelicha.

– Parking obok Nowego Dworu Mazowieckiego, oferujący transfer na lotnisko, mała sieć piekarni oraz sieć sklepów mięsnych.

– Jest jeszcze kwaciarnia, ale z tego, co mi wiadomo, to umów na wynajem się tu raczej nie znajdzie.

– A jakiś kontakt chociaż? Co to za kwaciarnia? – zainteresował się.

– Jakaś ze Śródmieścia. Stara znajoma Drelicha. Kilka razy się tutaj pojawiła, widziałem, jak gadają.

– Czyli jednak miał znajomych – odparł i dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że nie powinien używać formy przeszłej. – Samochód jest teraz u niej?

– Tak.

– Który to model?

– Sprinter. Z dwutysięcznego roku bodajże. Domyślam się, że na koncie nie będzie żadnych przelewów. Jeśli już, to dawała mu kasę do ręki, chociaż coś mi się wydaje, że wynajmował jej tego staruszka po prostu za ładny uśmiech.

Foks próbował znaleźć w dokumentach jakąkolwiek wzmiankę o kwaciarni, lecz nic takiego nie znajdowało się ani w komputerze, ani na blacie biurka. Pod okiem ochroniarza przejrzał wszystkie szuflady, znalazł kluczyki i dowody rejestracyjne kilku pojazdów. W jednej szufladzie trafił na tegoroczne faktury. Na wierzchu leżała najnowsza, dotycząca wynajmu dwóch samochodów dostawczych z chłodniami.

– Czy mi się wydaje, czy Drelich posiadał trzy tego typu pojazdy? – spytał ochroniarza, pokazując mu fakturę.

– Owszem – przyznał ten, choć jakby nieco niechętnie.

– Czy w takim razie jeden z nich znajduje się tutaj?

Ochroniarz wzruszył ramionami. Widać było, że nie chce odpowiadać na to pytanie. Foks wstał więc i wyszedł przez drzwi prowadzące do hali. Nawet się nie zdziwił, gdy nie zobaczył tam wspomnianego pojazdu.

Obejrzał się na ochroniarza, ale ten nagle wyszedł z biura, wpuszczając do środka kotłujące się płatki śniegu.

Foks jeszcze kilka minut rozglądał się zarówno po hali, jak i po gabinecie Drelicha, lecz w końcu musiał wyjść. Jedyna wartościowa rzecz, jaką znalazł, to faktury oraz spis tablic rejestracyjnych pojazdów, jakie posiadał właściciel parkingu. Był wśród nich także numer tego, który najwyraźniej zniknął niepostrzeżenie z parkingu. Od razu przesłał go do sprawdzenia w bazie. Możliwe, że z jego udziałem doszło do jakiegoś incydentu.

– Czy może Drelich sam używał tego samochodu? – spytał ochroniarza, tym razem już bez wchodzenia do jego budki. Teraz musieli rozmawiać głośniej, żeby przekrzyczeć wiatr i przebić się przed smaganą śniegiem szybę.

– Nie wiem – uciał krótko. Jego mina podpowiadała, że najwyraźniej obraził się na Foksa. Było to o tyle absurdalne, że przecież komisarz nie zrobił niczego, za co mężczyzna mógłby mieć do niego jakiegokolwiek pretensje.

Poruszyło go wspomnienie o samochodzie. Albo widział, kto nim odjeżdżał z parkingu, albo sam miał udział w jego zniknięciu.

– A widział pan, kto z niego korzystał?

Pokręcił przecząco głową.

– Czy ktoś poza panem pilnuje jeszcze parkingu?

Zawahał się, jakby próbował przewidzieć, jaka odpowiedź będzie dla niego najlepsza. Ostatecznie tylko przecząco pokręcił głową. Zapewne nie przyszło mu na myśl żadne nazwisko, które mógłby wymienić bez konsekwencji.

- Nie, parking jest zamykany na noc, a osoby posiadające abonament mają pilota do bramy.

- Czyli nocą mógł tu wejść każdy?

- Na parking tak - odparł po chwili zastanowienia.

- A kto posiada klucze do budynku? Oczywiście poza samym właścicielem.

Mężczyzna się skrzywił.

- Ja.

Foks pokiwał poważnie głową.

- Czy na pewno nie ma niczego, o czym chciałby mi pan powiedzieć, zanim zostanie wezwany na oficjalne przesłuchanie?

Ochroniarz nagle zadrżał. Foks wziął go wcześniej za porządnego gościa, ale okazywało się, że nie był taki, na jakiego wyglądał.

- Nie mam nic do powiedzenia. Ani teraz, ani na jakimś przesłuchaniu. Powiedziałem wszystko, co wiedziałem na temat zaginięcia Drelicha.

- Ale w tym momencie nie chodzi tylko o niego. A przynajmniej nie w kontekście samego zaginięcia.

- Więc w kontekście czego?

- Wydaje mi się, że zaginiony samochód może być kluczem do sprawy zupełnie innej, o wiele poważniejszej. Tyle na razie mogę powiedzieć, lecz jeśli nie chce pan wpaść w prawdziwe kłopoty, to proszę mi od razu powiedzieć, co pan wie, a wtedy z pewnością będzie pan mógł spać spokojniej.

- Naprawdę sądzi pan, że ktokolwiek może teraz spać spokojnie?

Choć te słowa padły jak gdyby nigdy nic, zabrzmiały dość intrygująco w kontekście zbrodni, nad którą pracował Foks.

- Co ma pan na myśli?

- To - odparł i wskazał na niebo. - Szykuje się coś naprawdę poważnego. Poważnego i niedobrego.

- Bo pada śnieg? - zdziwił się Foks.

- Gdyby tylko o śnieg chodziło, to nie byłoby problemu.

- Więc o co jeszcze chodzi?

Ochroniarz pokręcił głową, zdegustowany. Gest ten mógłby wykonać nauczyciel niezadowolony z odpowiedzi ucznia. Tak też teraz wyglądał ochroniarz – jakby czuł się od Foksa w jakiś sposób lepszy, bo wiedział coś, o czym nie wiedział komisarz, będący teraz niczym niewierny stojący przed obliczem kogoś, komu została objawiona najwyższa prawda.

– Przekona się pan – powiedział niemal szeptem.

– Co z samochodem? – Foks wrócił do przerwane go wątku. Poprawił kołnierz płaszcza, za który wpadał śnieg, wywołując tym samym nieprzyjemne dreszcze na plecach i ramionach. Czuł przeszywającą zimno. Mięśnie mu już nieco odpoczęły, a ciepło budki i osłonięte przed wiatrem wnętrze garażu sprawiły, że ciało zaczęło się wyziębiać. – Gdzie on się, według pana, podział?

– Nie mam zielonego pojęcia.

– Przecież musiał pan widzieć moment, w którym wyjeżdżał z garażu.

– Chyba że Drelich wyprowadził go nocą.

Słuszna uwaga, pomyślał Foks. Słuszna i szybko wypowiedziana. Logiczna, ale mina ochroniarza zdradzała, że tylko czekał, aż będzie mógł ją wygłosić. Aż za bardzo chciał kryć samego siebie.

– Skąd pomyśl, że pana szef wyprowadzał nocą samochody?

– Żaden pomysł, wydaje mi się, że... – Odchrząknął, dając sobie tym samym czas na wyjaśnienia. – Wydaje mi się, że nie ma innej możliwości.

– Czyli Drelich prowadził jakieś lewe interesy, które uskutecznił, gdy pana nie było w pobliżu?

– Gdyby tak robił, to bym o nich i tak nie wiedział.

– A jednak sądzi pan, że to jedyna możliwość.

Przez chwilę tylko mierzyli się spojrzeniami.

– Ja tam nic nie wiem.

– Ależ oczywiście. – Foks chciał zabrzmieć ironicznie, lecz zmarznięte usta i spięta od mrozu postawa nie do końca mu na to pozwoliły. – To jak, powie mi pan o nich teraz czy przyjemniej będzie jutro o szóstej rano na komendzie?

Ochroniarz sięgnął po papierosa i złapał go zębami tak mocno, że aż przegryzł filtr.

– Sprawdziłem numery wszystkich wypożyczonych przez Drelicha pojazdów – powiedział aspirant Orłowski, z którym Foks skontaktował się, gdy jeszcze był w garażu zaginionego. – Z żadnym nie ma problemu, wszystkie pozostają w tym momencie w użyciu zgodnie z zawartymi umowami. Drelich zaginał, ale tym, którzy wypożyczyli od niego samochody, nie może to przeszkadzać.

– Doskonale to rozumiem – odparł Foks. – Ze względu na zaginięcie nie przestaną przecież korzystać ze sprzętu, za który zapłacili.

– Nie da się jednak zlokalizować trzeciego samochodu chłodni. Firma, która wypożyczała dwa inne, potwierdziła, że nigdy nie brali trzeciego. Z umów wynika, że ostatni raz w użyciu był rok temu.

– Kto go wypożyczył?

– Mały sklep spożywczy z Bielan. Podobno od razu go odstawili, gdy tylko umowa wygasła. Potem samochód miał stać w garażu nieużywany.

– A jednak od dawna go tam nie ma – mruknął posępnie Foks. Obszedł cały teren parkingu, nigdzie nie było śladu ani Drelicha, ani zaginionego samochodu. Oczywiście nie sądził, żeby ten ukrył gdzieś pojazd, ale miał nadzieję na dostrzeżenie jakiegokolwiek śladu, który mógł mu wcześniej umknąć. Możliwe, że gdzieś tam na terenie parkingu można byłoby coś ciekawego odnaleźć, lecz najpierw należałoby go odszukać albo poczekać na odwilż. – Wydadź dyspozycje do wypatrywania pojazdu o tych numerach. Jeśli tylko przejedzie obok jakiegoś patrolu, chcę od razu o tym wiedzieć. Poza tym niech ktoś sprawdzi ten sklep i zobaczy, czy na pewno pojazdu wciąż tam nie ma.

– Tak jest! – odparł ochoczo aspirant i się rozłączył.

Foks tymczasem stanął przed zapleczem masarni, do której dopiero niedawno dotarł inny samochód chłodnia Drelicha, wypożyczony przez lokalną sieć sklepów spożywczych. Od godziny drogi były o wiele bardziej przejezdne. Sypało niemal cały czas tak samo mocno, pogoda nie odpuszczała, lecz pługi w końcu zaczęły spełniać swoje zadanie. Piasek i sól posypane w ilościach, jakich drogi od wielu zim już nie widziały, jak na razie dawały radę i ulice powoli stawały się przejezdne.

Foks chciał zadzwonić po taksówkę, ale musiałby czekać na nią jakieś pół godziny. Patrolu nie miał co wzywać, w taką pogodę każdy miał pełne ręce roboty. Stłuczek nie brakowało, niemal na każdym większym skrzyżowaniu doszło do bliskiego spotkania przynajmniej dwóch samochodów, dlatego nie mógł nikogo odciągnąć od pracy.

Radecki także nie próżnował. Przepytywał rodziny zaginionych, lecz na razie tylko zbierał dane i zdawało się, że nie trafił jeszcze na nic ciekawego.

– Wszyscy wydają się pasować do naszej ofiary, ale nikt nie ma w swojej historii niczego, co pozwoliłoby nam jednoznacznie stwierdzić, że to właśnie on.

– Wszyscy widzieli zdjęcia?

– Tak, na koniec każdy się przyjrzał, ale nikt nie mógł powiedzieć, czy zna ofiarę. Miałem nadzieję, że niedługo będziemy mogli skierować do laboratorium materiał porównawczy, ale na razie nic z tego. Trzeba jeszcze wszystko uzgodnić z psychologiem i naczelnikiem.

– Racja, nie możemy sobie pozwolić na strzały w ciemno – odparł Foks, który doskonale wiedział, że nie było funduszy na to, żeby sprawdzać w ten sposób każdego. Musieli mieć pewność w przynajmniej osiemdziesięciu procentach. Albo chociaż słuszne podejrzenia niepoparte twardymi dowodami. Te bywały o wiele ważniejsze. Sprawy, nad którymi się pochylali, często były abstrakcyjne, czasem nielogiczne lub wręcz głupie, a rozwiązania przynosiły niekiedy przypadkowe podejrzenia bądź tropy, których w normalnej sytuacji nikt nawet nie brałby pod uwagę.

Tak było z Marcinem Drelichem. Foks jeszcze nie poinformował naczelnika, na co wpadł. Nawet jeśli to nie Drelich był ich ofiarą, to jego zaginięcie było dość niecodzienne. Foks zdawał sobie sprawę, że w tym

momencie nie ma czasu na poboczne wątki, liczył po prostu, że jego intuicja go nie zawodzi.

- To ten? - spytał kierowcy, który obsługiwał jeden z dwóch samochodów chłodni Drelicha.

Mężczyzna skinął głową.

- Drugi stoi tam. - Wskazał na załadowany samochód, do którego właściciel sklepu zabronił mu zaglądać. Zdażył tu dotrzeć, zanim ulice stały się w pełni nieprzejezdne, ale z załadunkiem czekano na dalszą poprawę pogody. Sieć sklepów miała więc zostać zaopatrzona z dużym opóźnieniem, a Foks był przekonany, że ekspedientki w dziale mięsnym już dziś nie raz próbowały uspokoić awanturujących się klientów, którzy nie rozumieli, że nikt, a tym bardziej one, nie miał wpływu na pogodę, przez którą do ich sklepu nie dotarły niektóre produkty.

Foks sprawdził numery rejestracyjne i vin obu pojazdów. Wszystko się zgadzało, choć nie miał pewności, czego szuka. Przede wszystkim jednak chciał wejść do środka tego, który mu udostępniono.

- Jaką najniższą temperaturę można tu uzyskać? - spytał, gdy otworzono mu tylne drzwi.

- Minus dwadzieścia stopni - odparł niechętnie młody chłopak, który najpierw przez śnieżycę, a teraz przez Foksa miał pracować dłużej, niż powinien.

W środku nie było niczego szczególnego. Można było przejść przez gumową kurtynę paskową i znaleźć się w dość niskiej lodówce, której włączanie w aktualną pogodę nie miało większego sensu.

Tyle dobrego, że niektórzy zaoszczędzą, pomyślał Foks.

Dopiero później, gdy zobaczył wydruki z termografu, zobaczył, że mimo ujemnych temperatur chłodnie działały jak podczas upalnych dni.

- Zasady to zasady - wyjaśnił kierowca. - W razie kontroli nikt nie będzie sprawdzał, jaka w danym dniu na danej trasie była pogoda.

- To fakt - przyznał mu rację Foks.

W środku nie było żadnych uchwytów, haków, dało się zamontować jedynie poprzeczne belki. Zrobienie jakiegokolwiek dziury w chłodni groziło jej rozszczelnieniem. Do samochodu wstawiano załadowane

produktami palety bądź plastikowe skrzynki, nie były więc potrzebne żadne półki.

Foks wszedł do środka i podniósł ręce. Bez problemu mógł dotknąć sufitu. Wiedział jednak, że ofiara była od niego niższa o kilkanaście centymetrów. Nie chciał się teraz kłaść na podłodze, lecz pewne było, że dałoby się tam rozkrzyżować człowieka bez najmniejszego problemu.

Czy tak może wyglądać nasze miejsce zbrodni? – spytał samego siebie, ale na to pytanie nie potrafił na razie odpowiedzieć.

– Myślisz, że Drelicha ktoś wypatroszył w jego własnym samochodzie? – spytał Radecki, gdy dwie godziny później spotkali się na komendzie.

– Nie możemy tego wykluczyć – odparł Foks. – Pojazd dobrze tłumi dźwięki, można nim było zaparkować w garażu bądź na odludziu, z daleka od wzroku kogokolwiek, a potem bez żadnych problemów dostarczyć ciało na chodnik przed Pałacem Kultury i Nauki. Zleciłem już ponowne sprawdzenie okolicznych monitoringów, kazałem szukać podobnego pojazdu, ale domyślam się, że nic z tego nie wyniknie.

– Patrole już go szukają.

– To dobrze, chociaż wątpię, żeby morderca drugi raz postąpił w ten sam sposób. Na pewno domyśla się, że będziemy szukać samochodu.

– Niekoniecznie. Przecież czystym przypadkiem wpadłeś na ten trop.

– O ile tropem można to już nazwać – odparł Foks, mając świadomość, że Kowalczyk raczej nie będzie chciała go poprzeć i z chęcią po raz kolejny storpeduje każdy jego pomysł. Naczelnik Gajewski natomiast będzie jedynie czekał na podsunięcie mu pod nos konkretów.

Fajny mamy ten zespół, pomyślał Foks. Prokurator jest do wszystkiego niechętna, naczelnika interesują wyłącznie twarde dowody, a komisarz coraz częściej buja w obłokach i szuka na oślep. Zdawało się, że tylko Radecki myślał tu najtrzeźwiej, ale jak się okazało, i to nie przynosiło zamierzonego efektu.

– Tak czy inaczej, lepsze to niż moje poszukiwania – przyznał podkomisarz Radecki. – Uwielbiam marnować czas – powiedział

z wyraźną ironią w głosie.

– Spokojnie, żeby trafić na dobry trop, czasem trzeba wyeliminować te złe – odparł, nie chcąc, żeby partner poczuł, że jego praca jest bezsensowna.

Zanim podjęli dalszą dyskusję, do gabinetu Foksa zapukał aspirant Orłowski.

– Panie komisarzu, sprawdziliśmy sklep, który jako ostatni wypożyczył jeden z trzech pojazdów Drelicha. Właściciel po raz kolejny potwierdził, że od roku z niego nie korzystał. Teren pusty, faktur brak.

– Dziękuję bardzo – odparł. – Z pewnością musiał być wynajmowany na czarno, bo to niemożliwe, żeby przez rok samochód stał i na siebie nie zarabiał.

– To fakt – przyznał Orłowski i wyszedł. Prawie wpadł na prokurator Kowalczyk, która wyszła od naczelnika i skierowała się w stronę gabinetu Foksa.

– Jak tam się bawicie, panowie? – spytała, splatając ramiona na piersi.

– Może ty się bawisz, ale my tu pracujemy.

– No właśnie jakoś tego nie widać – warknęła i rzuciła na blat biurka plik dokumentów.

Foks sięgnął po nie i zaczął szybko przeglądać. Znajdowały się tam wyniki z laboratorium, pełny wynik autopsji oraz opis znalezionych na peronie metra szczątków.

– Dwie różne osoby – powiedział w zamyśleniu Foks. Spojrzał na Radeckiego, a potem przeniósł zaniepokojony wzrok na Kowalczyk. – To wszystko zmienia.

Mężczyzna wpatrywał się w stojącą kilka metrów dalej postać i nie mógł oderwać od niej wzroku. Ktoś mógłby stwierdzić, że jest stalkerem, bo szedł za swoim obiektem już od pół godziny i zdawało się, że nie zamierza odpuścić. Przez sypiący nieustannie śnieg trudno było jednak zauważyć prześladowcę. Gdyby mężczyzna choć raz spojrzął w jego kierunku, to może dostrzegłby natarczywy wzrok i nerwowe ruchy, a dzięki temu zmienił kierunek swojej pieszej podróży z biura do domu. Osłaniał jednak twarz kapturem i patrzył wyłącznie przed siebie. Nie rozglądał się i nie odwracał, żeby nie wystawić się na jeszcze dotkliwsze działanie pogody.

Nie pamiętał dokładnie drogi do domu. Wiedział, jak dojechać do pracy samochodem, ale teraz, gdy musiał wracać pieszo, to zgubił się bardzo szybko. Telefon padł mu po kilku minutach marszu na mrozie. Jego iPhone często mu to robił, lecz nigdy się tym aż tak bardzo nie przejmował.

Minął już centrum i klął na głos.

– Po co zostawiałem samochód pod domem – mówił do siebie, choć wiedział, że jeśli próbowalby wyjechać z parkingu, to z pewnością musiałby zostawić swoje audi gdzieś na środku drogi. I gdy on byłby w biurze, ktoś zapewne odholowałby samochód i miałby przez to jeszcze większy problem.

Teraz miasto znów stało. Wszyscy wyszli z pracy i ponownie zrobił się tłok, przez co ulice Warszawy zaczęły przypominać ulice Łodzi z jakiegokolwiek dnia w roku. Ulice zablokowały setki pojazdów, plugi nie miały jak przejechać. Nawałnica znów była groźna. Komunikacja miejska nie kursowała, tylko metro dawało radę, lecz gdyby chciał z niego

skorzystać, droga na stację, a potem ze stacji do domu zajęłaby mu więcej czasu niż spacer w linii prostej.

Ale gdzieś tę linię zgubił i nie wiedział, co dalej.

Nagle stanął i zaczął się rozglądać. Właśnie wtedy dostrzegł, że kilka kroków za nim zatrzymał się jakiś mężczyzna.

– Przepraszam – zawołał. – Czy wie pan może...

Nie dokończył, patrząc, jak obserwator podchodzi na odległość metra i przesywa go lodowatym spojrzeniem, wywołującym o wiele silniejszy dreszcz od mrozu.

– Dobry wieczór – powiedział, nie rozumiejąc, czemu nieznajoma mu osoba patrzy na niego w tak przerażający sposób. – Też pan nie może znaleźć drogi? Pieszę wędrówki w tym momencie to nie najlepszy pomysł...

– Rzeczywiście, wolałbym teraz siedzieć w samochodzie albo ładnym mieszkaniu, gdyby tylko było mnie na to stać.

– Myślę, że teraz samochód i tak na nic by się nie zdał. – Spróbował się zaśmiać, ale głos uwiązł mu w gardle, gdy mężczyzna zacisnął na nim swoją dłoń.

Małgorzata Gorczyca zamarła, słysząc przejmujący dźwięk. Śnieg zdawał się na chwilę uspokoić, tylko po to, żeby krzyk mógł dotrzeć w każdy zakątek małej miejscowości.

Podeszła do okna i wpatrzyła się w zarośniętą drzewami przestrzeń. Śnieg przemienił je w gigantyczne mury, które zamknęły kilkadziesiąt okolicznych domów w lodowej pułapce.

Już miała z powrotem usiąść przy starym piecu kaflowym, gdy okolicę przeszył kolejny krzyk. Kobieta zadrżała. Szybkim krokiem poszła po swoją dwulufową broń myśliwską, której na polowaniach używał jej świętej pamięci mąż. Zniosła ją do sieni, gdzie mróz z każdą godziną wdzierał się coraz śmieiej, i wróciła po miskę. Wrzuciła do niej dwie duże łyżki gulaszu, który ugotowała wczoraj. Miał jej starczyć na dwa dni, ale już teraz widać było dno garnka.

Drżącą dłonią wystawiła miskę na zewnątrz, tuż przy drzwiach wejściowych, gdzie wiatr nie zawiewał aż tak dużo śniegu. Nie zdążyła ich zamknąć, gdy przejmujący jazgot wywołał kolejne dreszcze na jej plecach. Zamarła, wpatrując się w białą przestrzeń przed swoją chatą.

Zawierucha nagle jakby się zatrzymała. Płatki śniegu zamarły w powolnym pikowaniu ku ziemi. Czas stanął, a Małgorzata Gorczyca nie mogła oderwać wzroku od ciemnej przygarbionej postaci, która wyszła spomiędzy drzew i sunęła teraz po polu, jakby lewitowała. Zdawało się jej, że od czasu do czasu pomagała sobie rękoma. Czy raczej – przednimi łapami.

Nagle przyspieszyła, jakby rzucała się do ataku na nieświadome zagrożenia zwierzę, a zaraz potem zniknęła za płatkami śniegu, które na nowo zaczęły opadać.

Gorczyca miała ochotę z hukiem zatrzaskać za sobą drzwi i szybko wrócić do środka, ale wolała nie hałasować i nie zwracać na siebie uwagi. Dlatego cicho je przesunęła, skobel zasuwki wsunęła w dziurę w futrynie i mocno trzymając w dłoniach broń, wróciła na krzesło przy piecyku.

– Ty stara babo, nigdy w to nie wierzyłaś – powiedziała, żeby dodać sobie otuchy, ale w tej przejmującej ciszy jej głos zabrzmiał jakoś nienaturalnie.

W ciągu kilkunastu minut złowieszczy skowyt przetoczył się po okolicy jeszcze kilka razy, aż w końcu ucichł na całą noc. A rano, gdy Gorczyca odważyła się znów wyjrzeć na zewnątrz, wiedziała, że musi ugotować nowy gulasz, bo ten najwyraźniej zasmakował nieproszonemu gościowi. W misce nie pozostała po nim choćby jedna tłusta plamka.

Nad ranem przez kilka godzin zbierała w sobie odwagę, żeby w końcu wyjść na zewnątrz. Wzięła ze sobą broń, do kieszeni włożyła zapasowe naboje i w końcu opuściła ciepłą chatę. Na początku wypatrywała jakichkolwiek śladów wokół budynku, ale nie potrafiła niczego dostrzec. Sypiący całą noc śnieg wszystko zasypał. Wiedziała, że właśnie dlatego wszelkie zło wychodziło w taką pogodę. Inaczej każdy mógłby je zdemaskować, a podczas burzy, ulewy, silnego wiatru czy śnieżycy mogło swobodnie wypełniać swoje zadania.

Czym było stworzenie, które posiliło się jej gulaszem? Kobieta sądziła, że właśnie dzięki jedzeniu nie zrobiło jej żadnej krzywdy. Nie wierzyła w demony w materialnej postaci, ale wiele już rzeczy na tym świecie widziała. Przeżyła prawie sześćdziesiąt wiosen i niejeden strach przemknął obok jej domu, niejedno zło stało się w pobliżu i nie raz człowiek dostrzegał w tym ingerencję nie ludzką, lecz demoniczną. Rzadziej boską, bo na świecie od wieków działo się więcej rzeczy złych niż dobrych. Łatwiej jest więc wierzyć w Piekło i Szatana niż w Boga i jego nierealne Niebo.

Po okrążeniu budynku ruszyła w kierunku, który ją teraz przyciągał. Wiele z tego, co przerażało, nadciągało z południa, z okolic rzeki i opuszczonych budynków. Gorczyca doskonale je znała, wiele razy

widziała je przez betonowe ogrodzenie, ale nigdy nie odważyła się pójść dalej.

Tam pchało ją teraz przecucie, ale obawiała się, co może spotkać na miejscu. Tym razem także nie miała zamiaru forsować betonowego płotu, lecz jeśli coś grasowało po okolicy, z pewnością ukrywało się właśnie tutaj. Na ogrodzonej posiadłości stało kilka dużych, opuszczonych budynków, spora jej część zarośnięta była drzewami i gęstymi krzewami. Tuż za ogrodzeniem po drugiej stronie płynęła rzeka. W tym jednym miejscu spotykały się więc wszystkie najniebezpieczniejsze elementy całej okolicy. Gdyby ktoś lub coś szukało kryjówki, to nie było lepszej.

Wzdrygnęła się, gdy dotarła do muru i usłyszała chrzęst śniegu za sobą. Odwróciła się powoli, w obawie, że nagły ruch wywoła szybszy atak. Jednak zamiast demona czy rogatego biesa zobaczyła znajomą twarz. Dziwnie wykrzywioną, przejętą i zdeterminowaną.

- Już czas - powiedziały suche usta, a to kobietę przeraziło bardziej, niż gdyby zobaczyła ducha.

CZEŚĆ DRUGA

– Czyli mamy dwie ofiary, obie wypatroszone. I jakimś cudem te szczątki znaleźliśmy niemal w tym samym czasie. To ciekawe.

– Zapewne nie cudem, tylko sprawca chciał, żeby tak się właśnie stało – powiedziała Kowalczyk, która sądziła, że Foks uznawał to wszystko za przypadek.

– Nie wpadłbym na to – powiedział poważnie, bez cienia ironii w głosie. – Dobrze, że tu z nami jesteś, bez ciebie byłoby nam o wiele trudniej.

Kowalczyk spojrzała na niego, zaciskając zęby, ale on nie odwrócił głowy w jej stronę. Wiedział, że nie powinni się teraz przekomarzać, nie był to czas na gierki słowne, ale nie mógł się powstrzymać.

Pociągnął solidny łyk blacka. Przed chwilą prawie dołał do niego jägermeistera, ale w tej samej chwili zawołał go naczelnik, więc musiał odpuścić. Kawę pił rzadko. Od dawna powtarzał, że o wiele lepiej od kawy budzą go złe wiadomości, a tych nigdy nie brakowało. Do blacka natomiast, którego mógł zabrać wszędzie, uwielbiał dolewać czegoś mocniejszego. Tym razem jednak nie zdążył, choć aktualną rozmowę lepiej by przeżył, gdyby miał w nim odpowiednią wkładkę.

– Z pewnością byłoby wam trudniej.

– Przede wszystkim nie tracilibyśmy czasu na bezsensowne gadanie – warknął naczelnik, który chyba nie zorientował się, że właśnie ubliżył prokurator.

– Tylko co innego nam w tym momencie pozostaje? – odparł Foks, a Radecki aż się skrzywił. To zabrzmiało, jakby bronił Kowalczyk. – Nie mamy żadnego punktu zaczepienia. Chyba że włączymy do sprawy moje...

– Psycholog nie zgadza się z twoimi podejrzeniami, Foks – przerwał mu naczelnik.

– A ja nie zgadzam się z jego typami, więc mamy impas.

– Nie wydaje mi się, bo on wie, co robi, i nie wychodzi przy tym poza swoje kompetencje.

Foks spojrział na niego z ukosa.

– A ja wychodzę?

– Sam sobie odpowiedz na to pytanie. Zastanów się, co robiłeś pół dnia, a wtedy na pewno będziesz wiedział.

Foks poczuł, jak krew zaczyna się w nim gotować. Robił wszystko, co w jego mocy, znalazł ważny ślad, a naczelnik najzwyczajniej w świecie uznawał to za błąd. Był biurokrata, który potrzebował poparcia dla najmniejszego podejrzenia i dla którego przecucie nie miało znaczenia. A przecież właśnie tym ludzie bardzo często się kierowali. Nie tylko śledczy, ale i sami mordercy. Czasem robili coś odruchowo, instynktownie. Żeby można ich było zrozumieć, należało myśleć i zachowywać się jak oni.

Oczywiście dla sądu to nic nie znaczyło, lecz lepsze było znalezienie dowodów przeciwko komuś dzięki bliżej nieokreślonemu szóstemu zmysłowi niż nieznanie ich w ogóle.

– Wiem, że Drelich jest zamieszany w tę sprawę.

– Sam fakt, że zaginął jakiś facet, niewiele znaczy – upierał się przy swoim naczelnik.

– To samo można powiedzieć o osobach, które sprawdzał Radecki – poparła Foksa, ku zdziwieniu wszystkich, Kowalczyk. – Oczywiście nie umniejszając jego pracy.

Popatrzyli po sobie, zaskoczeni.

– Do czego zmierzasz? – spytał naczelnik.

– Do tego, że jednoczesne poszukiwanie ofiar i mordercy wymaga podjęcia pewnego ryzyka. W tym momencie sieć zależności między trzema anonimowymi osobami może być tak wielka, że nie sposób nie iść po niej na oślep.

Foks nie rozumiał, co się dzieje. Dopiero jednak gdy spojrział na Kowalczyk i dostrzegł ruch jej warg, które ledwo powstrzymywały się przed ułożeniem w chytry uśmiech, przypomniał sobie, że przecież ona nigdy nie robiła niczego bezinteresownie.

– Co w takim razie polecasz?

Nie zdążyła niczego odpowiedzieć, bo na korytarzu usłyszeli głośne kroki, które po chwili rozbrzmiały także w gabinecie naczelnika.

– Tak? – spytał aspiranta Orłowskiego, który zapukał w drzwi, chociaż już przekroczył próg.

– Trafiliśmy na dość niecodzienną sytuację.

Wszyscy wpatrywali się w niego w milczeniu, ale ten zdawał się czekać na zachęcenie do dalszego mówienia. Gdy się zorientował, że ani naczelnik, ani prokurator nie mają zamiaru czekać, chrząknął i udał, że łapie oddech.

– Domyślam się, że gdyby była codzienna, tobyś tu tak teraz nie wpadł jak pocisk – powiedział naczelnik, zanim Orłowski się przełamał.

– Racja – mruknął. – Sęk w tym, że nie do końca wiem, czy ta sytuacja ma cokolwiek wspólnego z naszą sprawą.

– Kurwa, kolejny – warknął cicho naczelnik, mając nadzieję, że nikt go nie usłyszy, ale w gabinecie panowała idealna cisza, dlatego jego słowa dotarły do każdego z łatwością. – Więc co takiego wzbudziło twoją ciekawość? – spytał łagodniej.

– Pół godziny temu jeden z patroli dostał wezwanie. Doszło do napaści, tylko jeszcze nie wiadomo, na jakim tle. Sprawca na razie milczy.

– Co się właściwie stało? – spytała Kowalczyk.

– Doszło do pobicia. Ofiara jest w stanie krytycznym. Napastnik zaczął się na nią w wąskiej uliczce.

– To kobieta?

– Nie, mężczyzna w wieku czterdziestu dwóch lat. Na razie jest nieprzytomny, więc wiemy tylko to, co miał w dowodzie. Znając jego nazwisko, dotarliśmy do informacji, że to pracownik pobliskiego biura.

– Może rozmawiać? – zainteresował się Foks.

- Na razie jest utrzymywany w śpiączce farmakologicznej, doznał silnych obrażeń głowy i brzucha. Złamany nos, wybite zęby, liczne rany wywołane uderzeniami głową o ścianę. Do tego połamane żebra i najprawdopodobniej naruszone organy wewnętrzne.

- Pokłócili się?

- Tego na razie nie wiadomo. Ofiarę znalazł przypadkowy przechodzień. Wcześniej usłyszał krzyki, a gdy podszedł, sprawca szybko uciekł. Oddalił się, pozostawiając mężczyznę na śmierć. Przechodzień szybko wezwał policję, a patrol trafił na opisaną przez świadka osobę kilkadziesiąt metrów dalej. Palił papierosa pod wiatą przystanku, czekając najwyraźniej na autobus.

- Autobus dokąd? - dopytywał Foks.

- Mniej więcej na północny wschód. Kolesz bardzo się zdziwił, gdy go zatrzymano, twierdził, że niczego nie zrobił. Miał jednak charakterystyczną kurtkę, poza tym już w radiowozie powiedział, cytując, że „pewnie mu się należało”.

- Jak rozumiem, nie wyjaśnił dlaczego? - zainteresował się naczelnik.

- Nie.

- Tylko dlaczego ta sprawa miałaby nas zainteresować? - spytał w końcu Foks, bo wszyscy czekali, aż Orłowski do tego nawiąże.

- Mężczyzna cały czas coś do siebie mówił. W pewnym momencie zaczął powtarzać, tu także cytuję: „jemu też powinienem wypruć flaki”.

Aspirant zrobił dramatyczną pauzę, ale zdawało się, że na nikim nie robi to wrażenia. Informacja o znalezisku w metrze z pewnością już się rozprzestrzeniła w mediach, zapewne cała Warszawa wiedziała, co się stało. Media pisały też o tajemniczej ofierze przed Pałacem Kultury i Nauki. Nie dało się tego ukryć, chociaż szczegóły znała wyłącznie policja. Niemniej fakt, że ktoś użył takiego określenia, nie oznaczał w tym momencie, że przypadkowe pobicie ma cokolwiek wspólnego z ich sprawą.

- Teraz wszystkim puszczają nerwy - powiedział naczelnik. - Pewnie jeden z nich zastawił drugiego na parkingu, pokłócili się, a teraz któryś wymierzył własną sprawiedliwość.

- Tym razem jestem za trzymaniem się schematu - mruknął Foks do Kowalczyk, a ta uśmiechnęła się z uznaniem. To był drugi raz w jego karierze, gdy tak zareagowała. Poczul się przyjemnie polechtany, chociaż nie zależało mu na uznaniu prokurator. Dlatego jego mina od razu zrzędała, bo skoro ona go popierała, to znaczy, że sam obrał złą taktykę.

- Będę wdzięczny za raport, potem bliżej mu się przyjrę.

- Jasne - odparł skonsternowany aspirant i wyszedł.

- W jakiej firmie pracuje ofiara? - zawołał jeszcze za nim Foks, tylko dlatego, żeby Kowalczyk nie pomyślała, że nagle zaczął ją w pełni popierać.

- Nie wiem, na jakim stanowisku, ale dowiedziałem się, że zatrudniony jest w firmie REM.

Foks wcale się nie zdziwił, że zna tę nazwę. Dopiero co widział ją w dokumentach Drelicha, który wynajmował im swego czasu jeden ze swoich samochodów.

Komisarz prawie się zaśmiał, myśląc o tym.

Foks modlił się w duchu, żeby ich krótka podróż nie skończyła się kolejnym trupem. On usiadł za kierownicą, a prokurator Kowalczyk na miejscu pasażera. Wyraźnie jej to nie odpowiadało, lecz volvo Foksa było zaopatrzone w opaski na koła i łańcuchy, podczas gdy jej toyota mogła się pochwalić wyłącznie całorocznymi oponami.

Komisarz odpalił silnik i starał się nie zwracać uwagi na swoją towarzyszkę, lecz co chwilę czuł na sobie jej świdrujący wzrok.

– Czytałeś resztę raportów? – spytała, gdy ruszyli.

– Tak – uciął, chociaż wiadomość o pobiciu sprawiła, że nie dokończył przeglądać dokumentów, które dostał. Kowalczyk domyślała się tego, więc wyjęła teraz swoją teczkę, położyła ją na kolanach i otworzyła.

Foks dziękował Bogu, że jest zimno, a prokurator ma na sobie spodnie i golf, bo gdyby było lato, a ona miała na sobie, jak zwykle w upalny dzień, krótką spódniczkę i koszulę z dużym dekoltem, to z pewnością trudno byłoby mu się skupić na tym, co właśnie mu pokazała.

Kowalczyk wyjęła raport Mazurkiewicza, w którym lekarz dokładnie opisał wszystkie znalezione narządy.

– Brakuje serca, ale to chyba było wiadomo od początku – powiedziała, przerzucając strony. – Najdziwniejsze okazały się nacięcia na wątrobie. W pierwszej chwili trudno było określić, czy to przypadek, czy celowe działanie, choć od razu stawiałam na tę drugą opcję, skoro reszta narządów nie była naruszona. A przynajmniej większość.

Gdy stanęli na światłach, Kowalczyk nachyliła się i pokazała mu zdjęcie wątroby i płuc.

- Nacięcia nie są głębokie. Teraz da się zauważyć, jakby oba narządy zostały... Sama nie wiem... Obrane?

- Co? - zdziwił się Foks.

- W kilku miejscach odkrojono niektóre fragmenty. Stąd te nacięcia. Sprawca powycinał sobie mniejsze lub większe kwadraty, a potem skrupulatnie wybrał ze środka cienką warstwę. Patolog zauważył, że powierzchnia jest nierówna. Nacięcia nie były więc żadnym napisem, czego sama się spodziewałam.

- Też miałem nadzieję, że sprawca wyrzył w wątrobie jakieś znaki, dzięki którym trafilibyśmy na jego trop. Tylko po co wycinał ten fragment?

- Ja ci powiem, po co - odparła, lecz w tym samym momencie zatrzymali się w okolicach miejsca zdarzenia. Stał tam patrol, część zasypanego chodnika osłonięto parawanem.

- No więc? - spytał, gdy wysiedli, ale Kowalczyk chyba go nie usłyszała. Uderzyła w nich ściana śniegu, chociaż zdawało się, że nie sypie już tak intensywnie, jak wcześniej.

Podeszli do parawanu, wylegitymowali się patrolowi i zbliżyli do miejsca zdarzenia.

- Ślady od razu zostały zasypane - powiedział policjant, który jako pierwszy pojawił się na miejscu. - Sprawca zapewne domyślał się, że tak będzie, dlatego nie oddalił się za bardzo. Nie sądził, że ktoś tak szybko za nim pójdzie. Chciał wtopić się w tłum.

- Co natomiast było widać?

- Ja zobaczyłem już tylko leżącego faceta i wsiąkającą w śnieg krew.

Ja dało się dostrzec, podobnie jak wygniecione miejsce, w którym leżała ofiara. Wyglądało to dość przerażająco, chociaż świadomość, że facet przeżył, dodawała niewielkiej otuchy. Foks był jednak pewny, że nie będzie mu dane z nim porozmawiać.

- Ofiara była już nieprzytomna, gdy się pojawialiśmy, podejrzany niedługo potem został zatrzymany, skuty i zaprowadzony do radiowozu. Mamrotał pod nosem coś o flakach, ale nie było to skierowane do nas. Oczywiście wszystko odnotowaliśmy.

- Jasne, rozumiem.

Kowalczyk zakryła szczelnie szyję kołnierzem czarnego płaszcza i wpatrywała się w wygnieciony w śniegu ślad.

– Chyba nic tu po nas – powiedziała, a Foks wycofał się i rozejrzał. Nie sądził, żeby to miejsce zostało wybrane specjalnie, a jeśli już, to tylko dlatego, że osłaniały je ściany dwóch stojących blisko budynków. Ktoś musiałby podejść naprawdę blisko, żeby zobaczyć, co się dzieje. Sprawca nie przewidział jednak, że to głos ofiary przebije się przez zamieć i dotrze do czyichś uszu. Uszu kogoś, kogo nie powinno tu być, bo przecież każdy siedział już w domu, nie mając zamiaru wyściubiać z niego nosa.

Było już dość późno, komisarz domyślał się, że ofiara wyszła z pracy po godzinach funkcjonowania biura. Albo sprawca obserwował swój cel cały dzień, albo doskonale znał jego plan dnia.

– Przejdziemy się? – spytał Foks. Sam nie mógł uwierzyć, że to robia, ale ramię w ramię poszli w kierunku firmy ofiary. Tomasza Olejnika, jak głosiły dane w dowodzie. Komisarz chciał przejść się jego śladami, miał nadzieję, że może natkną się po drodze na coś ciekawego.

– A mam jakieś wyjście?

– Mogę cię gdzieś odstawić, jeśli chcesz. – Sam siebie zaskoczył tą odpowiedzią. Zwykle kazałby jej wracać pieszo, ale teraz byłoby to zwykłym chamstwem.

– I tak musimy jeszcze pogadać.

– To fakt – odparł, widząc, jak rusza w stronę biurowca, w którym pracował Olejnik. – Więc po co, według ciebie, sprawca wycinał fragmenty narządów? – spytał, gdy śnieg przestał im zacinać prosto w twarz. I tak musieli do siebie krzyczeć, ale Foks nie chciał czekać na wyjaśnienia do czasu, gdy znów znajdą się w bardziej zacisznym miejscu.

– Z dwóch powodów – odpowiedziała po chwili. – Przede wszystkim ważna jest zawartość żołądka znalezionej w torbie.

– Mazurkiewicz mówił, że prawie nic tam nie było – odparł.

– To fakt. Okazuje się jednak, że w żołądku znajdowały się niestrawione resztki jedzenia. Fragmenty jakiegoś mięsa. Czy raczej – mięsne paski.

– Myślisz, że... – Nie dokończył.

– Tak. Sprawca karmił te osoby szczątkami swoich innych ofiar.

– Ale domyślałam się, że Mazurkiewicz nie może dokładnie stwierdzić, co to właściwie było?

– Być może badania to potwierdzą. Myślę jednak, że fragmenty, które znalazł, bardzo dobrze odpowiadają temu, co wycięto z wątroby i płuc. I, jak się domyślałam, także z serca.

– Skąd pewność, że z sercem też coś robił? Może zabrał je jako trofeum. Jest to bardzo symboliczne. Wyrwane serce stanowi idealną przenośnię odebrania komuś życia.

– Ale może wcale nie chodziło o samo życie.

– O co innego mogłoby chodzić? – zainteresował się. Był pełen podziwu dla Kowalczyk, nie znał jej od tej strony. Zwykle albo była arogancka, ironiczna, albo po prostu złośliwa.

Co się stało, że zaczęła mówić z sensem? – spytał samego siebie. *Może zmieniły ją ostatnie wydarzenia.* Obraz jej nieskazitelnego świata runął wraz z zatrzymaniem jej byłego mentora, zdawało się, że mocno to w nią uderzyło.

– I tu dochodzimy do drugiej kwestii. Słyszałeś kiedyś o haruspiczach?

Foks nie miał pewności, czy kiedykolwiek słyszał o czymś takim.

– Trudno mi sobie teraz przypomnieć – odpowiedział z lekkim zażenowaniem. Musiał się przyznać, że wie mniej od Kowalczyk.

Wykrzywiła usta w chytrym uśmiechu. Lubiła być lepsza od innych.

– Haruspicje to wróżenie z wnętrzości. Parali się tym haruspikowie, rzymscy kapłani pochodzenia etruskiego – zaczęła mówić, jakby czytała Wikipedię. – Wróżyli z wnętrzości zwierząt ofiarnych, najczęściej owiec. Chcieli przepowiedzieć przyszłość, dlatego zabijali zwierzę, wyciągali wątrobę i sprawdzali jej anomalie. Każdy szczególnie mógł coś oznaczać, albo na korzyść, albo na niekorzyść pytającego.

– Skąd wiedzieli, co oznacza dana anomalia?

– Mieli przykładowe tabliczki, na których było zapisane, że jeśli pojawia się to i to, to wydarzy się to i to.

– Czyli to żadne wróżenie, tylko układanie domysłów pod czyjś wymyślony klucz.

- Klucz, który mógł być opracowany w oparciu o to, co już się wydarzyło.

- Tak czy inaczej, to loteria, która wcale nie musiała się sprawdzać – odparł z ironią.

- No jasne, wcale nie chcę cię do tego przekonywać, ani sama nie wierzę, że miało to jakikolwiek sens. Wiem tylko, że w Mezopotamii było to częste. Nie wierzono w to ślepo, powtarzano takie obrzędy i wróżono także innymi metodami. Niemniej ważne jest to, że tysiące lat temu coś takiego w ogóle robiono.

- Jak to się jednak ma do naszego znaleziska? – spytał, gdy stanęli już pod biurowcem, w którym pracował Olejnik. Budynek nie był zbyt okazały, ot wysoka na dziesięć pięter kupa betonu i szkła.

Foks odetchnął z ulgą, gdy weszli pod daszek nad drzwiami i mogli otrzepać się ze śniegu. Ten jednak oblepił ich tak, jakby miał zamiar zamienić komisarza i prokuratora w dwa żywo dyskutujące bałwany.

- Ano tak, że haruspikowie nie wróżyli tylko z wątroby.

- A z czego jeszcze?

- Domyśl się, geniuszu.

Foks spojrzał jej głęboko w oczy. Nie dostrzegł w nich złośliwości, lecz intrygujący błysk.

- Z serca i płuc?

- Bingo!

Poczekali chwilę, aż śnieg z nich trochę spłynie, i zadzwonili dzwonkiem przy drzwiach. Po chwili usłyszeli charakterystyczny dźwięk otwieranego zamka i weszli do środka.

Zostawiali za sobą mokry ślad, ale na to już nie mogli nic poradzić. Mieli na głowie ważniejszą sprawę niż zastanawianie się, czy ktoś będzie musiał szorować podłogę już dziesiąty raz tego dnia.

– W czym mogę pomóc? – spytała siedząca na recepcji kobieta, która wyraźnie nie była zadowolona z faktu, że musi tam tkwić najdłużej. Większość pracowników biurowca zapewne już się ulotniła, Olejnik jako jeden z ostatnich przechodził obok lady recepcjonistki.

– Dzień dobry, komisarz Robert Foks. – Wylegitymował się. – A to prokurator Eliza Kowalczyk. Mamy do pani kilka pytań.

Kobieta przełknęła ciężko ślinę. Wyglądała, jakby coś przeszkrobała.

– Tak? – spytała tylko.

– Mamy pytania dotyczące pracownika firmy REM, Tomasza Olejnika.

– Coś się stało?

– Widziała pani, jak wychodził? – wtrąciła się Kowalczyk.

– Tak, jakąś godzinę temu.

– Czy wie pani, kto wychodził po nim?

Zastanowiła się chwilę.

– Po nim wyszło jakieś pięć osób, o ile dobrze pamiętam. Nie mam obowiązku zapisywania, kto przychodzi do biura, a potem je opuszcza – wytłumaczyła się. – Ja właściwie tylko odbieram telefony, obsługuję ksero, czasem otwieram drzwi i...

- Spokojnie, w tym momencie nie interesuje nas zakres pani obowiązków – odparł dobrodusznie, choć dopiero po chwili zorientował się, że określenie „w tym momencie” mogło zabrzmieć złowrogo. – Pamięta pani, kto wychodził po Olejniku?

Kobieta podała nazwiska trzech osób, dwie znała tylko z widzenia.

- Jedna z nich to pracownik REM z trzeciego piętra. – Wymieniła nazwisko. Foks od razu przesłał je Radeckiemu do sprawdzenia.

- Czym właściwie zajmuje się ta firma?

- Z tego, co mi wiadomo, i z tego, co zamieszczają w swoich materiałach prasowych, tu znajduje się po prostu biuro agencji zatrudniającej pracowników. Serwery strony, infolinia, poczta, tutaj też przeprowadzają rekrutacje.

- Na jakie stanowiska?

- Różne. Zatrudniają ludzi do sprzątania, kucharki, pomoc kuchenną, pracowników magazynów i takie tam. Jest tego całkiem dużo. Tak mi się wydaje – dodała, zupełnie jakby podawała nieoficjalne informacje.

- Sami prowadzą całą tę działalność czy mają podwykonawców? – zainteresowała się Kowalczyk.

- Tego nie wiem.

- Myślisz, że podnajmują ludzi? – spytał Foks.

- Ostatnio to bardzo popularne, wynajmowanie ludzi na godziny jest niekiedy o wiele korzystniejsze niż ich zatrudnianie. Leasing pracowniczy szybko się rozwija. Wiesz, gdy ktoś potrzebuje, żeby wykonano określone zadanie, które zdarza się tylko raz na jakiś czas, to wypożycza sobie kogoś bez potrzeby uruchamiania całej tej maszyny: proces rekrutacyjny, wizyty u lekarza medycyny pracy, nie trzeba podpisywać jakiegokolwiek umowy, wystarczy faktura.

- Domyślam się, na czym to polega – odparł, chociaż słyszał o czymś takim po raz pierwszy.

W tym samym momencie spojrzeli na recepcjonistkę.

- Szczerze przyznam, że nie wiem, jak to wygląda. REM ma kilka spółek, oferują różne usługi, myślę, że taki wynajem pracowników też

wchodzi w grę. Ja tu tylko pilnuję wejścia – mruknęła dziewczyna, nagle zaniżając własne kompetencje, jakby sama miała coś na sumieniu.

– Trzeba będzie ich dokładnie prześwietlić. – Foks wyjął zdjęcie ich ofiary i położył je na blacie. – Proszę wziąć głęboki oddech i powiedzieć, czy kojarzy pani tego mężczyznę.

Kobieta sięgnęła ochoczo po zdjęcie, lecz gdy tylko na nie spojrzała, pisnęła głośno, a kartonik wypadł jej z dłoni. Drżącymi palcami zabrała go z podłogi, położyła na blacie i odsunęła się. Teraz spojrzała z daleka, jakby obawiała się, że sfotografowana postać może nagle ożyć i ją zaatakować.

– Nie wydaje mi się – odparła. – Trudno powiedzieć. Sam pan rozumie – dodała, gdy już nieco ochłonęła. – Nie sposób rozpoznać kogoś, kto nie ma oczu.

– To fakt – przyznał jej rację, żeby nie wprawiać recepcjonistki w jeszcze większe zakłopotanie. Nie powinny go w tym momencie interesować uczucia jakiejś przypadkowej kobiety, ale wiedział, że sprawa, którą prowadzi, miała zszargać nerwy tak wielu osobom, że warto było się zlitować chociaż nad tą jedną. – Proszę mi jeszcze powiedzieć, czy zna pani kogoś o imieniu Jakub Domagalski.

Kobieta zastanowiła się chwilę, ale w końcu pokręciła przecząco głową.

– Pierwsze słyszę – przyznała.

– W takim razie będę wdzięczny za spis firm, które mają w tym budynku swoje siedziby. Bo jak rozumiem, nie sprawdzi pani rejestru pracowników, którzy mają dostęp do budynku, i nie porówna nazwisk z tym, które nas interesuje? – Domyślał się, że sprawdzenie sprawcy napaści wcale nie będzie takie łatwe.

– Bardzo mi przykro, ale nie mam takich uprawnień.

– Mimo wszystko możemy to załatwić od razu – rzuciła Kowalczyk. – Jako prokurator mogę wystąpić o szybkie udostępnienie nazwisk wszystkich pracujących tu osób.

– W to nie wątpię – odpowiedziała kobieta, nagle zmieszana słowami Kowalczyk.

– Możemy więc to załatwić szybko i bezproblemowo. Także dla pani.

- A mam jakieś problemy? - Słyszając słowa prokurator, dziewczyna wybałuszyła oczy.

- W tym momencie nie, ale za utrudnianie śledztwa każdy może dostać osobny wyrok - odparła Kowalczyk, chociaż w tym momencie nie miało to żadnego znaczenia; kobieta nie tylko niczego nie utrudniała, ale wręcz przeciwnie - rzetelnie wykonywała swoje obowiązki. Foks aż miał ochotę pokiwać głową z uznaniem, bo prokurator jeszcze nigdy, przynajmniej przy nim, nie naginała prawa.

Co się nagle zmieniło? - spytał w myślach, bacznie obserwując całą sytuację.

- Ale ja niczego nie utrudniam. Po prostu nie zostałam uprawniona do wydawania komukolwiek listy pracowników.

- Nam chodzi tylko o to jedno nazwisko. Jakub Domagalski - powtórzył Foks. - Niech pani wejdzie w bazę danych i sprawdzi, czy ktoś taki dostał kartę otwierającą drzwi do biura.

Komisarz wiedział, że mężczyzna, który napadł Olejnika, mógł czekać na niego gdzieś na zewnątrz, ale w taką pogodę najlogiczniejsze było domniemanie, że obserwował go w budynku i wyszedł chwilę później.

Obie kobiety przez chwilę mierzyły się spojrzeniami, aż w końcu recepcjonistka się poddała.

- Nie będę miała z tego powodu problemów?

- Za to, że pomoże pani policji i prokuraturze? - odpowiedziała pytaniem.

No oczywiście, że będziesz miała problemy - mruknął w myślach Foks, ciesząc się, że tym razem to nie on musiał kłamać. Nie mógł jednak zrozumieć, dlaczego robi to Kowalczyk. Co więcej - dlaczego tu z nim przyszła? To wyglądało tak, jakby miała określone zadanie, bo wiedziała więcej od nich wszystkich.

- No dobrze - mruknęła niechętnie dziewczyna i zaczęła szukać nazwiska w bazie danych. Szybko zorientowała się, że żaden Jakub Domagalski nie miał wstępu do budynku. A przynajmniej nie oficjalnie. Nie posiadał karty magnetycznej.

- Istnieje inne wejście do budynku?

- Od zaplecza, ale tam także trzeba mieć kartę.
- Czy istnieje prawdopodobieństwo, że ktoś wszedł głównym wejściem, minął panią i dostał się niepostrzeżenie do budynku?
- A dlaczego sądzicie, że tak właśnie było?
- Proszę odpowiedzieć, czy jest to możliwe.
- Nie wydaje mi się. W razie czego jest tutaj monitoring, więc gdyby tylko coś się stało, to firma ochroniarska od razu by się tym zajęła. – Kobieta z chwili na chwilę wyglądała na coraz bardziej przestraszona.
- Ale nie legitymuje pani każdego?
- Nie, bo żeby tu wejść, każdy musi mieć kartę. Inaczej drzwi się nie otworzą.
- A są momenty, w których wchodzi tu naraz kilka osób?
- Oczywiście, tak jest codziennie rano. Około godziny siódmej pięćdziesiąt pięć drzwi praktycznie się nie zamykają. A gdy ktoś zadzwoni, tak jak państwo, wtedy od razu pytam, o co chodzi – tłumaczyła recepcjonistka. – Nie ma szans, żebym otworzyła komuś drzwi i się nim nie zainteresowała. Po to tu w końcu jestem.

Kowalczyk tylko przewróciła oczami, słysząc ostatnie zdanie. Zaraz potem spojrzała na Foksa. Jej wzrok mówił: „Może jednak nie mamy racji? Może to zły kierunek?”.

- Skoro jednak Domagalski tu nie pracuje, to będę musiała poprosić panią o pełną listę osób z dostępem do biura.

- Słucham?

- Widzę, że ma tam pani spis wszystkich pracowników – powiedziała, zaglądając za ladę. – Niech pani mi to wydrukuje.

- Przykro mi, ale nie mogę tego zrobić.

- Więc woli pani oficjalną drogę? Wezwanie na komendę, przesłuchanie?

Kowalczyk doskonale wiedziała, że recepcjonistka nie miała żadnego związku ze sprawą, głupotą byłoby myślenie, że zostanie szybko wezwana na komendę, ale te słowa w dziwny sposób przekonały kobietę. Nie

zdawała się być głupia, co najwyżej przestraszona, dlatego ostatecznie wykonała niezgodne z prawem i zasadami swoich przełożonych zadanie.

- Po co to zrobiłaś? - spytał ją Foks, gdy już wyszli na zewnątrz i zostawili roztrzęsioną kobietę samą sobie. Chyba powoli zaczęło do niej docierać, że prędzej czy później zostanie zwolniona za to, co zrobiła. Fakt, że weszła tu policja i prokuratura, oznaczał, że jej szefostwo ma coś na sumieniu. I nawet jeśli przysłużyła się w tym momencie wymiarowi sprawiedliwości, to z pewnością nie przysłużyła się swojej karierze. -

Przecież tak naprawdę ta lista nie jest nam do niczego potrzebna. Jeśli Domagalski tu nie pracuje, to znaczy, że musiał obserwować ofiarę z innego miejsca. Albo dostał się tu niepostrzeżenie, dlatego co najwyżej powinniśmy zlecić przejrzenie monitoringu.

- Który zapewne łąda moment zostanie wykasowany, lista pracowników utajniona, a recepcjonistka za chwilę będzie wiedziała, żeby nigdy więcej z nikim nie rozmawiać.

- Skąd ten pomysł?

- Pobity facet jest szefem spółki należącej do REM. Nie sądzę, żeby był przypadkową ofiarą. A to oznacza, że miał coś na sumieniu, co jego firma będzie chciała ukryć.

- Ale po co ci lista pracowników? W tym momencie nie ma to większego związku z naszą sprawą. Mamy ofiarę, mamy sprawcę, po co nam oni? - Wskazał na wydruk.

- To dłuższa historia.

- Jaka znowu historia? Co ty kombinujesz? - syknął niemiło, gdy ruszyli przez śnieg w stronę samochodu.

- Jeśli chcesz, to mogę ci wszystko wyjaśnić.

Foks nie rozumiał, co właściwie chciała mu wyjaśniać. Faktem jednak było, że spółka zarejestrowana na Olejnika, przynależąca do REM, współpracowała niegdyś z Drelichem, który wynajmował ofierze samochód do transportu pracowników.

Czy jednak Drelich był powiązany z zamordowanym mężczyzną, którego ciało wyeksponowano przed Pałacem Kultury i Nauki, a teraz

także z pobiciem? Tego Foks nie wiedział. Okazywało się jednak, że Kowalczyk wiedziała więcej od niego.

– Masz w tym wszystkim jakiś własny interes, prawda?

Kobieta zatrzymała się i spojrzała mu głęboko w oczy.

– Dokładnie tak – przyznała. – Szczerze powiedziawszy, przyszedłam tu wyłącznie z powodu, który w tym momencie nie jest ci znany. Ale sądzę, że jest on powiązany z twoją sprawą. Dlatego warto, żebyśmy połączyli siły.

I wszystko jasne, pomyślał Foks. Chce mnie zwerbować do czegoś, co być może nie podoba się jej przełożonym, więc szuka poparcia gdzie indziej. I wsparcia, bo jak widać, sama niewiele może zdziałać.

– Z „moją sprawą”, mówisz? Myślałem, że siedzimy w tym razem.

– Oczywiście. Tyle że ja nie skupiam się w jednym momencie na tylko jednej zagadce.

– No tak, ty jesteś o wiele bardziej wszechstronna od reszty społeczeństwa – rzucił z ironią, której jednak Kowalczyk nie wychwyciła. Czasem zastanawiał się, czy prokurator nie ma przypadkiem aspergera.

– Gdybyś tylko się postarał, to też dałbyś radę.

Foks nawet się ucieszył, że tak powiedziała. To oznaczało, że jednak wrócili do normalnego trybu.

– Mniejsza z tym. Co to za sprawa, nad którą pracujesz?

Wsiadli z powrotem do samochodu. Foks prawie jęknął, gdy pomyślał, jak za chwilę będą wyglądały siedzenia.

– Pokażę ci, a wtedy zrozumiesz, co mną kieruje.

Apartament Kowalczyk prezentował się imponująco. Był to standard, na który Foks na razie nie mógłby sobie pozwolić, czy to posiadając mieszkanie na własność, czy je wynajmując. Takie wnętrze musiało kosztować majątek, który Kowalczyk zdobyła w jakiś niepokojąco dziwny sposób. Jej zarobki oczywiście znacznie przekraczały zarobki komisarza, przynajmniej dwukrotnie, gdyby jednak chcieć pomnożyć komfort jego życia przez dwa, to z pewnością nie wyszłoby z tego coś podobnego.

– Całkiem tu ładnie – przyznał, zastanawiając się, jak wiele przez ostatnich dwadzieścia lat wydał na alkohol, czy to w barze, czy w supermarkecie, pity ze znajomymi bądź żoną. Z tego, co Foks wiedział, Kowalczyk od lat żyła sama, więc możliwe, że takie życie w pewien sposób się opłacało.

Tylko co to za życie, pomyślał.

– Dzięki, rozgość się – rzuciła, zdejmując buty. – Wybacz, ale mam już ich serdecznie dość – powiedziała. – Gdybyś chciał się pozbyć swoich, to się nie krępuj.

– Dopiero wtedy zacząłbym się krępować – przyznał, a Kowalczyk się tylko zaśmiała.

Zaśmiała się, powtórzył w myślach. Dziś już chyba nic mnie nie zaskoczy.

– Napijesz się czegoś?

– A co masz?

– Co tylko chcesz. – Wskazała mu stojak na wino w kuchni, sięgający sufitu i wypełniony mniej więcej w siedemdziesięciu procentach czerwonym winem, a potem wiszącą szafkę po drugiej stronie kuchni, pełniącą funkcję barku, w którym Foks od razu dostrzegł whisky z górnej

półki i kilka podrzędnych alkoholi, służących zapewne do robienia drinków.

- A gdzie barman? Bo chciałbym zamówić manhattana.

- Barmana mam wynajętego tylko na soboty, przykro mi.

- Czyli w tygodniu nie pijesz?

- Piję, ale nie aż tak dużo – wyjaśniła, myjąc ręce pod kranem w kuchni.

Foks czuł się naprawdę dziwnie, stojąc w jej mieszkaniu. Jasnym, przestronnym, na dwudziestym piętrze, z widokiem na Łsniącą od świateł i śniegu Warszawę. Bywał już nie raz w takich miejscach, lecz zwykle na podłodze leżał wtedy trup.

Tu było czysto, a trupem, jak się spodziewał, zaraz będzie on sam. Już widział, jak Kowalczyk zasada się na niego z nożem kuchennym lub wyciągniętym z szuflady pistoletem. Nie widział innego powodu, dla którego miałyby go tutaj ściągnąć, choć z drugiej strony dziś nie było też powodu, dla którego miałyby chcieć go zabić.

Ta niepewność była bardzo niepokojąca i przytłaczająca.

- A ty czegoś się napijesz? – spytał, podchodząc do stojaka na wino, ale poszczególne nazwy nic mu nie mówiły. Jeśli chodziło o ten trunek, to istniał dla niego wyłącznie podział na białe i czerwone, ewentualnie słodkie i wytrawne, reszta była zagadką. Uznawał tylko takie trunki, które odpowiednio mocno paliły w gardło.

- Tak, zaraz wybiorę coś z tego repertuaru – powiedziała, patrząc na wina, po czym otworzyła lodówkę. - Głodny? Nie mam tu zbyt wiele – zauważyła – ale możemy coś zamówić.

Głód rzeczywiście ścisnął go od środka, ale nie chciał w tym momencie niczego jeść. Nie tutaj.

- Dzięki, ale nie.

- Za to ja jestem. Mam straszną ochotę na sushi, ale myślę, że zwykła chińszczyzna lepiej się teraz sprawdzi. Co powiesz na pikantnego kurczaka z kapustą pak choi?

- Może po prostu załatwmy to, co mamy załatwić.

– Jasne – ucięła tylko i nieco zbyt mocno zamknęła drzwi lodówki, chociaż wcale nie wyglądała na zdenerwowaną. Zaraz potem wybrała jedno z win, szybko je otworzyła i nalała sobie pełny kieliszek. – Często się – powiedziała, wskazując butelkę.

Zamiast po nią Foks sięgnął po butelkę szkockiej. Znalazł szklanke, z kostkarki nasypał lodu, po czym dopełnił szkło alkoholem. Zdecydowanie był to zbyt duży drink jak na ten dzień i to miejsce, ale bardzo go potrzebował.

Kowalczyk otworzyła paczkę orzeszków ziemnych, wzięła dwa głębokie łyki, które przegryzła kilkunastoma orzeszkami, i wskazała Foksowi drogę.

– No to chodź – powiedziała i wyszła z kuchni. Przeszła do salonu z widokiem na nocne miasto, który zapierał dech w piersiach. Foks nigdy nie przepadał za Warszawą, ale ta perspektywa była naprawdę niesamowita. Chociaż przy aktualnej pogodzie widoczność została mocno ograniczona i dało się dostrzec tylko najbliższe budynki oraz delikatny zarys tych w promieniu kilkuset metrów, może kilometra, to jednak Foks domyślał się, jak wspaniale tu musiało być podczas letniego zachodu słońca bądź w ciepły poranek.

Minął wiszący na ścianie telewizor, mający około osiemdziesięciu cali, rząd płyt, które z pewnością od dawna nie były używane, ale ewidentnie ktoś wycierał z nich kurz przynajmniej raz w tygodniu, stolik łączący stare drewno i szło, welurową kanapę, aż w końcu po puchatym dywanie dotarł do kolejnego pomieszczenia.

– O cholera – mruknął, widząc przestronny gabinet z dużym stołem pośrodku i regałem na książki na całej ścianie. Wypełniały je teczki z aktami, z pewnością przywiezione tu bez wiedzy kogokolwiek, kodeksy, słowniki i literatura fachowa dotycząca, jak domyślał się Foks, każdego, nawet najmniejszego aspektu związanego z pracą prokuratora, psychologa, śledczego, technika i każdej innej osoby, z którą Kowalczyk na co dzień mogła się spotkać. – Widzę, że cały czas się doksztalczasz – rzucił, przyglądając się kodeksom.

– Bardzo śmieszne – odparła tylko, choć sądził, że powie coś w stylu „polskie prawo mam w małym palcu”, a on mógłby wtedy odbić piłeczkę

i powiedzieć „wcale mnie to nie dziwi, jest tego tak mało, że mieści się w małym palcu”, ale Kowalczyk najwyraźniej nagle odechciało się w to bawić, gdy tylko podeszła do rozłożonych na blacie notatek.

– Całkiem tego sporo – skomentował Foks, widząc, że gdyby chcieli wszystko równo rozłożyć, to zabrakłoby jeszcze dwóch takich blatów. Kartki nachodziły na siebie, najmniej ważne strony odwrócono, żeby zrobić miejsce na zapisane drobnym maczkiem notatki. Dziesiątki plików spięto spinaczami, dzięki czemu mogły teraz posłużyć Kowalczyk za podkładkę pod kieliszek.

Foks skrzywił się, gdy to zrobiła. Oczywiście wyobraźni widział już, jak przypadkiem trąca kieliszek łokciem, a czerwony trunek rozlewa się po ważnych papierach. Kowalczyk na pewno się tego nie obawiała, lecz on nie mógł za siebie ręczyć, dlatego od razu się odsunął. Stał tuż obok kobiety i dostrzegł schemat, w który układały się dokumenty. Z tej perspektywy przypominały drzewo genologiczne, jak się jednak okazywało, miejsce przeznaczone na jego korzenie pozostawało puste.

– Kogo szukasz? – zainteresował się Foks, próbując coś zrozumieć z tej płątaniny.

W odpowiedzi tylko westchnęła przeciągle.

Pół godziny później do drzwi zadzwonił kurier z pizzą. Foks zdążył już zrobić sobie drugiego drinka, a Eliza Kowalczyk była w połowie butelki wina. Zadrżeli, gdy usłyszeli dzwonek, a zaraz potem prokurator wróciła do swojego gabinetu z pudełkiem.

– Chcesz jakiś talerz? – spytała, choć widać było, że nie ma zamiaru przynosić go nawet dla samej siebie.

– Nie, dzięki.

Pizzę położyła na dokumentach w rogu stołu, otworzyła pudełko i oderwała jeden z trójkątów. Foks po chwili zrobił to samo, lecz gdy był jeszcze w połowie jedzenia, Eliza sięgała już po kolejny.

Nie znał jej od tej strony i nie wiedział, czy dobrze robi, że znajduje się teraz w jej naturalnym środowisku. Okazało się jednak, że sprawa, nad którą pracowała, była o wiele ciekawsza, niż mogłoby się to wydawać na pierwszy rzut oka. Możliwe, że zahaczała o to, nad czym on sam pracował, dlatego postanowił zostać i wysłuchać jej opowieści.

– Naprawdę sądzisz, że to jakaś sekta? – spytał Foks, gdy wcześniej opowiadała mu o swoich podejrzeniach.

– Czy sekta, tego nie wiem, może po prostu grupa sfrustrowanych osób, które mają już dość.

– Dość czego?

– No właśnie okazuje się, że wszystkiego. Mszczą się na ludziach, którzy w jakiś sposób im zaszkadzili. Ale trudno znaleźć w tym jakikolwiek sensowny klucz. Stąd pomysł, że to sekta. Wybierają słabe ogniwa, które łatwo można kontrolować.

– Z jakiego środowiska?

- Foks, gdybym to wiedziała, toby cię tu teraz zapewne nie było. Mam udokumentowane napaści bez motywu. W większości przypadków sprawca nie jest znany. Tylko raz ktoś został przyłapany na gorącym uczynku.

- Pokaż.

Eliza podała mu plik zawierający raporty z zatrzymania, oględzin ofiary i miejsca zdarzenia.

- To wygląda identycznie jak nasze ostatnie pobicie – przyznał.

Szybko przejrzał dokumenty. Dotyczyły napaści na, zdawać by się mogło, przypadkową osobę. Zaczajono się na pracownika banku. Ciemny zaulek, metalowa rurka, której nigdy nie znaleziono, połamane żebra i wybity ząb. Poza tym nic. Żadnego śladu sprawcy i powodu jego działania.

- Tu nie ma żadnego klucza, nie ma motywu. Ofiary same nie wiedzą, o co może chodzić.

- Albo nie chcą powiedzieć, bo mają coś na sumieniu – zauważył.

- Tak, to też jest bardzo prawdopodobne.

- Coś jednak te sprawy musi łączyć, skoro wszystkie je tu zebrałaś. Bo gdyby chciać rozpatrywać każdą napastkę, to nie starczyłoby ci nie tylko stołu, ale i życia.

Kowalczyk podała mu zapisaną odręcznie kartkę.

- Każda ofiara miała rozległe obrażenia klatki piersiowej i brzucha, a co za tym idzie – uszkodzenia narządów wewnętrznych. Oczywiście pojawiały się też ślady na głowie, rękach i nogach, ale jednak napastnicy skupiali się głównie na tej jednej części. Łamali żebra, gruchotali szczęki, ale na prześwietleniach widać było, że ofiary najbardziej uszkodzone mają klatki piersiowe.

- U Olejnika było podobnie.

- Dlatego zainteresowałam się tą sprawą. Trudno znaleźć podobne przypadki, bo klatka piersiowa zwykle nie jest atakowana.

- Czy ofiary coś poza tym łączy?

- Nic a nic. Są to najróżniejsze osoby, zupełnie ze sobą niepowiązane, zamieszkujące całą Warszawę, pracujące chyba we wszystkich możliwych

zawodach. Znajdowano ich w najróżniejszych miejscach. Na ulicy, chodniku, w jakichś wąskich przejściach, korytarzach, pod wiatami przystankowymi. Raz znaleziono kogoś w kontenerze na śmieci, raz w bagażniku własnego samochodu, był też ktoś wepchnięty do studzienki kanalizacyjnej.

– Tu już dałoby się znaleźć motyw. Śmieci, ściek.

– To fakt, ale jak się zawsze okazywało, miejsce nie miało znaczenia, chodziło tylko o ukrycie ciała. Choć w innych przypadkach nie były chowane, ale można się domyślać, że dla sprawcy każda ciemna brama bądź pusta ulica nocą były już czymś na kształt kryjóWKi.

– To trochę naciągane, ale można by tak stwierdzić – przyznał. – Naprawdę nikt nigdy nie został przez kogoś zauważony albo nagrany na monitoringu? W to trudno mi uwierzyć. Jeśli ktoś został wyrzucony na ulicę, pobity na chodniku czy parkingu, to jakaś kamera musiała go uchwycić. Ktoś musiał to widzieć. – Wiedział, że nawet jeśli sprawca nie był znany, to znany byłby w takim wypadku jego przybliżony wizerunek, chociaż zarys, zauważony na obrazie zarejestrowanym przez kamerę przemysłową. W tych czasach przeglądanie monitoringu było podstawą, bez tego ani rusz.

– I tu dochodzimy do sedna – powiedziała, po czym wzięła głęboki łyk wina. – To wszystko, o czym ci powiedziałam, nie byłoby jeszcze aż tak dziwne, gdyby nie okoliczności tych wszystkich napaści.

Zrobiła pauzę, jakby chciała, żeby Foks zaczął zgadywać.

– Jakie? – spytał w końcu, dojadając drugi kawałek pizzy. Miał ochotę na więcej, ale nie chciał pokazywać, jak wiele pochłania, dlatego już nie podchodził do pudełka.

Zamieszwał w szklance, a po pokoju rozniósł się odgłos objijającego się o szkło lodu.

– Możesz mi to powiedzieć w kuchni – zachęcił ją, wychodząc. Dosypał sobie lodu z kostkarki, dołał whisky, a Eliza zgrabnie wdrapała się na blat, usiadła na nim i napiła się wprost z butelki. Zapatrzyła się w Foksa, jakby cały czas oczekiwała, aż sam sobie odpowie na postawione pytanie.

– Wszystkich tych napaści dokonano w momentach... Nie wiem, jak to ująć. W dniach oczyszczenia, ja to tak nazywam.

– Masz na myśli...

– Ulewy, burze, zamiecie śnieżne – weszła mu w słowo. – Ogólnie rzecz ujmując, ludzie zostają napadani, gdy pogoda daje mocno o sobie znać. Gdy zsyła na tę część Ziemi kataklizmy. W cudzysłowie, oczywiście, bo żadna burza, ulewa czy zamieć tak naprawdę nie mogą nam nic zrobić.

– Ale mogą być znakiem, że coś się dzieje. Takim palcem bożym – powiedział i prychnął, sam rozbawiony swoimi słowami.

– Racja – poparła go Eliza. – „A jeśli Ja palcem Bożym wyrzucam złe duchy, to istotnie przyszło już do was królestwo Boże” – wyrecytowała. – To z Ewangelii według Świętego Łukasza. Rozdział jedenasty, werset dwudziesty.

– Aż tak dobrze znasz Biblię? – zdziwił się. Nie sądził, że Kowalczyk była religijna.

– Bez przesady, nie cytuję z pamięci, bo usłyszałam to kiedyś w kościele, ale trafiłam na ten fragment w trakcie szukania odpowiedzi na te wszystkie pytania. Fragment o Bogu, który wyrzuca złe duchy.

– To brzmi znajomo.

– W jakim sensie?

– Ostatnio... Już nie pamiętam, kiedy dokładnie to było, ale idąc ulicą podczas całej tej śnieżycy, minąłem jakiegoś starego faceta. Taki typowy koleś żyjący w chlewie, w którym nie ma żyłki ani mydła. Na przystanku autobusowym zamęczał ludzi gadaniem o końcu. Mówił coś o tym, że piekło zamarza, a świat się kończy.

– Pierdolisz!

– Co?

– Serio chcesz mi powiedzieć, że ja od pięciu lat szukam odpowiedzi na pytania, kto i dlaczego katuje ludzi, a ty przypadkiem natrafiasz na jakiegoś pierdolonego szamana, który mówi o końcu świata?

– Nie wiem, czy to może mieć coś wspólnego z tym wszystkim, może facet po prostu odkleił się od rzeczywistości, może pierdoli takie rzeczy codziennie. Nie wiem, ale myślę, że podobne nastroje w takich dniach nachodzą naprawdę wielu ludzi. Tym bardziej tych starszych, fanatycznych, którzy przeżyli, co mieli przeżyć, i chętnie w ostatnie dni

życia zobaczyliby apokalipsę w wersji na żywo. W sumie to by było bardzo ciekawe. Umierać i patrzeć, jak cały świat płonie. Jak wszyscy umierają razem z tobą – rozmarzył się. – To bardzo pokrzepiająca wizja.

– A co, boisz się śmierci w samotności? – zakpiła.

– Tak. Boję się właśnie tego i wielu innych rzeczy, ale może nie gadajmy teraz o tym.

Zmieszała ją ta odpowiedź. Wyraźnie alkohol stępił jej cięty język i bezrefleksyjne przyjmowanie słów Foksa. Czyli jednak miała jakieś uczucia.

Foks wziął głęboki łyk i spojrzał na zegarek. Właśnie wybiła dwudziesta druga dwadzieścia dwie. Nienawidził tej godziny, a trafiał na nią aż nazbyt często. Szczególnie w niepokojących sytuacjach. Taką też była rozmowa o śmierci i apokalipsie.

Skrzywił się mimowolnie.

– Pamiętasz, gdzie widziałeś tego faceta? – spytała po chwili milczenia.

– Teraz trudno mi sobie przypomnieć, ale jutro rano, gdy na trzeźwo przeanalizuję swoje ostatnie piesze trasy, na pewno do tego dojdę. Dam ci znać.

– Super.

Foks wolnym i nieco już chwiejnym krokiem wrócił do gabinetu Elizy. Sądził, że pójdzie za nim, ale kobieta nagle gdzieś zniknęła.

– Mówiłaś coś jeszcze o treści żołądka znalezionej w metrze! – krzyknął na tyle głośno, żeby go usłyszała, gdziekolwiek w mieszkaniu teraz była. – Sądysz, że to też może mieć jakiś związek z tą sektą? Myślę, że możemy skrótowo ich tak nazywać, bo w sumie trudno znaleźć lepsze określenie.

– No właśnie nie mam pewności – odkrzyknęła. – Ale gdy zobaczyłam, że ty łączysz te dwie sprawy, to zrozumiałam, że wszystko może być powiązane.

– Ile było ofiar śmiertelnych wśród tych, które teraz uwzględniasz?

– Dwie. Tylko i aż.

– Wiadomo, jaka była treść ich żołądka?

Foks poczuł, że za chwilę dowie się, jaką konkretnie treść posiada jego żołądek, bo ta o mało nie wylądowała na stole, gdy zobaczył wchodzącą do gabinetu Kowalczyk.

– Sorry, musiałam się przebrać, bo po całym dniu już miałam dosyć tamtych ubrań.

Zaniemówił. Kowalczyk miała teraz na sobie bardzo obcisłe, czarne legginsy, które podkreślały jej duży, umięśniony tyłek i zgrabne nogi, którymi jednak z łatwością mogłaby złamać komuś kark, gdyby tylko знаła odpowiedni chwyt. Piersi zakryła dość zwiewną, czarną koszulką na ramiączkach, ale jedno spojrzenie wystarczyło, żeby zauważyć brak stanika. Rozpięty jeden z trzech guzików prezentował dekolt, jakiego Foks jeszcze nigdy u niej nie widział.

Do tego wszystkiego rozpuściła w końcu włosy, zdjęła skarpetki i na bosaka przechadzała się po pomieszczeniu. Czasem stawiała na palcach, jakby jej mięśnie cały czas miały w pamięci szpilki, w których Kowalczyk przecież dzisiaj nie chodziła.

Foks zganił samego siebie, że spojrzał w jej stronę, gdy przez chwilę stała do niego bokiem.

Nie pij więcej, polecił sobie w myślach i odstawił szklankę na stół.

– Pytałeś o treść żołądka – kontynuowała, przerywając milczenie. Zdawała sobie sprawę, że zmiana jej stroju zbiła go z tropu, choć sam nie chciał się do tego przyznać. Tak jednak było. Męskiej natury nie potrafił oszukać i ona doskonale o tym wiedziała.

– Zastanawiam się, czy znaleziono coś w żołądkach ofiar, które wypatrzyłaś.

– W tamtych przypadkach nie przeprowadzono aż tak dokładnych badań. Ustalono przyczynę śmierci i koniec.

– Domyślam się jednak, że dotarłaś do patologa, który przeprowadzał sekcję. – Jednak sięgnął po szklankę. Po prostu musiał się napić, trzymać coś w dłoni, mieć na czym zawiesić wzrok.

– No jasne. – Najwyraźniej ucieszyła się, że to powiedział. – Tyle że nic to nie dało. Widziałam zdjęcia z sekcji, zawartość żołądka. W obu przypadkach nie dało się nic konkretnego wyodrębnić bez odpowiednich badań i nakładów finansowych, które w tamtym momencie były zbędne dla rozwiązania sprawy.

– Jak się okazuje, jednak ważne.

– Najprawdopodobniej nie. Bo sprawa nie jest aż tak prosta, jak mogłoby się wydawać. Podstawiamy wszystko pod schemat, który przecież nie musi być właściwy. Rozwiązań może być wiele albo może nie być też żadnego. Błądzą w tym wszystkim – powiedziała w końcu, a jej głos nabrał tonu, jakby wypowiadała słowa „Proszę, pomóż mi”.

– Czemu właściwie tak bardzo ci na tym zależy? Czemu rozwiązanie tej sprawy jest dla ciebie aż tak ważne? – zapytał. – Żadnego orderu za to nie dostaniesz. Tym bardziej jeśli to część sprawy, nad którą aktualnie pracujemy.

– Wiem. Żadne nagrody czy pochwały nie mają dla mnie najmniejszego znaczenia.

– A co ma znaczenie?

Kowalczyk znów podała mu jeden z plików spiętych kartek. Podeszła niebezpiecznie blisko. Stała o krok od niego i czekała, aż zobaczy, czego dotyczy dokument.

– Jedną z pierwszych ofiar jest moja siostra. Była wtedy w trzecim miesiącu ciąży. Ktoś ją dotkliwie pobił. Tak jak w przypadku pozostałych ofiar – najwięcej ciosów zadano w okolice klatki piersiowej i brzucha. Chyba nie muszę mówić, jak to się skończyło.

Foks spojrzął jej w oczy. Nie było w nich smutku, jedynie złość. Teraz już ją rozumiał.

– Jeszcze z tego nie wyszła – dodała po chwili. – Chodzi na rehabilitację, psycholog to podstawa jej funkcjonowania, psychiatra nie

nadaża z wypisywaniem leków. Z dnia na dzień stała się zupełnie inną osobą.

– Gdzie pracowała? – spytał, bo w dłoni trzymał tylko opis obdukcji. Nie chciał się w niego wczytywać.

– Nie miała żadnego szczególnego stanowiska.

– Trudno w takiej sytuacji oceniać, jaka praca ma sens, a jaka nie ma.

– Nie w tym rzecz. – Westchnęła przeciągle i dopiero po chwili odpowiedziała. – Pracowała w banku. Była doradcą kredytowym. Nie rozumiem, jak ktoś na tak niskim... To znaczy... Nie rozumiem, jak mogła komuś zająć za skórę.

Foks skrzywił się, słysząc, jak płacze jej się język.

Odsunął się od niej i odłożył dokumenty na miejsce. Miał teraz wielką ochotę położyć się na łóżku, choć cały czas ze szklanką w rękę, i po prostu zasnąć. Czuł, że gdyby teraz usiadł w wygodnym uszaku, położył nogi na podpórce, zapatrzył się w ciemną ścianę albo wychodzące na miasto okno, wsłuchał się w szum wiatru niosącego miliardy płatków śniegu, w nieliczne odgłosy jadących samochodów i klnących na lód przechodniów, to odpłynąłby w ciągu chwili.

Miał też świadomość, że gdy wróci do mieszkania i ociężale opadnie na łóżko, to zmrúży oczy zapewne dopiero wtedy, gdy będzie się zbliżał świt.

Nie miał już siły na dalsze rozmawianie o tej sprawie.

– A co z wrózeniem z wnętrzości? – spytał jednak, siadając na podłodze. Na trzeźwo zapewne nigdy nie zadałby podobnego pytania, brzmiało absurdalnie, ale sądził, że Kowalczyk będzie miała na nie bardzo poważną odpowiedź.

Podłoga była zimna i twarda. Tego właśnie było mu teraz trzeba. Dziwił się, że Eliza nie sprawiła sobie tu żadnego miękkiego szezlongu, na którym kontemplowałyby własny geniusz. Dzięki temu jednak nie był skazany na oddanie się błogiemu stanowi, na który nie mógł sobie w tym momencie pozwolić.

– Co dokładnie masz na myśli? – spytała, nagle niknąc za stołem. Z poziomu podłogi nie mógł jej teraz śledzić wzrokiem, co było kolejnym pozytywnym aspektem tego miejsca.

– Mówiłaś, że ktoś mógł chcieć wróżyć z wnętrzości naszej ofiary. Jak to się ma do twoich przypadków?

– Nikomu nie wypruto flaków, więc nie ma żadnego wróżenia.

Z tym bym się nie zgodził, pomyślał Foks. Zanim jednak powiedział to na głos, zobaczył, jak Kowalczyk wyłania się zza mebla. W tym momencie miała już na sobie tylko legginsy. Koszulkę trzymała w dłoni, a jej dość duże, jędrne piersi drgały delikatnie przy każdym kroku, gdy zmierzała w stronę Foksa.

Stała naprzeciwko niego i oparła się o blat. Zmierzyła go dziwnym, tajemniczym spojrzeniem, skrzyżowała nogi i ścisnęła ramionami piersi. Udawała, że się nad czymś zastanawia, patrząc w okno, lecz tak naprawdę dawała Foksowi czas na to, żeby się na nią bez skrupowania napatrzył.

– Co ty robisz? – spytał i dopiero tym ją zmieszał. Nie sądziła, że zareaguje w ten sposób.

Wstał. Dopił jednym haustem drinka i odstawił szklankę na stół. Kąciki ust Elizy drgnęły, powstrzymywała swój chytry uśmiech, który tak doskonale znał.

– Coś nie tak? – spytała zadziornie, sądząc, że wstał specjalnie dla niej. Ale on ją po prostu minął. Przeszedł do salonu, zabrał z wieszaka na korytarzu płaszcz i otworzył drzwi.

– Pomyślę nad tym wszystkim. Pogadamy jutro.

Wyszedł. Zamknął za sobą drzwi. Gdyby tylko były choć trochę cieńsze, usłyszałby rzucone przez nią siarczyste przekleństwo.

Gdy tylko wszedł do mieszkania, nalał sobie whisky, chociaż czuł, że nie powinien już więcej pić. Mimo to przechylił pierwszą szklankę na raz, potem nalał sobie znów i podszedł do okna.

– Chujowo wyszło – rzucił do swojego bladego odbicia w szkłe, ale sam nie wiedział, czy ma na myśli przesynt alkoholu, czy zaistniałą pół godziny temu sytuację. Czy może każdą, która spotkała go przez ostatnie kilka miesięcy.

Wszystkie odpowiedzi były trafne.

Stuknął szklanką o szybę, wznosząc toast z każdym, kto teraz pił.

– No to za tych, którzy już nie mogą się napić – mruknął, zastanawiając się, jakim właściwie cudem wrócił cały do mieszkania. U Kowalczyk nie wypił wiele, ale mimo to świat dwoił mu się w oczach. Miał trzy opcje. Albo zabić się po drodze, albo zostać zatrzymanym, a wtedy razem z silnikiem zgasałaby jego kariera. Trzecią opcją był spokojny powrót do domu.

– Czemu akurat to się udało? – spytał, po czym zdał sobie sprawę, że dziś wymienił ze sobą już zbyt wiele zdań. Należało to zakończyć.

Rozebrał się i poszedł do łazienki. Wszedł pod prysznic i odkręcił gorącą wodę. Whisky postawił obok żelu pod prysznic. Wsunął w usta papierosa i usiadł tak, żeby woda nie zalała żaru.

Zasnął, zanim fajka wypaliła się do połowy.

Foks przypatrywał się siedzącemu po drugiej stronie stołu mężczyźnie i nie wiedział, na kogo patrzy: na idiotę czy człowieka, który naprawdę jest zamieszany w ich sprawę. Na pewno był teraz ważnym podejrzanym, który jednak nie miał zamiaru ani im pomóc, ani sobie zaszkodzić.

– Milczenie w niczym panu nie pomaga – powiedział Foks, gdy po raz kolejny zapytał, dlaczego napadł na Tomasza Olejnika i skąd właściwie go zna. Nie sądzili, żeby pobił go przypadkiem, za krzywe spojrzenie bądź niemiłe słowo.

Na razie wiedzieli tylko, gdzie pracuje i mieszka. Był rozwodnikiem, codziennie meldującym się przy taśmie produkcyjnej. Nie miał żadnych powiązań z Olejnikiem. Nie powinien się w ogóle znaleźć na miejscu napaści. Jeśli chociaż powiedziałby, że wracał do domu lub jechał do pracy, łatwo byłoby policji udowodnić, że ten konkretny przystanek nie znajdował się na jego codziennej trasie. To oznaczałoby, że specjalnie z niej zbieczył. Gdzie? Tu musiałby się dalej tłumaczyć, tym samym coraz bardziej się pograżając.

Dobrze więc robił, że milczał. Oczywiście dobrze dla samego siebie, bo Foks i naczelnik z chwili na chwilę denerwowali się coraz bardziej, nie mogąc z tym niczego zrobić.

– Jeśli uważa pan, że nie napadł na Olejnika, to co pan robił w tej części miasta?

Mężczyzna patrzył tępo w ścianę. Miał zmęczony, nieobecny wzrok. Na początku był przestraszony, to nie ulegało wątpliwości. Zdziwił się, że został zatrzymany. Szarpał się, chciał się wyrwać, ale ostatecznie poddał się policji. Teraz jedynie milczał, a zanosilo się, że z braku dowodów mężczyzna zostanie niedługo odesłany do domu.

- Musi o tym wiedzieć - powiedział wcześniej naczelnik, podczas spotkania poprzedzającego przesłuchanie. - Ma świadomość, że im mniej powie, tym lepiej dla niego. Poza tym tak zaplanował napaść, że nie mamy twardych dowodów. A zamglony wzrok świadka podczas śnieżycy to tak naprawdę nic.

- Albo został bardzo dokładnie poinstruowany, co ma robić - zauważył Foks, cały czas mając w pamięci to, o czym wczoraj rozmawiał z Kowalczyk.

- Myślisz, że to jakaś lepiej zorganizowana grupa, która dokładnie planuje napaści i wykorzystuje do nich przypadkowych ludzi? Ci odwalają czarną robotę i albo wpadną, albo się wybronią?

Głos naczelnika brzmiał niemilo; raczej nie wierzył w taką ewentualność.

- Po prostu nie można tego wykluczyć.

- Po prostu zrób coś, żeby to potwierdzić - warknął naczelnik, a Foks w odpowiedzi wyszedł z jego gabinetu. Od razu skierował się do pokoju, w którym już od jakiegoś czasu czekał na niego podejrzany. Foks był przekonany, że mimo wszystko coś z niego wyciągnie, a jeśli nawet facet nic nie powie, to chociaż zareaguje jakimś grymasem na jego słowa. Komisarz chciał zobaczyć jego rozbiegany wzrok, spocone dłonie, niepewnie stukające o blat stołu palce czy podrygującą nerwowo stopę, ale podejrzany pozostawał niewzruszony.

Czy raczej, pomyślał Foks, wyprany z emocji.

Nie miał czego zapisać, nie miał czego umieścić w raporcie, nie miał czego wysnuć z tego spotkania.

Tylko marnuję czas, powtarzał w myślach, ale jednocześnie próbował opracować jakiś inny plan. Wbijał natarczywy wzrok w mężczyznę. W końcu wziął krzesło i usiadł tak, żeby tamten musiał spojrzeć mu w oczy. Foks był ciekaw, czy wytrzyma spojrzenie i w końcu odwróci wzrok. Liczył na to, ale mężczyzna tylko wolno przesunął spojrzeniem po ścianie i utkwił je w podłodze.

- Czy istnieje ktokolwiek, kto powinien zostać poinformowany o pana zatrzymaniu? - Znów milczenie. - Wiem, że jest pan od kilkunastu lat

rozwodnikiem, ale nie wiem nic o bliskich znajomych. Jak na razie został o pana zatrzymaniu poinformowany wyłącznie pracodawca.

Mężczyzna drgnął, ale usilnie starał się nie dawać po sobie poznać, że w jakikolwiek sposób go to rusza.

– Oczywiście, wie o zarzutach, ale myślę, że najwięcej dowie się nie od nas, ale od mediów. Tak samo jak pana znajomi i sąsiedzi.

Foks miał świadomość, że media akurat niewiele wiedziały o całym zajściu. Policja nie rozpowszechniała informacji o Domagalskim, bo nie potrzebowała żadnej pomocy opinii publicznej. Sprawa też nie łączyła się na razie oficjalnie z innymi, więc była traktowana jak zwykłe pobicie. Ale ich zatrzymany o tym nie wiedział.

– Myślę, że gdy poznają pana prawdziwe oblicze, to nie będą zbyt dobrze do pana nastawieni.

Mężczyzna spojrział na niego. Prosto w oczy, intensywnie. Jego wzrok mówił: „Grozisz mi?”. Spojrzenie Foksa natomiast odpowiadało: „Tak”.

– W zasadzie już tacy są – skłamał. – Jakies dwie godziny temu byłem w pana zakładzie. Chciałem się co nieco dowiedzieć, skoro milczysz. Możemy sobie mówić na ty? – spytał, ale nawet nie czekał na odpowiedź. – Mówienie do kogoś takiego jak ty „pan” strasznie mnie mierzi.

Foks założył nogę na nogę i usiadł nieco wygodniej. Miał ochotę zapalić. Uwielbiał oglądać stare filmy, a na nich, podczas przesłuchań, każdy palił. To mu się podobało, wprowadzało pewien spokój, na którym mu teraz zależało, ale sam nie potrafił go wywołać. Czuł to napięcie, które jego dekoncentrowało, a siedzącego przed nim mężczyznę utwierdzało w przekonaniu, że znajduje się na wygranej pozycji.

– Nie spędziłem tam zbyt wiele czasu, przyznaję. Ale dowiedziałem się wszystkiego, czego mogłem. Dużo się dowiedziałem. – Zrobił pauzę i przez chwilę udawał, że ogląda swoje paznokcie, jakby to było w tym momencie ważniejsze niż kontynuowanie historii.

Miał nadzieję, że nikt nie będzie potem odsłuchiwał nagrania z tego monologu, bo zdecydowanie nie można było tego nazwać przesłuchaniem. Ale sądził, że jeśli doprowadzi ich sprawę do końca, to właśnie ten moment może być jednym z przełomowych.

- Rozmawiałem z każdym, kto był podczas pracy, przerwy bądź po skończeniu zmiany najbliższej ciebie.

W zakładzie pracowało wiele osób, tylko część znała Domagalskiego z nazwiska, jeszcze mniej z imienia. Niektórzy nawet nie kojarzyli jego twarzy.

- Dlaczego tak mało osób go tutaj zna? - spytał kobietę, która często pracowała z podejrzanym przy taśmie produkcyjnej.

- Z jednej strony jest milczący, ale z drugiej potrafił wybuchnąć - odparła, paląc papierosa przed zakładem. - Gdy już się odzywał, to raczej opryskliwe, niemilo. Szczególnie w odniesieniu do szefa, oczywiście za jego plecami, to jasne, ale widać było, że każdego z nas ma głęboko w dupie.

- Panią też?

- Kiedyś próbowałam z nim rozmawiać, ale odpuściłam, gdy zrozumiałam, że to bez sensu.

- Domyśla się może pani, czemu nie chciał nawiązywać żadnych kontaktów? Z tego, co mi wiadomo, nie ma ani rodziny, ani żadnych bliższych znajomych.

- Zapewne nie ma ich z tego samego powodu. Może po prostu taki już jest i nie zamierza tego zmieniać, bo mu z tym dobrze. Wiele osób nienawidzi innych. Tak dla zasady. I się z nimi nie spoufala. Poznałam w życiu na tyle dużo ludzi, że niespecjalnie mnie to dziwi.

- A jest ktoś, kogo darzył największą sympatią, nie wiem, może na kogoś czasem spoglądał, komuś się uważniej przyglądał? - Kobieta w odpowiedzi tylko wzruszyła ramionami. - A kogoś nienawidził w wyjątkowy sposób?

- Jeśli chodzi panu o to, z kim miał największy konflikt, to nie będę mogła nikogo konkretnego wskazać.

- Zna pani może tego człowieka?

Pokazał jej zdjęcie mężczyzny, na którego napadł jej kolega z pracy, ale kobieta tylko pokręciła przecząco głową. Nazwisko także nic jej nie mówiło. Foks czuł coraz większą frustrację. Dopiero gdy powiedział, kiedy i gdzie doszło do napaści, kobieta zrobiła wielkie oczy.

- Wystarczyło jedno zdanie i niemal wszystko stało się jasne – powiedział, nie spuszczać wzroku z podejrzanego. Widać było, że Domagalski zaczął się niepokoić. Wiedział, do czego Foks zmierza. – Czasem wypowiadałeś je mimowolnie, pod nosem. Może nawet o tym nie wiedziałeś. Ale ludzie cię słyszeli. Nie raz i nie dwa. Wiesz, jakie to zdanie?

Foks dostrzegł, jak na czole mężczyzny występuje żyła. Oddychał nieco szybciej, ale poza tym niewiele się w jego postawie zmieniło. Foks podziwiał go za tak doskonale panowanie nad emocjami.

- Wypowiadałeś je, pracując, starałeś się wyrycić je sobie w pamięci, nie mogłeś zapomnieć ani jednego słowa. Chciałeś mieć pewność, że nie popełnisz błędu, że wypełnisz zadanie w każdym calu. No i udało ci się. Zapamiętałeś dokładnie czas i miejsce. Powtarzałeś sobie ciągle, gdzie masz dokonać napaści. Pytanie tylko, jaki miał być jej ostateczny efekt. Chciałeś zabić? – spytał po chwili milczenia.

Mężczyzna spojrział na Foksa, a komisarz aż zadrżał, gdy po raz pierwszy usłyszał dźwięk jego głosu.

- Przeżył?

Foks odpowiedział twierdząco. Mężczyzna tylko pokiwał głową, nie dając znać, czy ta odpowiedź jest satysfakcjonująca, czy rozczarowująca. To zdenerwowało komisarza najbardziej.

– Co jej jest? – spytał zdziwiony Radecki, widząc, jak prokurator miota się po pomieszczeniu. Żywo gestykulowała, rozmawiając z naczelnikiem, i co rusz piorunowała Foksa spojrzeniem. – Dopiero co słyszałem, jak nastawia naczelnika przeciwko tobie. Co jej zrobiłeś?

– Pytanie raczej brzmi, czego jej nie zrobiłem – odparł, włączając ekspres. Potrzebował kawy, chociaż w drodze na komendę wypił dwa energetyki. W ich towarzystwie leżała mała butelka jägermeistera i naprawdę kusila, ale wiedział, że przy takiej pogodzie nietrudno o stłuczkę, a przy stłuczce o badanie alkomatem. Wtedy byłoby naprawdę źle. Chociaż połączenie blacka z kilkoma małymi łykami likieru zdecydowanie lepiej postawiłoby go na nogi, to jednak tym razem musiał zrezygnować. Poza tym liczył, że kawa, którą pił dość rzadko, da mu kopa chociaż na godzinę.

– To znaczy? – Radecki nie zrozumiał. – O czym ty mówisz?

Foks spojrzał na niego znacząco, ale do podkomisarza najwyraźniej nic nie docierało. Wcale się nie dziwił, podobna aluzja była nie na miejscu, podobnie jak to, co wydarzyło się wczoraj. Nawet gdyby Foks powiedział wprost, do czego doszło, to Radecki z pewnością tylko podniósłby w zdziwieniu brwi, nadal niczego nie rozumiejąc.

– A tak w ogóle to co z tobą? – spytał, patrząc na jego opuchnięte oczy i skrzywioną minę. – Wyglądasz jak zombie.

– Wierz mi, tak też się właśnie czuję.

Foks obudził się o drugiej w nocy. Leżał pod prysznicem, zalewała go woda, niedopalony papieros pływał wokół stóp, a w szklance nie było już śladu po whisky, za to wypełniła ją kranówka. Przeszedł do łóżka, ale

oczywiście długo nie mógł zasnąć. Tabletki na sen nie pomagały, dopiero nad ranem nieco przysnął, ale zaraz i tak musiał wstawać.

- Znowu...? - Zamilkł, zdając sobie sprawę, że pytanie o to, czy znów pił całą noc, nie będzie na miejscu.

- Nie, spokojnie - odparł Foks, domyślając się, o co mu chodzi. - Od pewnego czasu cierpię na bezsenność.

- Wcale ci się nie dziwię.

- Przydałoby mi się coś mocniejszego niż zwykłe środki, ale nawet nie mam kiedy pójść do specjalisty. - Wiedział, że gdyby jednak znalazł czas, to i tak by tego nie zrobił. Opowiadanie komukolwiek o swoich problemach nie leżało w jego naturze. Jak i w naturze większości osób, z którymi pracował.

- Widziałeś się wczoraj z Kowalczyk? - spytał, gdy prokurator wyszła od naczelnika i obrzuciła Foksa nieprzychylnym spojrzeniem. - Znowu były jakieś spięcia?

- Można tak to nazwać. Chyba.

- Chyba?

Wiedział, że nie powinien mówić Radeckiemu, co zaszło, ale ta sytuacja w dziwny sposób go dusiła, musiał się komuś wygadać.

- Okazuje się, że Kowalczyk pracuje nad dość ciekawą sprawą. Połączyła kilka wątków i chciała, żebym pomógł jej dotrzeć do sedna.

- Bardziej tajemniczo chyba już mówić nie możesz.

- Gdybym chciał się teraz wdawać w szczegóły, to musiałbym ci przedstawić cały materiał i spędzić kilka godzin na opowiadaniu o czymś, co być może jest tylko wytworem jej wyobraźni. Ale zdaje się, że jest w tym jakiś sens. Co więcej, możliwe, że jej poszukiwania łączą się z naszą sprawą.

- Nie brzmi to jak powód do spięcia, ale raczej do zakopania topora wojennego. Co więc poszło nie tak?

Radecki miał rację. Fakt, że Kowalczyk poprosiła o pomoc, świadczył o tym, że chciała się w końcu dogadać. Uznała go za kompetentnego śledczego, a przy tym za osobę zaufaną, której mogła powierzyć tajemnicę.

– Wiesz, pijemy, gadamy, łączymy wątki i nagle... – Foks zaczął mówić szepsem. – Nagle widzę, że Kowalczyk jest od pasa w górę naga. I idzie w moją stronę.

– Co, kurwa? – Radecki zrobił wielkie oczy i omal nie opluł się kawą, którą ledwo przełknął.

– Zareagowałem tak samo – powiedział i zrobił dramatyczną pauzę. – Albo i gorzej.

– Nie mam pojęcia, jak ta sytuacja mogła się rozwinąć, bo brzmi zbyt absurdalnie, ale jeśli zaraz mi nie powiesz, co było dalej, to zamiast ciebie spytam o to Kowalczyk.

Widać było, że Radecki umiera z ciekawości.

– No co mogłem zrobić? – Foks bił się z myślami. Nie chciał wdawać się w szczegóły, a Radecki brał jego oszczędne słowa za próbę budowania napięcia.

– Po zachowaniu Kowalczyk mogę wnioskować, że albo jej poprzedni facet pieprzył się znacznie lepiej, albo... – Zawahał się. – Albo nie skorzystałeś z okazji.

– Wyszedłem – powiedział w końcu Foks. – Po prostu wstałem i wyszedłem. W połowie zdania, chociaż nie pamiętam, czy mówiłem wtedy ja, czy ona.

– To brzmi trochę jak samobójstwo.

– A co, miałem ją rzucić na łóżko w czasie, gdy...

Pomyślał o żonie, której życie legło w gruzach. Czy miałby teraz na tych gruzach zatańczyć?

– To fakt. Tu nie było żadnego dobrego rozwiązania.

– Więc po prostu wróciliśmy do punktu wyjścia. Miałem okazję zyskać sympatię szanownej pani prokurator, ale cena była zbyt wysoka.

– Naprawdę ją wkurwiłeś. Takie osoby jak ona nie proszą, tylko biorą to, co, jak sądzą, im się należy. Pewnie myślała, że wywalisz język niczym spragniony pies i pozwolisz sobie na myślenie kutasem.

– Gdyby to było w innych okolicznościach... Nie no, bez przesady – zganił samego siebie. – To nie mogło się udać, chociaż trzeba przyznać, że naprawdę jest niezła.

- Ma czym oddychać? - zainteresował się Radecki, mając nadzieję na kolejną dawkę szczegółów. Foks nie odpowiedział, bo w tym samym momencie podszedł do niego aspirant Fijewski i wręczył plik dokumentów, o które wcześniej komisarz poprosił.

- Dzięki. A przy okazji, jak idzie sprawdzanie monitoringu z metra?

Wiedział, że pierwsza próba była nieudana, czego od początku się spodziewał. Teraz ktoś nowy usiadł do oglądania materiałów, a komisarz liczył, że świeże spojrzenie przyniesie jakiś efekt.

- Niestety wciąż nic.

- Straszne marnowanie czasu - wtrącił się Radecki, a Fijewski wrócił do swoich zajęć.

- Warto byłoby mieć cokolwiek.

- Myślisz, że kolorowa plama po człowieku, który utonął w tłumie, mogłaby nam jakkolwiek pomóc?

Foks wzruszył ramionami, przeglądając otrzymane dokumenty.

- Co to właściwie jest? - spytał, po czym odstawił pusty kubek po kawie.

- Kowalczyk mówiła wczoraj o... - prawie użył sformułowania „wrózenie z wnętrzości”, ale nie chciał, żeby Radecki zareagował podobnie sceptycznie jak on sam, gdy o tym usłyszał - o wnętrzościach ofiar. Nasza miała naznaczone wątrobę i płuca. Osoby, które ona wyłowiała spośród spraw, zostały dotkliwie pobite. Naruszono im narządy wewnętrzne.

- To akurat chyba nie powinno dziwić?

- Owszem, gdyby nie fakt, że sprawcy bili tak, żeby właśnie do tego typu obrażeń doprowadzić. Nie chcieli zabić, ale, że tak powiem, pogruchotać ofiarom wnętrza.

- I jaki z tego płynie wniosek? - Radecki nie rozumiał, o co chodzi komisarzowi. A i on sam nie miał pewności, czego właściwie szuka. Starał się zaufać Kowalczyk, cały czas wypierając z głowy moment tuż przed opuszczeniem jej mieszkania. Zatrzymali się wtedy jednak nad kwestią, która Foksa coraz bardziej intrygowała.

- Właśnie tego zamierzam się dowiedzieć.

W tym momencie interesowała go przede wszystkim informacja, kto przeprowadzał sekcję zwłok dwóch ofiar, o których wspominała Kowalczyk. Oczywiście miał w aktach spis obdukcji i opis sekcji, ale na razie niewiele z tego wynikało, co potwierdzała sama Kowalczyk.

Nad sprawami pracowało dwóch patologów i trzech lekarzy. To oznaczało kolejne błędzenie i szukanie kogoś, kto może coś wiedzieć, lecz przy takiej liczbie osób nietrudno o pominięcie jakiegoś istotnego szczegółu.

– Chyba nie obejdzie się bez wizyty u Mazurkiewicza – powiedział w końcu, zbierając najpotrzebniejsze dokumenty. Zanim jednak skończył je kompletować, rozdzwonił się jego telefon.

– Komisarz Robert Foks, słucham – rzucił zniecierpliwiony, ale chwilę później irytacja przemieniła się w zaskoczenie.

Foks niemal biegiem rzucił się do stanowiska, przy którym pracował aspirant Fijewski. Ten siedział wciąż przed laptopem i wpatrywał się w ekran, szukając jakiegokolwiek ciekawego elementu, który mógłby im coś podpowiedzieć. Po jego minie widać było, że nie jest nastawiony na sukces.

– Panie komisarzu, niestety... – zaczął, sądząc, że komisarz chce zweryfikować postępy w działaniu, ale nie o to mu najwyraźniej chodziło.

– Tak, wiem – przerwał mu. – Chłopak z metra nas wyręczył.

– Jak to? – Aspirant nie zrozumiał.

Foks pochylił się nad monitorem i sprawdził, na jakim etapie przeglądania materiałów jest młody policjant.

– No oczywiście – rzucił, widząc, że minął już fragment, który wychwycił pracownik metra.

Zamknął okienko odtwarzania i wybrał z listy odpowiedni plik. Przesunął do wskazanego miejsca, a potem cofnął o kilka sekund.

– To on.

Foks dotknął palcem monitora, żeby wskazać bezpośrednio na niebieskie dzinsy. Mężczyzna musiał być dość niski, bo nie dało się dostrzec jego głowy ponad głowami innych przechodniów. Foksowi zdawało się, że dostrzega jej czubek pokryty czarnymi włosami, ale nie miał co do tego pewności.

Najważniejsze jednak było to, że tuż obok plamy wypłowiejących spodni dało się dostrzec inną, która od razu przywodziła na myśl torbę. Plama zniknęła jednak, gdy mężczyzna minął wraz z tłumem kosz na śmieci.

- Zdaje mi się, że postać znajdowała się zbyt daleko kosza, żeby mogła dyskretnie, bez przepychania się wyrzucić torbę – zauważył Radecki, który nosem prawie dotykał powierzchni ekranu. Przybliżyli obraz. Widzieli, jak na wysokości kosza kroczą nogi ich podejrzanego, aż w końcu znikają na schodach.

- Z kiedy jest to nagranie? – zainteresował się Radecki.

- Sprzed trzech dni. Wyrzucił szczątki w momencie, gdy rozpętała się burza śnieżna. Może kilka godzin po tym, jak miasto zrobiło się białe.

- Czyli musiał dokładnie to zaplanować.

- Najwyraźniej. Wiedział, że nie pójdziemy jego śladem. Ani na miejsce zbrodni, ani do kryjówki.

- Ale za to możemy zobaczyć jego twarz. Tłum w samym wagonie powinien się nieco przerzedzić, a on musiał chociaż przez chwilę być widoczny.

- Było tak? – spytał chłopaka, który cały czas był na linii i tylko czekał na znak, że może mówić dalej. – Widać go, jak siedzi w metrze?

- Niestety na razie muszę czekać na zgodę, jeśli chodzi o przeglądanie innej części monitoringu – odparł posępnie chłopak. – To nie jest takie proste – dodał, gdy Foks znacząco milczał.

- Mnie się wydaje, że to bardzo proste.

Zastanowił się chwilę.

- Czy w tym momencie ktoś poza panem mnie słyszy?

Foks spojrział najpierw na aspiranta, potem na Radeckiego.

- Nie, jestem tu sam – skłamał z niepewnym uśmiechem na ustach. Aspirant zrobił minę, jakby nagle chciał się teleportować do sali obok albo chociaż na chwilę stracić słuch, a Radecki tylko przewrócił oczami.

- To proszę dać mi chwilę.

Chłopak, którego imienia Foks niestety nie zdołał zapamiętać, milczał przez kilka minut. W tym czasie zapewne szukał odpowiedniego nagrania. Komisarz domyślał się, że nie było to takie proste. Serwer musiał pękać w szwach od nadmiaru materiałów. Kamerę posiadały wszystkie stacje i wagony, znalezienie tej odpowiedniej mogłoby zająć nawet kilka godzin,

gdyby usiadł do tego ktoś bez doświadczenia, ale okazało się, że ten jeden pracownik miał w tym naprawdę dużą wprawę.

Oby tylko nie był stalkerem, który lubi śledzić w metrze swoją byłą, pomyślał Foks, zdając sobie sprawę, że zbyt szybko znalazł odpowiednie nagranie.

– Mam go – powiedział po kilku minutach napiętego oczekiwania.

– Zaraz wyślę kogoś po nagranie.

– Byłbym wdzięczny, gdyby pan najpierw postarał się o zezwolenie na jego wydanie. Inaczej długo tu już nie popracuję.

– W takim razie będę wdzięczny chociaż za wysłanie mi zwykłego zbliżenia na twarz.

– Zrobię to z prywatnego telefonu.

– Jasne.

Chłopak zachowywał się, jakby rozmawiał z jakimś znajomym przestępcą, a nie policjantem.

– Dzięki, wiadomość dotarła – powiedział Foks, gdy po kilkudziesięciu sekundach dostał plik. – W razie czego będę się odzywał – rzucił, po czym się rozłączył.

Foks położył telefon na blacie biurka i otworzył wiadomość. Zdjęcie załadowało się, a oni we trzech się nad nim pochylili. Chłopak wysłał mu zbliżenie na mężczyznę o wzroście może metr siedemdziesiąt, z dużą torbą spoczywającą na podłodze, między nogami odzianymi w dżinsy. Miał na sobie jeszcze szarą puchową kurtkę, a Foks już widział oczami wyobraźni, jak cały jego strój zlewa się z tłem na spowitej śniegiem powierzchni.

Twarzy nie zakrywał, ale naciągnięta na czoło czapka sprawiała, że z tej perspektywy dało się dostrzec wyłącznie usta i brodę.

Po chwili Foks dostał dwa krótkie nagrania, na których widać było, jak mężczyzna wsiada do metra, patrząc uważnie pod nogi, a potem wysiada, zachowując się podobnie i osłaniając twarz przed okiem kamery.

– Sprytny – mruknął Foks. – Nie rzucał się w oczy, osłonił się przed kamerami, a podczas śnieżycy raczej nie dałoby się go dostrzec z odległości nawet kilku metrów.

– Czyli mamy tyle, co nic – odparł Radecki.

- Tyle dobrego, że ktoś jednak może go rozpoznać – zauważył Foks. – Choć domyślam się, że ubrania, które ma tutaj na sobie, służyły mu tylko przez chwilę. Możliwe, że prędzej znajdziemy je w jakimś innym koszu.

- Albo na bezdomnym – wtrącił w końcu aspirant.

- Albo na bezdomnym – poparł go Foks. – Chyba że sam nim jest i właśnie nosi czyjś znaleziony w śmietniku strój.

- Myślisz, że jest to możliwe?

- Myślę, że w tej sprawie wszystko jest możliwe. I to jest w tym najgorsze.

Umówił się z Mazurkiewiczem na konkretną godzinę, żeby patolog nie mówił potem, że musi się dla komisarza odrywać od pracy. Gdy jednak Foks zobaczył siedzącą u niego Kowalczyk, niemal zaklął w głos i od razu miał ochotę się wycofać.

– Robert! – zawołał patolog, gdy go zobaczył. – Wchodź.

– Myślałem, że będziemy mogli pogadać w cztery oczy.

– O mojej sprawie, jak rozumiem? – spytała Kowalczyk, obracając głowę w jego stronę i mierząc go zabójczym spojrzeniem. – Bez obaw, możesz już sobie odpuścić. Bo to nie jest twoja sprawa – dodała, wyraźnie akcentując słowa.

– Nie wiesz, po co tu przyszedłem.

– Doprawdy? – spytała, a Foks domyślił się, że patolog od razu go sprzedał i wyjawiał prokurator powód jego wizyty. Zapewne dopiero co o nim rozmawiali. Mógłby przysiąc, że gdy tu jechał, uszy piekły go jak oszalale. Choć wtedy jeszcze nie wierzył w ten zabobon, to teraz wydawał się on naprawdę wiarygodny.

– Wejdiesz w końcu czy będziesz tu tak wiecznie sterczał? – spytał Mazurkiewicz, a Foks w końcu wszedł do jego gabinetu. W nozdrza uderzyła go woń papierosowego dymu. Wiedział, że Kowalczyk rzadko paliła, a mimo to trzymała teraz między palcami dopalającego się czerwonego marlboro, którym po chwili patolog poczęstował także Foksa.

– Dzięki – odrzekł, po raz kolejny ganiać się w myślach, bo przecież miał już rzucić.

– Więc co cię sprowadza? – spytał.

- Przepraszam... - Do gabinetu zapukała dość młoda asystentka patologa. - Mogę prosić na chwilę? - zwróciła się do Mazurkiewicza. - Mam problem z jednym dokumentem.

Powiedziała to dość niepewnie, jakby wcale nie o to chodziło. Mazurkiewicz zaklął, po czym wstał ociężale, niemniej aż nazbyt chętnie, i skierował się do wyjścia.

- Dajcie mi chwilę. Dziś trzeba to odesłać, a ta się z tym tak pier... - Nie dokończył.

- Nagle chcesz sabotować moją sprawę? - warknęła Kowalczyk, gdy tylko za patologiem zamknęły się drzwi. - Czy chcesz mi ją zabrać? Ambicja cię zżera, co?

- O czym ty mówisz?

- O tym, że zobaczyłeś fajną sprawę i chcesz mi ją podpierdolić.

Foks nie wierzył w to, co słyszał.

- Przecież dobrze wiesz, że pracuję nad czymś zupełnie innym, a sama zauważyłaś powiązania między obiema sprawami. - Nie sądził, że po ich wczorajszej rozmowie będzie musiał tłumaczyć jej takie rzeczy. - Dlatego tu przysłaś, żeby nie pozwolić mi z nim porozmawiać? - Skinął głową w stronę fotela Mazurkiewicza.

- Akurat wpadłam przypadkiem, a mówił, że też niedługo będziesz. Stwierdziłam, że poczekam, żeby zobaczyć, co znów knujesz.

- Po prostu robię swoje.

- Za moimi plecami.

- Przecież dobrze wiesz, że nie o to chodzi - warknął, chcąc dać jej do zrozumienia, że powinna stać po jego stronie. Wyjął telefon i pokazał zdjęcie mężczyzny, które zostało już rozesłane do każdego patrolu w mieście. - To on zostawił torbę ze szczątkami - powiedział, gdy Kowalczyk przyglądała się fotografii. - Sprawa powoli idzie do przodu. Za wolno jednak, dlatego chwytam się wszystkiego, czego mogę.

- Nie mówię, że... - zaczęła, nagle mięknąc, ale Foks nie dał jej dojść do słowa.

- Wiem, że wczoraj wyszło... dziwnie. A ty na pewno wiesz, że przecież musiałem wyjść. Prawda? - spytał, gdy Kowalczyk nadal milczała.

W końcu uległa i skinęła niechętnie głową. – Nie chcę teraz udawać, że nic między nami nie zaszło, ale wierz mi, to nie najlepszy moment na takie zagrania. I wcale nie mam tu na myśli naszego śledztwa. Zdajesz sobie z tego sprawę?

– Tak, wiem, że...

– Niemniej – znów jej przerwał – bardzo mnie cieszy to, że wczoraj mi pokazałaś to wszystko. Swoją sprawę – doprecyzował, żeby nie pomyślała, że chodzi mu o jej wdzięki. – Jest ona szalenie interesująca – przyznał, chociaż tak naprawdę uważał ją za nieco mniej angażującą. Tak czy inaczej, upór prokurator świadczył, że coś było na rzeczy, w to Foks nie wątpił. – Dlatego bardzo bym chciał dalej z tobą nad tym pracować. Tym bardziej że, jak już zauważyliśmy, oba dochodzenia się przeplatają i jedno może być wyjaśnieniem dla drugiego.

Kowalczyk wbijała wzrok w ekran jego telefonu, który właśnie zgasł. Nie chciała spojrzeć Foksowi w oczy.

– Co powiesz na wieczorną pizzę i dalszą pracę nad sprawą?

Kowalczyk znów milczała, ale po kilku sekundach, gdy Foks już schował telefon, w końcu wyprostowała się i odezwała.

– O co chciałaś spytać Mazurkiewicza? – zmieniła nagle temat, nie odpowiadając na pytanie. Z jakiegoś jednak powodu Foks był wręcz przekonany o tym, że chce się spotkać. Nie musiała odpowiadać wprost, widział to po jej minie.

Jakby na zawołanie do gabinetu wszedł patolog. Foks miał dziwne wrażenie, że niczego nie załatwił, a jedynie stał pod drzwiami i czekał, aż skłócona para, jakkolwiek to brzmi, zawrze rozejm.

– Więc co cię sprowadza? – spytał patolog, jakby nie chciał, żeby pytanie Kowalczyk nagle się rozwiązało.

– Rozmawialiście o... – Foks spojrział wymownie na Kowalczyk, a ona skinęła głową.

– Nie raz, nie dwa – przyznał Mazurkiewicz.

– Czemu, skoro to nie ty przeprowadzałaś sekcje?

– Ano dlatego, że sekcje przeprowadzał mój dobry znajomy. To znaczy może nie aż taki dobry, ale mieliśmy okazję wiele razy rozmawiać

i wymieniać się poglądami i doświadczeniami.

– I jakie miał doświadczenia w tych dwóch sprawach?

– W zasadzie to nie miał żadnych uwag. Dwie sprawy, jakich setki. Nie wyróżniały się w żaden sposób. Pytanie, co ciebie w nich ciekawi.

– Bardziej ciekawią mnie sprawy pobić, które nie zakończyły się zgonami. Jak jest trup, to w zasadzie wszystko jest podane na tacy.

– Czego w takim razie nie ma na tacy w pozostałych przypadkach? – zainteresowała się Eliza.

– W aktach są informacje o obrażeniach wewnętrznych, nie ma jednak dokładnego opisu wyników badań USG.

– Przecież wymieniono, które narządy zostały uszkodzone.

– Ale nie wspomniano, w jaki sposób. Nie uszkodzono ich znacząco, to rozumiem, ale interesuje mnie, czy powstał dokładny zapis badania? Czy jest fizyczna, utrwalona wersja wyników USG?

– Chodzi ci zapewne o wątrobę? – spytał Mazurkiewicz, rozumiejąc już, do czego zmierza komisarz.

– Tak.

Kowalczyk pokiwała poważnie głową.

– Co wy macie z tą wątrobą? – zdziwił się patolog.

– Nie my, tylko ci wszyscy zwyrodnialcy – warknęła Kowalczyk, tym samym popierając Foksa.

– Badania ultrasonograficzne raczej nie są dołączane do akt, jeśli nie doszło do rozległych urazów. W momencie, gdy pojawiają się niewielkie pęknięcia, to wie o nich lekarz prowadzący, ale takie uszkodzenia, jeśli nie towarzyszy im masywny krwotok, mogą się spokojnie zagoić, bez żadnych następstw, chirurg nawet nie musi zakładać rękawiczek. Jeśli jednak trzeba otworzyć jamę brzuszną, to oczywiście musi istnieć pełna dokumentacja.

– Jak było w naszych przypadkach? – spytał Kowalczyk.

– W większości nie trzeba było operować wątroby – odparła. – Pojawiły się powikłania, ale w odniesieniu do innych narządów, wątroba zwykle pozostawała w dobrym stanie.

- Niemniej domyślał się, że jakieś drobne urazy się pojawiły.

- To na pewno - przyznał patolog. - Przy takich sytuacjach zdziwiłbym się, gdyby było inaczej. Jak ktoś napierdalał ofiarę metalowym prętem albo tłukł kostką brukową, to nietrudno o krwotoki wewnętrzne.

- Dlatego jestem ciekaw, czy w przypadku naszych ofiar, nie tych śmiertelnych, powstała dokumentacja z USG narządów wewnętrznych. Także, czy raczej przede wszystkim, wątroby - powtórzył Foks.

- Z tego, co mi wiadomo, w ponad połowie przypadków wątroba nie została mocno naruszona. Chyba tylko w... - Kowalczyk musiała się chwilę zastanowić. - Tylko w dwóch przypadkach do akt dołączono wyniki USG.

- Czy jest szansa, że uda się dotrzeć do wyników pozostałych badań? - skierował pytanie do Mazurkiewicza.

Patolog przełknął ciężko ślinę. Widać było, że nie chce odpowiadać, bo to oznaczałoby, że dostęp do wyników może mieć ktoś postronny. Ktoś, kto współpracował ze sprawcami napaści, którym zależało na wynikach.

– W czym problem? – spytał Foks, nie rozumiejąc, czemu nagle nastąpiła cisza.

– W tym, że jeśli badania przeprowadzono, to ich wyniki, jeśli nie były istotne, zostały usunięte.

– Kurwa... – zaklął Foks. Spojrzał jednak na patologa, bo ten dziwnie zawiesił głos, jakby wcale jeszcze nie skończył mówić. Bił się z myślami, czy powinien kontynuować. – Ale?

– Ale możliwe, że do tego nie doszło.

– Do czego? – zaniepokoiła się prokurator.

– Do ich usunięcia.

Kowalczyk twierdziła jeszcze niedawno, że morderca używał narzędzi do rytuału, który można było nazwać roboczo wrózeniem z wnętrzości. Nie mieli pojęcia, jak i po co miałyby to robić, niemniej ślady pozostawione na wątrobie dość jasno wskazują, że narząd ten był dla sprawcy ważny. Okaleczył go, najprawdopodobniej wycinając wszystkie uszkodzenia powstałe w trakcie zadawania ciosów. Po co? Trudno było stwierdzić, ale bardzo prawdopodobne było, że karmił nimi swoje kolejne ofiary. To jednak była poboczna kwestia, ważne było natomiast to, że sprawca chciał mieć obraz wątroby wszystkich ofiar. A jeśli sam ich nie wyciął, to chciał zapewne zobaczyć wyniki USG i na ich podstawie prowadzić swoje „badania”.

Sprawca musiał mieć więc dostęp do akt. Co gorsza, także tych nieoficjalnych. A co za tym idzie, albo ktoś dostarczał mu poufne materiały, albo był osobą, która sama je zbierała.

– Sądzicie, że naszym sprawcą może być lekarz? – spytał w końcu.

- Albo ktoś, kto pracuje z osobami odpowiedzialnymi za opiekę nad ofiarami.

- Cały czas obstajesz przy tym, że ten ktoś okalecza ludzi, żeby wróżyć z ich wnętrzości?

Kowalczyk nie odpowiedziała.

- Ale po co miałyby to robić? - zastanawiał się na głos Foks. - Ja rozumiem, że można wierzyć w zabobony, przesady i tak dalej, ale coś takiego? Prędzej bym się przestraszył czarnego kota niż jakichś skaz na wątrobie. Co one mogą znaczyć?

- Kiedyś wróżono, żeby przewidzieć przyszłość - odparła Kowalczyk. - Wiesz, wygrana w wojnie czy zwycięstwo w bitwie, te sprawy. Przy czym nie ograniczali się do jednego zwierzęcia, najczęściej próby powtarzano, żeby mieć pewność.

- Serio? - zdziwił się. - Czyli wymyślili coś, w co ostatecznie i tak nie do końca wierzyli?

- Wierzyli, tylko musieli mieć twarde dowody.

- Śmiesznie brzmią takie słowa w ustach prokuratora.

- Jakkolwiek to nie brzmi, ktoś nadal w to wierzy. Wróży z wnętrzości jednego człowieka, potem karmi kogoś resztkami swojej ofiary, aby dokonać nowego, że tak powiem, pomiaru.

- Czyli sądzisz, że ktoś zabija po to, żeby przewidzieć jakieś wydarzenie?

- Na to wychodzi. I przeprowadza przy okazji liczne testy. Nie wiem, czy jego ofiary są przypadkowe, czy jednak potrzebuje konkretnych osób, niemniej wyławia z tłumu swoje zwierzęta ofiarne, napada na nie, a dzięki pobiciom ma pewność, że zostaną przeprowadzone odpowiednie badania, do których ma dostęp i które służą mu za swego rodzaju schemat, makietę.

- Czyli on wcale nie chce przewidzieć przyszłości - zauważył Foks. - On chce na nią wpłynąć. Inaczej za swój cel nie obierałby okolic brzucha.

- Musi mieć pewność, że właśnie obrażenia wewnętrzne będą sprawdzane. Gdyby zadawał ciosy w głowę, to nikt by nie robił USG wątroby - zauważyła trzeźwo prokurator.

- Ale w takim wypadku wyniki jego wróżenia są bez sensu.

- Być może właśnie dlatego zaczął zabijać. Żeby samemu wyjąć ofierze wątrobę i ją dokładnie obejrzeć. Dodatkowo także serce i płuca.

- To brzmi absurdalnie - rzucił Foks. - Chcesz nam powiedzieć, że szukamy jakiejś sekty, która zabija ludzi po to, by poznać przyszłość?

Foks spojrział na Mazurkiewicza, szukając u niego poparcia, ale wyglądało na to, że on także wierzył w tę wersję. Co więcej, obawiał się, że ktoś z jego znajomych macza w tym palce i przekazuje wyniki badań nieodpowiednim osobom. Dlatego nie miał pewności, co ma robić.

- Czy sekty, tego nie wiem, ale możliwe, że rzeczywiście siedzi w tym więcej niż jedna osoba. Być może także facet, którego zgarnęliśmy za pobicie. Przecież nie milczy bez powodu.

- Pewnie sądzi, że jeśli nie powie ani słowa, to niczego mu nie udowodnimy.

- I ma zasadniczo rację - przyznała Kowalczyk. - Nasz świadek nie widział jego twarzy, tylko ubiór, a kolor kurtki to za mało, żeby go wsadzić.

- Ale milczenie wystarczy, żeby wiedzieć, że nie ma czystego sumienia.

- Brudne sumienie nie wystarczy, żeby kogoś skazać - włączył się w wymianę zdań Mazurkiewicz.

- Dlatego potrzebujemy zdobyć materiały, o których mówiliśmy wcześniej.

- Jeśli pójdziecie do tych lekarzy i spytacie o nie, to was wyśmieją. Nie ma szans, żeby wam pomogli, na pewno nie oficjalną drogą.

Foks i Kowalczyk spojrzeli na niego porozumiewawczo.

- No właśnie - powiedziała po chwili prokurator i wtedy patolog zrozumiał, o co im chodzi.

– Cześć, Krzysiek – rzucił na powitanie Mazurkiewicz i popatrzył niepewnie na zniecierpliwioną, towarzyszącą mu dwójkę. Powinien już wracać do pracy, ale Kowalczyk nie dawała mu spokoju, a Foks był nieustępliwy. Nagle ich nie poznawał, bo choć zawsze grali w jednej drużynie, to zawsze na dwóch różnych skrzydłach. Tymczasem zaczęli ścisłą, aż niepokojącą współpracę.

– Cześć, co się stało? – zaniepokoił się doktor Zaworski. – Dawno nie gadaliśmy.

– Wszystko w porządku, bez obaw. Po prostu mam do ciebie pewną sprawę.

– Jasne, wal śmiało.

Mazurkiewicz przełknął ciężko ślinę. Foks skrzywił się, dając mu tym samym znać, żeby był bardziej pewny tego, co mówi. Nie chcieli teraz zostać zdemaskowani.

– Miałem tu dziwny przypadek. Rozległe obrażenia wątroby po pobiciu. Dziwnie to wygląda, dość nienaturalnie. – Mazurkiewicz słyszał, jak sztucznie brzmi to, o czym mówi, ale nie miał innego wyjścia, musiał kontynuować. – Wiem, że ty miałeś chyba kilka podobnych przypadków jakiś czas temu, prawda?

Zapadła cisza. Lekarz nic nie odpowiedział.

– No może, nie wiem – odparł po chwili namysłu.

– Tak mi się wydaje, bo przeglądałem podobne sprawy. Chciałem je po prostu porównać. Wiem, że robiłeś USG wątroby kilka razy w podobnych przypadkach i jestem ciekaw, jak to wtedy wyglądało.

- A co takiego się stało, że aż tak dociekasz? - Tego właśnie pytania Mazurkiewicz obawiał się najbardziej. - Masz jakieś anomalie albo nieprawidłowości? - dodał Zaworski, a tym samym uspokoił patologa. Nie miał przygotowanej odpowiedzi na to pytanie, ale lekarz sam podsunął mu gotowe rozwiązanie.

- No właśnie coś mi tu nie gra. Sam rozumiesz, przed napisaniem raportu wolałem się z tobą skonsultować, bo domyślałem się, że mogłeś już kiedyś znaleźć się w podobnej sytuacji.

- O jakie przypadki konkretnie ci chodzi?

Mazurkiewicz wymienił mu nazwiska osób, do których dotarła Kowalczyk, a którymi zajmował się znajomy patologa.

- Coś kojarzę, ale tak z pamięci absolutnie ci nie powiem, co i jak się tam wydarzyło.

Foks aż zacisnął zęby, słysząc, że rozmowa zmierza do najważniejszej dla nich części. Chcieli się dowiedzieć, czy lekarz posiada wyniki, do których nie powinien mieć już dostępu. A jeżeli je posiadał, to kto jeszcze się nimi interesował, chociaż odpowiedź na to pytanie mogła być niemożliwa do zdobycia.

- Masz gdzieś może zapis tych badań?

- Gdzieś powinienem mieć - odparł Zaworski, a Foks aż zrobił wielkie oczy ze zdziwienia, że lekarz tak spokojnie to powiedział. Albo to nie było nic dziwnego, albo bardzo ufał Mazurkiewiczowi. - Chcesz zobaczyć pliki czy sam mam to przejrzeć?

- Jeśli byłoby to możliwe, to chętnie rzuciłbym okiem. Jeśli oczywiście nie masz nic przeciwko.

- Na spokojnie. Lepiej jednak, żebym ci tego nie wysyłał mailem. Mogę podesłać kogoś z wydrukami.

- Nie chciałbym robić problemu.

- To żaden problem, serio.

Po wymienieniu ostatnich uprzejmości Mazurkiewicz rozłączył się.

- I co teraz? - spytał zakłopotany. - Raczej nikt, kto byłby w to wszystko zamieszany, nie chciałby współpracować. A przynajmniej nie tak chętnie.

– To nam zawęża krąg poszukiwań – zauważyła Kowalczyk. – Jeśli to nie on przekazał komuś wyniki, to znaczy, że ktoś musiał mu je wykraść.

– Mógł to zrobić jakikolwiek bliższy współpracownik, więc nie wiem, czy to przypadkiem nie poszerza kręgu poszukiwań – zauważył Foks. – Chcąc pójść tym śladem, musielibyśmy prześwietlić wszystkie osoby, które w ostatnim czasie współpracowały z naszymi podejrzanymi. A to nam po prostu daje kolejną bazę ludzi, których nie sprawdzimy, bo nie mamy na to czasu.

Kowalczyk zagryzła wargi, zrezygnowana.

– Co więc proponujesz?

Tropów było zbyt wiele, oboje o tym wiedzieli i oboje nie mieli pojęcia, czego powinni się chwycić. Jednocześnie mieli świadomość, że ich oficjalne śledztwo stoi w miejscu, a naczelnik niecierpliwie się coraz bardziej.

– Czyli wychodzi na to, że materiały, które dostanę, do niczego nam się nie przydadzą? – wtrącił Mazurkiewicz. – Genialnie... – mruknął, nie czekając na odpowiedź.

– One są bardzo cenne. Warto, żebyśmy je dostali.

– I co z nimi zrobicie? – dopytywał patolog, jakby chciał mieć pewność, że jego wysiłki nie pójdą na marne. Możliwe, że planował kolejny telefon do znajomego, tym razem w celu anulowania swojej prośby.

Kowalczyk wzruszyła ramionami, a Foks nawet na niego nie spojrzał. Chwilę później oboje skierowali się do wyjścia.

– Daj znać, jak dostaniesz wyniki – powiedziała Kowalczyk i zamknęła za sobą drzwi.

Wyszli na zewnątrz i stanęli tuż za drzwiami. W tej samej chwili wyjęli po papierosie, chociaż mogli palić u Mazurkiewicza. Patolog nie miał z tym przecież problemu.

– I co teraz? – zagadnął Foks.

– Wcale nie sądziłam, że tak szybko pójdzie – odparła wymijająco. – Zbyt długo nad tym wszystkim siedzę, żeby przełom miał nastąpić w jednej chwili, i to dzięki jakiemuś przypadkowemu przebłyskowi.

- Chociaż często to właśnie takie przeblyski dają najwięcej – zauważył.
- Nie ujmując oczywiście twojej dotychczasowej pracy – zreflektował się nagle.

- I tak coraz częściej wydaje mi się, że nie ma ona większego znaczenia.

- Jeśli chodzi o ludzkie życie, to każde działanie prowadzące do jego ochrony ma znaczenie.

Kowalczyk prychnęła ironicznie.

- Robert Coelho się znalazł – rzuciła tak dobrze mu znanym niemiłym tonem, ale był dumny, że próbowała żartować.

Eliza Kowalczyk dorasta na naszych oczach, zaśmiał się w myślach.

- Tak czy inaczej, musimy po prostu poczekać na to, co dostanie Mazurkiewicz. I liczyć, że w końcu znajdziemy chociaż jeden warty uwagi szczegół, jedną zależność, którą da się wykorzystać.

Foks bardzo chciałby ją zapewnić, że tym razem tak właśnie będzie.

Edward Mazurkiewicz zaczął zbierać się powoli do wyjścia, gdy ktoś zadzwonił do drzwi wejściowych. Był już sam w prosektorium, o tej godzinie nawet sekretarka była już w domu. Wszystko zostało zamknięte, nikt nie powinien się pojawić.

– O co chodzi? – rzucił przez drzwi, jednocześnie zakładając płaszcz. Nie miał zamiaru nikogo wpuszczać, wolał więc od razu wyjść i dać jasno do zrozumienia, że jego czas pracy już się skończył. – Proszę przyjść jutro, otwieramy o siódmej czterdzieści pięć.

– Ja od doktora Zaworskiego.

– W takim razie zapraszam. – Otworzył drzwi, ale stojący za progiem mężczyzna ani drgnął.

– Zaworski kazał mi to zrobić w sposób maksymalnie poufny. Dokumenty mam w samochodzie.

– Jasne, rozumiem. Proszę dać mi chwilę, zaraz przyjdę.

Zamknął z powrotem drzwi, zebrał z recepcyjnej lady swoje rzeczy i wyszedł. Mężczyzna zaparkował kilkadziesiąt metrów dalej, poza obszarem monitoringu. Otworzył mu tylne drzwi i zaprosił do środka. Mazurkiewicz wsiadł ociężale. Po chwili zorientował się, że z tyłu siedzi ktoś jeszcze.

– Dzień dobry – powiedział mu człowiek, którego widział pierwszy raz na oczy. – Jak się mają sprawy?

– Jakie sprawy? – spytał, nagle zaniepokojony.

– Widzę, że wieszysz w miejscach, w których tego robić nie powinieneś.

– Przepraszam, czy my się znamy? – rzucił, łapiąc za klamkę. Chciał wysiąść, bo przestało mu się to podobać. Widział, że coś tu nie gra,

a wolał nie pakować się w żadne kłopoty. Kłopoty jednak spadły mu na głowę same. Miały kształt metalowej rurki, której patolog nie potrafił powstrzymać.

Mężczyzna stał tuż obok beczki, w której palił się słaby ogień, i co chwila wrzucał do niej zapisane drżącą ręką kartki papieru. Od kilku dni przelewał na nie słowa, które napływały mu do głowy, ale to nie pozwalało uporządkować myśli ani chaosu, który dawno temu nim zawładnął. Chciał oczyścić umysł, ale zorientował się już, że nie jest to możliwe. Sądził, że dostąpi swego rodzaju katharsis, gdy wyleje z siebie wszystkie żale, lecz z każdym kolejnym słowem złość i frustracja tylko narastały.

Dlatego palił teraz wszystko, co tylko mógł, bo to przynosiło większą ulgę. Wrzucał do beczki kolejne kartki, książki, w końcu także ubrania, które najbardziej kojarzyły mu się z przeszłością. Wtedy wydawało mu się, że życie jest piękne, świat doskonały, a ludzie życzliwi. Wszystko się zmieniło, każda pozytywna myśl rozpadła się i nie miała szans się odrodzić. Wiedział o tym, dlatego w końcu oddalił się od beczki. Pozwolił dopalić się ogniu, z którym śnieg bardzo łatwo wygrał.

Po chwili stanął przy wysłużonej zamrażalce, która od bardzo dawna już nie pracowała, ale przy takiej pogodzie nawet nie musiała. Choć mogłaby osiągnąć niższą temperaturę niż ta, która aktualnie panowała nad krajem, to mężczyźnie nie zależało na szybkim zamrożeniu jej zawartości.

– Im wolniej, tym lepiej – powiedział sam do siebie, otwierając kłódkę.

Uchylił pokrywę i palcem sprawdził stan zamrożenia wody. W tym momencie stała się niczym wnętrze szklanki z drinkiem, którego główny składnik to kruszony lód i woda.

Poza tymi dwoma składnikami w środku znajdowało się coś jeszcze. Główny wypełniacz, który delikatnie wystawał nad powierzchnię wody.

Poruszał się spokojnie, lecz mężczyzna wiedział, że za chwilę woda stanie się zbyt zamrznięta, żeby pozwalać na jakiegokolwiek ruchy.

Pochylił się nieznacznie nad wystającym elementem i pchnął go lekko palcem. Zaśmiał się, widząc, jak znów próbuje wydostać się na powierzchnię.

Zamknął pokrywę i minął zaparkowany obok samochód, który lada moment będzie miał problem z wyjechaniem na utwardzoną drogę. Wrócił do swojego stanowiska przy beczce. Cofnął się do ściany swojego domu, która osłaniała go teraz przed wiatrem, i sięgnął po trzymane w wewnętrznej kieszeni kurtki długopis i notes. Tam mógł pisać nieco swobodniej. Tym razem spróbował uchwycić swoje emocje od innej strony. Ale nie wiedział, jakich właściwie powinien użyć słów.

Pomyślał więc, że najlepiej będzie zacząć od początku.

Poznaliśmy się niemal dwadzieścia lat temu, pamiętasz? Był upalny dzień, który przeklinałem, bo wiedziałem, że trudno będzie go znieść. Ale gdy tylko na ciebie spojrzałem, to oblał mnie zimny pot. Wiem, że ty wtedy jeszcze niczego do mnie nie poczułaś, nawet ledwo mnie zauważyłaś, bo byłaś pochłonięta pracą. Ale ja stałem tak przez chwilę i tylko na ciebie patrzyłem, dopóki sam też nie musiałem wszystkiego odbębnić.

Od tamtej pory chciałem do ciebie zaglądać codziennie, choć niestety nie zawsze była ku temu okazja. Dlatego mnie przytapałaś, bo gapiłem się na ciebie, a nie miałem żadnej sprawy do załatwienia.

Podziwiałem twoje kasztanowe włosy i niebieskie oczy. Pokrytą piegami twarz, ramiona i piersi, których nie odkrywałaś zbyt mocno, ale wiedziałaś, że są piękne, a w upalny dzień aż prosiły się o duży dekolt.

Już nie pamiętam, czy poszliśmy razem coś zjeść, napić się, czy po prostu udaliśmy się na spacer. Byłem w ciebie tak zapatrzony, że pamiętam tylko twój szczery uśmiech i fakt, że wylądowaliśmy w końcu nad rzeką. Potem wiele razy się tam udawaliśmy, żeby rozmawiać, aż w końcu pozwoliliśmy sobie na...

Przerwał, bo z zamrażarki wydobył się nagle nieco przytłumiony, ale dość głośny krzyk. Wsłuchał się w niego z uśmiechem na ustach, który jednak niewiele miał wspólnego z zadowoleniem, co najwyżej z uczuciem satysfakcji i dobrze spełnionego zadania.

- Uwielbiam ten odgłos - powiedział tylko i pisał dalej.

CZEŚĆ TRZECIA

Foks wpatrywał się w wyniki badań USG wątroby pobitego mężczyzny i nie miał pojęcia, co właściwie widzi. Poprosił, żeby zaznaczono mu miejsca, w których narząd był wyraźnie uszkodzony, ale to niewiele mogło w tym momencie pomóc.

– Mazurkiewicz wciąż nie odbiera? – zapytała Kowalczyk.

Przyszła do Foksa, jak tylko dowiedziała się, że dostał wyniki badania pobitej ofiary, ale sama też nie potrafiła wiele powiedzieć o tym, na co patrzyła.

Foks wybrał numer do patologa, już po raz czwarty dzisiaj, ale ten wciąż nie odbierał.

– Nic – mruknął tylko i odłożył komórkę na blat biurka.

– Sądzisz, że dowiedział się czegoś, co musi poważnie przemyśleć, zanim przekaże to nam?

– Albo nie dowiedział się jeszcze niczego – zauważył komisarz. – Jest już dawno po pracy, wcale nie musi odbierać ode mnie telefonów.

– Ale zwykle odbiera?

Skinął głową na potwierdzenie.

Wyjął dwa zdjęcia narządów, które wykonano podczas sekcji ciał osób, które niestety nie przeżyły pobic.

– Układa się to wszystko w jakąś całość? – zastanowił się na głos, ale nie miał mu kto odpowiedzieć.

Obok zdjęć cały czas spoczywała mapa, na której Foks zaznaczył wszystkie najważniejsze lokalizacje. Jednym kolorem zakreslił miejsca napaści, drugim zaznaczył punkt przed Pałacem Kultury i Nauki, stację metra i najbliższy przystanek, na którym na pewno był ich sprawca.

Wsiadł tam lub chociaż przejeżdżał obok. Połączył te dwa punkty liniami, miał nadzieję, że całość cokolwiek im podpowie, ale równie dobrze mogli wpatrywać się w niebo albo w ścianę. Albo w siebie nawzajem, ale Foks obawiał się, że owszem, mogłoby to przynieść efekty, ale zdecydowanie nie takie, na jakie się teraz nastawiał.

– Na razie możemy tylko podejrzewać, że pobicie Olejnika zostało przez kogoś zlecone – zauważył w pewnym momencie.

– Może po prostu ten koleś jest idiotą, który zaplanował napaść, ale musiał powtarzać sobie miejsce i czas ataku, żeby niczego nie pomylić.

– Nie wydaje mi się. Poza tym dlaczego to aż takie ważne, na skrzyżowaniu jakich ulic i o jakim dokładnie czasie ma zostać napadnięty ten facet?

– Bo było to miejsce idealne, a czas... Wiadomo, musiał czekać, aż facet skończy pracę.

– Szłaś tamtędy, więc wiesz tak samo dobrze jak ja, że po drodze było kilka, jeśli nie kilkanaście bliźniaczych miejsc. Ktoś dokładnie mu podyktował, gdzie ma wykonać zadanie.

– I myślisz, że wszystkie te dane wyczytali w tym? – Mówiąc to, wskazała na zdjęcie znalezionej wątroby.

Foks spojrział na telefon. Cały czas czekał, aż Mazurkiewicz oddzwoni, lecz ten wciąż milczał.

Miasto zdecydowanie lepiej radziło sobie ze śnieżycą. Choć walka wciąż była nierówna, to jednak dało się dość płynnie pokonywać kolejne ulice. Niemniej głosy krytyki i niezadowolenia słychać było na każdym kroku. A Foks chętnie im się przysłuchiwał. Miał nadzieję, że w którymś momencie natrafi na człowieka podobnego do starca, który opowiadał o sądzie ostatecznym.

Jego samego też chciał jeszcze spotkać. Prześledził w myślach ostatnio pokonywane trasy i pamięć podpowiedziała mu obraz mężczyzny na tle sklepu jubilerskiego. Nietrudno więc było znaleźć adres. Gorzej było

z godziną, ale Foks sądził, że jeśli dziadek lubił prowadzić podobne monologi, to robił to często, a nie tylko podczas oczekiwania na autobus.

Rankiem następnego dnia, w drodze na komendę, Foks zatrzymał się pod prosektorium. Mazurkiewiczza jednak nie było, chociaż zawsze pojawiał się wcześniej.

- Dał znać, że dzisiaj się spóźni – powiedziała recepcjonistka.
- Jak bardzo?
- Myślę, że na pewno nie warto czekać – odparła dyplomatycznie.
- Mówił może, co się stało? Wytłumaczył się jakoś?

Kobieta pokręciła głową. Też wyglądała na niezadowoloną z nieobecności patologa. Miał dziś dużo pracy, a jeśli ją zawali, to ona będzie musiała go tłumaczyć, odbierać kolejne telefony sfrustrowanych osób i zmyślać jakieś historyjki, byleby tylko zyskać nieco na czasie.

Pół godziny później Foks zapukał do drzwi mieszkania lekarza, ale Mazurkiewicz nie otworzył. Coraz bardziej go to niepokoiło.

– Nie to, żebyś potrafił dobrze opisywać ludzi, ale myślę, że wystarczy wzmianka o siwej brodzie, żeby mieć na myśli właśnie coś takiego.

– I tak uznam to za komplement.

– Niepotrzebnie.

Śledzili wzrokiem mężczyznę. Foks już chciał odpalić silnik, żeby ruszyć za nim, ale okazało się, że zmierzał dokładnie w to samo miejsce, w którym Foks widział go poprzednio.

– Znalazł sobie ambonę i kazania prawi – zauważyła Kowalczyk. – Szkoda tylko tych, którzy na niego natrafiają.

– To fakt, człowiek jest zdenerwowany przed pracą albo padnięty, gdy wraca do domu, chce jedynie ciszy i spokoju, a napatacza mu się ktoś taki.

– I w takiej sytuacji nietrudno o kolejne morderstwo – zauważyła, chociaż Foks nie miał pewności, czy żartuje. – Idziemy do niego?

– Warto byłoby na początek posłuchać, o czym pierdoli, żeby nie zamilkł, gdy już zorientuje się, o co nam chodzi. No dobra, idziemy.

Foks już złapał za kławkę, gdy rozdzwonił mu się telefon.

– Żartujesz sobie, prawda? – spytał, gdy usłyszał, co Radecki ma mu do powiedzenia. – Dobra, już jadę.

– Chyba nie masz zamiaru odpuścić? – zaniepokoiła się Kowalczyk, gdy Foks się rozłączył. – Może już nigdy więcej tu nie spotkamy tego kolesia.

– Myślę, że oboje powinniśmy się teraz pojawić gdzie indziej.

Prychnęła ironicznie.

– Pozwolisz, że sama o tym zdecyduję.

– Myślę, że i tak za chwilę ktoś cię wezwie. Ja muszę jechać już teraz.

Kowalczyk spojrzała na ekran swojego telefonu, który akurat się zaświecił.

– Powiedz, że zaraz będę. Nie mogę tego tak zostawić. – Ruchem głowy wskazała na starszego mężczyznę. – To może być zbyt ważny trop.

– Spróbować nie zaszkodzi.

– Mówisz tak, jakbyś w ogóle w tę sprawę nie wierzył – zachnęła się.

Foks nic nie odpowiedział. Począł, aż Kowalczyk wyjdzie, i zaraz potem odjechał. Z trudem przedarł się przez zaspę, która utworzyła się przed samochodem w ciągu ostatnich kilkunastu minut, i po chwili zniknął w bieli.

Kowalczyk została sama na zasypanym chodniku i od razu zaczęła się trząść z zimna. Wiedziała, że powinna pojechać razem z komisarzem, ale jej myśli zaprzętało teraz coś innego.

Zamiast ruszyć szybko na przystanek autobusowy, pod którym jak na razie mężczyzna stał zupełnie sam, weszła do kawiarni, którą akurat miała za sobą. Zamówiła podwójne espresso i usiadła na stołku barowym przy oknie, żeby mieć dobry widok.

Po minucie może dwudziestopięcioletni chłopak przyniósł jej zamówienie.

– Mógłbyś na chwilę ze mną usiąść? – poprosiła.

Zmieszał się, ale zrobił to, bo jej ton nie znosił sprzeciwu, a w kawiarni i tak nie było nikogo poza nią. Zajął więc miejsce na krześle obok, chociaż najpierw odsunął je o przynajmniej pół metra. Nie chciał znaleźć się zbyt blisko kobiety, której dziwnie złowroga mina w jakiś sposób go przerażała.

– Znasz tamtego kolesia? – spytała, a chłopak odetchnął. Nie wiedział, o co może chodzić kobiecie, ale pytanie o jakiegoś podstarzałego faceta go uspokoiło.

– Znać nie znam, ale kojarzę go z widzenia.

– No domyślam się, że nie jest twoim kolegą i raczej nie chodzisz z nim na wódkę.

– Więc w czym rzecz? – spytał nieco poirytowany.

Kowalczyk wzięła głęboki wdech. Musiała się uspokoić. Zauważyła, że ostatnio zdecydowanie zbyt szybko i zbyt łatwo się denerwowała.

Domyślała się, dlaczego tak się dzieje, ale nie chciała się do tego przyznawać nawet przed samą sobą.

Foks nie ma takiej siły sprawczej, żeby na mnie działać aż tak mocno, myślała, dalej się oszukując.

– Często go tutaj widzujesz?

– Rzadko. To znaczy od kilku dni coraz częściej.

– Odkąd zaczęło sypać? – Chłopak skinął głową. – A wcześniej?

– Wcześniej bywał tu raz na jakiś czas. Może dwa razy w miesiącu, ale raczej nie na długo – doprecyzował, widząc pytający i jednocześnie karcący wzrok kobiety. – Siedział może pół godziny, godzinę. Teraz bywa, że spędza tu czas od rana do wieczora.

– Tylko w tym jednym miejscu?

– Nie wiem, w trakcie zmiany nie wychodzę z kawiarni. Ale czasem wsiada do jakiegoś autobusu albo idzie za kimś. Zwykle jednak wraca po jakimś czasie.

– Czyli pewnie mieszka gdzieś niedaleko?

– Mnie się wydaje, że raczej jest bezdomny i dlatego tak koczuje.

– A wiesz, czemu zaczepia ludzi? I dlaczego za niektórymi chodzi? – spytała, widząc, że ktoś akurat stanął na przystanku. Mężczyzna rozpoczął najwyraźniej swój monolog, który z marszu wywołał grymas niezadowolenia na twarzy czterdziestoletniej kobiety, która starała się odsunąć jak najdalej od szaleńca. Było to jednak trudne, jeśli przy okazji chciało się schronić przed śniegiem i wiatrem.

Kowalczyk miała nadzieję, że kiedyś trafi na agresywnego mężczyznę, który przemówi mu do rozumu nie słowami, lecz pięściami. Chociaż domyślała się, że facet mógł dostać już nie raz i teraz unika podobnych osób.

– No czasem słyszę, jak ktoś tu się na niego skarży. Podobno pieprzy jakieś głupoty, opowiada niestworzone historie i nie daje ludziom w spokoju czekać na autobus.

– Słyszałeś, o czym konkretnie mówi?

– Nie, zawsze staram się omijać go szerokim łukiem. Ten koleś strasznie mnie brzydzi.

- Szkoda, bo też miałam zamiar nie podchodzić do niego zbyt blisko. Ale skoro nie możesz pomóc, to będę musiała sobie jakoś z nim poradzić.

Chłopak nagle wstał i ruszył za bar, chociaż nie stał przy nim żaden nowy klient. Kowalczyk tylko przewróciła oczami. Nie on pierwszy od niej uciekał, więc dopiła kawę i skierowała się do wyjścia. Zanim jednak nacisnęła na kławkę, chłopak wrócił do niej biegiem. Teraz miał na sobie kurtkę, a w ręku ścisnął pęk kluczy.

- Lepiej, żeby pani nie szła do niego sama.

- Jak już mówisz do mnie „pani”, to równie dobrze możesz podać mi laskę i termofor.

- Termofor rzeczywiście by się przydał - zauważył poważnie. - Kuba jestem. - Podał jej rękę, gdy byli już na zewnątrz.

- Eliza - przedstawiła się i patrzyła, jak chłopak zamyka kawiarnię na klucz. - Myślisz, że nikt nie przyjdzie?

- Od dobrych dwóch albo i trzech godzin nikogo nie było. Wątpię, żeby nagle teraz ktoś chciał się napić kawy.

- Ja chciałam.

Chłopak spojrzał na nią takim wzrokiem, jakby miał zamiar powiedzieć, że doskonale wie, po co przyszła, i że wcale nie kierowała nią potrzeba uzupełnienia w organizmie kofeiny.

W milczeniu dotarli do przystanku, pod którym mężczyzna czekał na swoje ofiary. Kowalczyk była pewna, że gdy tylko ich zobaczy, od razu rozpocznie atak, lecz ten jedynie na nich spojrzał, po czym wycofał się w róg wiaty i obserwował ich spode łba.

- Tego się nie spodziewałam - mruknęła Kowalczyk.

- Przepraszam - rzucił Kuba, podchodząc do rozkładu. Chociaż mężczyzna go nie zastrzegał, to jednak odsunął się, jakby obawiał się, że chłopak może mu coś zrobić. On tymczasem chciał doprowadzić do chociaż minimalnej konfrontacji, a wiedział, że czasem starcowi wystarczyło złapanie kontaktu wzrokowego ledwie na ułamek sekundy, żeby wywołać potok słów. - Wie pan może, czy cokolwiek już jechało?

Mężczyzna zlustrował go od góry do dołu, potem przeniósł wzrok na prokurator. W jego spojrzeniu zobaczyła kpinę, jakby doskonale wiedział,

czego od niego chcą, a czego on nie chciał im dać.

– Myślę, że nie macie tu czego szukać – warknął złowrogo po kilkunastu sekundach milczenia. – Nie wiem, kogo chcecie oszukać, mnie czy siebie.

Kowalczyk spojrzała głęboko w jego zielone, wyblakłe oczy, zlustrowała jego wątłą sylwetkę, którą ukrywał pod kilkoma warstwami ubrań, wypłowiła brodę i równie nijakie brwi, aż w końcu dostrzegła, jak bardzo szara i pomarszczona jest jego skóra.

– Chcieliśmy tylko spytać o autobus.

– Już wiele razy spotkałem takich jak wy – odparł, puszczać jej uwagę mimo uszu. – Chociaż dla ciebie jeszcze jest nadzieja – zwrócił się do Kuby. – Za to tobie nie wróżę dobrego końca – rzucił w stronę kobiety.

– Jakiego końca, staruchu? – warknęła nieprzyjemnie. – Najbliżej jakiegokolwiek końca jesteś ty.

– I tu się mylisz – odparł tak spokojnie, a zarazem złowrogo, że Kowalczyk poczuła dreszcz przebiegający jej po plecach. – Już niedługo przypomnisz sobie moje słowa.

– Skąd w ogóle możesz cokolwiek o mnie wiedzieć?

– Fatum lubi do mnie szeptać – wyjaśnił. – A gdy zobaczyłem ciebie, usłyszałem krzyki, które każdego mogłyby śmiertelnie przerazić.

– I niby co takiego powiedziała ci ta twoja schizofrenia?

Kuba aż zagryzł wargi, słuchając tej ostrej wymiany zdań.

– Że masz się czego w życiu obawiać. Nie tylko ludzi, ale też samej siebie.

– Co za pierdolenie – rzuciła Kowalczyk i zaczęła się wycofywać. – Chodź – zawołała do chłopaka, jakby był jej podwładnym, który musiał za nią podążać.

– Lepiej, żebyś nie wpadł w jej sidła – rzucił mu na odchodne starzec. – Uważaj na siebie.

– Dzięki, będę – odparł Kuba i podążył za Elizą. Otworzył jej drzwi kawiarni, wpuścił do środka, a po chwili na jej polecenie zamknął je na klucz.

– Co robisz?

– A jak ci się wydaje?

Rzuciła płaszcz na jedno z krzeseł i poszła w stronę baru. Znalazła wejście na zaplecze i tam zaczęła czekać na chłopaka. Gdy on zdejmował kurtkę, ona nie miała już na sobie koszulki.

– Nie powinienem... – powiedział tylko, gdy przyciągnęła go do siebie. Miał na myśli zarówno fakt, że to jego miejsce pracy, jak i to, że wciąż trawił słowa mężczyzny, który jeszcze długo za nimi spoglądał. Patrzył w szybę kawiarni, lecz nie miał szans dosłyszeć ich przyspieszonych oddechów i uderzeń szafki o ścianę. Mimo to wiedział, co robią. Nie tylko teraz.

– Czego się dowiedziałeś? – spytał Foks, gdy tylko ją zobaczył. – Domyślam się, że nie było cię tak długo, bo miałaś do zebrania naprawdę sporo ciekawych materiałów.

Kowalczyk, gdy tylko zapięła spodnie, skłamała chłopakowi, że oczywiście spotkają się jeszcze kiedyś, bo ten dziesięciminutowy seks na blacie stołu był wspaniały. Potem zadzwoniła do znajomego krawężnika, żeby miał na oku starca i zgarnął go przy najbliższej okazji. Jeśli przejdzie na czerwonym świetle, w miejscu do tego niedozwolonym, odleje się w bocznej alejce albo nie kupi biletu, ona ma o tym wiedzieć, a facet ma na nią czekać skuty w radiowozie. Nie chciała o tym mówić komisarzowi, bo wiedziała, że by tego nie pochwalił. Sama też zaczynała dochodzić do wniosku, że to nie było dobre posunięcie, bo w takich warunkach tajemniczy osobnik z pewnością nie powie im niczego ciekawego.

– Facet nie chciał gadać. Chyba wiedział, kim jestem.

– To czemu tak długo cię nie było?

– Nie chciałam stracić okazji i próbowałam na różne sposoby coś z niego wydobyć, ale nic z tego. Wiem tylko tyle, że jest, że tak powiem, wtajemniczony. Widać, że coś wie, że należy do jakiejś grupy, albo może nawet jej przewodniczy.

– Też tak myślałem, dlatego od razu kazałem go obserwować.

– Od razu, czyli kiedy?

Foks spojrział na nią zdziwiony. Kowalczyk obawiała się, że ktoś mógł ją zauważyć w miejscu, w którym nie powinna być.

– Jak tylko musiałem jechać. Wiesz przecież, że ten człowiek może być pomocny, nie chciałem zmarnować tego tropu, a sądziłem, że ty też zaraz

się tutaj pojawisz.

– Też go z kimś zostawiłam – odparła, mając na myśli zarówno znajomego policjanta, jak i chłopaka z kawiarni. Za obietnicę kolejnych dziesięciu ekscytujących minut, na zapleczu bądź w jego mieszkaniu, zapewnił, że będzie mieć oko na starca. Miał też po pracy nadstawić nieco uszu, choć tamten z pewnością zapamiętał jego twarz, więc to akurat nie mogło przynieść żadnych efektów. – Odwołać go? – spytała, zanim zdążyła ugryźć się w język.

– Co dwie pary oczu, to nie jedna – odparł Foks. Widać było, że teraz jego myśli zajmuje coś innego.

– Właściwie co my tu robimy? – przeszła w końcu do sedna.

Wezwano ich na most Śląsko-Dąbrowski, widziała kręcących się wokół techników, kilkoro policjantów kierujących ruchem. Dwóch trzymało taśmę policyjną, bo wiatr cały czas ją zrywał.

– Mamy kolejnego trupa, gdybyś się jeszcze nie zorientowała.

– Gdyby go nie było, to i mnie by tutaj nie było – zauważyła cierpko. – Gdzie on jest?

Foks wskazał na jeden z zasypanych śniegiem punktów pośrodku wygrozonego terenu. Nie rozstawiono parawanu, bo wiatr od razu by go porwał. Próbowali, ale nie było szans, żeby ustał dłużej niż kilka sekund.

– Nie do końca wiem, co robić.

– Co? – Kowalczyk zaśmiała się, słysząc te słowa. – Nagle nie wiesz, co zrobić z trupem? Chyba się starzejesz.

– W takim razie liczę na jakąś cenną radę od ciebie.

Prokurator spojrzała we wskazanym kierunku, ale nie miała pewności, na co właściwie patrzy. Niby powinno leżeć tam ciało, lecz albo wzrok patała jej figle, albo Foks wskazał złe miejsce.

Było też trzecie rozwiązanie – ciało mogło wyglądać tak, jak się tego nie spodziewała.

Przeszła pod taśmą i doszła do dziwnego nasypu, który z każdą minutą stawał się coraz większy. Śnieg przylepiał się do kanciastego kształtu spoczywającego na asfalcie. Widać było, że technicy dokładnie go oczyścili kilkanaście minut temu, lecz już niewiele po ich pracy zostało.

- Co to jest? - spytała, odwracając się do Foksa, choć wiedziała, że komisarz nie może jej usłyszeć.

Podszedł do niej, ale mógł tylko bezradnie rozłożyć ręce.

Prokurator sięgnęła po szczotkę, której używał jeden z techników, i bardzo delikatnie zaczęła oczyszczać jeden z boków prostokątnej bryły. Miała może metr wysokości, nieco mniej długości i jakieś półtora metra szerokości. Biło od niej zimno, zdecydowanie przenikliwsze od tego, jakie panowało wokół, choć zdawało się to wręcz niemożliwe.

- O co chodzi? - spytała, gdy oczyściła część śliskiej powierzchni. Okazało się, że to wielka bryła lodu. Z pewnością nie było to nic, co leżało tu wcześniej. Ktoś ją zdecydowanie podrzucił, tylko po co?

Kowalczyk zaczęła coraz szybciej odgarniać śnieg, a Foks jej pomógł. Odślonili większość lodowej powierzchni. Dzięki temu blade światło dnia mogło przesączyć się przez bryłę i odsłonić to, co znajdowało się w jej wnętrzu.

- Przecież to... - wymamrotała, ale nie dokończyła.

Zatopione w lodzie ludzkie zwłoki wydawały się czymś nieprawdopodobnym. W pierwszej chwili Kowalczyk nie uwierzyła w to, co widzi, ale im więcej śniegu odgarniała, tym wyraźniej zarysowywała się naga sylwetka kobiety.

Znajdowała się w pozycji embrionalnej. Miała podkurczone nogi, jedynie ręce próbowała wyciągnąć najwyżej, jak tylko mogła. Napierała dłońmi na coś, co musiało się znajdować nad nią w chwili, gdy umierała.

Głowę wyciągała wysoko, żeby ustami dosięgnąć do, jak się prokurator domyślała, pustej przestrzeni wypełnionej powietrzem. Lewy róg sześcianu był delikatnie ścięty, a kobieta chciała wcisnąć weń usta. Jej głowa jednak nie mieściła się w rogu pojemnika.

- Ktoś zamknął ją w jakimś szczelnym pudle, zalał wodą i czekał, aż zamarnie? - spytała na głos, chociaż wiedziała, że odpowiedź mogła być tylko jedna.

- Na to wychodzi - odparł Foks i chrząknął dziwnie głośno. - Woda szybko zaczęła zamarzać, a ona wciąż próbowała się wydostać.

Musiała wiedzieć, że nie ma szans, ale nadal napierała na pokrywą. Jedną dłoń miała ściśniętą w pięść, widać było, że uderzała w coś na oślep, ale z każdą chwilą miała coraz mniej siły.

– Jak myślisz, co ją mogło szybciej zabić? – spytała prokurator. – Brak tlenu czy temperatura?

Kobieta odnalazła nosem i ustami pustą przestrzeń bez wody, jakby pojemnik, w którym się znalazła, stał na nierównej powierzchni. Może też jej oprawca specjalnie coś pod niego podłożył, żeby kobieta nie udusiła się przedwcześnie.

– Chciał, żeby walczyła – zauważył Foks. – Żeby czuła ból, przerażenie, żeby wiedziała, że pozostało jej zaledwie kilka, może kilkanaście minut życia.

Kowalczyk przesunęła miękkim pędzlem, który znalazła w leżącej obok torbie technika, po ściętym rogu bryły. Ponad lód wystawał czubek nosa kobiety i jej sine usta, którymi z trudem nabierała powietrza.

– Jest jeszcze trzecia możliwość – powiedział Foks, wskazując na czerwień, która zabarwiła wodę od spodu.

Kowalczyk dopiero teraz dostrzegła, że ciemna barwa na samym dole bryły to nie odbijający się asfalt, ale wylewająca się z rozległej rany krew. Trudno było dostrzec, gdzie ta dokładnie się znajduje i jak jest głęboka, ale oboje domyślali się, w jakim celu ją zadano.

– Myślisz, że ktoś wyciął jej wątrobę? – spytała, a Foks tylko pokiwał głową.

Przyglądał się właśnie podstawie lodowego sześcianu, ale nie chodziło mu w tym momencie ani o krew, ani o samo ciało, ale o to, na czym spoczęła kolejna makabryczna rzeźba.

– Co jest? – spytała Kowalczyk, gdy Foks zaczął chodzić dookoła.

– Ciekaw jestem, jak dawno temu ktoś to tutaj przytaszczył. Albo raczej wyrzucił.

– Jak to?

– Jak myślisz, kto mógł niepostrzeżenie dostarczyć coś takiego na most i wyrzucić dokładnie tutaj?

- Samochód chłodnia, w którym można było zachować równą, ujemną temperaturę – szepnęła Kowalczyk. Foks nie musiał jej słyszeć, oboje mieli teraz przed oczami tę samą scenę.

- Musieli to zrobić szybko, w dwie albo trzy osoby. – Foks wskazał na delikatną rysę w okolicach podkurczonych nóg ofiary. – Raczej w dwie, bo i tak im było ciężko.

- Myślisz, że zostawili na lodzie jakiegokolwiek odciski palców? Jeśli trzymali lód chociaż przez chwilę, ciepło ciała mogło sprawić, że zostały w nim chociaż delikatne wgłębienia.

- Nie dowiemy się tego, jeśli gdziekolwiek zabierzemy ciało.

- Tutaj też wiele nie zdziałamy – zauważyła Kowalczyk. – Do kogo dzwonicz? – zainteresowała się, gdy Foks wyciągnął telefon.

- Pora, żebyśmy poczuli się jak morderca.

Kowalczyk wciąż drżała z zimna, ale teraz przynajmniej nie było wiatru. Śnieg nie zacinał w twarz, ale jechali powoli, silnik długo nie chciał się rozgrzać, a ona była przemarznięta jak jeszcze nigdy. Na moście zdawało się być jeszcze zimniej, mróz ciągnął od zamarznętej Wisły, a wiatr miał duże pole do popisu. Czuła go, nawet gdy wsiadła do samochodu i zamknęła za sobą drzwi. Śnieg, który przylepił jej się do ubrania i każdego włoska na policzkach, długo jeszcze nie chciał spłynąć. Dopiero gdy minęli trzecie, może czwarte skrzyżowanie, poczuła, jak pierwsza kropla spływa po twarzy.

– Jeszcze tylko tego brakuje, żeby w tej sytuacji złapać zapalenie płuc – mruknęła wyraźnie rozgoryczona.

– Chcesz pojechać do domu i się przebrać? – spytał Foks, zanim zdążył ugryźć się w język. Wyjątkowo jednak Eliza nie wyczuła w jego słowach żadnego podtekstu. – Albo chociaż założyć na siebie coś jeszcze? Widzę, jak się trzęsiesz.

– Nie, spokojnie, dam radę – odparła, szcękając zębami.

Foks lepiej się trzymał, dlatego zmartwił się jej stanem. Ale nie mieli teraz zbyt wiele czasu na postoje. Choć sam miał ochotę usiąść w jakimś ciepłym miejscu i napić się mocnej irish coffee, to jednak napędzała go adrenalina.

– Właściwie jak ciało zostało odkryte? – spytała Kowalczyk. Zapomniała spytać, kto i w jaki sposób się na nie natknął, tak bardzo przejęła się samym znaleziskiem.

– Jakiś facet tamtędy szedł i potknął się o ciało. Jeśli można to tak w ogóle nazwać.

Kowalczyk prawie parsknęła śmiechem, gdy to sobie wyobraziła.

Samotny mężczyzna, nad ranem przemierzający most w drodze do pracy, potyka się o coś i przewraca. Chce zakląć, ale zamarznięte usta nie współpracują. Zanim uda mu się wypowiedzieć jakieś słowa, zdąża zauważyć, o co się potknął. Jest zaciekawiony. Zaczyna odśnieżać lodową bryłę i wtedy zamiera. Z każdym kolejnym odśnieżonym centymetrem ma coraz bardziej przerażoną minę. Nie może uwierzyć w to, co widzi.

Tak samo, jak nie wierzyła Kowalczyk, a wcześniej Foks i patrol, który pojawił się jako pierwszy.

– Kolejna bezimienna ofiara – mruknął zamyślony Foks, przywołując w myślach obraz sprzed chwili. – Kolejna zagadka, która nie będzie chciała zostać rozwiązana.

– Mam nadzieję, że tym razem będzie łatwiej ustalić, kto to.

– Oby, chociaż wątpię, żeby kobieta ukryła gdzieś portfel z dokumentami.

– Coś czuję, że jej linie papilarne powiedzą nam więcej niż w przypadku tamtego kolesia.

– Skąd ta pewność? – spytał Foks, spoglądając w jej stronę. Już nie trzęsła się z zimna aż tak bardzo i usiadła nieco wygodniej. Silnik się rozgrzał, z wentylatorów napływało ciepłe powietrze. Oboje żalowali, że za chwilę i tak będą musieli wyjść na zewnątrz.

– Jak ją zobaczyłam, jej martwą twarz, to zdawało mi się, że skądś ją znam. – Zamilkła na chwilę, cały czas szukając w pamięci obrazu, który mógł odpowiadać temu, co widziała na moście, ale nie mogła na nic wpaść. – Chyba gdzieś już ją widziałam. Tak czy inaczej, ma rysy twarzy kogoś, kogo na pewno będą szukać.

– Obyś miała rację.

Zaparkował pod dużym przemysłowym magazynem. Na razie nie wychodzili, czekali, aż pod budynek podjedzie furgonetka z chłodnią. Foksowi wydawało się to dość ironiczne, że najpierw sprawca zapewne podobnym pojazdem dostarczył bryłę lodu z ofiarą na most, a teraz oni, równie pieczołowicie i ostrożnie, musieli ją stamtąd zabrać i dostarczyć do większej chłodni. Gdyby ukryli się w nieogrzewanym pomieszczeniu, jedynie osłoniętym od wiatru, lód mógłby zostać naruszony. Potrzebowali

dużej, sterylnej i gładkiej powierzchni z odpowiednią temperaturą, gdzie technicy mogli zabrać się do pracy.

Problemem był załadunek i rozładunek, dlatego tak dużo czasu spędzili na moście. Zanim Radecki znalazł odpowiedni pojazd i ludzi, którzy mogli pomóc, minęła niemal godzina. Oczywiście robił, co mógł, w zabezpieczanie zwłok zaangażowany był w tym momencie cały zespół, bo poza furgonetką potrzebowali jeszcze stacjonarnej chłodni. To było o wiele trudniejsze, nikt nie chciał, żeby w jego zakładzie przebywał trup, a co dopiero cały zespół badający bardzo nietypowe zwłoki. Nikomu też nie można było tego narzucić, a prosekorium czy kostnica w żadnym wypadku się do tego nie nadawały. W ich chłodniach nie dało się uzyskać odpowiednio niskiej temperatury. Zwykle utrzymywana była na plusie, co w tym przypadku nie wchodziło w grę. Musieli uzyskać przynajmniej dziesięć stopni mrozu, wtedy warunki byłyby zbliżone do tych, w jakich bryła lodu spoczywała przynajmniej przez ostatnie dwie, trzy godziny.

– Ciekawe, czy nasza sprawa wpłynie na przyszłe wyposażenie prosektoriów – powiedział w pewnym momencie Foks, chociaż Kowalczyk nie wiedziała, o czym przed chwilą myślał. – Może będą mieli na uwadze, żeby gdzieś jednak postawić na tyle dużą chłodnię, w której będzie można pracować nad podobnymi sprawami.

– Myślisz, że taka historia mogłaby się powtórzyć?

– Nigdy nie wiadomo. Jak informacja o niej wypłynie, to możliwe, że kiedyś pojawi się naśladowca.

– Myślę, że to wciąż za mało, żeby aż tak bardzo ingerować w naszą pracę.

Dostawczak w końcu podjechał tyłem do śluzy, przez którą owinięta w folię bryła, spoczywająca już na palcu, miała zostać przewieziona do chłodni. Technicy już czekali na kolejne zadania, zespół badał okoliczności. Naczelnik oszukiwał się, że jakaś kamera coś zarejestrowała, że znajdą się świadkowie. Tymczasem Foks, Kowalczyk i Radecki mieli dopilnować, żeby z ciałem obchodzono się delikatnie, niczego nie można było pominąć. Oczywiście nie chcieli mówić technikom, jak mają pracować, ale sami też musieli dokładnie się wszystkiemu przyjrzeć,

zanim temperatura w pomieszczeniu będzie stopniowo podnoszona, aż do całkowitego roztopienia lodu.

– Jednak przydałby się jakiś kozuch – mruknęła Kowalczyk, gdy oboje wyszli z samochodu.

Od razu skierowali się do budynku, który załatwił naczelnik. Na wyłączenie mieli przemysłową chłodnię, która w tym momencie przechodziła rewitalizację. Nikt więc nie mógł mieć potem pretensji, że jego mrożonki leżały w miejscu, gdzie kiedyś przeprowadzano oględziny zwłok, bo cały budynek remontowano.

– Jak chcesz, to mogę ci coś załatwić.

Myślał, że go wyśmieje, w ogóle nie powinien proponować czegoś takiego, ale ona nawet nie odpowiedziała. Wpatrywała się w ekran telefonu i zagryzała wargi.

– Nie mogę zostać – powiedziała nagle, jakby nie chodziło o badanie zwłok, ale wypicie wspólnej kawy, co można było przełożyć na inny dzień.

– Coś się stało?

Kowalczyk pokazała mu zdjęcie, które właśnie otrzymała. Foks nie mógł uwierzyć w to, co widzi.

Komisarz czuł na sobie intensywny wzrok Radeckiego. Ten starał się nie wyglądać na naburmuszonego, ale Foks doskonale rozumiał jego emocje. Ostatnio pracował głównie z Kowalczyk, choć oficjalnie to z nim powinien prowadzić śledztwo. Oczywiście nikt nikogo nie odsuwał od sprawy, ale Radecki mógł poczuć się w pewien sposób urażony. Komisarz czuł jednak, że powinien pójść śladem prokurator.

– Co o tym wszystkim myślisz? – spytał podkomisarza, chcąc jakoś przełamać nagłą ciszę.

Stali tak i patrzyli na techników, którzy na razie tylko oczyszczali ścieżki ze śniegu. Robili to ostrożnie, z delikatnością godną archeologów, którzy znaleźli wyjątkowo stary i kruchy szkielet.

– Miło, że pytasz, już myślałem, że nie ma to większego znaczenia.

Foks spojrział na niego z uniesionymi brwiami, a Radecki zaśmiał się. Komisarz poczuł, jak kamień spada mu z serca.

– Sorry, wiem, jak ostatnio to wygląda, ale...

– Spokojnie, nie musisz mi się z niczego tłumaczyć.

– Tylko skąd u ciebie ten spokój i zrozumienie? – zdziwił się, bo mimo wszystko Radecki powinien choć trochę go opieprzyć. Teraz poczuł, że ta obojętność może być jeszcze gorsza od złości.

– Zawsze wiedziałem, że w końcu się spikniecie.

Foks otworzył usta, żeby coś odpowiedzieć, ale nagle zabrakło mu słów.

– O czym ty mówisz?

– Pamiętam, jak na ciebie patrzyła tych kilka lat temu, gdy pierwszy raz pojawiła się u nas na komendzie. Wydaje mi się, że wtedy ty jej nie

zauważyłeś, albo może ja nie sprawdziłem twojej reakcji, ale doskonale pamiętam jej wzrok.

- Jaki znowu wzrok?

- A potem... - Zignorował jego pytanie, bo odpowiedź i tak była oczywista. - Potem, gdy dowiedziała się, że masz kogoś, wszystko nagle się zmieniło.

- Co ty gadasz? - prychnął, zirytowany. - Nic się nie zmieniło, ona zawsze taka była, zawsze darliśmy koty. Nie ma i nie było w tym żadnego podtekstu, tak samo jak teraz nie warto go szukać. Po prostu współpracujemy.

- Pamiętam, jak wybuchła pierwszy raz - mówił dalej Radecki, ignorując słowa Foksa. - Te maślane oczy i waszą pierwszą sprzeczkę dzieliło kilka miesięcy. Wtedy rzadko u nas bywała, bo dopiero zaczynała, ale widać było zmianę w jej zachowaniu, jak tylko się pojawiała. Jak myślisz, co ją spowodowało?

Foks czuł, że robi się czerwony ze złości. Z jednej strony był wściekły na Radeckiego, że posądza ich o takie rzeczy. Z drugiej strony - że ma też rację. Ale nie mógł się do tego przyznać. Sam dopiero niedawno zauważył, że Kowalczyk zachowuje się w ten konkretny sposób, bo wzięła go za cel, który ostatecznie okazał się niemożliwy do osiągnięcia.

- Pierdolisz głupoty - warknął tylko. - Lepiej zajmij się pracą, zamiast szukać biurowych romansów tam, gdzie ich nie ma.

- Myślałem, że zaprzeczysz w stylu „pierdolisz głupoty, mam żonę” albo „daj spokój, nigdy bym się nie umówił z tą żmiją Kowalczyk”.

- Z nikim się nie umawiam - odparł ostro, patrząc mu prosto w oczy. - Po prostu... - Urwał.

- No?

Foks nie wiedział, czy Radecki ma mu za złe, że nagle zmienił podejście do Kowalczyk, czy dlatego, że sam miał nadzieję coś dla siebie ugrać w związku z kontaktami z prokurator. Ostatecznie jednak nie chciał tego rozstrzygać, to nie był odpowiedni moment na takie dyskusje. Łódź właśnie został oczyszczony i do akcji powinien wkroczyć patolog, ale Mazurkiewicza wciąż nie było.

Podeszli do bryły i przyglądali się, jak technicy fotografują ją z każdej strony.

– Widać cokolwiek na powierzchni? – spytał Foks.

– Na razie nie – odparł jeden z techników. – Widać złobienia, ale to raczej wynik nieregularnej powierzchni pojemnika, w którym... – zastanowił się, jak to ująć – w którym zamrożono ciało.

– Domyślasz się, co to mogło być?

– Na razie nie chcę niczego przesądzać, ale domyślam się, że właśnie te pojedyncze ślady – wskazał na jedną z bardziej widocznych rys – wiele nam powiedzą.

Foks ukucnął przy lodzie i zapatrzył się w dość gładką powierzchnię. Przypominała odbicie wysłużonej blachy, którą naruszyły lata użytkowania. Powierzchnia była bardzo nieregularna i nierówna.

Wiadome już było, że pojemnik został pochyłony, przez co powierzchnia wody zamieniła się w równię pochyłą, która na szczycie została zaburzona wystającymi ustami i nosem.

– Mamy dość charakterystyczne wymiary, delikatnie zaokrąglone krawędzie, jakie trudno byłoby uzyskać we własnoręcznie przygotowanym pojemniku – zaczął wyliczać Foks. – No i oczywiście mamy ślad po półce po prawej stronie. To musiała być zamrażalka.

– Fakt, to znaczący argument – zauważył technik.

– Tylko pytanie, jak sprawca wyjął z niej potem taką dużą i ciężką bryłę lodu – zauważył Radecki. – Chciał mieć pewność, że w akcie desperacji kobieta nie rozbije pojemnika, więc zamrażarka była idealnym wyjściem. Ciężki sprzęt, dodatkowo wypełniony wodą, trudno byłoby przewrócić. Do tego nie musiał czekać, aż mróz zetnie wodę, mógł więc zamordować tę kobietę w dogodnych dla siebie warunkach.

Foks cały czas miał w pamięci słowa starca, który mówił, że wszystko zamarznie. Kowalczyk twierdziła, że jeśli mordowali członkowie jakiejś sekty, to właśnie warunki pogodowe były dla nich przykrywką i pretekstem. Nadeszła apokalipsa, a oni byli jej jeźdźcami. Złe warunki były czymś na wzór oczyszczenia. Naturalną selekcją. Nieco mniej naturalne było oczyszczanie świata z żyć, które być może komuś wadziły.

Z jakiego jednak powodu? Tego Foks nie wiedział, ale był wręcz przekonany, że sekta działała pod przykrywką patetycznych kazań o złu, które trzeba tępić. A skoro świat sam próbuje się bronić, to warto mu w tym pomóc.

Teraz Foks widział to bardzo wyraźnie. Zamrożona kobieta była idealnym połączeniem tego, co mogło być wartościami sekty. Ujemna temperatura, ciągła zamięć śnieżna, lód. Gdyby nie forma bryły lodu, można byłoby pomyśleć, że kobieta wpadła do rzeki, gdzie zamarzła. Tylko że w takiej sytuacji jej ciało albo tkwiłoby cały czas pod wodą, albo wypłynęłoby dopiero na wiosnę.

Ktoś próbował przyspieszyć ten „naturalny” proces.

Tylko dlaczego tak się z tym obnosił?

– Musimy porozmawiać – powiedział do Radeckiego. Zrozumiał, że powinien go wtajemniczyć. Zanim jednak zdążył zaproponować wyjście na papierosa, do pomieszczenia w końcu wszedł Mazurkiewicz.

Wszyscy zamarli.

Eliza Kowalczyk patrzyła na podejrzanego o pobicie mężczyznę, którego bardziej musieli, niż chcieli wypuścić. Mimo że facet do nikogo nie dzwonił, a od czasu zatrzymania nie odezwał się ani słowem, w areszcie pojawił się jego adwokat. On też niewiele mówił, zażądał jedynie wypuszczenia swojego klienta, a że prokuratura nie mogła mu niczego zarzucić, to musieli ustąpić.

Wybrała numer do policjanta, który go obserwował. Przynajmniej teoretycznie.

- Gdzie według ciebie jest teraz nasz obiekt obserwacji? - spytała aspiranta Łukomskiego, który miał na niego oko.

- Wszedł do bloku przy Białostockiej. Potem zapaliło się światło w jednym z mieszkań, więc mniej więcej wiem, gdzie siedzi - powiedział z dumą w głosie. Miał nadzieję, że prokurator za chwilę go pochwali za dobrze wykonaną robotę.

- Chuja tam - odparła, rozzłoszczona. Nie wiedziała, czy policjant ją okłamuje, bo ma gdzieś śledzenie jakiegoś typka, czy jest na tyle głupi, że pozwolił mu wywieść się w pole. - Właśnie widzę go na drugim końcu miasta. A ciebie jakoś w pobliżu nie ma.

- Słucham? - spytał po chwili, nie rozumiejąc, o czym mówi prokurator.

- Wracaj do naczelnika, odmelduj się i powiedz, że spieprzyłeś sprawę. Rozłączyła się.

- Kurde, nie chciałbym być twoim podwładnym - powiedział chłopak, który trząśnięcie na miejscu pasażera tak mocno, jak jeszcze niedawno

trzęsa się ona. Ale teraz, gdy siedziała we własnym samochodzie, czuła się o wiele bardziej komfortowo.

– Jednak dobrze, że dałaś mi swój numer – powiedział, uśmiechając się głupkowato.

– Dobrze, że go wyblagałeś – odparła oschle.

– Nie przesadzajmy. Ty też przecież miałaś ochotę się jeszcze spotkać.

Kowalczyk spojrzała na niego z uniesionymi ironicznie brwiami. Otaksowała chłopaka od góry do dołu, jakby widziała go po raz pierwszy, i prychnęła, jak to miała w zwyczaju. Kuba był młodym, może piętnaście lat młodszym od niej chłopakiem, który zapewne jeszcze studiował i dorabiał sobie w kawiarni, a każde niestandardowe spojrzenie klientek uznawał za podryw. Nic więc dziwnego, że szybki numerek uznał za wstęp do czegoś naprawdę poważnego. A Kowalczyk musiała po prostu dać ujście męczącym ją emocjom. Wiedziała, że mogła to zrobić w sposób inny, mniej ryzykowny, ale wykorzystywanie mniej lub bardziej przypadkowych osób weszło jej w krew. Nie sądziła jednak, że chłopak będzie tak bardzo nią zainteresowany. Albo nie domyślał się, ile ma lat, albo kręciły go związki ze starszymi kobietami.

– Ty tak serio? – spytała, chcąc uzyskać komentarz zarówno do jego ostatnich słów, jak i własnych myśli.

– A to takie dziwne?

Patrzył na nią z uśmiechem, którego nie potrafiła rozszyfrować.

– A czy cała ta sytuacja nie wydaje ci się dziwna?

Prawie zapytała, czy nie widzi, że ta wisząca w powietrzu obietnica seksu jest wyłącznie oznaką tego, że Kowalczyk chce Kubę w jakiś sposób wykorzystać. Teraz już niekoniecznie seksualnie.

– Co dokładnie masz na myśli?

– Mniejsza o to. – Machnęła ręką. – Muszę się skupić. – Ruchem głowy wskazała dwóch rozmawiających mężczyzn. – Jak właściwie na nich trafiłeś?

– Ten drugi koleś jest kimś ważnym? – spytał, ale Kowalczyk nie odpowiedziała, tylko westchnęła przeciągle, dając znać, że nie powinien pytać. – Akurat pojawiła się Kaśka. Pisałem jej, że może wpaść później, bo

i tak kawiarnia prawie nie działa. Wyszedłem na fajkę, gdy akurat tamten starzec z kimś gadał. Chciałem podejść i podsłuchać, ale gdy po chwili pojawił się on – wskazał na aktualnego rozmówcę siwowłosego – to oddalili się we dwóch. Dałem więc znać Kaśce, że mam coś do załatwienia, i od razu napisałem do ciebie. – Spojrzał na nią i uśmiechnął się, czekając na słowa podziękowania, ale nie doczekał się niczego takiego. Nie odrywała wzroku od pary mężczyzn, którzy cały czas o czymś żarliwie dyskutowali.

– W zasadzie to możesz już iść – powiedziała nagle.

– Mogę jeszcze jakoś pomóc.

Kowalczyk skrzywiła się. Wiedziała, że nie odpuści zbyt łatwo, ale w tym momencie sama nie wiedziała, co ma dalej robić. Domyślała się, że Foks miałby jakiś pomysł, ale był teraz zajęty.

– W takim razie możesz zaproponować kolejny krok – powiedziała dobrodusznym głosem, jakby była dobrą cicią, która pozwala dziecku samemu odpakować lizaka.

– Miałem nadzieję, że najpierw jakoś mi to wszystko wytłumaczysz.

Kowalczyk westchnęła głośno.

– Domyślałam się, że ten starzec może przewodniczyć jakiejś grupie osób...

– Mafia? – przerwał jej. – Są niebezpieczni?

– Przewodniczy grupie osób – kontynuowała – która najprawdopodobniej odpowiada za różne... przewinienia.

– Czyli jednak – ucieszył się.

– Tego drugiego koleś najpierw z nimi nie łączyliśmy, nie miałam pojęcia, że zobaczymy ich razem. Teraz próbuję dowiedzieć się, jakie są między nimi powiązania.

– Czyli nie powiesz mi, kim jest ten drugi?

– To nikt ważny. A przynajmniej tak mi się wcześniej wydawało. Teraz nie mam pewności.

Wiedziała, że mówi mu o wiele więcej, niż powinna, ale czuła się w jakimś stopniu do tego zobowiązana. Mogła go teraz wyprosić, nigdy

więcej by się nie zobaczyli, ale czuła w sobie jakieś dziwne klucie, które jej na to nie pozwalało.

Oby to tylko nie było sumienie, myślała. Przecież już dawno temu je w sobie zabiłam.

- Chcesz się więc po prostu dowiedzieć, kim są ci ludzie?
- Można to tak ująć – odparła.
- Jak chcesz, to mogę spróbować z nimi pogadać.
- To nie jest takie łatwe. Sam widziałeś, że nie da się ich podejść.
- Domyślasz się, czemu tak wtedy zareagowałeś?

Kowalczyk pokręciła przecząco głową, chociaż facet na pewno spotkał w życiu już wiele osób i werbował tylko pospólstwo, ludzi niewykształconych, ogłupionych, podatnych na manipulacje, wierzących, że coś takiego jak apokalipsa zesłana przez Boga naprawdę może nadejść, że trwająca od kilku dni burza śnieżna jest czymś na wzór palca bożego, a oni zostali powołani przez siły nadprzyrodzone do pomocy w oczyszczaniu świata.

Nie mogło być inaczej, skoro starzec spotkał się z ich podejrzanym. Co więcej – miał prawnika, którego ktoś musiał wysłać. Zapewne zrobiła to starszyzna sekty, której częścią był ten brodaty włóczęga.

- Więc jakie mamy opcje? – zainteresował się Kuba, gdy znów milczeli, a prokurator tylko wpatrywała się w mężczyzn, zaciskała mimowolnie szczękę i próbowała wymyślić coś sensownego.

- Najlepiej byłoby ich dalej śledzić, może doprowadziliby nas do miejsca, w którym spotykają się w szerszym gronie.

Na razie mężczyźni zaszyli się między budynkami i rozmawiali. Było to przypadkowe miejsce, w którym mógł stanąć każdy. Wiedzieli, że jeśli ktoś ich obserwował, to nie mógł niczego wywnioskować z wyboru tej właśnie lokalizacji.

- Tylko po co nam ich cała sekta? Nie wystarczy przycisnąć któregoś z nich?

Bo będzie tam zapewne nasz morderca, pomyślała, ale nie mogła tego powiedzieć na głos.

- Jednego już próbowaliśmy.

- Wy? - zaniepokoił się chłopak.

Kowalczyk skarciła się w myślach. Nie mówiła, kim właściwie jest. Kuba pytał, ale nie odpowiadała. Domyślał się, że jest dziennikarką, bo na policjantkę nie wyglądała. Nie sądził, że może być jeszcze gorzej. Podejrzewał, że pisze jakiś artykuł o tej grupie, że usłyszała o facecie, który terroryzuje przechodniów, i najzwyczajniej w świecie szuka odpowiedzi na pytania o jego motywację, o to, co właściwie chce zyskać i czemu akurat teraz.

Owszem, chciała to wiedzieć, ale z zupełnie innego powodu.

- Nasza redakcja - odparła, a chłopak od razu to łyknął. Gdyby powiedziała, że jest z prokuratury i wraz z zespołem śledczych pracuje nad sprawą dwóch morderstw i kilkunastu napaści, z czego dwie skończyły się śmiertelnie, to Kuba sam by wysiadł i odszedł.

- Czyli to jakiś grubszy materiał?

- Pracujemy nad tematem w kilka osób od jakiegoś już czasu - odparła, a kłamstwa łatwo jej przychodziły. - Mamy dwie duże sprawy, które próbujemy powiązać.

- Jakie?

- Niestety tajemnica dziennikarska nie pozwala mi o tym mówić - wywinęła się. - Faktem jednak jest, że ci ludzie dopuszczają się wyjątkowo złych rzeczy. Naczelnik... To znaczy naczelny mnie ciśnie, żeby szybko rozwikłać tę sprawę, ale na razie stoję w miejscu - odparła niezgodnie z prawdą. Wydarzenia wręcz rozwijały się w zatrważająco szybkim tempie. Mieli dwa ciała, wiedzieli o trzeciej ofierze, której szczątki znaleziono. Bez wątplenia trzeba było szukać kolejnego wypatroszonego korpusu. Poza tym każdy krok odkrywał coraz to nowe powiązania między jej sprawą, którą żyła od dłuższego już czasu, a oficjalnym śledztwem.

- Czyli będziemy go śledzić?

- Sę w tym, że nie mam teraz na to czasu.

- A to czym innym musisz się zająć, skoro oni są sednem twojej zagadki?

Na to pytanie nie mogła już znaleźć odpowiedzi. Dlatego złapała chłopaka za udo i przesunęła po nim dłoń, aż dotarła do podbrzusza. To mu wystarczyło za wyjaśnienie.

Wszyscy wpatrywali się w Mazurkiewicza z niedowierzaniem.

– Mój Boże, co się stało? – zaczął Foks, podchodząc do niego.

Patolog spróbował się uśmiechnąć, ale marnie mu to wyszło. Miał rozciętą wargę, podbite oko i mocno opuchniętą szyję.

– Wybaczcie spóźnienie, ale wizyta u lekarza mi się przeciągnęła. – Minął komisarza i podszedł do bryły lodu. – Co tu mamy? – spytał, jak gdyby nigdy nic.

– Serio nie powiesz ani słowa o tym, co się stało? – spytał zaskoczony Radecki. Tymczasem technicy zamarli i tylko przysłuchiwali się ich wymianie zdań.

– Spokojnie, nic się nie stało. A przynajmniej nic poważnego.

– Domyślam się, że lekarz, u którego byłeś, twierdził co innego.

– Sam to sobie powiedziałem. Nie zapominaj, kim jestem – warknął, po czym skrzywił się, wciąż czując ból po stłuczeniach. Były dość rozległe, ale nie aż tak poważne, jak to mogło wyglądać na pierwszy rzut oka. Pobito go, lecz nie chciano mu zrobić wielkiej krzywdy. Co najwyżej zastraszyć i ostrzec, że drugi raz nie będzie już tak łagodnie.

Ukucnął obok bryły i wpatrzył się w ciało. Foks domyślał się jednak, że samo przyglądanie się mogło sprawiać mu kłopot, bo jedno oko miał naprawdę mocno podbite.

– Mam nadzieję, że zgłosiłeś to, co zaszło.

Mazurkiewicz spojrział na niego karcąco, jakby komisarz zasugerował coś bardzo niepoprawnego.

– Może po prostu zajmijmy się sprawą, dobrze?

Foks podszedł do niego i ukucnął tu obok.

– Chodzi o ten raport z badania, tak? – spytał szeptem, domyślając się, że patolog nie chce, żeby ktokolwiek usłyszał, o czym mówią. – Co poszło nie tak?

Foks wiedział, że zabrzmiało to, jakby bardziej martwił się o niezdobyte dokumenty, ale za późno ugryzł się w język.

– Wszystko – odparł tylko lekarz, po czym wziął się za oglądanie ciała. – Możesz wpaść do mnie później. Oczywiście po raport z sekcji. – Skinieniem głowy wskazał na ciało. – Tymczasem chyba nie będziesz nam już potrzebny.

Spojrzał na jednego z techników, ale ten nie poparł go, jedynie wzruszył ramionami.

– Jasne, chętnie wpadnę – odparł Foks, skrzywiony, po czym wycofał się z pomieszczenia. Radecki wyszedł za nim.

– O co chodzi? – zainteresował się podkomisarz, gdy obaj stanęli w przedsionku, tuż przed wyjściem. Otworzyli drzwi i zapalili, nie martwiąc się o to, że większość dymu i tak wiatr zawiewał do środka.

– O to, że Mazurkiewicz został wciągnięty w coś, w co nie powinien.

Pół godziny później Foks wsiadł do samochodu, a Radecki wrócił do środka. Technicy wraz z Mazurkiewiczem wciąż przypatrywali się ciału. Ubrania ochronne mocno ograniczały ich ruchy, Mazurkiewicz robił notatki skostniałymi dłońmi, a aparaty co jakiś czas odmawiały posłuszeństwa od wszechobecnego chłodu.

– Mogę jakoś pomóc? – spytał podkomisarz, ale nikt nie miał dla niego żadnego zajęcia. Naczelnik kazał mu jednak pilnować całej akcji. Przełożony był przy okazji niesamowicie zdenerwowany, że Kowalczyk nie było na miejscu. Zapewniła, że wysła jakieś zastępstwo, ale nikt ostatecznie się nie pojawił.

– Chcę mieć raport z całego zajścia – powiedział Radeckiemu, więc ten stał i patrzył, trzęsąc się z zimna. Nienawidził takiej biernej roboty.

Mimo to spoglądał teraz z zainteresowaniem na Mazurkiewicza, jego ruchy i podejrzliwe spojrzenia, którymi obdarzał zarówno techników, jak

i samego policjanta.

– Będziesz tak tu sterczał i się gapił? – warknął w pewnym momencie patolog. Wyraźnie czegoś się obawiał, coś go wciąż niepokoiło.

– Bez obaw, nic ci nie zrobię – odparł zaczepnie, a Mazurkiewicz tylko zagryzł mocno zęby, słysząc te słowa.

Radecki cały czas analizował to, o czym w końcu opowiedział mu komisarz. Rozumiał, czemu patolog trzymał język za zębami.

Foks wyrzucił peta w śnieg. Po chwili ruszył szybko, prawie z piskiem opon, lecz zamiast charakterystycznego odgłosu usłyszał tylko szum ślizgania się gumy po lodzie, zarzuciło tyłem samochodu i po chwili był już na ulicy.

Pół godziny później wpadł do gabinetu Krzysztofa Zaworskiego. Za nim pobieгла recepcjonistka, która najpierw spytała, czy jest umówiony, ale gdy tylko zobaczyła rozwścieczony wyraz twarzy nieznajomego, wybiegła zza lady i pognęła za nim.

– Co pan robi? – krzyknęła, gdy Foks dopadł do lekarza, który nawet nie zdążył zareagować. Spojrzał tylko na intruza, przestraszony, a chwilę później poczuł ucisk na karku.

– Ty nasłałeś kogoś na Mazurkiewicza? – warknął Foks, przygniatając lekarza do blatu biurka. – Ty?

Zaworski spadł z krzesła, które z hukiem uderzyło w stojącą przy ścianie komodę. Biurko zadrżało, gdy komisarz uderzył głową mężczyzny w blat, aż na podłogę poleciała kryształowa popielniczka, a stos jakichś papierów przewrócił się na klawiaturę laptopa.

– Co ty... Co ty pierdolisz? – wycharczał lekarz, który nie miał w tym momencie zbyt dużego pola do jakichkolwiek innych działań. Z jednej strony ucisk uniemożliwiał płynne wypowiedanie zdań, podobnie jak zgięte wpół ciało, a element zaskoczenia dodatkowo sprawił, że był zupełnie zdezorientowany.

– Nasłałeś na Mazurkiewicza jakichś przydupasów, tak? Też należysz do tej bandy pojebów?

Mężczyzna wybałuszył oczy. Foks widział, że ten naprawdę nie ma pojęcia, o czym mowa.

Nie zwalniając uścisku, zaczął rozglądać się po gabinecie i blacie biurka. Dwie rzeczy od razu zwróciły jego uwagę.

- Kurwa! - zaklął, puszczając lekarza.

Temperatura w pomieszczeniu w końcu zaczęła się podnosić. Mrożenie wyłączono już jakiś czas temu, ale tak bardzo wychłodzonej przestrzeni nie dało się z chwili na chwilę ocieplić. Tym bardziej że nie do tego została przeznaczona.

– W końcu... – mruknął Radecki, gdy dostrzegł pierwszą kroplę, która spłynęła po lodowej bryle.

Zostali sami z Mazurkiewiczem i jednym technikiem. Reszta przygotowywała się do zabezpieczania zwłok i przewiezienia ich do prosektorium, w którym pracował patolog. On sam musiał jeszcze przyjrzeć się ciału zaraz po jego rozmrożeniu, chociaż nie sądził, że zobaczy cokolwiek więcej od tego, co widzieli przez lód. Ten był dość klarowny, jeśli nie liczyć krwi na spodzie.

– Jaka mogła być bezpośrednia przyczyna zgonu? – zagaił Radecki po kilku próbach dowiedzenia się, kto i dlaczego napadł Mazurkiewicza. Bo z pewnością nie mogło to być nic innego, raczej nie wpadł pod samochód ani nie zsunął się po schodach. Wtedy rzeczywiście wstyd byłoby się do tego przyznać, ale patolog nie milczałby na ten temat aż tak uparcie.

– Na razie nie mogę tego jednoznacznie stwierdzić.

– Ale prędzej się udusiła czy wykrwawiła?

– To zależy, jak bardzo rozległa jest rana.

Radecki był przekonany, że jest naprawdę głęboka, bo mogła powstać tylko z jednego powodu.

– Ale pewnie domyślasz się, czego brakuje. – Wskazał na ciało. – Jednego elementu, bardzo znaczącego.

Mazurkiewicz spojrzał na niego pytająco.

– Powiedzieli ci?

– Najwyższy czas. Tym bardziej że ty zostałeś w to wciągnięty. A przynajmniej w sposób, którego nikt nie mógł przewidzieć.

Patolog nie zaprzeczył, tym samym przyznając, że jego stan faktycznie został wywołany bliskim spotkaniem z kimś, komu nie podobało się węszenie Kowalczyk i Foksa.

– Im więcej osób w tym siedzi, tym lepiej.

– A co, też chcesz, żeby cię tak potraktowali?

– Niech przyjdą, chętnie się z nimi rozprawię. Fajnie by jednak było, gdybyś nam powiedział, kim są ci „oni” – rzekł powoli i dobitnie.

– Sam chciałbym wiedzieć.

– Ale zdajesz sobie sprawę, że razem możemy do tego dotrzeć, prawda?

Radecki przemawiał jak do dziecka, które nie rozumie, że musi założyć kurtkę, bo na dworze jest zimno. Mazurkiewicz czuł się tak samo. Jak smarkacz, który wrócił do domu z rozbitym nosem, ale nie chciał powiedzieć rodzicom ani co się stało, ani kto mu przyłożył, bo bał się, że przez to jutro oberwie jeszcze raz, tyle że mocniej.

– Zdaję też sobie sprawę, że czasem gówno możecie zrobić. A ja w tym momencie mogę jedno.

– Co takiego?

– Nie mieszać się w sprawy, które mnie nie dotyczą. Powinienem od razu tak stwierdzić... – powiedział sam do siebie. – Tymczasem daj mi po prostu pracować. Za wykonywanie obowiązków nic mi nie grozi.

– Ona z pewnością myślała tak samo. – Radecki wskazał na ciało.

Bryła lodu zaczęła coraz szybciej topnieć. Już wcześniej położono ją na stole z rynnami, po których woda spływała do pojemników. Należało ją przebadać, głównie ze względu na pływającą tam krew. Technicy sądzili, że laboratorium może coś w niej znaleźć.

– Więc tym bardziej nie chcę skończyć jak ona – zauważył Mazurkiewicz.

– Szkoda tylko, że wyboru nie mają ci wszyscy, którzy giną z ręki tych zwyrodnialców. A przynajmniej jeden z nich zabija i coś mi się wydaje, że

nie ma zamiaru przestać.

– W końcu jakoś na niego wpadniecie. Ja nie mogę wam w żaden sposób pomóc. Oczywiście poza wykonywaniem własnych obowiązków.

– A co, na to ci pozwolili? – prychnął ironicznie Radecki.

– Nigdy mnie przez to nic złego nie spotkało. Na chwilę pozwoliłem się zwieść i już takie cyrki. Pierdoli mnie to, co odkryła Kowalczyk, to nie moja sprawa.

– No tak, racja, nie może ci zabraknąć ciał do badania – rzucił Radecki, udając zniechęcenie. Wiedział, że rozsierdzi tym patologa, ale nic innego już mu nie pozostawało. Niemniej Mazurkiewicz zdawał się niewzruszony. Ktoś musiał mu naprawdę poważnie grozić.

– Powiedz chociaż, czy idą w dobrym kierunku.

Patolog spojrzał mu prosto w oczy. Nie odpowiedział. Chwilę później odwrócił wzrok na stojącego niedaleko technika, który przysłuchiwał się ich wymianie zdań. Zaraz potem spojrzał na niego także Radecki. W jego spojrzeniu dostrzegł dziwny błysk.

Radeckiego aż przeszedł dreszcz.

Nie twierdził, że technik mógł być jednym z członków sekty. Ale Mazurkiewicz dał coś jasno do zrozumienia. Ściany mają uszy, mówiło jego spojrzenie.

Radecki szybkim krokiem wyszedł z chłodni.

Foks chwycił leżącą w rogu biurka kopertę.

– To ona? – spytał zmaltretowanego lekarza, który odskoczył pod okno, gdy tylko komisarz go puścił. – To ta koperta? – ponowił pytanie, robiąc krok w stronę mężczyzny.

– Nie mam pojęcia, o co ci chodzi.

Foks rozerwał papier i szybko przejrzał plik dokumentów.

– To miało pójść do Mazurkiewicza, tak? – Najwyraźniej lekarz dopiero teraz zrozumiał, o co chodzi, bo skinął głową. – To dlaczego koperta do niego nie trafiła?

– Zbieranie danych trochę mi zajęło, dopiero przed chwilą miałem przekazać przesyłkę.

– Komu?

Nie musiał odpowiadać. Spojrzał tylko w stronę drzwi, w których dopiero co stała recepcjonistka. Zniknęła, gdy dotarło do niej, po co komisarz tu przyszedł.

Mogła się przestraszyć, myślał Foks. Przestraszyła się i zamiast próbować interweniować osobiście, postanowiła wezwać policję. Na razie nie chciał niczego przesądzać.

Wyszedł z gabinetu lekarza i rozejrzał się. Na korytarzu było pusto. Zaworski nie przyjmował tutaj pacjentów, więc nie spodziewał się zobaczyć żadnych zdziwionych awanturą twarzy chorych ludzi. Dopiero piętro niżej siedziały zastępy kaszlących i smarkających w chusteczki osób.

Foks zbiegł po schodach i udał się do recepcji, gdzie za ladą znajdowała się w tym momencie tylko jedna osoba. Musiała zostać na straży, nie

mogła zostawić przychodni samej.

– Kim pan jest? – zawołała, wstając. – O co chodzi?

– Gdzie ona poszła? – spytał złowrogo, po czym pokazał jej odznakę. Od razu spotulniała, ale nie chciała odpowiedzieć ani wskazać konkretnej drogi. – No? – warknął, a kobieta aż podskoczyła. Nie wiedziała, co ma robić, kryć koleżankę z pracy, której szemrane interesy być może dobrze znała, czy pomóc policjantowi i nie podpadać organom ścigania.

Foks zawsze lubił, gdy ktoś uciekał. To oznaczało nieme przyznanie się do winy.

Kilkoro pacjentów zaniepokojonych hałasami stanęło na schodach. Tłum rozstał się, gdy na dół zaczął schodzić lekarz ze złowrogim wyrazem twarzy. Zaraz potem Foks sam dostrzegł uciekinierkę. Była już na zewnątrz.

– Zawiadomić policję? – zawołała do lekarza recepcjonistka, a Foks miał ochotę się zaśmiać. Jeszcze raz wyjął odznakę i pokazał ją Zaworskiemu.

– Odezwę się jeszcze. Musimy poważnie porozmawiać.

– Ja chętnie porozmawiam z pana przełożonymi – zagroził.

– Polecam zadzwonić najpierw do mnie, to opowiem panu, co spotkało Mazurkiewicza.

– Co takiego?

Foks zaklął, widząc, jak tamta się oddala.

– Coś, co usprawiedliwia moje wtargnięcie tutaj.

Wyszedł na zewnątrz. Pobiegł w stronę, w którą udała się kobieta. Szybko dostrzegł, że wsiadła do samochodu i próbowała go odpalić, ale akumulator niestety odmawiał posłuszeństwa. Komisarz widział, jak wścieka się, raz po raz przekręcając kluczyk.

– Zaleje pani silnik – powiedział, stając tuż obok, ale wątpił, żeby mogła go usłyszeć, zarówno przez rżężenie silnika, jak i dudniący dookoła wiatr, uderzający w twarz płatkami śniegu. – Proszę otworzyć.

Kobieta nawet na niego nie spojrzała. Dalej próbowała odjechać. Dopiero gdy komisarz wyjął broń i zamachnął się, by ręką ręką rozbić szybę, zamarła. Oczywiście nie chciał tego zrobić, bo to oznaczałoby narażenie się na kolejne nieprzyjemne konsekwencje, przed którymi

naczelnik już wiele razy go przestrzegał, ale ona o tym nie wiedziała. Podniosła ręce w geście bezradności. Poddała się.

– Niech pani wysiądzie.

Otworzyła drzwi. Najpierw tylko trochę, żeby potem zamachnąć się nimi z całej siły. Foks poczuł silne uderzenie w klatkę piersiową. Szyba zadrżała niepewnie, jakby miała się za chwilę rozpaść na miliony kawałków. Może tak by się stało, gdyby kobieta miała szansę uderzyć jeszcze raz. Foks jej jednak na to nie pozwolił. Choć zaskoczony zatoczył się do tyłu, to jednak szybko dopadł do drzwi i uniemożliwił kobiecie ucieczkę lub ponowny atak.

Gdy zorientowała się, że jedno wyjście ma zablokowane, spróbowała przedostać się na siedzenie pasażera, ale chęć szybkiego przeskoczenia nad drążkiem skrzyni biegów okazała się zbyt karkołomna. Gdy tylko Foks zobaczył jej wypięty w jego stronę tyłek, który nie miał szans w ciągu sekundy pojawić się po drugiej stronie samochodu, otworzył drzwi i złapał kobietę za koszulkę. Pociągnął ją w swoją stronę, co z boku mogło wyglądać jak próba gwałtu, ale nie miał innego wyjścia. Miał nadzieję, że nikt go teraz nie nagrywa, choć wiedział, że patrzy na niego przynajmniej kilkanaście par oczu zza szyby przychodni.

Kobieta była lekka. Ważyła maksymalnie pięćdziesiąt kilogramów, więc Foks bez problemu mógł ją zatrzymać siłą.

– Dlaczego uciekasz? – spytał, gdy w końcu ją puścił. Kobieta oparła się bezsilnie o karoserię, a Foks stanął na tyle blisko, że nie miała szans precyzyjnie się między nim a samochodem.

– Kto powiedział, że uciekam?

– A co, nagle rzuciłaś pracę i postanowiłaś jechać do domu?

– Niech pan ją zostawi – rzucił Zaworski, który zmierzał w ich stronę. – Czego pan od niej chce?

Foks czuł się bezradny. Wiedział, że kobieta miała coś na sumieniu, ona sama zdawała sobie sprawę z tego, że została przyłapana. *Tylko jak to teraz ubrać w słowa?* – spytał w myślach, żałując, że nie ma z nim Kowalczyk. Ona wiedziałaby, co zrobić.

- Ta kobieta miała przekazać dokumenty Mazurkiewiczowi? - upewnił się Foks, podnosząc mocno już pogniecione dokumenty.

- Tak, ale co to ma do rzeczy? - rzucił lekarz.

- Ano to, że znany nam obu patolog został pobity. Dlatego, że chciał zdobyć te dane. - Potrząsnął kopertą, a kobieta wzdrygnęła się, jakby sądziła, że komisarz ma zamiar ją uderzyć.

- A co ona ma z tym wspólnego? - zdziwił się lekarz.

- Myślę, że sama nam zaraz powie.

Foks spojrział na jej przerażoną minę. Już było za późno, żeby milczeć.

Kowalczyk wyglądała na dziwnie rozczochraną, jakby biegła tu do nich, a nie jechała samochodem.

– Wszystko w porządku? – spytał Foks, a prokurator w pośpiechu wygładziła czarną obcisłą sukienkę pod rozpiętą kurtką i poprawiła włosy. Nie miała szans wytrzeć mokrej plamy na wysokości piersi, zdawało się, że nawet nie wiedziała o jej istnieniu, ale Foks nie zamierzał jej w tej chwili uświadamiać.

– Tak, a co? – spytała zdziwiona.

– Jak sytuacja z tamtym starcem i naszym podejrzanym? – zmienił szybko temat. – Pilnuje ich ktoś?

– Tak. Tym razem twój człowiek. Ale niestety ich spotkanie niewiele nam powiedziało.

– Poza tym, że się znają, a to już wiele – zauważył komisarz. – No i wiemy, że Domagalski jednak potrafi mówić.

– Fakt, ale pogadali chwilę w neutralnym miejscu i się rozeszli.

Kowalczyk nie mogła się przyznać, że nie zauważyła końca ich spotkania. Przeraziła się, gdy z powrotem opuściła sukienkę, dosunęła fotel do kierownicy i zobaczyła, że oba obiekty ich obserwacji gdzieś zniknęły. Chłopak zapiął spodnie i przetaił ramieniem zaparowaną szybę. Eliza miała ochotę zdzielić go w tył głowy za tłusty ślad, który potem będzie musiała sama wytrzeć.

Obawiała się, że Kuba zostawił w samochodzie, szczególnie na fotelu i wycieracze, o wiele więcej nieprzyjemnych śladów. Starła się jednak o tym teraz nie myśleć.

Rozglądała się w popłochu, sama też w końcu musiała przetrzeć ramieniem szybę, bo prawie nic nie dało się przez nią dostrzec. Samochód cały zaparował, śnieg w dużym stopniu zasypał szybę. Odpaliła więc silnik, odpowiednio ustawiła dmuchawy, aż w końcu wycieraczkami naprawiła sytuację.

– Tam jest – powiedział chłopak, wskazując na odwróconego do nich plecami starca. Odchodził w stronę swojego przystanku. Tymczasem Domagalski zmierzał w przeciwnym kierunku. Kowalczyk bez zastanowienia ruszyła za nim, ale tym razem facet rzeczywiście wszedł do bloku i już w nim został.

– Czyli dowiedzieliśmy się tyle, co nic.

– Ja tam dowiedziałem się dziś bardzo dużo – odparł z szerokim uśmiechem chłopak. – Zawsze miło jest poznać czyjeś skryte fantazje.

– Serio uważasz, że oral w samochodzie podczas śnieżycy to moja skryta fantazja? – zadrwiła.

– Raczej oral w miejscu publicznym. Bo domyślam się, że rzadko masz okazję na takie akcje.

– Skąd ta pewność?

– Z racji twojego zawodu, oczywiście.

Spojrzała na niego z kpiącym wyrazem twarzy.

– Wierz mi, takie sytuacje to dla mnie codzienność – odparła niezgodnie z prawdą. Choć nigdy nie fantazjowała o zabawianiu się w samochodzie, a ostatni raz coś podobnego miało miejsce, gdy jeszcze była na studiach, to musiała przyznać, że podobał jej się ten dreszczyk dodatkowych emocji. Ale nie mogła się teraz do tego przyznać, choć przed samą sobą trudniej było kłamać.

– Dla mnie nie, dlatego ja się cieszę.

– Nie wątpię – odparła. Zanim zebrała się w sobie, żeby wyprosić chłopaka, rozdzwonił się jej telefon i Foks dał prokurator pretekst do odstawienia Kuby pod kawiarnię.

– Zobaczymy się jeszcze?

– Zobaczymy – odparła dwuznacznie. On jednak uznał to słowo za potwierdzenie, dlatego uśmiechnął się szeroko i szczerze.

Niedługo później pojawiła się pod kliniką, w której pracował Zaworski. Weszła do środka.

– Gdzie oni są? – spytała recepcjonistki, która doskonale już wiedziała, o kogo chodzi. Zrobiło się niezłe zamieszanie, część pacjentów wyszła, zaniepokojona. Foks domyślał się, że za chwilę pod drzwi podjedzie jakiś patrol, ale wiedział, że uda mu się go szybko splawić. Tymczasem pierwsza pojawiła się Kowalczyk.

Recepcjonistka bez słowa wskazała jej jakiś boczny korytarz. Prokurator pognąła nim, ślizgając się niebezpiecznie na podłodze. W końcu jednak przeszła przez drzwi z napisem uprzedzającym, że wstęp ma tam tylko personel, po czym odnalazła wejście do jakiejś opuszczonej sali. Małej, słabo oświetlonej i pustej.

– Pierwotnie miały się tu znajdować kolejne gabinety, ale zabrakło personelu – zdradził Foksowi lekarz, gdy szukali miejsca, w którym mogliby swobodnie porozmawiać z recepcjonistką. Nie chcieli wywoływać kolejnej publicznej awantury.

– Będziesz współpracować? – spytali ją, a kobieta nie miała pojęcia, co odpowiedzieć. – Jak ona się właściwie nazywa? – spytał lekarza.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Karolina Szczepańska. Czy jakoś tak.

– Czego od niej chcecie? – spytała druga recepcjonistka, która od razu za nimi poszła.

Foks przyjrzał się jej i zastanowił, czy ona także może mieć coś wspólnego ze sprawą. Jej wzrok był jednak bardziej pytający niż przestraszony. Dalej wykonywała swoje obowiązki, chociaż Szczepańska od razu spanikowała.

– Im mniej będziesz wiedziała, tym lepiej dla ciebie, zapamiętaj to sobie.

Wszedł z powrotem do pustego pomieszczenia i zamknął za sobą drzwi. Lekarz znalazł jakieś krzesło, na którym posadzili kobietę. Wyglądała teraz, jakby czekała na wyrok.

Foks od razu wpisał nazwisko w wiadomość do Radeckiego i poprosił go o sprawdzenie kobiety. Liczył, że jej przeszłość dopełni historię, którą

miał nadzieję za chwilę usłyszeć.

– Ja nic nie zrobiłam – powiedziała łamiącym się głosem. – Naprawdę.

Foks spojrział na lekarza i udał rozbawienie. Tamten cały czas pałał złością za to, co komisarz mu zrobił. Na jego twarzy nie pojawił się jednak żaden siniak, nos nie był rozbity, kark przestał już boleć, więc można było zapomnieć o całym zajściu. Tym bardziej że lekarz doskonale go rozumiał, szczególnie gdy Foks powiedział mu, w jakim stanie jest Mazurkiewicz.

– Doskonale wiemy, co zrobiłaś. Zastanawiam się tylko jak.

– Nie wiem, o czym pan mówi.

– No to już ci tłumaczę. – Staął naprzeciwko niej i pochylił się, żeby ich oczy się zrównały. Kobieta nie potrafiła znieść jego spojrzenia, dlatego co chwila odwracała wzrok. – Wczoraj niejaki Edward Mazurkiewicz zadzwonił do obecnego tu jegomościa z prośbą o przysługę. – Wskazał na lekarza, mówiąc głośno i teatralnie gestykulując. – Mazurkiewicz miał dostać pewne dokumenty. Dokumenty, których część, jak rozumiem, ty kompletowałaś. – Zaworski skinął głową na potwierdzenie. – Całość ostatecznie spoczęła w kopercie, którą kilka minut później miałaś odebrać i dostarczyć po pracy Mazurkiewiczowi. Czy na razie wszystko się zgadza?

– Tak, ale...

– W międzyczasie Mazurkiewicz został napadnięty i „poproszony” – zrobił w powietrzu cudzysłów – o niewytykanie nosa w nie swoje sprawy. Domyślam się, że o tym mogłaś nie słyszeć, niemniej osoba, która kazała ci albo zniszczyć dokumenty, albo po prostu jakoś się ich pozbyć, to ta sama, którą wcześniej poinformowałaś o prośbie Mazurkiewicza. Tym samym nasłałaś na niego jakichś zwyrodnialców, którym chętnie sam bym teraz odpowiedział kilkoma kopniakami. Czy nadal wszystko się zgadza?

– Ja nie...

– Domyślam się więc, że twoim zadaniem przez ostatnie lata... Jak długo właściwie tu pracujesz?

– Od roku, ale...

– Domyślam się, że ktoś posadził cię w recepcji zaraz po tym, jak pan Zaworski wykonał badania, które stały się powodem całego tego zajścia.

To sprawdzimy. Niemniej domyślam się, że twój przełożony miał wiedzieć o każdym ruchu związanym z tymi dokumentami. – Foks pomachał wytłamszoną kopertą. – Tak?

Kobieta milczała. Obaj mężczyźni wpatrywali się w nią intensywnie, a ona nie miała żadnej możliwości, by skłamać.

– Miałam tylko pilnować, żeby wyniki tych badań nie wyszły poza klinikę – powiedziała.

– Kto ci to zlecił?

– Tego nie wiem.

Foks parsknął, rozbawiony.

– Tak, wiem, czasem warto pożartować, ale może, kurwa, nie teraz! – krzyknął, łapiąc ją oburącz za ramiona. – Komu, kurwa, powiedziałaś o tym, że Edward Mazurkiewicz prosi o te pieprzone wyniki?

Kobiecie łzy stanęły w oczach.

Nie zdążyła niczego odpowiedzieć, bo właśnie do pomieszczenia wpadła Kowalczyk. Po chwili stanęła wraz z Foksem naprzeciwko Szczepańskiej.

I wtedy ją poznała.

– Zostawcie nas same – rozkazała nieznoszącym sprzeciwu tonem do Foksa i lekarza. – A my tu sobie same pogadamy. Jak kobieta z kobietą.

Radecki patrzył, jak ciało powoli wyłania się z lodu. Proces był mozolny i czasochłonny, ale ktoś musiał pilnować, żeby wszystko poszło zgodnie z planem. A jeśli coś by jednak się wydarzyło, należało szybko działać.

– Chyba nie sądzisz, że ktoś od nas też może być w to wszystko zamieszany? – zapytał szeptem podkomisarz, gdy technik wyszedł na chwilę.

– Nie mam zamiaru się niczego domyślać – warknął Mazurkiewicz, który miał już dość siedzenia w chłodni i patrzenia, jak z lodu wyłania się nagie ciało kobiety. Coraz wyraźniej dało się dostrzec fakturę skóry, wszelkie otarcia i siniaki stały się wyraźniejsze. Technik przed chwilą wykonał kolejną serię zdjęć, następna miała nastąpić, gdy ciało spocznie na metalowym blacie stołu.

Patolog cieszył się, że proces rozmrażania nie został przeprowadzony w jego prosektorium. Nie chciałby, żeby ktokolwiek wchodził na jego teren, poza Foksem albo Radeckim, nawet prokurator jeszcze by zniósł, ale gdyby musiał patrzeć, jak o ściany opierają się technicy, jak fotografują ciało na jego stole, w jego sali, to pewnie by oszalał.

– Szczególnie że po prostu sporo wiesz – zauważył Radecki.

Czuł dziwny dreszcz na plecach, gdy myślał o tym wszystkim. Kowalczyk mówiła o grasującej w Warszawie sekcji, której członek napadł Mazurkiewicza. Tymczasem ślęczeli nad brutalnie zamordowaną kobietą, pozbawioną życia w sposób, jakiego jeszcze chyba nikt z nich nie widział.

Kim są ci ludzie? – myślał Radecki. Dlaczego zabijają z takim okrucieństwem?

Wiedział jednak, że nie zabijali wszystkich, którzy im podpadli. Część ofiar przeżywała, bo, jak twierdziła Kowalczyk, stawali się zwierzętami

doświadczalnymi. Zaśmiałyby się z tego pomysłu, gdyby nie rana w ciele kobiety, która właśnie została odsłonięta. Ktoś rozciął jej brzuch i wyrwał wątrobę. Kobieta wykrwawiała się, leżąc w zamarzającej wodzie.

– Walczyła – powiedział Mazurkiewicz, gdy technik robił zdjęcia ranom na jej kolanach, łokciach i knykciach. – Chęć przetrwania była w niej na tyle silna, że mimo wycięcia organu próbowała wydostać się z tej zamarzającej trumny.

Obrócili ciało na plecy, a patolog pochylił się nad raną.

– Cięcie jest równie nieprecyzyjne, co w przypadku poprzedniej ofiary – zauważył, a Radecki od razu to zanotował. Musiał jak najszybciej dostarczyć naczelnikowi wstępny raport, bez czekania na jego pełną wersję. – Wykonano je powoli, aczkolwiek silną dłonią. Pociągnięcia są nieregularne nie z powodu tępego narzędzia bądź drżących rąk, ale dlatego, że sprawca chciał, żeby były jak najbardziej płytkie.

– Nie chciał uszkodzić organu – powiedział Radecki, tym samym potwierdzając domysły Kowalczyk. Kobietę zabito wyłącznie dla jej wątroby. W przypadku pierwszej ofiary sprawca być może chciał zmylić śledczych, ale zorientował się, że gra nie jest warta świeczki. Musiał włożyć zbyt wiele wysiłku w coś, co nie miało większego znaczenia. Gdy chodziło wyłącznie o jeden narząd, usuwanie całej reszty musiało okazać się karkołomnym zadaniem. – Brakuje czegoś jeszcze?

– Wszystko zdaje się być na swoim miejscu – zauważył Mazurkiewicz. – Gdyby nie domysły Kowalczyk, można byłoby powiedzieć, że to zupełnie nowa sprawa, która nie łączy się w żaden sposób z tym, co znaleźliśmy i ustaliliśmy do tej pory.

Radecki obawiał się jednak, że domysły nie wystarczą naczelnikowi. Pewnym pocieszeniem był jednak fakt, że teraz nie tylko Foks miał jakieś przecucie. Razem z prokuratorem mieli o wiele większą siłę przebicia.

– Widać jakieś uszkodzenia po walce ofiary z oprawcą? – dopytywał się dalej podkomisarz, żeby zebrać jak najwięcej informacji.

– Mamy liczne otarcia i zadrapania, ale zdaje się, że te powstały podczas próby wydostania się z lodowej klatki. Niemniej ofiara nie walczyła zbyt mocno, była zbyt osłabiona, żeby mieć siłę na cokolwiek. Możliwe, że została w jakiś sposób otumaniona przed operacją. Co jej

podano, dowiemy się od laboratorium. Widzę tylko otarcia na nadgarstkach, ofiara została więc związana i...

Mazurkiewicz zamilkł. Oglądając ramiona, dostrzegł napierającą na skórę kość.

- Wyłamano jej ramiona - powiedział po chwili milczenia. - Ciało jest sine, dlatego nie widać wszystkich obrzęków. - Dotknął twardej wypustki nad łokciem, a potem zaczął oglądać identyczną na drugim ramieniu. - Dlatego się nie broniła.

- Powiesił ją - odgadł Radecki. - Wykręcił do tyłu związane już ramiona i podciągnął na sznurze, może na jakiejś dźwigni. Dopiero potem zabrał się za operację.

- Możliwe, że zaczęła się wyrywać podczas cięcia, dlatego jest ono nieprecyzyjne. Ale domyślam się, że już wtedy nie miała siły się ruszyć.

- A to dlaczego? - zdziwił się podkomisarz.

- Bo umierała dwa razy.

– Myślisz, że ta twoja prokurator może jej coś zrobić? – spytał lekarz, a Foks prawie parsknął śmiechem, chociaż sam też się przejął. Rozbawił go jednak fakt, że nawet postronna osoba, która widziała Elizę Kowalczyk dosłownie przez chwilę, mogła uznać, że jest zdolna do takich rzeczy.

– Bez obaw. Ona jest profesjonalistką – wyjaśnił, gdy razem wycofali się w głąb korytarza.

Musiał przyznać, że Eliza w jakiś sposób mu zaimponowała. Nie wiedział, że lubi takie zagrania, ale najwyraźniej w sprawach, które miały dla niej samej priorytet, była gotowa zrobić naprawdę wiele.

Chociaż odsunęli się od drzwi, mimowolnie nasłuchiwali. Z pustego pomieszczenia jednak nie dochodziły do nich żadne dźwięki. Więcej ich napływało z recepcji, gdzie powiększała się kolejka pacjentów. Gdy obsługiwały ją dwie osoby, wszystkie sprawy były załatwiane na bieżąco. Ale gdy tylko jednej kobiety zabrakło, a druga z marszu stała się rozproszona i rozkojarzona, trudno było zachować profesjonalizm.

– Co ona tam może robić? – zainteresował się medyk, gdy Kowalczyk nie wychodziła przez jakieś dziesięć minut.

– Prokuratura ma swoje metody perswazji.

Foks także był zaniepokojony, ale wolał nie przeszkadzać Elizie.

– Czy to jest oficjalna sprawa? Cała ta akcja została zaplanowana?

Komisarz miał dwa wyjścia. Albo odpowiedzieć, że to przypadek, i narazić się na nieprzyjemne konsekwencje całej tej sytuacji, albo skłamać i przekonać lekarza, że nie powinien się niczym martwić. Chociaż Foks domyślał się, że w firmie dowiedzą się o tym wszystkim

prędzej niż później. Miał tylko nadzieję, że Kowalczyk, broniąc samej siebie, będzie broniła także jego.

O ile dowie się czegokolwiek interesującego.

W końcu drzwi do pokoju otworzyły się powoli, więc pytanie lekarza od razu przestało mieć znaczenie. Przez próg przeszła spokojna Kowalczyk i spojrzała Foksowi prosto w oczy. Potem przeniosła wzrok na lekarza.

– Nie będziemy już państwu zabierać więcej czasu – powiedziała bez cienia emocji w głosie. – Panie komisarzu, pozwoli pan? – zwróciła się do Foksa i skierowała w stronę wyjścia.

Foks aż podniósł brwi w zdziwieniu, słysząc te poważne słowa.

Obaj mimowolnie skierowali się w stronę niezagospodarowanego pokoju i stanęli w progu. Ujrzeni szlochającą recepcjonistkę, z włosami w nieładzie, tuszem rozlanym po policzkach, dziwnie rozmazanymi ustami i odpiętymi kilkoma guzikami koszuli, które odsłoniły stanik. Foks nic z tego nie rozumiał, szczególnie gdy dziewczyna spojrzała na nich i wybuchła jeszcze większym płaczem. Trzęsa się cała, nie potrafiła zapanować nad drganiem ramion i nóg. Zdawała się też nie mieć siły na poprawienie ubrania, obejmowała się tylko silnie ramionami i widać było, że jedyne, czego teraz potrzebuje, to gdzieś się schować.

– Wszystko w porządku? – spytał lekarz, ale Foks wiedział, że nieprędko doczeka się odpowiedzi. Sam nawet jej nie oczekiwał, dlatego pognał za Elizą. Siedziała już w samochodzie, gdy Foks wypadł na zewnątrz.

Odpaliła silnik.

– Co z niej wyciągnęłaś? – spytał, otrzepując się ze śniegu.

Kowalczyk zacisnęła dłonie na kierownicy i tylko wpatrywała się tępo w przestrzeń za oknem.

– Niestety niezbyt wiele – przyznała w końcu.

– Po stanie tamtej dziewczyny mogę wnosić, że...

– Była przyjaciółką mojej siostry – weszła mu w słowo. – Chociaż to może zbyt wiele powiedziane. Znały się z pracy. Kilka razy wyszły na kawę czy piwo, tyle wiem. Pracowały razem w banku. Pewnego dnia moja siostra wyszła z biura i już nigdy tam nie wróciła, już nigdy też nie będzie tą samą osobą po spotkaniu z kimś, kogo się nie spodziewała.

– Myślisz, że...

– Tamtego dnia pracowały razem. – Nie dała mu dojść do słowa. – Oczywiście przesłuchiwała ją policja, ja sama... nachodziłam ją nie raz. – Widać było, że nie chce używać tego słowa, ale najwyraźniej tylko ono w tym momencie pasowało. – Była czysta niczym łąza. A jednak z jakiegoś powodu nie wyszła wtedy z moją siostrą z budynku, chociaż zwykle tak właśnie robiły. Tym bardziej, gdy pogoda nie sprzyjała.

Foks pamiętał ich rozmowę w apartamencie Elizy. Prokurator mówiła, że większość napaści dokonywano w momentach, gdy pogoda się załamywała. Ulewy, burze, śnieżyce. Tamtego dnia od południa nad miastem wisiały czarne chmury, powiedziała mu Kowalczyk, aż około szesnastej lunął deszcz. Błyskawice uderzały niczym spuszczone nad miastem bomby, deszcz siekł nieustępliwie, a miasto zdawało się tonąć w mrocznej otchłani. Następnego dnia oczywiście wyszło słońce, ale podtopione ulice i zapelnione studzienki jeszcze jakiś czas przypominały o tamtym wieczorze.

Napadnięto wtedy cztery osoby. W tym siostrę Elizy, która poroniła. Blisko niej w ostatnich miesiącach znajdowała się kobieta, która teraz pojawiła się w tej historii po raz drugi.

– Wyszła z banku dokładnie siedem minut po niej.

– Twoja siostra nie wołała na nią poczekać?

– Sęk w tym, że ta szmata – wskazała ruchem głowy na budynek – twierdziła, że ma jeszcze wiele zaległej pracy. Miała zostać w budynku przynajmniej przez godzinę. Potem tłumaczyła się, że postanowiła przełożyć wszystko na następny dzień, bo bała się siedzieć w naszpikowanym elektroniką budynku, gdy za oknem szalała burza.

– Może dwadzieścia lat temu takie myślenie jeszcze bym zaakceptował. Na pewno moja matka, gdyby żyła, by ją poparła i jeszcze nam wszystkim kazała wyłączyć telefony.

– To nie czas na żarty, Foks.

– Też jej tak zawsze powtarzałem, ale ona i tak... – Zamilkł, widząc, jak Kowalczyk na niego patrzy. – No tak czy inaczej, jej tłumaczenie nie miało większego sensu – poparł ją w końcu. – Wychodzenie w taką pogodę jest jeszcze gorszym rozwiązaniem.

– W ciągu kilku minut moja siostra przeszła dwie ulice. Zmierzała w stronę parkingu, na którym zostawiała zwykle samochód. Nie chciała wjeżdżać do centrum, twierdziła, że woli parkować gdzieś dalej i po drodze wstąpić do supermarketu albo kwiaciarni, niż szukać bez końca wolnego miejsca. Lubiła chodzić po mieście.

– Daleko mieszkała od pracy?

– Jakieś piętnaście minut samochodem.

– Gdzie ją napadli?

– Na minutę przed dotarciem na parking. Miała parasolkę, ale ktoś szybko ją wyrwał. Powalił Kingę na ziemię i...

Widać było, że Eliza wciąż nie może się pogodzić z tym, co się stało. Foksa dość mocno to dziwiło, nie sądził, że prokurator jest zdolna do empatii i większych emocji od tych, jakie lubiła wyładowywać na nim.

– A co na to wszystko jej mąż?

Kowalczyk przełknęła ciężko ślinę.

– Kinga nie miała męża.

– Kto w takim razie był ojcem dziecka? – spytał, zanim ugryzł się w język. Zdawał sobie sprawę, że w tym momencie nie powinien w to wnikać, ale po minie Kowalczyk domyślił się, że pytanie było zasadne.

– To jest właśnie kolejny problem – odparła ciężko.

– Umierała dwa razy? – zdziwił się Radecki. – Co masz na myśli?

– Kolor jej skóry jest bardzo dziwny. Zdaje się, że coraz to ciemniejsze barwy nachodzą na siebie, odmrożenia i wywołane zimnem sińce mogły powstawać dwuetapowo.

– Co to może oznaczać?

Mazurkiewicz cały czas oglądał się na technika, który wciąż robił zdjęcia, gdy patolog obracał i oglądał ciało. Przysłuchiwał się im nad wyraz intensywnie.

– Jeszcze nie mam pewności – odpowiedział nagle, jakby zbity z tropu.

– Wszystkie swoje przemyślenia, oczywiście wynikające z oględzin, zamieszczę w raporcie.

Radecki widział, że Mazurkiewicz nie chce wyciągać żadnych daleko idących wniosków, nie miał zamiaru bawić się w detektywa, chociaż zawsze lubił wysnuwać własne teorie. Peszyła go obecność technika. Czy może raczej – niepokoila.

– Myślę, że można już zabezpieczyć ciało – zwrócił się do niego. – Resztą zajmę się u siebie.

– Jasne – odparł facet i wezwał resztę zespołu.

– Podrzuć mi? – spytał Radeckiego. – Normalnie pojechałbym z nimi, ale...

– No rozumiem.

– Muszę się przygotować na przyjęcie ciała, więc warto, żebym był na miejscu nieco wcześniej.

Radecki skinął głową i razem skierowali się do radiowożu. Śnieg wciąż mocno zacinał, a mróz przeszywał na wskroś, chociaż obaj myśleli, że

ogłędziny w chłodni nieco ich zahartują. Okazywało się jednak, że do niskich temperatur po prostu nie można się było przyzwyczaić.

– O co więc chodzi z tymi przebarwieniami? – spytał, gdy byli już w drodze.

– Nie chodzi o przebarwienia, tylko nakładające się na siebie uszkodzenia wierzchnich warstw skóry – poprawił go. – Maceracja zachodziła na ciele dwuetapowo, przez dwa różne czynniki. To oznacza, że sprawca dwukrotnie chciał doprowadzić do zamrożenia ciała. Być może za pierwszym razem mu się nie udało i kobieta przeżyła. Albo chciał ją w ten sposób unieszkodliwić.

– Dwa razy topił ją w zamarzającej wodzie?

– W pierwszym przypadku było to raczej zamknięcie w zimnym pomieszczeniu.

– W chłodni... – rzucił w zamyśleniu Radecki. – Takiej jak ta, w której teraz pracowaliśmy, albo w samochodzie chłodni? – Mazurkiewicz skinął głową. – Dasz radę sprawdzić, jakie maksymalnie temperatury działały na ciało?

– Jasne. Gdy tylko je dokładnie obejrzę i porównam uszkodzenia skóry, będę mógł stwierdzić, na jak niską temperaturę była narażona i w jakiej pozycji znajdowała się kobieta, zamarzając po raz pierwszy.

– Boże, jak to brzmi. Ten ktoś musiał naprawdę jej nienawidzić.

Radecki wiedział, że takie traktowanie ciała mogło wynikać wyłącznie z silnej więzi emocjonalnej między katem a ofiarą. Nikt nie znęcałby się w podobny sposób nad kimś przypadkowym.

Chyba że kierowały nim emocje wynikające nie z osobistego kontaktu z ofiarą, myślał Radecki, ale z przekonania, że powinna cierpieć, że musi odpowiedzieć za coś, co zrobiła.

– Brzmi lepiej, niż wygląda – zauważył Mazurkiewicz.

– O ile w ogóle możemy mówić, że coś z tego jest „lepsze”.

Lekarz pokiwał głową, przyznając mu rację.

Wysadził patologa przed budynkiem prosektorium, a sam udał się na komendę. Tam już czekały na niego kolejne zadania, a wśród dokumentów, które musiał przejrzeć, tkwiła lista zaginionych w ostatnim

czasie kobiet. Po wstępnych oględzinach lekarz założył, że zamordowana miała od trzydziestu pięciu do czterdziestu pięciu lat, metr siedemdziesiąt wzrostu, czarne włosy do ramion, szczupłą sylwetkę. W oparciu o ten opis z listy wyciągnięto przeszło pięćdziesiąt osób, które należało sprawdzić w celu identyfikacji zwłok.

– Wiadomo, kto to może być? – spytał naczelnik, zanim Radecki zdążył się bliżej przyjrzeć liście.

Podkomisarz zdał mu już raport z tego, co działo się w chłodni, wersję pisemną miał dostarczyć jutro rano. Dla Gajewskiego w papierach wszystko musiało się zgadzać, naczelnik uważał, że to właśnie w nich tkwi siła. A przynajmniej pewność, że nie umknie nic istotnego dla śledztwa. On był od zbierania materiałów, więc pilnował ich niczym oka w głowie. Niemniej dawał Foksowi pole do popisu, Radeckiemu także pozwalał czasem pofolgować, bo zdawał sobie sprawę, że owocne raporty często były wynikiem pracy nie zawsze dokładnie zaplanowanej. Nie bez powodu jego prawą ręką był ktoś, kogo drugim imieniem była improwizacja.

– Na razie trudno mi cokolwiek przesądzać – odparł wymijająco. W głowie miał cały czas inny schemat niż ten, według którego działał naczelnik. Radecki nie potrafił wyrzucić z myśli tego, czego dowiedział się od Foksa, dlatego wszystko podstawiał pod stworzony przez nich schemat.

I to okazało się owocne.

– Kinga nie wiedziała, kim jest ojciec dziecka? – spytał w końcu, bo Kowalczyk milczała.

Parsknęła śmiechem. Niemniej widać było, że bardziej ze złości niż rozbawienia.

Bez słowa ruszyła z parkingu i skierowała się w bliżej nieznanym kierunku. Zbyła pytanie Foksa o to, gdzie jadą i czy potem odwiezie go tutaj, żeby mógł odebrać spod kliniki swój samochód.

– Nie twierdę, że Kinga była... jest – poprawiła się, gdy w końcu postanowiła wrócić do przerwanego wątku – idealnym człowiekiem, ale wątpię, żeby puszczała się na lewo i prawo z przypadkowymi facetami.

– Też tego nie twierdę. Niemniej nie istnieją ludzie idealni, a skoro nie ma ani nie miała partnera, to na myśl mogą przychodzić najróżniejsze rozwiązania.

Widać było, że ma ochotę skomentować jego brak wiary w ludzi idealnych i poprzeć go argumentem, że Foks sam jest najlepszym tego przykładem, ale ostatecznie powstrzymała się przed kąśliwym komentarzem. Rozmowa o siostrze w dziwny sposób ją rozpraszała, sprawiała, że Eliza miękła.

Foks bardzo był ciekaw ich relacji. Musiała być naprawdę silna, skoro prokurator nie tylko tak się zachowywała, ale przede wszystkim zaciekle walczyła o odnalezienie sprawców napaści.

– Więc kim on był?

Kowalczyk zacisnęła zęby. Najwyraźniej nie chciała o tym mówić, a Foks nie rozumiał dlaczego.

– Jej przełożonym – odparła w końcu. – Przeleciał ją kilka razy, a po fakcie nie chciał mieć z nią nic wspólnego.

– Czy myślisz, że on ją...

– Nie wiem – ucięła. – Ona twierdziła, że nic się nie stało, że wszystko odbyło się za obopólną zgodą, ale gdy tylko się dowiedział o dziecku, postarał się, żeby przeniesiono ją do innej placówki. Gdyby tego nie zrobił, gdyby jej nie przenieśli... Nie musiałyby w trzecim miesiącu ciąży iść sama na parking podczas burzy.

– Z tą dziewczyną z recepcji poznały się na miejscu?

– Tak.

– Jak długo tam już pracowała?

– Podobno kilka tygodni, ale nikt tego nie sprawdzał. Sama nie pomyślałam, że to mogłoby mieć jakiegokolwiek znaczenie.

– A ile minęło od dnia, w którym szef dowiedział się o ciąży, do momentu jej przeniesienia?

– Ja wiem... Miesiąc chyba. – Kowalczyk spojrzała na niego wielkimi oczami. – Myślisz, że najpierw przeniósł tę szmatę, a potem moją siostrę? Żeby miała na nią oko, a potem ją wystawiła napastnikowi?

– Tak to właśnie wygląda. Domyślam się jednak, że rotacja osób z całej tej szajki jest nad wyraz dynamiczna. Warto byłoby sprawdzić, gdzie i jak długo wcześniej pracowała ta recepcjonistka, aż w końcu zobaczyć zależności między tym, co działo się w klinice, a jej pojawieniem się tam.

– Myślisz, że w klinice też kogoś wystawiła?

– Wydaje mi się, że akurat tutaj stała na straży dokumentów. Pewnie nawet nie wiedziała, czego dotyczą. Możliwe też, że wystawiła twoją siostrę, chociaż nie miała świadomości, co potem się stało. Bo domyślam się, że już nigdy więcej nie skontaktowała się z Kingą?

– Nie mam pewności, ale chyba rzeczywiście już się w jej życiu nie pojawiała. Możliwe, że od razu ją przeniesiono dalej.

– Mogła więc być ślepo zaangażowana w coś, o czym niewiele wiedziała. Istotne jest więc w tym momencie to, co ci powiedziała. Co tam się wydarzyło, gdy zostałeś z nią sam na sam? – spytał dobitnie.

- Gdy tylko ją zobaczyłam, w końcu obraz ułożył mi się w logiczną całość. Chciałam się dowiedzieć, co tak naprawdę stało się z moją siostrą. Kto odpowiada za jej pobicie i uśmiercenie jej nienarodzonego dziecka. Na pewno zdajesz sobie sprawę, że mam swoje metody przekonywania, o których wołałabym nie wspominać. A już na pewno nie oficjalnie.

- Jasne - przyznał, bo przecież sam nie raz nagiął zasady i wpływał na ludzi w sposób, jakiego nie można byłoby przedstawić w sądzie. - I co z niej wyciągnęłaś?

- Sięgnęłam po wiele metod - odpowiedziała wymijająco. Foks już wiedział, że nie wszystko poszło po jej myśli. - Chociaż nasza rozmowa nie trwała zbyt długo, to jednak ta szmata okazała się dobrym królikiem doświadczalnym.

- Bo?

- Bo tak naprawdę nic na nią nie działało - przyznała w końcu. - Albo ktoś ją doskonale do podobnej rozmowy przygotował, albo ona naprawdę niewiele wiedziała. Zdaje się, że w obu sprawach wykonywała po prostu swoją pracę, a wszelkie odstępstwa od normy tłumaczyła przypadkiem. Zarówno fakt, że nie wyszła wtedy z moją siostrą, jak i sytuację z Mazurkiewiczem. Twierdziła, że nie ma pojęcia, czemu został pobity, bo nikomu nie mówiła, że ma przekazać jakiegokolwiek dokumenty. Co więcej, twierdziła, że naprawdę miała zamiar je dostarczyć.

- Ale domyślałam się, że w końcu coś z niej wyciągnęłaś - powiedział, bo cały czas miał w pamięci zdeterminowany wyraz twarzy Elizy, gdy wyszła z tamtego pomieszczenia, zostawiając recepcjonistkę samą sobie.

- Spytałam ją o opinię. Gdy już płakała, nie miała siły patrzeć mi w oczy i jedyne, czego pragnęła, to uciec stamtąd, spytałam: „Jak sądzisz, dlaczego ją to spotkało? Co człowiek musi zrobić, żeby zasłużyć na taki los?”.

Podjechali pod jakiś dom jednorodzinny. Okazały, choć bez wielkiego przepychu. Widać było, że jego właściciel ma dużo pieniędzy, ale jednocześnie gust, który nie pozwala mu popadać w kicz i patos. Dlatego willa nie rzucała się w oczy, ale im dłużej człowiek jej się przyglądał, tym więcej wyszukanych elementów dostrzegał. Drewniane okiennice, marmurowe parapety, rzeźbione kolumny przed wejściem, złota kołatka,

która robiła wyłącznie za dekorację, masywne drzwi, z pewnością pancerne, które zapowiadały, że w środku mieszka ktoś, z kim nie warto zadzierać.

Kowalczyk wysiadła z samochodu i podeszła do furtki, która od razu ustąpiła. Jakby kobieta wiedziała, że nie może być inaczej, jakby już tu kiedyś była. Szybkim krokiem weszła pod dach przybudówki i bez pukania nacisnęła klamkę. Ku zdziwieniu Foksa, który siedł tuż za nią, drzwi od razu stanęły przed nią otworem.

Weszli do środka i pierwsze, co poczuli, to przejmujący chłód. Choć taki sam panował na zewnątrz, to ciało człowieka odruchowo nastawiało się na bijące z grzejników albo chociaż od zagrzanych ścian ciepło. Tymczasem nic się nie zmieniło, co ramiona Foksa, nagle obsypane gęsią skórą, odebrały jako coś nienaturalnego, jakby temperatura rzeczywiście spadała jeszcze bardziej.

Przeszli do salonu, skąd na korytarz przeciąg zawiewał tabuny śniegu. Kolejne pomieszczenie było nim wręcz oblepione. Podobnie jak ciało mężczyzny, rozciągnięte między ramami powybijanych okien wychodzących na ogród.

- Ta szmata odpowiedziała mi - kontynuowała przerwana w samochodzie opowieść - że tacy ludzie jak on - skinieniem głowy wskazała na ciało mężczyzny - ściągają na innych same kłopoty, ale sami kończą najgorzej. Stwierdziła, że Kinga wiedziała, na co się pisze, bo nie była pierwszą ofiarą szefa, ale jako jedyna postanowiła stanąć po jego stronie.

- W jaki sposób? - spytał Foks, podchodząc do nagiego ciała mężczyzny. Na nadgarstkach i kostkach miał mocno związane liny, którymi rozciągnięto kończyny w czterech kierunkach. Do rogów okna przybito stalowe haki, którymi unieruchomiono liny, a tym samym - Grzegorza Wójtowicza, niedysiejszego przełożonego siostry Kowalczyk.

- Podobno sądziła, że szef ją przygarnie, że załatwi jej lepsze stanowisko, że wprowadzi się do niego i razem będą wieść szczęśliwe życie. Z dnia na dzień zrobiła się opryskliwa, zaczęła z góry patrzeć na koleżanki z pracy. Tak jakby nagle stała się kimś takim jak on. Musiał ją zapewniać, że się nią odpowiednio zajmie.

- Ale niedługo potem przeniósł Kingę do innego oddziału i odciął się od niej - dopowiedział Foks.

- Podobno robił tak już wiele razy. Znajdował sobie dziewczę, którą potem oddelegowywał. Kinga w jakiś sposób zaszła. Domyślam się, że nie z jego winy.

- Jak to?

- Zawsze była sprytna, ale na swój pokrętny sposób. Miała nadzieję upolować kogoś ważnego, bogatego, żeby samemu nie musieć nic osiągnąć.

Żeby nie musieć pracować tak ciężko jak ty, dodał w myślach komisarz. Był pełen podziwu wobec Kowalczyk, że potrafiła zebrać się na odwagę i powiedzieć mu o tym.

- Nie zdążyła się nacieszyć nowym życiem, choć ono i tak nie miało nadejść.

- Czym właściwie zdradziła się ta recepcjonistka? - spytał Foks, bo cały czas nie miał pojęcia, skąd Kowalczyk wiedziała, że powinni tu teraz przyjechać.

- Mówiła o Wójtowiczu jak o martwym. Jakbym już doskonale wiedziała, że facet nie żyje. Sądziła, że już wcześniej go znaleźliśmy, co było dla niej wręcz logiczne. Tak czy inaczej, nie mówiła o Wójtowiczu, tylko o jego trupie. I chociaż płakała i miotła się, nagle wyglądała na speszoną, gdy dotarło do niej, że dla mnie on wciąż żyje. Że nic nie wiem o jego śmierci. To mi wystarczyło. Nagle tryby wskoczyły na właściwe miejsca. Kolejne elementy układanki zaczęły do siebie pasować.

- Jestem pełen podziwu - przyznał szczerze.

Małgorzata Gorczyca zamarała z siekierą zawieszoną nad głową. Zamachnęła się, lecz jeszcze nie zdążyła opuścić tępego od dawna ostrza, gdy nagle po okolicy przetoczył się krzyk.

– Boże święty... – mruknęła, po czym rzuciła siekiere na ziemię i przeżegnała się. Była kobietą religijną, jak każdy z okolicy, kogo znała. Modliła się za każdym razem, gdy działo się coś złego, i nie obawiała się wzywać imienia Boga swego, gdy tylko czuła, że jego ingerencja jest potrzebna. Wiedziała jednak, że on robił już, co mógł. Wierzyła, że kolejne dni mrozu i zamieci są niczym potop, który spuścił niegdyś na ludzi. Tym razem tylko ostrzegał, ale nie dało się ukryć, że aktualna pogoda była karą dla tych, którzy na karę zasługują.

Nie wierzyła w fatum ani dołę, choć okoliczni ludzie nie raz o tym wspominali. Małgorzata Gorczyca wiedziała, że to Bóg nad wszystkim panuje i krok po kroku realizuje większy, najważniejszy plan, który musiał się ziścić. Nikt nie mógł go powstrzymać.

Krzyk powtórzył się. Tym razem nie był to znany z ostatnich dni skowyt, ale coś o wiele gorszego. Równie przejmującego, lecz wyrażającego nie ból płynący z duszy, ale z ciała. Kobieta oczyma wyobraźni widziała człowieka obdzieranego ze skóry, któremu ktoś łamał kończyny tęnym narzędziem albo wrywał ząb po zębie za pomocą starych, zardzewiałych szczypiec. To mógł być też ktoś, komu rozcięto brzuch i wrywano narząd po narzędzie, czekając, aż w końcu wyzionie ducha.

Gorczyca schyliła się po siekiere i chwyciła ją mocno, gotowa do odparcia wszelkiego ataku. Chociaż nie miała zbyt wiele siły, to jednak byłaby w stanie pogruchotać kości, tak jak przed chwilą pod naporem jej

wyrobionych przez lata mięśni pękały kolejne pnie, tworząc coraz większy stos przysypywanych przez śnieg szczap.

W końcu wrzuciła je do wiklinowego kosza i zaniosiła do domu. Kosz postawiła blisko pieca, żeby jego zawartość obeschła przy ogniu. Zamykając za sobą drzwi, usłyszała krzyk jeszcze raz, lecz gdy tylko odcięła się od świata zewnętrznego, zapanowała cisza. Cisza, którą czasem było jeszcze trudniej znieść, bo była wyłącznie nieustannym oczekiwaniem na kolejny krzyk.

CZEŚĆ CZWARTA

Prześledzili karierę Grzegorza Wójtowicza, byłego szefa Kingi Kowalczyk, lecz nie znaleźli niczego ciekawego. Piął się powoli po szczeblach kariery, jednocześnie wykorzystując podrzędne pracownice, które potem siedziały cicho i nie miały zamiaru się w żaden sposób wychylać. A na pewno nie tak, żeby zostały po tym ślady. Dało się jednak szybko wyłapać te, które były „niewygodne”, bo szybko traciły pracę. W otoczeniu Wójtowicza dało się zauważyć wiele rosząd. W ciągu roku najróżniejsze kobiety migrowały za jego sprawą, a on bawił się w najlepsze.

Aż do pierwszych dni nawałnicy.

– Musiał zginąć w tym samym czasie co dwie pozostałe osoby – powiedziała Kowalczyk, gdy lekarz ocenił stan ciała. Było zamarznęte, mróz nie ustępował, ale zdawało się być gorzej zachowane od ciała znalezione przed Pałacem Kultury i Nauki.

– Trudno będzie ocenić konkretną datę zgonu. Niemniej wszystko dokonało się tutaj. – Wskazał na kałużę krwi wypływającą z poderżniętego gardła. – Ale mogę stwierdzić, że zgon nastąpił cztery do pięciu dni temu.

– Wtedy zaczęło sypać – zauważył Radecki, który pojawił się na miejscu niezwykle szybko.

– Dlaczego nie został wyeksponowany jak reszta? – zdziwiła się Kowalczyk. – I dlaczego nikt nie zainteresował się jego wątroba?

Od razu zauważyli, że ciało, poza cięciem na gardle, nie ma żadnej innej rany. Przynajmniej nie takiej wykonanej nożem. Ciało nosiło ślady walki, lecz nikt nie zadał choćby jednego ciosu w okolice brzucha. Schwymano go i od razu rozkrzyżowano. Foks domyślał się, że w napadzie brały udział przynajmniej dwie osoby.

– Zapewne nie chcieli zostać połączeni z tą sprawą. Mamy trzy różne ofiary, z trzema różnymi systemami działania.

– Popierdoleńcy – warknęła zdenerwowana Kowalczyk.

– Myślicie, że recepcjonistka była przy tej egzekucji? – spytał Foks, gdy wszyscy razem pojawili się już na komendzie.

Znów nastała noc, zalewając miasto kłującym w oczy mrokiem. Cieszyli się, że nie muszą już być w terenie.

– Wydaje mi się, że musiała być naprawdę dobrze wtajemniczona we wszystko. Zarówno jeśli chodzi o morderstwa, jak i dokumentację w klinice.

– Skoro dokumentacja była tak ważna, to czemu właściwie przechowywano ją na miejscu? – zastanawiał się na głos Radecki. – Czemu papierów nie zniszczono albo nie przeniesiono w miejsce, do którego nikt inny poza nimi by nie dotarł?

– Lekarz wykonujący badania, a potem je dokumentujący, nie jest zamieszany w sprawę – odpowiedziała Kowalczyk. – A przynajmniej na to wygląda. Tak czy inaczej, to były jego dokumenty. Nie było możliwości, żeby całkowicie się ich pozbyć albo je przechwyć. Pilnowali więc archiwum, cały czas korzystając z usług nieświadomego Zaworskiego.

– Działają incognito – dodał Foks. – Nie wychylają się, żyją w cieniu, a gdy z niego wychodzą, to tylko po to, żeby poderżnąć komuś gardło. Chyba za dużo się naoglądali amerykańskich filmów o skrytobójcach.

– Co właściwie mówi nam biografia tej kobiety? – spytał w pewnym momencie naczelnik, który na razie tylko przysłuchiwał się temu, co mają do powiedzenia. Wciąż trudno było mu uwierzyć w to, co zdradzili mu śledczy. – I gdzie ona tak w ogóle teraz jest?

– Spierdoliła, oczywiście – powiedziała Kowalczyk. – Zaworski dał znać, że wyszła, gdy tylko odjechalśmy.

– Czemu żadne z was jej nie przywiązało do pierdolonego krzesła? – warknęła złowrogo.

Cała trójka spojrzała na niego zdziwiona. Nawet Foks sądził, że pochwali ich za działanie. Powinien powiedzieć „dobrze, że chociaż teraz

postąpiliście rozważnie”, lecz gdy komisarz postanowił działać według zasad, on chciał, żeby je łamał.

– Musieliśmy sprawdzić trop, który nam podsunęła – wytłumaczył. – Nie mieliśmy kogo z nią zostawić, a trzeba było działać dalej.

Naczelnik tylko westchnął przeciągle, ale już tego nie skomentował.

– Poza tym nie powiedziałyby nam nic więcej, milczałyby tak samo jak tamten palant, który pobił Olejnika. Wiedzą, że milczenie jest ich jedynym ratunkiem.

– To dlaczego właściwie z tobą rozmawiała?

– Domyślam się, że wciąż miała nadzieję na zachowanie swojej pozycji. Udawała, że jest szarą myszką, która niczego nie wie. Gdyby milczała, i tak mielibyśmy ją na oku. Chciała się jakoś z tego wszystkiego wykręcić. Poza tym udawała kogoś z przeszłości, z kim miałam już do czynienia. Nie sądziła, że przyszedłam z nową sprawą. Dla niej byłam tylko... siostrą jednej z wielu ofiar.

– Co o niej wiemy? – powtórzył pytanie naczelnik.

Radecki wyjął wydrukowaną notkę biograficzną. Sporządził ją na szybko na podstawie danych, do których miał najłatwiejszy dostęp.

– Ma trzydzieści pięć lat, pracuje od dziesięciu. Skończyła ekonomię, po drodze zaliczyła podyplomówkę z rachunkowości. Mieszka w Warszawie od osiemnastego roku życia, wtedy przeprowadziła się tutaj z Płocka. Pod jej adresem za chwilę powinien być jeden z patroli, który akurat był najbliżej, ale domyślam się, że nikogo tam nie zastaną.

– Warto byłoby też wysłać kogoś pod adres jej domu rodzinnego – zauważył Foks, ale nikt go nie poparł. – Oczywiście jeśli nie znajdziemy jej w przeciągu kilku godzin.

– Pracowała w pięciu różnych miejscach – mówił dalej Radecki, wyczytując informacje z trzymanej w dłoni kartki. – Samo to wiele już o niej mówi.

Foks zauważył, jak Kowalczyk krzywi się, słysząc to. Domyślał się, że jej siostra podobnie migrowała po różnych firmach, szukając swojego miejsca. W obu przypadkach jednak nie wyglądało to dobrze.

- Zawsze były to podobne stanowiska. Teraz pracowała jako recepcjonistka, wcześniej była doradcą klienta. Jeszcze wcześniej pracowała w call center innego banku, a zaczynała od rozliczania podatków w dwóch podrzędnych biurach rachunkowych. I to by było na tyle – podsumował.

Kowalczyk sięgnęła po notatki Radeckiego. Niemal wyrwała mu je z ręki, nie miała zamiaru czekać. Była nerwowa, chciała działać, ale nie wiedziała, co właściwie może zrobić.

Wszyscy byli w kropce.

Technicy zajmowali się miejscem zbrodni, Mazurkiewicz dostał kolejne ciało. Sprawa była priorytetowa, dlatego otrzymał ludzi do pomocy, a do jego sekcji jechał inny patolog. Foks już widział te jego nieprzychylnie spojrzenia i chrząknięcia niezadowolenia. Nie lubił, gdy wchodziło mu się w drogę, tym bardziej na jego własnym terenie, ale teraz nie było innego wyjścia.

Tymczasem oni czekali na rozwój wydarzeń. Mieli nadzieję, że patolog w końcu na coś trafi, że recepcjonistka coś powie, że złapany wcześniej mężczyzna odpowiedzialny za pobicie popełni jakiś błąd, ale gdy tylko coś się działo, po chwili szybko cichło.

- Zapomniałeś wspomnieć, że w przypadku drugiego biura rachunkowego jej praca wyglądała dość... nietypowo – powiedziała po chwili Kowalczyk.

- Co masz na myśli? – zainteresował się Foks.

- Pracowała na umowę zlecenie i zarabiała właściwie tyle co nic.

- Jak połowa Polaków – rzucił z ironią Radecki.

- Była po studiach, wcześniej pracowała na etacie. Czemu nagle miałyby zaczepić się w miejscu, które nie dawało jej stabilności finansowej? Tym bardziej że, jak wiemy, wynajmowała mieszkanie w centrum. Skąd miała na nie pieniądze?

- Dziewczyny w tym wieku znajdują bardzo różne źródła utrzymania, z których się nie rozliczają – powiedział naczelnik Gajewski. – Może miała sponsora? Albo po prostu się puszczała?

Kowalczyk spojrzała na niego jak na perwersa, który ślini się na samą myśl o nastolatce w łóżku ze starszym facetem. Ale Gajewski mówił poważnie, a oni nie mogli mu odmówić trafnej uwagi.

Kowalczyk nie mogłaby w to uwierzyć. Chociaż nie znała tamtej kobiety zbyt dobrze, to jednak nie wyglądała ona na kogoś, kto postanowiłby oddawać swoje ciało za pieniądze – bez różnicy, jaką formę seksworkingu by wybrała. Widać to było po jej twarzy, po sposobie mówienia. Prokurator prędzej by uwierzyła, że to właśnie ona była tą, która wbijała nóż.

– Tak czy inaczej, przez ten rok działo się u niej coś, co nie pasuje do schematu.

– A jaki właściwie jest ten schemat? – spytał naczelnik. – Czy człowiek w ogóle może żyć w schemacie?

– Myślę, że to nie czas na pytania filozoficzne – zauważyła zgryźliwie.

– Myślę, że jest wręcz ku temu idealny.

Przez chwilę mierzyli się spojrzeniami, aż w końcu Kowalczyk odpuściła. Krew wręcz wrzała w jej żyłach, ale nie mogła odreagowywać na naczelniku. Najchętniej pożarłaby się teraz z Foksem, ale to także musiała na razie odpuścić. Przynajmniej na czas ich wspólnej sprawy. Wiedziała, że mogłaby wyładować emocje w inny sposób, ale trudno byłoby jej w tym momencie znaleźć zarówno dorównującego jej partnera, jak i wolną chwilę czy dwie.

Złapała się na tym, że patrzy na komisarza.

– O co chodzi? – spytał, gdy przez kilkanaście sekund wbijała w niego intensywne, wręcz wygłodniałe spojrzenie.

W końcu się otrząsnęła.

– Wiadomo, co z firmami, w których pracowała na początku?

– Oba biura rachunkowe już nie istnieją – odpowiedział Radecki, który siedział teraz przed komputerem i szukał kolejnych interesujących danych.

– A wiadomo chociaż, kto je prowadził?

– I tu już zaczyna się robić ciekawiej – powiedział, a na jego usta wpłynął szczery, szeroki uśmiech.

Wszyscy wpatrywali się teraz w ekran komputera. Jedynie naczelnik nie dostrzegwał zbyt wiele.

– No i? – dopytywał, gdy tamci milczeli.

– Mamy wykaz firm, które współpracowały z dwoma biurami rachunkowymi, dla których pracowała nasza podejrzana, Karolina Szczepańska.

– Najbardziej jednak interesująca jest jedna firma – dodała Kowalczyk, dokładnie przyglądając się temu, co Radecki wyświetlił na ekranie. – Zdaje się, że gdy Szczepańska miała podpisaną umowę z drugim biurem rachunkowym, zajmowała się głównie dokumentami małej lokalnej firmy.

– Firmy, która już nie istnieje – dodał Foks.

– Co się z nią stało? – zainteresował się naczelnik.

– Została zamknięta po szesnastu latach działalności. Otwarto ją dokładnie w dwutysięcznym roku.

– Czym się zajmowała?

– To była mała ubojnia. Zaopatrywała lokalne sklepy w mięso i wędliny.

– Czemu nagle przestała działać?

– Czy zdziwi pana fakt, że właściciel zmarł nagle w tragicznych okolicznościach? – spytała Kowalczyk, a Gajewski pokręcił przecząco głową. W tym momencie niewiele rzeczy było go w stanie zdziwić.

Foks spojrzął na nią porozumiewawczo.

– Tak czy inaczej, sprawca grasuje w Warszawie, a nie w jakichś małych miejscowościach daleko od stolicy – powiedział naczelnik, choć przyznał, że trop ze Szczepańską wydaje się nader interesujący.

– Nie aż tak daleko, to zaledwie półtorej godziny drogi – zauważył Foks, ale wiedział, o co chodzi Gajewskiemu. Stara ubojnia zdawała się nie mieć w tym momencie większego znaczenia, niemniej wraz z Kowalczyk od razu poczuli, że może być zupełnie inaczej.

– Na razie trudno znaleźć cokolwiek więcej zarówno o właścicielu, jak i jego firmie – powiedział Radecki. – Ale będę nad tym pracował. – Spojrzał na Gajewskiego, a ten skinął głową, tym samym popierając pomysł.

– Myślisz, że ofiar może być więcej? – spytał Kowalczyk, gdy razem wyszli zapalić.

– Myślę, że w Warszawie jest teraz naprawdę wiele miejsc, w których spoczywają ciała. W mieszkaniach, pod śniegiem, w rzece. Zapewne wiele lat minie, zanim znajdziemy je wszystkie.

– O ile w ogóle się to uda – dodał, wiedząc, że to nigdy nie jest takie proste, nawet jeśli poświęci się na to dziesięć, dwadzieścia czy trzydzieści lat. Zbyt wiele spraw było niestety umarzanych, a zbyt wiele ciał nigdy nie odnaleziono, żeby można było myśleć optymistycznie.

Foks trzymał w dłoni trzepoczący na lodowatym wietrze wydruk zdjęcia wykonanego na najnowszym miejscu zbrodni. Szukał czegoś, choć sam nie wiedział, czego dokładnie. Najbardziej intrygował go fakt, że zbrodnia tak bardzo odbiegała od dwóch poprzednich. Rzeczywiście, gdyby natknęli się na ciało dyrektora wcześniej albo później, a przede wszystkim z innego powodu, to nie połączyliby go z dwiema poprzednimi

zbrodniami. Tymczasem nic zależności zaprowadziła ich do zbrodni, za którą wręcz musieli odpowiadać ci sami ludzie.

Przypatrywał się ciału, lecz niewiele z tego wynikało, dlatego w końcu schował zdjęcie do kieszeni, bo śnieg nie oszczędzał papieru. Mimo to przed oczami wciąż miał ten sam obraz. Nie potrafił wyrzucić go z głowy.

- Myślisz, że trop z ubojnią może być słuszny? - spytała, chociaż dopiero co przekonywała naczelnika, że trzeba to sprawdzić. Gajewski nie był jednak zbyt chętny, najpierw chciał ściągnąć recepcjonistkę. Był zły, że nie pojawiła się na komendzie od razu z nimi, a oni zdawali sobie sprawę, że nie sposób go zadowolić.

Zanim Foks zdążył cokolwiek odpowiedzieć, dopadł do nich Radecki.

- Naczelnik wzywa - powiedział tylko, zasapany.

- O co chodzi? - spytał, rzucając peta w śnieg. Kowalczyk zrobiła to samo i poszła za nimi bez słowa.

- Wiadomo, kim była ta zamrożona kobieta - powiedział z zadowoleniem w głosie podkomisarz. Musiał jednak kilka razy głęboko odetchnąć, żeby móc kontynuować. - Odbitki linii papilarnych nic nam na razie nie powiedziały, ale warto było pójść śladem ubojni.

- Jak to? - zainteresował się Foks.

- Udało mi się dotrzeć do listy osób, które pracowały tam przed zamknięciem firmy.

- Od razu chcę dostać kopię - powiedziała szorstko Kowalczyk.

- Oczywiście - odparł Radecki. - Okazało się, że wśród pracowników wyższego szczebla znajdowała się Elżbieta Adamska. Jej zdjęcie można nawet znaleźć na stronie internetowej.

- Domena wciąż działa? - spytał Foks, zastanawiając się, gdzie już wcześniej słyszał to nazwisko.

- Założyli stronę na darmowej domenie, a potem jej nie usunęli, dlatego cały czas można zobaczyć stare wpisy. Jednym z pierwszych było przedstawienie zarządu. Firmą kierowała trójka osób - ojciec, jego córka i wspólnik, który hodował bydło. Córka była właśnie Elżbieta Adamska, która jest uderzająco podobna do naszej ofiary. Porównałem rozmieszczenie pieprzyków na twarzy, bo niestety brakuje innych znaków

szczególnych w tym rejonie. – Pokazał im na ekranie komputera zestawienie dwóch zdjęć, gdy już zasapani dotarli do jego biurka.

Foks spojrział na naczelnika. Ten zdawał się już wszystko wiedzieć.

– Rzeczywiście duże podobieństwo – zauważyła Kowalczyk, chociaż zdjęcie z bloga i zdjęcie ich trupa dzieliło ponad dziesięć lat. Niemniej zaznaczone punkty na twarzy mówiły same za siebie, nie było mowy o pomyłce.

– Jesteś lepszy od naszych informatyków – pochwalił go Foks.

– Zawsze miałem do tego dryg – przyznał nieskromnie.

– Wiem, już nie raz się o tym przekonałem – odparł, klepiąc go dobrodusznie po ramieniu. Chociaż podkomisarz nie potrzebował ani nie oczekiwał podobnych pochwał, to jednak te słowa miło polechtały jego ego.

– Informacje ze strony uzupełniłem danymi, do których udało mi się dotrzeć, i dzięki temu mamy listę kilkudziesięciu osób, które pracowały w ubojni ojca Adamskiej. Wśród nich jest ona i nasza recepcjonistka. Obie były tam zatrudnione do dnia śmierci Adamskiego. Jego wspólnik natomiast wycofał się ze spółki dwa lata wcześniej.

– Wiadomo, co się teraz z nim dzieje?

– Nie mam na jego temat żadnych informacji. Za to wiadomo, czym zajmowała się Adamska. Założyła firmę sprzątającą, która od kilku lat działa na terenie Warszawy i prężnie się rozwija. – Radecki spojrział na nich z błyskiem w oku. Rozwijająca – poprawił się. – Założyła ją ze swoim mężem – dodał, robiąc długie pauzy. Foks już wiedział, co powie teraz. – Jej mężem jest Tomasz Olejnik. Nasz pobity na ulicy „przypadkowy” mężczyzna.

Kowalczyk aż pokręciła z niedowierzaniem głową.

– Podejrzewam, że to właśnie dlatego nasze wcześniejsze próby skontaktowania się z jego rodziną spęzły na niczym – rzuciła, jednocześnie rozbawiona i zaskoczona.

– Chcę wiedzieć wszystko o właścicielu ubojni, jego współpracowniku i córce – powiedział naczelnik, gdy w jego gabinecie pojawiło się dwóch informatyków, którymi miał teraz kierować Radecki. – A ty masz mi dostarczać każdą ważną informację zaraz po jej znalezieniu – zwrócił się do podkomisarza poważnym, aczkolwiek przyjaznym tonem. Gajewski, nawet gdy próbował być miły, nie potrafił się wyzbyć rozkazującego, niekiedy wręcz pretensjonalnego tonu. Wszedł mu on w krew, tak samo jak Kowalczyk wszelkie złośliwości i ciągle podważanie kompetencji Foksa. Co prawda ostatnio nieco złagodniała, ale Foks był przekonany, że już za chwilę wszystko wróci do normy. – Domyślam się, że jeśli cokolwiek ukrywali, to naprawdę głęboko. Jeśli mieli jakieś tajemnice, to macie je wyciągnąć choćby z ich własnych dup. Chcę je mieć na biurku jak najszybciej.

– Dupy czy tajemnice? – spytał cicho. Tylko Kowalczyk go usłyszała i wykrzywiła usta w delikatnym uśmiechu.

– Oczywiście – odparł Radecki i wycofał się z gabinetu wraz z dwoma policjantami. Musieli przedyskutować plan działania i zapoznać się z informacjami, które dotychczas zebrano.

Minęli Foksa i Kowalczyk, którzy chwilę później przeszli do gabinetu komisarza i rozrysowali prowizoryczną mapkę zależności. Adres ubojni był podany na stronie, więc od razu zaznaczyli obszar należący do firmy. Potem Foks zakreślił miejsce, w którym mieszkała Adamska przed śmiercią ojca. Był to ich dom rodzinny, położony tuż obok. Potem przeniosła się do Warszawy wraz z mężem, z którym wzięła ślub na trzy lata przed zamknięciem firmy. O jej mężu na razie nie było zbyt wiele wiadomo. Mieli tylko ich adres, pod który Foks wybrał się po ustaleniu szczegółów z Kowalczyk i naczelnikiem.

- Czysto - zakomunikował niedługo potem Gajewskiemu, gdy już zapukał do ich drzwi. - Mieszkanie jest zamknięte, zamek nienaruszony. Sąsiadka mówi, że nie widziała gospodarzy od kilku dni. Żony zdecydowanie dłużej, on wyszedł rano do pracy i już nie wrócił.

- Wiemy tylko tyle, że próbował - odparł naczelnik i się rozłączył.

Foks założył gumowe rękawiczki i z woreczka strunowego wyjął zabezpieczony przy pobitym kluczu. Wsunął go w zamek i przekręcił. Po chwili mieszkanie stanęło przed nimi otworem.

Zdecydowanie nie wydarzyło się w nim nic godnego uwagi. Apartament był przestronny, latem musiało tam być bardzo jasno, bo duże okna w salonie z pewnością wpuszczały do umeblowanego nowoczesnie wnętrza dużo światła.

Foks minął czysty aneks kuchenny, na blacie nie dostrzegając ani jednego brudnego talerza. Zajrzał do zmywarki, tam już dało się dostrzec obecność właścicieli. Brudne talerze jeszcze nie śmierdziały zbyt mocno, ale Foks dostrzegł pleśń na jednym z nich. Lodówka nie była zbyt dobrze wyposażona, w środku znajdowało się tylko kilka jogurtów, kefir i niedojedzone spaghetti w opakowaniu na wynos. Więcej takich znalazł w koszu na śmieci, tym samym dochodząc do wniosku, że domownicy rzadko sami gotowali. Nie chciał grzebać w koszu, ale musiał chociaż spojrzeć, dlatego wystawił go i wyjął kilka opakowań. Pod nimi nie znajdowało się jednak nic godnego uwagi.

Przeszedł do łazienki, aż w końcu do sypialni. Łóżko zostało pościelone, ale niedbale. Widać było, że zrobił to facet, którego żona nie lubiła, gdy pościel zostawała na wierzchu. Dlatego wypełniał jej życzenie, ale bez przykładania się.

Sypialnia była naprawdę duża, obok znajdowało się wejście do garderoby i drugiej łazienki. Tam można było skorzystać z wolnostojącej wanny, obszernego prysznica z natryskami bądź jednej z dwóch umywalk.

Łazienka była wysprzątana. Foks domyślał się, że skoro Adamska z mężem, którego nazwiska nie przyjęła po ślubie, prowadzili firmę sprzątającą, to regularnie jakiś pracownik tutaj przychodził. Dziwne jednak było to, że od kilku dni nikt do mieszkania nie zaglądał.

Napisał do Radeckiego.

Sprawdź, czy wśród pracowników Adamskich był ktoś, kto przychodził sprzątać ich mieszkanie. Wydaje się to logiczne, ale wyraźnie ten ktoś odpuścił sobie ostatnie dni.

Albo się mylił, albo pracownik wiedział, co się stało, i stwierdził, że nie ma sensu sprzątać mieszkania trupom. Raczej nie wchodził w grę brak klucza, z pewnością ta osoba miała przychodzić pod nieobecność szefostwa.

Radecki odpisał po może minucie.

W rejestrze firmy nie ma nikogo, komu płacono za sprzątanie lokalu pod tym adresem.

– Czyli sprowadzali tu kogoś na czarno. Ciekawe, czy cokolwiek za to dostawał.

Foks domyślał się, że sprzątanie domu mogło być, według właścicieli firmy, czynnością wręcz konieczną, którą musiał wykonywać jeden z pracowników. Albo wszyscy na zmianę. Komisarz znał tę mentalność. Oni zatrudniali, oni wymagali i nie można było dyskutować. Szczególnie z argumentem: „Jak się nie podoba, to wypierdalaj”. Tyle tylko, że wysprzątanie mieszkania, które miało z pewnością ponad sto dwadzieścia metrów kwadratowych, nie mogło być prostym ani szybkim zadaniem. Tyle dobrego, że apartament nie był zagracony, wyglądał wręcz, jakby dopiero się do niego wprowadzono.

Nigdzie nie było żadnego kwiatka, balkon ział pustką. Dwa pokoje nie zostały wyposażone. Kupili czteropokojowe mieszkanie, ale tak naprawdę potrzebowali tylko salonu i sypialni.

– Gdzie w takim razie spędzali większość czasu? – spytał na głos, chcąc zmusić mózg do intensywniejszego myślenia.

Przeszedł się po pokojach i dopiero przy podejściu do łóżka w sypialni dostrzegł, że na podłodze, pod jedną z szafek nocnych, leży ręcznie zapisana kartka.

Muszę coś załatwić, wrócę późno. Zjem coś po drodze.

Żadnego „kocham cię” ani wyjaśnienia celu podróży. Foks domyślał się, że małżeństwo nie dogadywało się za bardzo. Kobieta zostawiła męża w łóżku, nie budziła go, żeby powiedzieć o swojej podróży. Gdyby był poza domem, zapewne napisałaby mu SMS-a albo zostawiła kartkę na blacie w kuchni, gdzie czekałaby na jego powrót. Bez wątpienia więc Olejnik był w domu, gdy żona wyszła. Musiała to zrobić bardzo wcześnie, skoro sąsiadka widziała potem Olejnika, a jej nie zarejestrowała.

W drodze na podziemny parking odnalazł numer do administratora budynku i w ciągu kilku minut dowiedział się, jakie numery miały miejsca postojowe małżeństwa.

Obu pojazdów brakowało.

– Wie pan może, jakimi samochodami się poruszali? Marka albo chociaż kolor?

– Proszę spytać ochroniarza, ja niestety nie mam pojęcia.

– Ona jeździła ciemnozielonym samochodem – powiedziała na oko czterdziestoletnia kobieta o tłustych, czarnych włosach, którą znalazł w przeznaczonym dla ochrony pokoju przy pierwszej klatce. Zanim tam dotarł, napisał do Radeckiego, że trzeba wystąpić o nagrania z monitoringu. Dostrzegł, że garaż jest naszpikowany kamerami. Przy każdym z wyjazdów znajdowały się po dwie – w środku i na zewnątrz. Po drodze do bramy znajdowała się jeszcze jedna, a samego wjazdu strzegła kolejna.

– Jakiej marki?

– Sama nie wiem... Ona miała taki mały miejski samochód. Ale nic starego, cały czas wygląda jak nowy.

– Może swift? Albo fabia?

– Tego panu nie powiem, średnio się na tym znam.

– Jakie miał logo? Trzy przecinające się kółka? – Pokazał jej na telefonie znaczek Toyoty, ale kobieta pokręciła przecząco głową. Potem wyświetlił logo Škody, Fiata i dopiero przy Suzuki kobieta się ożywiła.

– To był dokładnie ten – wskazała na model swift.

– A on?

- Też będzie mi trudno powiedzieć – przyznała kobieta. – Na pewno jego samochód był duży. Może nie terenowy, ale większy niż przeciętne. Granatowy, tyle wiem. Jak przeglądam monitoring w garażu, to bardziej skupiam się na kolorach i rozmieszczeniu pojazdów niż na tym, jakie to modele. Na ekranie nie widać aż tak dużo.

- Jasne, rozumiem.

- Wydaje mi się, że jego auto miało takie jakby koła olimpijskie – powiedziała nagle. – On lubił je przecierać rękawem.

Foks wyszukał w przeglądarce zdjęcie audi Q7, bo ten model jako pierwszy przyszedł mu na myśl.

- Ręki sobie uciąć nie dam, że tym właśnie jeździ, ale na pewno czymś bardzo podobnym.

- Super, tyle mi wystarczy. Dziękuję pani bardzo.

- Polecam się – odparła, chociaż gdyby wiedziała, o co chodzi, to z pewnością nie chciałaby mieć już nigdy więcej do czynienia z Foksem. Komisarz jednak wrócił do niej po chwili. Nie sądził, żeby mogła to pamiętać, ale mimo wszystko wolał spytać, bo nagrań z monitoringu nie mieli dostać zbyt szybko.

- A pamięta pani może, jak wyjeżdżali z garażu?

- Nie, od kilku dni ich nie widziałam.

- Konkretnie chodzi mi o... – Sprawdził, kiedy napadnięto Olejnika. Podejrzewano, że jego żona wyzionęła ducha mniej więcej tego samego dnia. Margines błędu jak na razie wynosił maksymalnie dwie doby. – Poniedziałek. Pamięta pani może, czy ich widziała wtedy?

- Niestety w poniedziałek mnie tu nie było.

- Rozumiem, dziękuję bardzo.

Poprosił o numer do osoby, która w poniedziałek rano zabezpieczała teren, ale ochroniarz nie tylko okazał się niemiły i gburowaty, ale przede wszystkim nie pamiętał, czy cokolwiek widział. Foks domyślał się, że przysypiał w fotelu, w którym siedziała teraz kobieta w pokoju ochrony.

Zapalił papierosa, stojąc pośrodku wyłożonego kostką patio, i zapatrzył się w okna mieszkań, których sam wynajem mógłby człowieka zrujnować.

Nawet nie chciałbym mieszkać w takim miejscu, pomyślał. Zbyt wiele osób z tego właśnie świata traci życie szybciej, niż można by się było spodziewać, dodał.

Zastanawiając się, za którym z tych wielkich okien leży kolejny trup zabitego w samotności człowieka, wrócił do samochodu.

Godzinę później wszedł do swojego nowego, aczkolwiek o wiele skromniejszego mieszkania i pierwsze, co zrobił, to nalał sobie szczerze whisky.

Radecki pracował z informatykami, dwóch patologów ślęczało nad ciałami, Gajewski raz po raz czytał raporty i przygotowywał się z rzecznikiem do konferencji prasowej, której niestety nie dało się uniknąć. Nikt ich nie lubił, poza publiką, oczywiście, bo zwykle wynikało wtedy, jak mało policja wie o sprawie, którą prowadzi. Tymczasem spraw było kilka, a dziennikarze uwielbiali rzucać się na świeże mięso niczym wygłodniałe hieny.

Dobrze, że mnie przy tym nie będzie, pomyślał, chociaż perspektywa podróży na wschód też nie do końca mu się uśmiechała, tym bardziej gdy za oknem wciąż tak samo mocno sypało. Śnieżycy nie ustępowała, ale zdawało się, że mieszkańcy Warszawy zdążyli się już do niej przyzwyczaić, jakby na zawsze miała się stać codziennością.

To Foksa czasem naprawdę mocno przerażało. Człowiek, który się nie myje, potrafi zaakceptować swój odór, bezdomny brak własnego kąta, alkoholik wieczną potrzebę upijania się, Polacy prawicową władzę, choć ta niszczy kraj kawałek po kawałku, a cała ludzkość – fakt, że świat upada i nigdy się nie podniesie.

Foks ze szklanką w dłoni podszedł do okna i zapatrzył się w białą przestrzeń.

– Nie, tego nie da się znieść na dłuższą metę – powiedział, mając nadzieję, że jego słowa jakoś wpłyną na pogodę. Jako osoba niewierząca nie miał nic poza tym, żadne modlitwy nie wchodziły w grę.

Spojrzał na zegarek. Zanim cofnął wzrok, duża wskazówka przesunęła się i wskazała dokładnie dwudziestą drugą dwadzieścia dwie.

– Czas wypić za tych, którzy już niestety napić się nie mogą – mruknął, patrząc na swoje odbicie w szybie, i jednym haustem opróżnił szklanę. Od razu poszedł ją uzupełnić.

Miał dziwne przeczucie, że w najbliższym czasie nie będzie możliwości tego powtórzyć.

Obudził go ptak, który dobijał się do okna. Było jeszcze ciemno, dzień miał nadejść dopiero za kilka godzin, choć ostatnio nazywanie panującej nad światem szarówki „dnem” było nieśmiesznym żartem.

Bez otwierania oczu zamachał ręką, chcąc odgonić ptaka, lecz ten musiał nie dostrzegać żadnego ruchu. Dlatego po może minucie albo dwóch Foks podniósł się i dopiero gdy wstał, otworzył oczy. Zapomniał, że jest w nowym mieszkaniu, w poprzednim mógłby na oślep przemieszczać się z pokoju do pokoju, ale do tego wnętrza jeszcze aż tak bardzo się nie przyzwyczał.

Podszedł do okna, powłócząc nogami, i schylił się, żeby lepiej widzieć to, co znajdowało się na parapecie od zewnętrznej strony. Oczy miał zaspane i pozaklejane śpiochami, wzrok nie przyzwyczał się jeszcze do tego, że powieki się podniosły, więc w pierwszej chwili nie dostrzegł niczego nadzwyczajnego. Dopiero po chwili zauważył czarną plamę na zaspanyim śniegiem parapecie.

Przetarł kilka razy oczy i w końcu dostrzegł, że plama to tak naprawdę powoli zamarzająca wrona, która ostatkiem sił dziobem uderzała w szybę, jakby doskonale wiedziała, że za nią znajduje się ciepłe pomieszczenie i ktoś, kto może ją do niego wpuścić.

Foks widział, jak śnieg zasypuje jej skrzydła, a przed chwilą drżący z zimna dziób uspokaja się, dając znać, że ptakowi zostało już może tylko kilka oddechów.

– Niech to szlag – zaklął, otwierając okno. Do środka od razu wdarł się mroźny podmuch, zabierający ze sobą liczne płatki śniegu. Zdawało się,

że dziś było jeszcze zimniej, choć komisarz sądził, że niższe temperatury są już tylko na Syberii. Ewentualnie w Suwałkach.

Chwycił mocno zmarzniętego ptaka i skrzywił się, czując pod palcami nieprzyjemną fakturę piór. W pierwszej chwili pomyślał o pchłach czy kleszczach, które zamieszkują ciała ptaków, ale domyślał się, że mróz szybko i skutecznie je wytępił pod piórami wrony, skoro ona sama ledwo żyła.

Łokciem zamknął okno, choć nie mógł w ten sposób docisnąć klamki, i nie wiedział, co dalej. W końcu jednak poszedł do łazienki, tam pod umywalką stała plastikowa miska na pranie. Delikatnie włożył do niej ptaka i podstawił miskę pod grzejnik. Odkręcił go maksymalnie i przyniósł z szafy starą koszulkę, którą miał wyrzucić, ale sentyment do Nirwany, której logo widniało na froncie, mu na to nie pozwalał. Była już mocno sprana, miała rozdarty szef na boku.

Nie miał pojęcia, czy wrona w ogóle oddycha. Mimo to do małej miseczki nalał wody i postawił ją obok bezwładnej główki. Do innej nasypał słonecznika i orzechów, które lubił podjadać podczas picia piwa. Nie miał ich wiele, ale sądził, że dla tak małego stworzenia to aż nadto.

Nie dane mu jednak było sięgnąć po chociaż jedno ziarenko.

– Chujowa zapowiedź dnia – powiedział, patrząc na martwą wronę.

Wziął prysznic, ubrał się i zjadł szybkie śniadanie. Wypił nawet kawę. W poprzednim mieszkaniu korzystali z włoskiej kawiarki i ręcznego młynka, ale Foks często nie miał czasu na bawienie się w mielenie ziaren, dlatego potem sięgał po blacka, aż w końcu kawiarka zarosła kurzem. Teraz kupił ekspres, bo wiedział, że Dorota zawsze taki chciała. Wydał trzy tysiące na maszynę włoskiej firmy, która szybko zmieliła ziarna lavazzy i po chwili mógł dwoma łykami wypić gorzkie espresso. Nienawidził mleka ani cukru, więc niczego do niej nie dodawał, chociaż ten smak cały czas wykrzywił mu twarz.

Z lodówki wyjął trzy puszki blacka. Mimo wszystko nie potrafił się z nim rozstać, chociaż miał świadomość, że działa destrukcyjnie na jego

organizm. Podobnie jak papierosy i alkohol, więc niespecjalnie się tym przejmował.

Jedni mówią, że na coś trzeba umrzeć, pomyślał. Ja po prostu wiem, że jeśli coś mi smakuje, to nie warto się tego wystrzegać, bo każdy dzień może być moim ostatnim.

Ubrał się ciepło. Chociaż nie miał zamiaru zbyt często wychodzić z samochodu, to jednak nie wiedział, co go spotka pod Warszawą. Wolał być przygotowany na wszystko. Dlatego poza bronią zabrał ze sobą latarkę, kilka batonów energetycznych, butelkę wody, dodatkowy sweter i mógł ruszać w trasę.

Wybiła godzina siódma, gdy wyjechał z garażu. Ulica na szczęście była odśnieżona, więc bez większego problemu wjechał na most Gdański i skierował się na północny wschód. Dał znać naczelnikowi, że jest już w drodze.

Problemy zaczęły się już na obrzeżach Warszawy. Gdy minął tabliczkę z przekreśloną nazwą miasta, musiał założyć łańcuchy na koła. Śnieg sypał na tyle intensywnie, że wiejskie pługi nie dawały sobie z nim rady. Sama stolica ledwo zipsała, a co dopiero reszta kraju, tym bardziej gdy człowiek kierował się w stronę granicy z Białorusią.

Według Google Maps do starej ubojni miał od mieszkania półtorej godziny drogi. Należało jechać wzdłuż Bugu i w okolicach Ostrowi Mazowieckiej odbić na południe, w stronę rzeki. Zrobił to po nieco ponad dwóch godzinach, bo GPS nie uwzględniał faktu, że samemu trzeba było być pługiem. Na szczęście volvo na łańcuchach dawało sobie radę z zaspami, szczególnie że kilka godzin temu przejeżdżał tędy jakiś ciągnik.

Musiał zwolnić, żeby nie wpaść w poślizg. Chociaż łańcuchy bardzo dobrze się spisywały, to jednak wgnieciony w asfalt śnieg, którego od kilku dni nie dało się usunąć z samego spodu, zamienił się w lód i trudno było jechać szybciej niż czterdzieści na godzinę, jeśli nie chciało się wylądować w rowie.

Zdecydowanie ktoś o tym nie pomyślał, bo gdy Foksowi do ubojni zostały może dwa kilometry, dostrzegł samochód z maską wbitą w zwalę bieli po prawej stronie jezdni.

Komisarz zwolnił jeszcze bardziej. Ostatecznie zatrzymał się, gdy zrozumiał, że skądś zna ten pojazd. W pierwszej chwili pomyślał o Adamskiej, która, co już wiedział, wyjechała, a po samochodzie nie było śladów. Audi Olejnika jeszcze wczoraj w nocy znaleziono na parkingu niedaleko budynku, w którym mieściło się biuro ich firmy. W środku jednak nie czekało na policję nic ciekawego – ani jeśli chodzi o pojazd, ani o biuro. Wszystko zdawało się być w porządku.

Mąż Adamskiej wciąż pozostawał w śpiączce, jego stan był ciężki, ale lekarze mówili, że w końcu z tego wyjdzie. Tak czy inaczej, Foks nie sądził, żeby powiedział im cokolwiek więcej niż to, co sami wiedzieli. Na pewno nie rozmawiał z napastnikiem, nie widział jego twarzy, a nawet jeśli, to jej nie poznał. Po obrażeniach widać było, że atak nastąpił szybko, mężczyzna niemal od razu stracił przytomność, więc nie miał możliwości przyjrzenia się napastnikowi.

Cały zespół zachodził w głowę, kim w takim razie może być ich pierwsza ofiara, skoro dwie inne udało się w tym momencie powiązać. Wśród współpracowników Adamskich nie było nikogo, kto pasowałby do opisu zamordowanego mężczyzny, którego ciało wystawiono przed Pałacem Kultury i Nauki niczym futurystyczną rzeźbę. Zdawało się, że nie ma żadnych powiązań z Adamskimi ani ich firmą REM.

Cały czas nie dawał mu też spokoju zaginiony Drelich, który zniknął wraz ze swoim samochodem chłodnią. Teraz okazywało się jednak, że prędzej może on być napastnikiem niż ofiarą. Pewne jednak było, że współpracował z Adamskimi, miał z nimi podpisanych kilka umów na wynajem samochodów dostawczych. Chodziło o cykliczny przewóz detergentów. Adamscy skupili się przede wszystkim na wynajmie ludzi do sprzątania. Zapewniali im ubiór i wyposażenie. Ich pracownicy stawali się swoistymi najemnikami, którzy żadnej pracy się nie bali, niemniej musieli mieć doświadczenie. REM pośredniczyło w wynajmie kilkuset osób rocznie, zarabiając przy tym kilka razy więcej od samych pracowników.

Czuć w tym było wysysk, niemniej legalny, co przerażało jeszcze bardziej.

Foks otrząsnął się z tych myśli i wysiadł w końcu z samochodu. Zapiął szybko płaszcz, postawił kołnierz. Zaciskając z niezadowolenia zęby,

wszedł w wysoki śnieg i skierował się w stronę samochodu.

– Czy ona naprawdę sądziła, że mały miejski samochód da sobie radę w taką pogodę? – powiedział sam do siebie i odgarnął ramieniem śnieg z okolic tablicy rejestracyjnej. – Co do...

Nie dokończył, gdy dostrzegł logo marki, które wyróżniło się spod śniegu. Adamska miała suzuki swift, tymczasem przed Foksem stała nowa toyota aygo X, którą od kilku miesięcy po Warszawie woziła się Eliza Kowalczyk. Numerów nie pamiętał zbyt dokładnie, ale skojarzył dwie cyfry, poza tym początek „WW” mówił sam za siebie.

To nie mógł być przypadek.

Dopał do przednich drzwi samochodu i otworzył je, sądząc, że w środku znajdzie ranną, może zalaną krwią, a na pewno nieprzytomną i wyjębioną prokurator. Ale samochód okazał się pusty.

Poprzedniego wieczoru prokurator Eliza Kowalczyk nie mogła znaleźć sobie miejsca. W prokuraturze dyżurował dziś ktoś inny, wyszła niedawno z komendy, gdzie spędzała ostatnio większość czasu, i jedyne miejsce, do którego mogła się udać, to własne mieszkanie. Nie miała jednak ochoty w nim siedzieć, ale z drugiej strony włączenie się po barach w taką pogodę odstraszało ją jeszcze bardziej, więc stwierdziła, że nie będzie kombinować. Zamówiła chińskie jedzenie, do tego otworzyła piwo.

Niedługo potem jednak wsiadła do samochodu. Myśl o Adamskiej nie dawała jej spokoju, dlatego nienaruszone piwo musiało wygazować się na kuchennym blacie.

Podjechała pod biurowiec, gdzie siedzibę miała firma REM. W usta, wciąż smakujące kurczakiem po tajlandzku, wsunęła papierosa. Podpaliła, patrząc, jak za kilkoma oknami na piętrze, które ją w tym momencie interesowało, skaczą dziwne światła, jakby ktoś palił tam świece. Nie sądziła, żeby nagle zabrakło prądu, chociaż to mniej by ją zdziwiło niż obecność kogoś w biurowcu o tej późnej godzinie.

Za chwilę miała wybić północ, śnieg zdawał się sypać jakoś słabiej, choć domyślała się, że to tylko kwestia znalezienia się teraz w zacisznym miejscu. Otwartymi przestrzeniami śnieg potrafił lepiej zawładnąć, między budynkami wiatr zdawał się działać na jego niekorzyść.

Dopaliła papierosa do połowy i rzuciła peta w śnieg. Obeszła budynek, bo nie chciała wchodzić od frontu. Teraz mogłoby się to nawet nie udać, nie sądziła, żeby w recepcji ktokolwiek o tej porze siedział, a sama nie posiadała karty wstępu. Z tyłu natomiast znajdowało się podwórze z pracowniczym parkingiem i bramą małego magazynu. Kowalczyk szarpnęła za jej uchwyt, ale ta ani drgnęła. Podeszła więc do bocznych

drzwi, a te okazały się otwarte. Domyślała się, że właśnie tędy wchodzili teraz ci, którzy buszowali po wyższych piętrach. Z pewnością nie chcieli zostać uchwyceni przez frontowe kamery. Chociaż z tyłu także dostrzegła jedną, to domyślała się, że albo nagrania z niej od razu trafiały do archiwum, żeby spojrzeć na nie dopiero w momencie, gdy coś się wydarzy, albo była zepsuta i stała się tylko zwykłym straszakiem.

Policja przeglądała już nagrania z biurowca, ale dostali tylko rzut na główne wejście. Zobaczyli, jak Olejnik wychodzi przez nie, lecz napastnik nie był nigdzie widoczny. Dlatego odrzucono podejrzenie, że to jego własny pracownik napadł na mężczyznę.

Mimo to Kowalczyk była innego zdania.

W środku panowała ciemność, lecz po chwili jej wzrok przyzwyczał się i wychwycił pojedyncze światła, których blask przesączał się pod drzwiami niektórych pomieszczeń. Najsilniejszy bił od magazynu, do którego Kowalczyk weszła i aż oniemiała.

Dostrzegła parę osób, które nagle zastygły w najróżniejszych pozach. Kilka kobiet siedziało na paletach i patrzyło wprost na nią. Dwóch mężczyzn opierało się o owinięte folią kartony ze środkami czystości. Również wbijali w nią wzrok, jakby doskonale wiedzieli, kto i kiedy tu wejdzie.

Nie byli zaskoczeni jej widokiem.

– Co wy tu robicie? – spytała prokurator. Wiedziała, że podobne pytanie może paść po chwili w jej kierunku, ale wszyscy milczeli.

Rozejrzała się po pomieszczeniu. W większości było puste, tylko dwóch palet nie rozładowano, kilka innych, już opróżnionych, oparto o ścianę, a kolejne dwie robiły teraz za siedziska.

Blade światło żarówki zawieszanej pod sufitem mrugało złowrogo, jakby ktoś specjalnie ustawił lampę na taki właśnie tryb, mający budować klimat, którego Kowalczyk w tym momencie nie rozumiała.

– Co jest? – rzuciła jeszcze, gdy tamci nie odwracali wzroku. Ostatecznie ona sama wycofała się, nagle czując, jak po plecach przebiega jej zimny dreszcz. Szczególnie gdy zobaczyła zaciśnięte złowrogo usta mężczyzn i pięści kobiet. Tajemnicze osoby zdawały się być gotowe do skoku w jej stronę, jakby szykowały atak.

Kowalczyk wycofała się i bez zamykania za sobą drzwi wolno ruszyła korytarzem. Obejrzała się po kilku krokach, ale na szczęście nikt za nią nie szedł. Dopiero gdy mijała zakręt, odwróciła się ostatni raz i dostrzegła, jak jedna z kobiet wychyla się przez próg i odprowadza ją wzrokiem. Eliza zamruwała i wyjężyła wzrok.

Kobieta zniknęła.

Kowalczyk dotarła na klatkę schodową. Minęła ladę recepcji, za którą nikt nie siedział, ale dostrzegła, że przed drzwiami ktoś stoi. Śnieg zdążył już go nieco przysypać. Mężczyzna zaczął przypominać ludzką rzeźbę, którą znaleźli kilka dni temu. Z tym wyjątkiem, że jego oczy, widoczne między szalikiem a naciągniętą aż po brwi czapką, były zdecydowanie żywe.

To ją zaniepokoiło bardziej, niż gdyby zobaczyła kolejnego trupa.

Bez oglądania się za siebie weszła na pierwsze piętro, gdzie było podobnie cicho, jak w magazynie, ale domyślała się, że i tutaj mogła się na kogoś natknąć. Przez szczeliny pod niektórymi drzwiami przesączało się światło, ale nim Kowalczyk zdążyła wejść z powrotem na schody, dwoje drzwi się otworzyło. Wyszyły przez nie po dwie osoby, które stanęły teraz na korytarzu i wpatrywały się w nią intensywnie.

– Możemy w czymś pomóc? – spytała stojąca najbliżej kobieta, a Kowalczyk aż zadrżała na dźwięk jej głosu.

Teraz to ona nie odpowiedziała, zupełnie jakby miała do czynienia z zombie, które reagują na dźwięk. Tak właśnie widziała te stojące na korytarzu osoby. Były dziwnie osowiałe, spokojne i powolne. Patrzyły wprost na nią, jakby wiedziały, kim jest i po co tutaj przyszła.

Kowalczyk powoli wspięła się na czwarte piętro. Po drodze minęła dwie kolejne osoby. Ani nie wchodziły, ani nie schodziły. Stały oparte o ścianę i śledziły ją wzrokiem. Ich oczy, choć o intensywnym spojrzeniu, były bardzo zmęczone. Świadczyły o tym także ich postawy, dziwnie przygarbione, a także spracowane dłonie. Byli niczym zgraja lunatyków, którzy śnili ten sam sen jednocześnie, ale nie chcieli odcinać się od realnego świata, więc łączyli jawę z marą.

Tylko po co? – zastanawiała się Kowalczyk. Co oni tu właściwie robią?

Wiedziała, że w tym momencie nikogo w budynku nie powinno być. Wszystkie biura były czynne najpóźniej do dwudziestej, recepcja została zamknięta, więc jeśli ktoś miał tu przyjść, to wyłącznie właściciel jakiegoś lokalu, który miał kartę wstępu.

Gdyby chociaż nakryła ich na czymkolwiek, to sprawa stałaby się jaśniejsza. W pierwszej chwili pomyślała, że wykradają produkty z magazynu, ale folia i plastikowe opaski były nienaruszone. W pobliżu żadnej osoby nie dostrzegła ani jednej torby, pakunku, niczego, co świadczyłoby o tym, że wynoszą coś z budynku. Wszystko pozostawało na swoim miejscu. Zdawało się, że nawet oni mieli swoje miejsca, bo część tylko patrzyła i nie ruszała się na krok.

W końcu dotarła do drzwi prowadzących do biura firmy REM. Były otwarte na oścież. W środku nie paliło się światło, jedynie kilkanaście świec. Albo nie zdążyli ich sprzątnąć, gdy dostali cynk, że w budynku ktoś się pojawił, albo chcieli, żeby Kowalczyk je zobaczyła.

Zanim jednak zdążyła spytać, co się tu właściwie dzieje, drogę zastąpiła jej jakaś postać.

– Czekaliśmy na ciebie – powiedziała, a Kowalczyk omal nie krzyknęła.

Foks na chwilę wsiadł do samochodu Kowalczyk i zamknął drzwi, żeby do środka nie naleciał śnieg. Wiedział, że nie powinien tego robić, jeśli istniał chociaż cień szansy, że Kowalczyk coś się stało, bo w ten sposób mógł zatrzeć ślady, ale mróz skutecznie pozwolił mu o tym zapomnieć. Poza tym chciał się na spokojnie rozejrzeć w środku.

Wnętrze samochodu było nowoczesne i zadbane. Nie było widać kurzu, żadnych zarysowań, fotele wyglądały jak świeżo uprane. Nawet przy siedzeniu i hamulcu ręcznym Foks nie dostrzegł ani jednego paprochu, a przecież one były nieodłącznym elementem tej części każdego samochodu.

Spojrzał na oparcie kierowcy, szukając przyczepionych do niego włosów, ale z tego także nic nie wyszło. Jedyne na wycieraczcze dało się dostrzec roztopiony śnieg i błoto, ale komisarz nie miał pewności, czy przypadkiem przed chwilą sam nie naniósł tego brudu.

Czy to możliwe, żeby w taką pogodę i w takim miejscu ktoś wysprzątał samochód? – zapytał samego siebie. Miał nadzieję, że Kowalczyk nic nie jest, że wpadła w poślizg, wylądowała w rowie, nie potrafiła się z niego wydostać, więc wyszła i pieszo udała się po pomoc.

To był jedyny scenariusz, który w tym momencie do siebie dopuszczał. Jeszcze niedawno był świadkiem o wiele zuchwalszego porwania. Ktoś wyciągnął bezbronną dziewczynę z jego własnego samochodu, gdy on siedział obok, więc porwanie kobiety, przy której nikogo nie było, będącej w szoku po wypadnięciu poza jezdnię, zdawało się być zadaniem wręcz dziecinnie prostym.

W końcu wysiadł z samochodu i z powrotem zatopił się w zaspie. Syknął, niezadowolony, gdy do butów naleciała mu nowa partia śniegu,

który zaczął się roztopiać przy kontakcie z ciałem.

Rozejrzał się. Śnieg od wczoraj sypał nieco słabiej, ale wciąż sprawiał problemy. Niemniej widoczność była nieco większa niż pierwszego czy drugiego dnia nawałnicy. Nie oznaczało to jednak, że pogoda odpuszcza, co najwyżej zbiera siły, ani tym bardziej że Foks mógł zobaczyć cokolwiek więcej poza przecinającymi przestrzeń płatkami śniegu.

Nie miał pojęcia, w którą stronę mogła pójść Kowalczyk.

Ukucnął i starał się zlokalizować chociaż naj płytsze ślady po butach, które w takich zaspach musiały zostawiać głębokie i długie odciski. Tym bardziej gdyby ktoś tu po Kowalczyk przyszedł. Teren był jednak na tyle nierówny, że śnieg nie miał gładkiej powierzchni, więc nie dało się zauważyć żadnych skaz.

Wycofał się więc z powrotem do swojego samochodu. Po drodze zrobił kilka nie do końca wyraźnych zdjęć toyocie, uważał jednak, żeby uchwycić tablice rejestracyjne i fakt, że samochód znajdował się poza jezdnią. Nie wiedział, do czego może się to przydać, ale wolał to uwiecznić z wrodzonej przezorności.

Lepiej dmuchać na zimne, pomyślał. Chociaż aktualnie, w obliczu zbrodni i warunków atmosferycznych, można byłoby dmuchać wręcz na wszystko.

Wsiadł do swojego volvo i ruszył powoli. Jednocześnie starał się nie stracić panowania nad kierownicą, nie wpaść w poślizg i możliwie jak najdokładniej rozglądać się po okolicy. Widział pojedyncze drzewa za głębokimi rowami, lecz były to jedyne obiekty, które dawało się dostrzec. GPS przestał działać, więc nie wiedział, czy w pobliżu znajdują się jakiegokolwiek budynki. Jeśli jednak ktokolwiek tu mieszkał, to od dawna nie wychodził z domu. Polne drogi, które mogły prowadzić do posiadłości, były niewidoczne, a tym samym zupełnie nieprzejezdne.

Foks zastanawiał się, jak wiele starszych osób, odciętych od świata, pozbawionych opału i pożywienia odejdzie tej zimy. Domyślał się, że z każdym kolejnym kilometrem liczba mijanych trupów wzrasta, a odnajdzie je za kilka tygodni lub miesięcy najbliższa rodzina, sąsiedzi, może listonosz albo przypadkowy patrol policji.

Przejechał tak powoli może dwa kilometry, aż w końcu z przejmującej bieli wyłonił się zarys rozległych budynków ubojni ojca Adamskiej. Chwilę wcześniej przy drodze zaczęło ciągnąć się liche ogrodzenie z siatki, które potem przerodziło się w betonowy płot. Foks domyślił się więc, że tuż za nim rozciąga się teren firmy, która od lat nie mogła znaleźć swojego nowego właściciela. Wiedzieli, że Adamska próbowała sprzedać cały ten teren, ale ostatnimi czasy pozostawała jego jedynym właścicielem.

Zastanawiali się, czy ktoś jej w tym przeszkadzał, czy może nie było chętnych. Foks domyślał się jednak, że to właśnie jakieś niespokojne dusze blokowały próby dogadania się z okolicznymi lub warszawskimi przedsiębiorcami, którzy mogliby przywrócić świetność temu miejscu.

Nigdzie nie było widać żadnego wjazdu czy bramy. Chwilę wcześniej ulica rozwidliła się. Dało się dostrzec, że pług częściej skręcał właśnie tam. Kierunek, w którym udał się Foks, okazał się znacznie bardziej wymagający. Koła ślizgały się, zderzak rozbijał coraz wyższe góry śniegu. Komisarz wiedział, że jeszcze chwila, a nie zdoła wrócić, dlatego zatrzymał samochód może sto metrów za rozwidleniem.

Dalej musiał iść pieszo.

Kowalczyk aż podskoczyła na dźwięk tajemniczego głosu, a odruch kazał jej krzyknąć, ale na szczęście udało jej się nad tym zapanować. Zrobiła tylko krok do tyłu, w razie gdyby ktoś postanowił ją zaatakować, lecz nic takiego się nie stało. Nie usłyszała żadnego świstu, nie poczuła uderzenia, nic nią nie zachwiało.

– Chcecie puścić biuro z dymem? – spytała, próbując zabrzmieć swobodnie, a nawet ironicznie, ale nie była w stanie nikogo oszukać. Tym bardziej po nerwowym chrząknięciu, którego nie mogła powstrzymać.

Spojrzała na mężczyznę, który ją „przywitał”, ale on już nie był skory do rozmowy. Wypowiedział jedyną przeznaczoną mu kwestię i zamilkł.

Kowalczyk nie rozpoznawała go, chociaż w pierwszej chwili pomyślała, że to starzec, którego obserwowała. Sądziła, że to on może przewodniczyć sekcje, chociaż zdawał się być już zmęczony życiem i zawładnięty przez wewnętrzne demony.

Mężczyzna, który się do niej odezwał, miał mniej więcej pięćdziesiąt lat. Wyglądał na spracowanego, był znacznie bardziej przygarbiony od reszty, dodatkowo na jego dłoniach i twarzy dostrzegła plamy od bielactwa.

Nikt nie odpowiedział na jej pytanie, chociaż w biurze znajdowało się kilkanaście równie ospałych osób, więc podeszła do stolika, na którym rozlokowano świeczki. Dopiero teraz dostrzegła, że z pewnością odprawiano tu jakiś rytuał, lecz ten zdążył już się skończyć. Pośrodku stołu dostrzegła kilka tłustych, krwawych plam. Doskonale zdawała sobie sprawę, co tam jeszcze niedawno mogło spoczywać. Oczyma wyobraźni widziała leżącą na stole wątrobę Adamskiej, nad którą pochyła się

przywódca tej dziwnej sekty i odczytuje z kształtu narządu i plam odpowiedzi na tylko jemu znane pytania.

Mogło to wyglądać identycznie jak w przypadku wróżenia z wnętrzości przed tysiącami lat. Kilkanaście dni temu Kowalczyk odważyła się w końcu udać do Wydziału Orientalistycznego Uniwersytetu Warszawskiego, gdzie pracował orientalista doktor Marcin Marmurowicz. Jakiś czas wcześniej zgodził się z nią porozmawiać, lecz albo on nie miał czasu, albo ona była zabiegana. W końcu jednak znalazła się w jego gabinecie, który absolutnie nie wyglądał tak, jak go sobie wyobrażała. Marmurowicz już lepiej spełnił jej wyobrażenia. Oczywiście nosił okulary, miał posiwiałą brodę i wyłysiały czubek głowy, ale miejsce, w którym pracował, prezentowało się wręcz nijako.

Gabinet miał raczej niewielkie rozmiary, zmieściło się w nim biurko, przed którym stały dwa krzesła dla studentów, półka wypełniona książkami o szarych i brązowych grzbietach, przy oknie stała wybujała monstera, a na ścianach wisiały dwa tematyczne obrazy i stara, w wielu miejscach podarta i poplamiona mapa Azji Mniejszej. Dwa wiszące po obu stronach biurka obrazy przedstawiały kamienne rzeźby. Kowalczyk domyślała się, że są to jakieś istotne znaleziska, lecz nie miała o nich większego pojęcia.

Podobne figurki, czy raczej ich repliki, stały na półce z książkami.

Ani to ładne, ani funkcjonalne, pomyślała, patrząc na szare, niekształtne twory, niby przypominające ludzi, ale bardziej stworzone przez dziecko niż artystę. Do tego były małe i chybotałe, nawet nie dałoby się nimi podeprzeć książek.

Marmurowicz już wcześniej dostał od niej dokumenty, w których zawarła część znalezionych informacji. Nie było tam ani nazwisk, ani raportów z miejsc zbrodni. Na ich bazie stworzyła okrojona notkę dotyczącą samego postępowania sprawcy.

– Celnie pani zauważyła podobieństwo – powiedział, gdy tylko przeszli do rzeczy. Wyjął wydrukowany wcześniej plik, w którym zawarty był opis uszkodzeń wątroby jednej ze śmiertelnych ofiar. – Niemniej jeśli sądzi pani, że dam radę odczytać to, co odczytał jakiś zwyrodnialec, to niestety będę musiał panią rozczarować.

– Nie w tym rzecz – odpowiedziała. – Domyślam się, że on nie ma takiej wiedzy jak pan i może nawet nie wie, że jego wróżenie wywodzi się od Hetytów. Niemniej musi mieć jakiś system działania, szablon, może znaleziony kiedyś starożytny opis wątroby, który posłużył mu za wzór. Nie znam pisma klinowego, nie mam makiety wątroby z zaznaczonymi istotnymi elementami, na które warto zwrócić uwagę i na które być może zwracał uwagę... ten ktoś – powiedziała po chwili zastanowienia, żeby nie wdawać się w szczegóły swojego śledztwa.

– Myśli pani, że ktoś odtwarza rytuały sprzed kilku tysięcy lat? – zdziwił się, chociaż właśnie od tego rozpoczęła się ich rozmowa.

– Tak. Świadomie lub nie. Tego na razie nie rozstrzygnę, więc wolę zakładać, że nie wymyśla własnych zasad wróżenia, ale korzysta z tych już znanych.

– Więc czego właściwie pani ode mnie oczekuje?

Marmurowicz miał dziwnie niemiły, zmęczony i pretensjonalny ton, jakby Kowalczyk mu się narzucała, a przecież chętnie zgodził się spotkać. Zdawał się albo nie chcieć o tym wszystkim z nią rozmawiać, albo nudziła go jego własna praca badawcza, a co za tym idzie – mówienie o jej wynikach.

– Chciałabym się dowiedzieć, jak i co Hetyci mogliby wywróżyć z tej konkretnej ludzkiej wątroby. – Wskazała na wydrukowane zdjęcie narządu.

Doktor westchnął głośno i wstał.

– U nich przede wszystkim chodziło o poznanie woli bogów. Oczywiście w odniesieniu do losów człowieka czy całego społeczeństwa. Zastanawiali się, dlaczego bóg coś sprawił albo co ma zamiar sprawić.

Podszedł do półki z książkami i zaczął jakiejś szukać, co nie było łatwe, bowiem większość woluminów nie miała żadnych oznaczeń na domowej roboty obwolutach.

– Wróżyć mógł każdy? – spytała w oczekiwaniu na znalezienie konkretnej książki.

– Wróżyli przede wszystkim członkowie personelu świątynnego, którzy mieli konkretną wiedzę na temat znaków dawanych przez boga. Wróżenie

z wnętrzości było skomplikowane, o wiele łatwiej było objaśniać inne znaki, takie jak na przykład ukazanie się jakiegoś ptaka, zaćmienie księżyca bądź słońca, burze, sny. To były znaki, które niejako bogowie sami zsyłali, natomiast wróżenie z wnętrzości było już w pewnym sensie ich wymuszaniem. Pojawienie się błyskawicy każdy mógł zinterpretować, ale żeby patrzeć na znaki pozostawione na wątrobie, należało mieć wiedzę, która była przeznaczona wyłącznie dla elity intelektualnej ich czasów.

Doktor wyjął w końcu jedną z książek i po kilkunastu sekundach znalazł zdjęcia modelu wątroby barana, który był według jego słów najczęstszym zwierzęciem ofiarnym.

– Wróżbici badali wątrobę bardzo dokładnie, po obu stronach. Wypukłej i wklęsłej. – Wskazał na jedno ze zdjęć. – Szukano znaków dobrych oraz złych. Dodatkowo każda ze stron wątroby dzieliła się na dwie części, prawą, czyli przyjazną, i lewą, czyli nieprzyjazną. Albo odnajdowano pomyślną wróżbę, albo negatywną.

– Czego właściwie szukano na wątrobie? Jakie to były znaki?

– Tego niestety nie wiemy dokładnie. Odnaleziono wiele modeli, na których zapisano treść wróżb. Notatki sporządzano niekiedy podczas samego wróżenia, dlatego są chaotyczne, często w ogóle nieczytelne. Tak czy inaczej, szukano deformacji albo w kształcie narządu doszukiwano się przepowiedni.

– Chyba wciąż nie rozumiem, na jakiej podstawie właściwie opierały się te wróżby – przyznała. Coraz bardziej się denerwowała, nie mogąc sobie wyobrazić, jak ten proces mógł przebiegać.

– Wróżby były oparte na wcześniej przygotowanych schematach. Udało się odczytać zdanie dotyczące woreczka żółciowego. – Szybko odnalazł konkretny fragment w książce Macieja Popko. – „Jeśli głowa woreczka żółciowego wygląda jak most z mięsa i wydziela mieszaninę swych wód, człowiek zachoruje na początku roku, a potem wyzdrowieje albo też ów człowiek wydestanie się z niebezpiecznego miejsca”.

– Czyli ktoś najpierw ustalił, co może oznaczać dana deformacja, dopisał do niej jakąś wymyśloną wróżbę i na tym opierano kolejne odczyty?

– Owszem, to była ta bardziej skomplikowana metoda, dlatego chętniej sięgano po wróżby albo pozytywne dla zadającego pytanie, albo negatywne. Chociaż to uznawano za bardzo wadliwą metodę. Istniał jeszcze inny sposób, u Etrusków. Oni z kolei stworzyli model wątroby, na którym wyróżniono szesnaście rejonów nieba i czterdzieści pól odpowiadających wpływom czterdziestu bogów. Wątrobę zwierzęcia porównywano z modelem i w ten sposób ustalano przepowiednie. Tutaj też wyróżniono części przychylnie i nieprzychylnie. Szukano nieregularności i stwierdzano, w jakiej strefie się znajduje i jakiemu bogu odpowiada. Takie wróżenie było jednak ściśle związane z religią.

– Istnieje gdzieś spis wróżb z tej wcześniejszej metody?

– Niestety nie. Co prawda można znaleźć zapisy niektórych rytuałów, ale różnią się one w zależności od tego, kto wróżył. Faktem jest, że tak zwana główka wątroby miała duże znaczenie. Jej brak był omenem śmierci, podwójny kształt był znakiem niezgody, a oderwana lub pęknięta oznaczała jakąś rewolucję. Obserwowano także bardzo uważnie szczeliny i kolor wątroby.

– Nikt nie próbował odtworzyć treści wróżb?

– Oczywiście, próbowano, ale niewiele z tego wynikało. Tym bardziej że o stworzenie takiego spisu mógłby się pokusić jedynie naprawdę doświadczony i uważny badacz języków akadyjskiego i hetyckiego, doskonale znający metody wróżenia. Zdaje mi się jednak, że w Polsce nie ma takiej osoby.

– A pan?

– Nie odważyłbym się, bo próba zrekonstruowania metod haruspików byłaby wróżeniem samym w sobie. Dlatego jeśli ktoś aktualnie chciałby to w jakiś sposób zrekonstruować, musiałby albo samemu stworzyć własny system, albo pokusić się o zadawanie ważnych dla siebie pytań i szukanie nań odpowiedzi, przychylnych lub nie, po obu stronach wątroby.

Kowalczyk sięgnęła po zdjęcie wątroby. Zaznaczyła na obu jej stronach dwa pola wróżebne, podpisała, które jest pozytywne, a które negatywne.

– Nawet jeżeli ktoś skorzystał z tej metody, nie wiemy, na jakie pytanie szukał odpowiedzi – zauważył Marmurowicz.

- Czyli odpowiedź mogę znaleźć wyłącznie u źródła? - spytała, rozczarowana.

- Tak sędzę.

Teraz stała przed swego rodzaju ołtarzem, na którym jeszcze niedawno ktoś położył ludzką wątrobę i oglądał ją, szukając skaz i deformacji. Ci, którzy otaczali Kowalczyk, skupili się wtedy zapewne wokół kapłana, który miał odpowiedzieć za pomocą ludzkiego narządu na pytanie, które wszyscy razem zadali.

Kowalczyk sama już nie wiedziała, czy czuła wobec nich wszystkich obrzydzenie, czy raczej fascynację.

- Co powiedziała? - spytała nagle, wskazując na brudny blat. - Jaką odpowiedź odczytaliście z wątroby Adamskiej?

Mężczyzna, który wcześniej się do niej odezwał, teraz jedynie się zaśmiał.

Foks czuł, jak buty zaczynają mu przemiękać.

– Gdzie ty, do cholery, poszłaś? – spytał, lecz na tyle cicho, że jego głos nie mógłby przebić się przez sypiącą z nieba, śnieżnobiałą ścianę. Poza tym nie chciał krzyczeć, wołał nie zwracać na siebie uwagi postronnych obserwatorów, którzy być może tylko czekali, aż kolejna osoba, która będzie weszyc w okolicy, wpadnie w ich sidła.

Jak na starą posiadłość przystało, w jednym miejscu betonowy mur posiadał duży wyłom, przez który można było bez problemu przejść. Zdawało się, że za ogrodzeniem śniegu jest jeszcze więcej, ale teraz już Foks nie mógł się wycofać. Brnął więc przed siebie, aż w kocu dotarł do głównego budynku zakładu przetwórstwa mięsnego. Próbował go obejść, szukając wejścia, ale po przejściu może dwustu metrów stwierdził, że budynek zdaje się nie mieć końca. Za każdym zakrętem, gdy już myślał, że może natknie się na drzwi, znajdował po prostu kolejną pustą ścianę z zamurowanymi oknami. Domyślał się, że drzwi zostały podobnie ukryte, a śnieg oblepiający wszystko tylko w tym pomógł.

Wokół głównego budynku znajdowały się przynajmniej cztery mniejsze. Jeden był zakładowym sklepem, którego okna zabito deskami. Była też budka ochroniarza przy bramie. Gdy ją w końcu znalazł, mógł domyślić się, gdzie mniej więcej znajdowało się wejście do budynku. Jednocześnie w końcu zauważył dom rodzinny Adamskiej, oddalony od ubojni o może sto metrów. Dojście zagradzał budynek jakiegoś magazynu bądź garażu i stalowa brama. Zardzewiała, jak zauważył, gdy odgarnął z niej nieco śniegu, ale wciąż stabilna. Nie było szans na jej przeskoczenie, a nigdzie też nie mógł znaleźć dziury w ogrodzeniu. Widział jednak, że wejście do domu zostało zabite deskami, podobnie jak wszystkie okna.

Foks nie rozumiał, dlaczego porzucono tak rozległy teren. Można było mieć w nosie zakład, ale najbardziej szkoda samej działki i piętrowego domu, w który ojciec Adamskiej wpompował naprawdę sporo pieniędzy. Komisarz wiedział jednak, że to właśnie tam zginął. Powiesił się w salonie. Ciało odkryła córka, która zajmowała jedno z piętér.

Matka Adamskiej także nie żyła. Zginęła w wypadku samochodowym, gdy dziewczyna miała dziesięć lat. Wychowywała się bez kobiety u boku, a ojciec bez problemu wciągnął ją do swojej firmy. Miała ją przejąć po jego śmierci, ale coś sprawiło, że ta nastąpiła nagle, a Adamska nie potrafiła jej zaakceptować i kontynuować dzieła ojca.

Foks wiedział, że sprzedała, co tylko się dało. Wyczyściła ubojnię i dom do cna, a potem wyniosła się do Warszawy, gdzie, już razem z partnerem, założyła własną firmę.

Teraz sama zginęła, a jej mąż został dotkliwie pobity i jeszcze nie było wiadomo, czy z tego wyjdzie. Czy zasłużył sobie na taki los? Wiele osób na pewno odpowiedziałoby twierdząco. Radecki dotarł już do kilku przekrętów, których się dopuszczali. Oczywiście oficjalnie wszystko było zgodne z prawem, ale moralnie pozostawiało wiele do życzenia. Trudno bowiem nazwać przyzwoitym czysty wyzysk, zatrudnianie ludzi za głodowe pensje, bez umowy gwarantującej stabilną pracę. Firma REM była typowym przykładem współczesnego niewolnictwa. W białych rękawiczkach zwalniali chronionych pracowników, takich jak młode matki, kobiety w ciąży, pracowników w podeszłym wieku. Kto nie nadawał się już do ciężkiej pracy, chwilowo lub długotrwanie, był zwalniany, a wielu pracowników nie dostawało pensji. Takie osoby często trafiały do oddzielnej spółki, którą sprzedawano lub zamykano. Stworzyli sympatyczny wizerunek firmy w mediach społecznościowych, w kampaniach reklamowych, a każdy głos krytyki od razu tłumili. Ściągali ludzi z marginesu społecznego, z których wyciskali jak najwięcej, a potem się ich pozbywali, wiedząc, że nie będzie ich stać na wytoczenie przeciw firmie procesu.

Nie było dowodów, ale Radecki domyślał się, że podobne metody Adamska poznała w firmie ojca. Potem wciągnęła w nie męża. Czy dlatego on jedynie został pobity, a ona zamordowana? Bo Olejnik jeszcze miał szansę się zmienić, a Adamska była zepsuta do szpiku kości? Liczył się dla

niej wyłącznie zysk. Tego nie wiedzieli, ale Foks sądził, że właśnie tym kluczem kierowała się szajka, którą tropili.

- Tutaj musiało się wszystko zacząć - powiedział do siebie, omijając mały budynek stojący pośrodku placu. Dopiero gdy go minął, zastanowił się, w jakim celu ktoś miałby stawiać w tym miejscu podobną bryłę, skoro swego czasu plac przed głównym wejściem musiał być zastawiony samochodami dostawczymi.

Wrócił się i odrzucił nieco śniegu z jednej ze ścian. Aż pokręcił głową z niedowierzania, gdy zobaczył, co wyłoniło się spod mrożącej palce bieli.

– Po co właściwie ta szopka? – spytała, gdy chodziła wokół stołu, podczas gdy wszyscy inni, niczym zamrożeni, stali w tych samych miejscach w bezruchu i milczeniu. – Wiem przecież, że dopiero co nie było tu tego stołu, policja sprawdzała biuro. Po co stwarzacie wrażenie, że coś tu się właśnie stało, chociaż wcale tak nie było?

Mężczyzna pokręcił głową, jakby był zdegustowany jej słowami.

– Naprawdę nie rozumiesz? – spytał z drwiną w głosie.

Dopiero wtedy do niej dotarło. Nie chodziło o Adamską, tylko o nią, prokurator Elizę Kowalczyk, która miała wiele na sumieniu. Doskonale zdawała sobie z tego sprawę. Jak się okazało – oni także.

Tylko skąd wiedzieli, że tu dziś przyjdę? – spytała samą siebie, bo bała się wypowiedzieć to zdanie na głos. *Wcale nie planowałam tu przychodzić, po prostu nie mogłam znaleźć sobie miejsca i...*

Nie musiała dokańczać tej myśli. Wyobraźnia od razu podsunęła jej obraz człowieka, który ją obserwuje. Stoi w oknie z lornetką wycelowaną w jej mieszkanie. Gdy tylko Kowalczyk założyła płaszcz, dał cynk innemu, który palił papierosa niedaleko furtki prowadzącej na teren strzeżonego osiedla. Gdy wyjechała z garażu, on wsiadł do samochodu, śledził ją, pozostając w bezpiecznej odległości. Zorientował się, gdzie zmierza, powiadomił więc swojego przełożonego, który po chwili już tu na nią czekał wraz z całą obstawą.

Wiedziała, że sytuacja mogła wyglądać zupełnie inaczej, niemniej w jakiś sposób musieli obserwować jej mieszkanie. Co zdążyli już zobaczyć? A co, jeśli byli tam i przejrzeni wszystkie jej dokumenty i notatki? Zdawali sobie sprawę, że miała na nich oko. Ale okazało się, że oni wciąż byli o krok przed nią.

Foks... – pomyślała. Jego także musieli u niej widzieć.

Sięgnęła do kieszeni spodni i już prawie wyciągnęła komórkę, żeby ostrzec komisarza, gdy poczuła silny ucisk na przegubie dłoni. Mężczyzna, który nagle do niej dopadł, pokręcił przecząco głową, tym samym dając znać, żeby nawet nie próbowała tego zrobić.

Kilka innych osób zbliżyło się, a on zabrał jej telefon. Nie protestowała. Chociaż jednemu albo może i dwóm osobom dałaby radę, to jednak trudno byłoby przeciwstawić się zgrai otępiałych zombie, które kupą rzuciłyby się na nią, gdyby tylko rozkazał im to ich przywódca.

– Jeśli cokolwiek mi zrobisz... – zająknęła się, bo nie wiedziała, jak mu zagrozić i zabrznieć choć trochę poważnie. – Mój samochód stoi niedaleko, po logowaniu telefonu będzie można sprawdzić, że weszłam do budynku. Nie ukryjecie... – Chciała powiedzieć: „tego, że tu byłam, jeśli mnie zabijecie”, ale nie chciało jej to przejść przez gardło.

– Bez wątpienia – odparł spokojnie mężczyzna, kładąc telefon z dala od niej. – Ty tu jesteś. Ale nas tutaj nie ma.

– Co ty pierdolisz?

– Nie zdążyłaś zauważyć, że jesteśmy niewidzialni?

Otworzyła usta, żeby odpowiedzieć jakąś ciętą ripostą, ale żadna nie przysłała jej teraz na myśl. Jedyna osoba, która wpadła, to sprawca pobicia, ale niczego nie mogli mu udowodnić. Kowalczyk domyślała się, że przez tę historię od razu został odsunięty i nie włączy się już w żadną istotną akcję. Poza nim nie mieli nikogo.

Są jak szczury, pomyślała. Wiemy, że istnieją, ale nie sposób ich zliczyć, wytepić ani zlokalizować ich gniazdo. Co więcej, o roznoszonych przez nich chorobach wie tylko garstka osób, reszta wierzy w przypadek.

– Czego w takim razie ode mnie chcecie? Z każdym, kogo macie zamiar zabić, przeprowadzacie podobne przesłuchanie?

– Nie mamy zamiaru cię przesłuchiwać. Co najwyżej zamienić kilka zdań. Ale najpierw chciałbym, żebyś coś zobaczyła.

Wyjął z kieszeni złożony na dwie części plik kartek. Dość gruby, Kowalczyk na oko oceniła, że podaje jej teraz około piętnastu zadrukowanych stron.

– Co to jest?

– Proszę spokojnie sobie przejrzeć. I oczywiście skonfrontować to z wiedzą, którą zdobyłaś w ostatnim czasie.

Próbowała opanować drżenie rąk, ale w tej sytuacji było to wyjątkowo trudne. Dało się dostrzec, jak kartki falują coraz mocniej z każdym przeczytanym przez Kowalczyk zdaniem.

Nie mogła uwierzyć w to, co widzi.

Foks uderzył kilka razy w metalową powierzchnię, dzięki czemu śnieg zsunął się z niej, odkrywając boczną ściankę samochodu chłodni. Szybkim krokiem przeszedł na tył i odsłonił miejsce, z którego odczytał markę pojazdu, model i numery rejestracyjne.

– Mam cię – powiedział, chociaż nie miał pewności, co właściwie oznacza fakt, że przed starą ubojnią stoi pojazd należący do Drelicha. Od samego początku wiedział, że zniknięcie mężczyzny jest jakoś powiązane z ich sprawą, ale sama obecność samochodu niewiele tłumaczyła. Mimo to ucieszył się, że w końcu miał namacalny dowód na poparcie swoich teorii.

Wyjął telefon, żeby zadzwonić do Radeckiego. Chciał od razu powiedzieć o swoim znalezisku, ale okazało się, że komórka nie chce się włączyć.

– Kurwa – syknął przez zaciśnięte zęby.

Albo bateria się rozładowała, albo do kieszeni naleciało mu śniegu, który roztopił się z powodu bliskości ciała i zalał telefon. Musiał więc albo wrócić do samochodu, albo znaleźć gdzieś działające gniazdko i ładowarkę.

– Na pana miejscu bym się tu nie kręciła – usłyszał nagle zachrypnięty kobiecy głos.

Przeszył go zimny dreszcz, chociaż te wywoływane przez wpadające za kołnierz płatki śniegu były o wiele gorsze. Obrócił się i zobaczył stojącą w zaspie starszą kobietę. Miała jakieś pięćdziesiąt lat, opatuliła się puchową kurtką i dwoma grubymi szalikami. Spod kurtki wylaniały się narciarskie spodnie, a z rękawów wystawały wełniane rękawiczki. W dłoniach ścisnęła wysłużoną już dwulufową broń myśliwską, której

kolba była mocno wytarta, lecz metalowe części lśniły od częstego polerowania.

– Widziała tu pani kogoś ostatnio? – spytał, sięgając do kieszeni.

– Co kombinujesz? – warknęła o wiele mniej miłym głosem, chociaż już wcześniej nie brzmiała jak kochana babcia. Wycelowała w niego. Zapewne dostrzegała wypukłość na wysokości paska, więc domyślała się, że ma przy sobie broń.

– Jestem policjantem, chciałem wyjąć legitymację, żeby się pani nie niepokoiła moją obecnością tutaj. Mogę?

Skinęła głową. Foks powoli, zmarzniętymi palcami rozpiął kurtkę. Wyjątkowo na tę akcję płaszcz zostawił w domu, wolał narzucić coś cieplejszego, tym bardziej że pod spodem miał gruby sweter i koszulę, a połączenie takich ubrań z dopasowanym płaszczem mocno ograniczało ruchy, szczególnie w samochodzie.

Wyciągnął portfel z legitymacją i szybko zapiął się z powrotem. Wyciągnął ją w stronę kobiety, robiąc kilka kroków do przodu.

W końcu opuściła broń.

– Czego tu właściwie szuka policja? – zainteresowała się.

– Szukam pewnej kobiety – odparł zgodnie z prawdą, chociaż nie to było celem jego podróży. Niemniej wiedział, że musi jak najszybciej odnaleźć Kowalczyk. Bał się, że mogło spotkać ją coś złego. Chociaż zwykle to ona sprawiała problemy, to w podobnych okolicznościach mogła nie być już tak harda jak zwykle.

– Kogoś tutejszego?

– Nie, przyjezdna. Długie czarne włosy, szczupła. Nie wiem, w co była ubrana, ale na pewno od razu sprawiłaby negatywne wrażenie. Jeździ miejskim samochodem. – Wiedział, że nie ma sensu wspominać o marce ani nawet o modelu. – Widziałem go w zaspie przy szosie. Musiała wyjść i może szuka pomocy.

– Niestety – odparła tylko, ale nie wyglądała na specjalnie zainteresowaną jego pytaniem, jakby z góry wiedziała, co odpowiedzieć.

– Pilnuje pani terenu? – spytał, gdy przez chwilę tylko mierzyli się spojrzeniami. Kobieta cały czas nie wiedziała, czy powinna mu ufać

i odpowiadać na jego pytania.

– Mieszkam w okolicy – odpowiedziała wymijająco.

Obserwowała, jak Foks z powrotem podchodzi do samochodu. Najpierw udroził sobie dojsście do drzwi, ale okazały się zamknięte. Szarpał za klamkę, bo nie miał pewności, czy to zamek trzymał, czy zamrożona woda w mechanizmie, ale ostatecznie musiał dać za wygraną. Nie był też w stanie zobaczyć, co znajduje się w środku, bo szyby zaszyły szronem. Chuchał przez chwilę w jeden punkt, ale oddech nie mógł przeciwstawić się kilkunastu stopniom na minusie.

– Tego się domyśliłem – odezwał się po chwili. – Nie rozumiem jednak, czemu chodzi pani z bronią w rękę i mierzy do tych, którzy przejdą przez mur ubojni – doprecyzował.

– Czego pan szuka? – zainteresowała się kobieta, podchodząc. Foks minął ją jednak i tym razem zaczął dobijać się do tylnego wejścia. Z nim poszło łatwiej, wystarczyło szarpnąć za dwie wajchy. Samochód był starego typu, zamknięcie nie stanowiło większego problemu.

– Nie odpowiedziała pani na moje pytanie.

– Pozwolenie na broń mam, jeśli o to panu chodzi.

– Ale raczej zwierzyny pani w taką pogodę nie uświadczy.

– Tego nigdy nie wiadomo.

Spojrzał na nią, stając u progu chłodni.

– Czyli szuka pani jakiegoś zająca, żeby zrobić sobie kolację, bo zasypało drogę do sklepu? – zakpił, a ona przytaknęła. Już chciał powiedzieć coś jeszcze, ale wyglądało na to, że mówi prawdę.

Nie wszedł do środka. Gdy tylko dostrzegł zalaną krwią podłogę, już wiedział, co się tam wydarzyło.

W samochodzie sprawca musiał wypatroszyć ich pierwszą ofiarę. Tutaj też zapewne przetrzymywał Adamską. Mazurkiewicz mówił, że jej ciało dwukrotnie było wystawione na działanie niskich temperatur. Foks domyślał się, że wrzucił ją tutaj nagą i czekał, aż będzie na granicy wychłodzenia. Umierała, zapewne widząc pozostałości po pierwszym morderstwie. Albo nawet będąc jego świadkiem.

Foks dostrzegł zamontowaną pod sufitem poprzeczną belkę, na której musiała wisieć pierwsza ofiara, być może także Adamska.

Wyszedł i zamknął samochód, zanim kobieta podeszła i zobaczyła, co znajduje się w środku. Nie chciał też, żeby śnieg naruszył miejsce zbrodni.

– Widziała tu pani kogoś? – spytał ponownie. – Dziś albo kilka dni temu?

– Ani żywej duszy – odparła. – Dlatego tak się zdziwiłam, gdy pana zobaczyłam.

– A samochód?

– Chodzi panu o ten? – Skinął głową. – Nie miałam pojęcia, że coś takiego w ogóle tu stoi.

– Często pojawia się pani w tej okolicy?

– Raczej nie. Główna ulica przebiega nieco dalej. – Wskazała na kierunek, gdzie Foks minął rozwidlenie. – Tamta droga prowadzi do mojego domu, więc nie muszę tędy ani przejeżdżać, ani przechodzić.

– A jednak dziś się tu pani pojawiła.

– Teraz ścieżki i drogi nie mają żadnego znaczenia. A droga jest nieprzejezdna. Wiem, że rozwidlenie źle nie wygląda – dodała, gdy zobaczyła skrzywioną minę komisarza. Domyślała się, że dopiero co tam był – ale Dębiec, który jeździ pługiem, mieszka jeszcze dalej i nie zajeżdża na moją wieś. Tam jest polna droga, ledwo da się ją pokonać latem, a co dopiero w taką pogodę. Przez dwa pierwsze dni śnieżycy jakoś jeszcze jeździłam rowerem, bo ludzie sami łopatami machali. Nawet ja próbowałam, dopóki starczało sił.

Foks westchnął przeciągle.

– Mógłbym do pani na chwilę zawitać? – spytał, przerywając jej opowieść.

– Oczywiście. Niech pan idzie za mną.

Przeszli przez główną bramę, którą uchylił wiatr. Foks ostatni raz obejrzał się na pojazd. Domyślał się, że został tu porzucony już po wszystkim, może dwa dni temu.

Sprawca musi być gdzieś niedaleko, pomyślał.

Możliwe, że miał dostęp do któregoś z pomieszczeń ubojni, ale teraz nie było szans tam trafić. Foks oczywiście nie wziął łopaty, ale i tak łopata by nie pomogła. Trzeba było ściągnąć techników, pług i jakąś ekipę do odśnieżenia całego terenu.

Do tego jednak potrzebował osuszyć i naładować telefon.

– Polowała tu pani już kiedyś? – zainteresował się.

– Teren firmy jest rozległy, już nie raz widziałam, jak jakieś zwierzę przeskoczyło przez któryś z wyłomów i potem błąkało się bez celu. Łatwy cel – wyjaśniła. – Jedzenie skończyło mi się wczoraj. Ogołociłam zamrażalkę i spiżarnię. To ostateczność. – Podniosła broń, dając znać, o co jej chodzi.

– Nie ma w okolicy nikogo, kto przywiózłby wam jedzenie albo chociaż odśnieżył podjazd?

– Od naszej wsi do najbliższej jest pięć kilometrów. Pług czasem jeździ po głównej drodze, ale do nas nie wjeżdża, bo utknie. A gdybyśmy mieli poprosić Dębca, żeby jednak do nas zajechał, to ktoś musiałby na niego czatować i mu o tym powiedzieć albo iść pięć kilometrów przez zasypane pola, więc w obu przypadkach odmrożenia murowane. A w naszej wsi same staruszki takie jak ja, więc co my możemy począć?

– Pani jakoś daje radę.

– Jako jedyna mam broń i umiem strzelać, chociaż i tak nic nie wskórałam. A przyszłam tu też dlatego, że miałam nadzieję kogoś spotkać. Ulicy stąd nie widać, ale chciałam chociaż pięć minut postać przy szosie i liczyć na łut szczęścia. Ktoś może by podrzucił do miasteczka.

– Postaram się jakoś pomóc – obiecał. – Stanałem kilkaset metrów dalej, ale bez łopaty niczego teraz nie zdziałam.

– Też mi się tak widzi.

– Poza tym najpierw muszę zadzwonić, potem postaram się pomóc. Ma pani telefon?

Kobieta pokiwała głową, ale zdawało się, że go nie słucha. Sądził, że zacznie naciskać, żeby od razu spróbowali ruszyć i skierować się do najbliższej miejscowości.

Nie zrobiła tego i to powinno go od razu zaalarmować.

Kowalczyk wpatrywała się w otrzymane dokumenty i nie mogła uwierzyć w to, co czyta. Chociaż nie rozumiała wszystkiego, to jednak miała świadomość, że ktoś musiał jej patrzeć na ręce od bardzo dawna. Inaczej to, co jej wręczono, albo w ogóle by nie powstało, albo miałyby chociaż mniejszą objętość.

– Co to ma być? – warknęła złowrogo. – Kim wy, do cholery, jesteście? – spytała, jakby nie miała świadomości, jak daleko sięgały ich złowieszcze macki.

Miała ochotę podsunąć kartki pod płomień świec, ale domyślała się, że to niczego by nie zmieniło. Nadal by wszystko o niej wiedzieli. O każdym przekręcie, każdej załatwionej na lewo sprawie. Nie było tego wiele, ale nie na tym skupił się twórca dokumentacji. Wypisał ludzi, którzy zostali przez jej błędy, popełnione mniej lub bardziej świadomie, pokrzywdzeni. Ludzi, których w zasadzie nikt nie dostrzegał, istniejących gdzieś w tle, na marginesie jej pracy. Nie wykorzystywała ich wprost, co jednak nie zmieniało faktu, że wiele razy była winna zwolnienia kogoś bądź pociągnięcia niesłusznie do odpowiedzialności.

– Jesteście jakimiś obrońcami uciśnionych? – zadrwiła.

– Naprawdę muszę ci cokolwiek więcej mówić?

Nie musiał, ale była ciekawa jego wersji. Niemniej teraz wszystko zdawało się układać w spójną całość. Chociaż nie znała przewinień wszystkich ofiar, to jednak dało się zauważyć pewną zależność. Każdy miał pod sobą, teraz lub w przeszłości, jakąś grupę osób. Pracowników, którzy mu podlegali.

Poza jej siostrą.

– Nie rozumiem tylko jednego. Co Kinga wam zrobiła?

– Nie mnie to osądzać.

– Kurwa mać! – zakląła, zniecierpliwiona. – W takim razie komu, skoro to wy wymierzacie jakąś pojebaną i wybiórczą sprawiedliwość?

Wiedziała, że Kinga mogła mieć wiele na sumieniu, płynęła w niej ta sama krew, co w Elizie, ale jak mogła zająć komuś za skórę? Najgłupsza rzecz, jaką zrobiła, to prowadzenie się ze swoim przełożonym, który zrobił jej bachora.

Przełożonym, który niedawno sam zginął.

– Chodziło o dziecko? – spytała, a po minie faceta wiedziała już, że trafiła.

– Ludzie popełniają błędy, a ktoś czasem musi im pomóc się z nich wyplątać.

– Ja pierdołę, pobiliście ciężarną, żeby pozbyć się dziecka jakiegoś zjeba?

– Dobrze wiesz, że nie tylko dziecko było problemem.

Kowalczyk pamiętała zeznania koleżanek siostry. Podobno po tym, jak dowiedziała się o ciąży, zrobiła się bardzo oschła. Podzieliła skórę na niedźwiedziu i pokazała swoje prawdziwe oblicze. Sprzymierzyła się z wrogiem. Kowalczyk wiedziała, że dyrektor placówki był chamem i gburem. Domyślała się, że zrobił już kiedyś bachora, a niejedną kobietę, która nie dawała się zerznąć podczas przerwy, wyrzucił.

Najgorsze było jednak to, że Kinga sama doprowadziła do tej ciąży. Chciała go złapać na dziecko. To trochę tak, jakby złodziej okradał złodzieja.

Kowalczyk rozejrzała się. Była bardzo ciekawa, czy wśród kobiet, które ją właśnie otaczały, była jedna z pracownic tamtej placówki.

– Któraś z was z nim pracowała? Z dyrektorem banku – doprecyzowała, patrząc im w oczy. – Sprzątałaś tam? – spytała, podchodząc do jednej z kobiet. – Pracowałaś w obsłudze klienta? – rzuciła do innej. – No! Odpowiedz! – warknęła, ale wszystkie stały nieruchomo.

– Mówiłem ci już, że my jesteśmy niewidzialni.

– Sprawdzę was! Sprawdzę i połączę ze wszystkimi zbrodniami!

– Wciąż nie rozumiesz.

Rozumiała, ale nie mogła tego zaakceptować. Pamiętała doskonale faceta, którego zatrzymali za domniemane pobicie męża Adamskiej. Nie miał z nim nic wspólnego. Nie pracował ani w tym biurze, ani w pobliżu. Nie miał z nim ani z jego rodziną żadnej styczności.

Ale na pewno miał przełożonego, który jego samego uciskał. Dlatego należał to tego chorego klubu. On załatwił sprawę kogoś z firmy REM, żeby potem ktoś inny zajął się jego szefem, od którego nie mógł się uwolnić lub na którym chciał się zemścić za lata poniżania. Zrobią to teraz, za rok, może za dziesięć lat, gdy będzie już pewność, że nikt nie połączy obu tych spraw. A nawet jeśli, to policja i prokuratura niczego nikomu nie udowodnią.

– Gdzieś na pewno popełniście błąd, a ja go znajdę. Jak nie teraz, to za dwadzieścia lat – zagroziła nieco bardziej stanowczym tonem.

– Widzieliśmy twoje notatki. Tak naprawdę gównu wiecie z tym twoim psem. – Mężczyzna uśmiechnął się chytrze, jakby doskonale zdawał sobie sprawę, co działo się w jej mieszkaniu, gdy Foks u niej zawitał.

Dawno już nie zrobiło jej się głupio, ale teraz czuła, jak na jej policzki wpływa wstyd. Na szczęście trwało to tylko przez kilka sekund, ale wiedziała, że nigdy więcej nie może do czegoś takiego dopuścić.

Nie miała jednak pewności, czy będzie jej dane dotrzeć chociaż do rana.

Długo nie mogli dotrzeć do rzędu kilku budynków, stojących na tle małego zagajnika, ale w końcu im się udało. Po drodze wypytał kobietę o wszystko, o co tylko mógł. Dowiedział się, że nazywa się Małgorzata Gorczyca, i poznał jej historię, ale w żadnym momencie nie wydała mu się ona ciekawa.

– Wszystko tam pozamykane – wyjaśniała, gdy spytał, jak dostać się do środka ubojni. – Właściciele postarali się, żeby nikt tam nie koczował. Zamurowali wejścia i okna.

– Ale w domu już tylko zabili deskami.

– Bo może myśleli, że ktoś tam w końcu zamieszka. Szkoda było psuć dom, a reszta budynków pewnie i tak zostanie wyburzona, gdy ktoś to przejmie.

– Nikt się tym terenem nie interesuje?

– Ano nikt – przyznała. – Chyba, bo ja tam w papiery nikomu nie zaglądam. Wiem tyle, co widzę.

– To już i tak wiele. Niemniej dziwne, że wszystko tak tu niszczeje. Tereny ładne, firma miała sporo ziemi. Domyślałam się, że oddaliby wszystko za bezcen, byleby mieć to z głowy.

– Nikt nie lubi miejsc z legendami – wyjaśniła. – Tym bardziej takimi.

– Co ma pani na myśli?

Weszli w końcu do jej domu. Była to zwykła ceglana chata z poddaszem. Dwie bardzo podobne minęli po drodze, reszty nie dało się na razie dostrzec. Foks ciekaw był, jacy ludzie tam mieszkają, ale po wyglądzie zewnętrznym posiadłości można było uwierzyć Gorczycy, że byli jej pokroju albo i starsi, mniej sprawni.

– Niech pan może zdejmie buty i skarpety. Zaraz ogień podsyce, to raz-dwa wyschną.

Kobieta miała w domu piec kaflowy, w którym tlił się ogień, dzięki czemu ciepło jeszcze nie uciekło. Przyjemnie było wejść do takiego wnętrza.

Poszedł za jej radą. Zdjął buty i postawił blisko pieca. Kurtkę i szalik zawiesił na haczyku tuż obok pęków suszonych ziół. Miał mokre włosy i przemoczone spodnie, ale z tym nie mógł w tym momencie niczego zrobić.

Kobieta tymczasem dorzuciła do pieca drewna i postawiła czajnik na coraz większym ogniu.

– Jakie legendy krążą o tym miejscu? – spytał, gdy usiadła przy piecu i zaczęła rozmasowywać obolałe stopy. Foks natomiast szukał wzrokiem gniazdką, ale żadnego nie mógł dostrzec. Raz po raz przecierał komórkę o koszulkę, ale wciąż nie chciała się włączyć. – Ma pani telefon?

Wskazała skinieniem głowy na stacjonarny aparat.

– Nie działa od wczoraj. Prądu też prawie nie ma, podobnie jak wody. – Foks miał ochotę zakląć, ale się powstrzymał. – A legendy różne krążą, odkąd tylko postawiono ubojnię. Różne się tu rzeczy działy, ludzie czasem ginęli, a potem mówiono, że ich na mięso przerabiają. – Kobieta zaśmiała się, tym samym dając znać, że absolutnie w to nie wierzy. – Faktem jednak jest, że wokół terenu czasem ktoś się zawieruszył. Duża to ziemia, wokół lasy, rzeka niedaleko, to i zginąć nietrudno, a ludzie lubią plotki.

– Dużo tak osób zginęło? Czy raczej zaginęło.

– Ja wiem... Może trzy od początku istnienia ubojni? Tak mi się zdaje, ale ręki sobie uciąć nie dam.

– Bardzo ciekawe.

– Tak czy inaczej, Adamski nie miał tu najlepszej opinii, ludzie nie lubią tego miejsca. Przez lata zatrudniał setki osób, z czego większość często i szybko zwalniał.

– Z jakiego powodu?

– Facet był naprawdę dziwny, nieobliczalny, często porywczy i brutalny. Tak ludzie przynajmniej gadali.

– Co jeszcze o nim mówili?

– Że nie raz kogoś uderzył, kobiety lubił spoliczkować czy po tyłku dać. Co jakiś czas brał sobie jakąś, ale dużo nie chciało mu ulec. Wtedy z dnia na dzień traciły pracę. Kilku facetów po mordzie od niego dostało. Facet był dość postawny, ważył ze sto dwadzieścia kilo. Może i nie umiał się bić, ale pewnie nie musiał. Był ważny, znał się z wójtem, nawet z księdzem bimber pił. Takie tu były przed laty porządki. Adamski dawał w łapę, komu trzeba, i wszystko było załatwione. Ale i tak się doigrał.

– A nie powiesił się dlatego, że mu żona w wypadku zginęła? – zdziwił się.

– Gdzie tam. Ona o wiele wcześniej zginęła, a on się, panie, nie powiesił, tylko mu łeb odrabali.

– Co? – To go zaskoczyło.

– Policja mówiła, że się powiesił, racja. Że miał za długi sznur, a że cielska dużo, to kręgosłup nie wytrzymał, gdy kopnął stołek. Ale nie policja go pierwsza znalazła, tylko córka, a potem jakiś pracownik przybiegł, gdy krzyczała. Krew była podobno wszędzie, rozbryzgi jak po rąbaniu tępą siekierą.

Foks musiał przyznać, że taki finał historii do Adamskiego zdecydowanie bardziej pasował. To wyjaśniało także, dlaczego jego córka nie chciała tam mieszkać. Zapewne cały czas widziała krew, czuła jej smród, a dom miał już być na zawsze przesiąknięty wonią śmierci.

– Ludzie potem gadali, że jego ciało do ubojni zaciągnęli i się nim odpowiednio zajęli. Może dlatego nikt tam potem nie chciał wchodzić, a wszystkie wejścia zamurowano.

– A co na to policja?

– Tego już nie wiem, ale faktem jest, że Adamskiego od razu spalili, nikt go do trumny wkładać nie chciał, więc coś mogło być na rzeczy.

– Wystarczającym powodem była dekapitacja.

– Co takiego?

– Jak mu głowę urwało, to lepiej było spalić, niż go w trumnie pokazywać.

– Też racja.

Woda w końcu się zagotowała, bo ogień urósł i mocno zaczął smagać językami dno czajnika. Aż przyjemnie się patrzyło. Kobieta naszykowała w międzyczasie dwa kubki i wrzuciła do środka po saszetce herbaty. Foks ucieszył się, widząc ją, bo obawiał się, że kobieta nasypie jakichś ziół z haczyka. Taki napar niechętnie by wypił, ale potrzebował rozgrzać czymś organizm od środka, więc tak czy inaczej, pewnie wlałby w siebie kilka łyków. Żałował, że kobieta nie postawiła przed nim butelki czegoś mocniejszego, a samemu głupio mu było pytać.

Mogłem wziąć ze sobą całą butelkę, pomyślał. Wtedy pewnie i gołymi rękoma mógłbym drogę odśnieżać.

– Zna pani może niejakiego Marcina Drelicha? – strzelił, nie sądząc, żeby Gorczyca mogła cokolwiek o nim wiedzieć.

– A co mam nie znać? – odparła, a zaraz potem zamarła, jakby zdała sobie sprawę, że powiedziała coś, czego nie powinna zdradzać.

– Szef chce się z tobą rozmówić – rzucił. – Masz do wyboru dwa miejsca spotkania. To biuro. – Wykonał kolisty, wręcz teatralny ruch ręką, jakby Kowalczyk nie miała pojęcia, gdzie się aktualnie znajduje. – Będzie musiał się tu wtedy pofatygować. Wraz z nożem, ostatecznym argumentem. Możesz też udać się do niego. Pełna skruchy i gotowa do współpracy. Tylko od ciebie zależy, co wybierzesz. Nie zabierzemy cię do niego siłą, wybierzesz się tam dobrowolnie. Teraz. Lecz wystarczy jeden fałszywy ruch, a wszyscy będą o nim wiedzieć. A wtedy decyzję podejmiemy za ciebie.

– A jaka jest trzecia opcja? – zakpiła, choć musiała przyznać, że słowa mężczyzny zabrzmiały naprawdę groźnie.

Z trudem przełknęła ślinę.

– Pozbawiłaś się jej, przychodząc tutaj. Czy raczej przemierzając całą drogę, która cię w to miejsce sprowadziła.

– Sami sobie jesteście winni. Popelniliście błąd.

– Winni? – Teraz to on się zaśmiał. – Przecież to ty znajdujesz się na przegranej pozycji. Ty jesteś jedna, a nas są dziesiątki. To prosty rachunek.

Domyślała się, że większość osób, które zebrały się dziś w biurze, to pokrzywdzeni pracownicy Adamskiej. Była córką swego ojca. On musiał nastawić dziesiątki osób przeciwko sobie, a potem ona przejęła pałeczkę.

– Czego ten wasz szef ode mnie właściwie chce?

– Sprawdzić twoją przydatność.

– A może przy okazji przyzna się do trzech ostatnich zbrodni?

Mężczyzna dziwnie przekrzywił głowę.

– Czyli naprawdę nie zrozumiałaś, kim jesteśmy – powiedział w końcu.

Nie musiał mówić wprost. Zrozumiała, że zbrodnie, nad którymi pracował Foks, nie zostały dokonane przez nich. Żyli w cieniu, nie wychylali się. Tymczasem ich morderca był kimś, kto potrzebował uwagi.

Otoczający ją ludzie wymierzali sprawiedliwość, sprząтали świat, niby natchnieni palcem bożym prorocy, i tak rzeczywiście wyglądały ich czyny, które udokumentowała Kowalczyk. Działali skrycie. Dopuszczali się rzeczy, których nie można było w żaden sposób połączyć. Dzieliło ich wszystko, łączyła skrytość. Zostawiali ludzi na śmierć pod śniegiem. W wodzie. Pomagali skoczyć z wysokich pięter. Ale nie wszystkich uśmiercali. Część dostawała naukę i szansę na poprawę. Tak jak jej siostra. Tak jak pobity na ulicy mężczyzna. Jego życie zostawili w rękach losu.

Czym zawiniła jej siostra? Pychą i zaprzędaniem duszy diabłu w postaci jej szefa. On zawinił dziesiątki razy, więc zginął. Po cichu, we własnym mieszkaniu.

Niemniej fakt, że obie sprawy się przeplatały, mógł oznaczać, że ktoś chciał ich zdemaskować i sprowadzić im na głowę kłopoty.

– Ktoś się pod was podszywa? Macie naśladowcę? – spytała, zaskoczona nagłym odkryciem, a on pokiwał poważnie głową.

– Więc już wiesz, czego może chcieć od ciebie szef.

– Gdzie go znajdę?

– Na to pytanie też znasz odpowiedź.

Skinęła głową. Obróciła się na pięcie i nie niepokojona przez nikogo wyszła z budynku.

CZEŚĆ PIĄTA

Kobieta patrzyła i jakby zastanawiała się, czy powinna zmienić zdanie, czy wymyślić jakieś kłamstwo.

– Znała go pani osobiście? – spytał Foks, żeby nie dawać jej czasu do namysłu. Miał powody, żeby być nieufnym, ale z drugiej strony nie chciał jej spłoszyć. Nie wiedział tylko, czy może w takim razie wierzyć w jakiekolwiek jej słowo.

– A pan skąd go zna? – odbiła piłeczkę.

– Jakiś czas temu miałem okazję być u niego w pracy. Zgłoszono jego zaginięcie.

– Skąd pomyśł, że mam coś z nim wspólnego? Ja tam nie znam ludzi z Warszawy.

– On najwyraźniej jest wyjątkiem, skoro pani wie, że jest z Warszawy.

Wygrał tę słowną potyczkę. Była tego świadoma.

– Widziała go pani ostatnio?

Kobieta westchnęła przeciągle. Poddała się.

– Bywa czasem w domu ojca. Pilnuje terenu, może coś tam nawet remontuje, ale ja z nim kontaktu nie mam. Czasem tylko widzę, jak przejeżdża.

– A wcześniej go pani znała?

– Jego ojca tylko. To jeden z tych, co... – Urwała, ale po chwili skinęła głową w kierunku, z którego tutaj przyszli.

– Zaginął niedaleko ubojni?

– Mówią, że któregoś razu wyszedł i potem syn znalazł tylko czapkę. Podarta, jakby go coś dzikiego napadło. Dlatego ludzie nie lubią tam

chodząc. Podobno z lasu czasem coś wychodzi i ludzi atakuje. Jedni mówią, że to bies czy inny demon, bo przed laty, jeszcze na długo przed ubojnią, na podmokłych terenach i w lasach ludzie znajdowali podarte części ubrań, a trupów ani śladu.

- Obaj często się tu pojawiali?

- Stary tu mieszkał, dom po rodzicach miał, to się go trzymał. Obaj chcieli zrobić karierę w mieście, ale niczego się dorobić nie mogli. Syn rzadziej wracał, wolał w stolicy siedzieć, ale co jakiś czas palił w piecu, żeby mury nie podupadły. Czasem zdaje mi się, że ojca szuka, bo bywają weekendy, że po lasach chodzi bez celu.

- Teraz też tu przyjechał? Widziała go pani?

- Jak ten śnieg sypie, to człowiek nie widzi nawet, jak sąsiad chodzi wokół chałupy - odparła wymijająco, ale Foks wiedział, że teraz rzeczywiście trudno byłoby go gdzieś spotkać. Gdyby jednak miał w zwyczaju tak znikać bez uprzedzenia, to ochroniarz z jego parkingu nie byłby zdziwiony i wspomniałby o tym chociaż raz. - Ale po nocach znów coś wyje. Może się o tym dowiedział i teraz szuka tego, co mu ojca zabrał.

Foks omal się nie roześmiał. W taką pogodę, gdy wiał wiatr, a śnieg łamał gałęzie, nietrudno było o dziwne dźwięki.

- Pani w to wierzy?

- Ja jestem stara, panie drogi, niejedno już w życiu widziałam i słyszałam. Może i coś chodzi po tych lasach, może i nie. Ja mam swojego obrońcę - wskazała na strzelbę - więc nie obchodzi mnie, w co ludzie wierzą.

- Czyli według pani ojciec Drelicha i inni po prostu zniknęli?

- Gdyby przekopać cały ten teren albo przesiać muł z rzeki, to pewnie trupy by się znalazły. Jak wszędzie zresztą. Nie jesteśmy wyjątkowi, co rusz ktoś gdzieś ginie. Pan to wie najlepiej, że ludzie potrafią się rozplątać, co?

Foks skinął głową. Każdego roku tysiące osób ginęło i wiele z nich miało nigdy nie zostać odnalezionych. Musiał się z nią zgodzić, że to nic dziwnego, a wsie miały to do siebie, że podobne przypadki tłumaczono niestworzonymi historiami. Już nie raz słyszał o demonach, duchach,

biesach czy innych stworach z wierzeń słowiańskich. Słyszał o wilkołakach, które rozrywają ludzkie szczątki, o krwiożerczych dzikich psach, które były już o wiele bardziej autentyczne, ale wciąż absurdalne. Ostatecznie nie raz gdzieś miały straszyć duchy czy nawet pomioty piekielne.

Tym razem jednak coś mogło być na rzeczy, skoro seria morderstw w stolicy doprowadziła go właśnie tutaj. Największymi i najgroźniejszymi bestiami zawsze są ludzie i Foks był przekonany, że to z nimi mają teraz do czynienia. Z niczym innym.

– Daleko stąd jest do domu Drelicha?

– Może kilometr przez pola i zagajnik. Gdyby chciał jechać drogą, to trzeba by jakieś trzy pokonać. Albo może i ze cztery, ale teraz to i tak bez znaczenia.

– Racja – odpowiedział, wyglądając przez okno. Kobieta wskazała mu przybliżony kierunek. Jego uwagę przykuło jednak coś innego – leżąca przy drzwiach miska, w której zbierał się śnieg.

Kobieta nie wierzyła w duchy, ale przed wejściem zostawiała pożywienie dla tych stworzeń, które mogły jej zagrażać. O nic innego chodzić nie mogło. Miska była za duża jak dla kota, a psa Foks nigdzie nie widział. Starła się myśleć zdroworozsądkowo, ale coś najwyraźniej mocno ją ostatnio przestraszyło.

– Skąd dochodzą te wszystkie niepokojące dźwięki? – spytał. – To wycie.

– Niesie się po okolicy, trudno powiedzieć, skąd dokładnie. Inaczej już dawno ludzie by tam poszli i wytępilili to, co nas niepokoi.

– Z tego lasu? – Wskazał na najbliższy zagajnik.

– Raczej nie, wtedy dźwięk byłby o wiele czystszy. Ten skowyt niesie się z daleka i trudno poznać, co to właściwie jest.

– Może od strony ubojni?

– Nie wiem i nie interesuje mnie to, szczerze panu powiem. Ja tam się zasadzać na żadną bestię nie mam zamiaru. Przyszła, to i pójdzie, jak zawsze.

– Czyli jednak pani w to wierzy – zauważył, a kobieta tylko wzruszyła ramionami. – Wyjada z miski? – spytał po chwili milczenia.

- Codziennie - odparła cicho, bezsilnie.

Kowalczyk wsiadła do samochodu. Oparła głowę na kierownicy. Nie wiedziała, czy ma większą ochotę się rozpłakać, czy krzyczeć, ile sił w płucach. Chwilę zastanawiała się, czy może w ogóle sobie pozwolić na którąś opcję, ale miała świadomość, że cały czas ktoś ją obserwuje. Chociaż szyby samochodu zasypał śnieg, a od wewnątrz powoli zachodziły parą, to jednak nie mogła okazać słabości. Nie teraz.

Musiała przejąć pałeczkę. Uważała za niedopuszczalne, żeby ktoś miał nad nią władzę, podczas gdy ona całe życie walczyła o swoją.

Może powinnam zadzwonić do Foksa? – pomyślała i dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że jej komórka została w biurze.

– Kurwa mać! – zakląła, zanim zdążyła się przed tym powstrzymać.

Teraz już nie mogła tam wrócić. Tym bardziej że telefon zapewne już gdzieś przepadł. Specjalnie go zabrał. Nie mogła zostawić po sobie śladu tam, gdzie jechała.

Aż podskoczyła, gdy ktoś zapukał w szybę od strony kierowcy.

– Co jest? – zdziwiła się, gdy zobaczyła Kubę.

– Mogę? – spytał, wskazując na siedzenie pasażera.

Kobieta skinęła niepewnie głową. Chłopak otrzepał się ze śniegu i wsiadł do środka. Trząśnięcie z zimna, a jego różowe policzki wskazywały, że dłuższy już czas na nią czekał.

– Skąd wiedziałeś, że tu będę? – spytała. Nie miał zamiaru odpowiadać, ale też nie musiał. Mimo to zadała drugie retoryczne pytanie: – Jesteś jednym z nich, prawda?

Chłopak tylko uśmiechnął się przepaszająco.

– Jedziemy? – spytał po chwili milczenia.

Kowalczyk nie miała pojęcia, co ją może spotkać poza miastem, a nie była przygotowana na żadną ewentualność. Nawet ubrania miała w tym momencie nieodpowiednie.

- Nie mogę wpaść do mieszkania się przebrać, prawda?
- Myślę, że to nie jest potrzebne.
- Nie o to pytałam.
- Znasz kierunek? - zmienił temat.

Nie pamiętała dokładnego adresu, ale kojarzyła, gdzie na mapie znajdowała się zamknięta ubojnia. Wpisała przybliżony adres, a chłopak pokiwał głową.

- Mogę zapalić? - spytał, wyjmując paczkę papierosów.

Nie odpowiedziała, a on i tak podпалиł. Potem podał jej jednego. To była chwilowa przyjemność, na którą ten jeden raz w samochodzie mogła sobie pozwolić.

Bała się słów „ostatni raz”.

– Naprawdę chce pan tam iść? W taką pogodę? – zdziwiła się, gdy Foks sprawdził, czy buty już mu przeschły. Ogień robił, co mógł, ale materiał był za mocno przesiąknięty, żeby wyschnąć w ciągu kilkunastu minut, które spędził w domu Gorczyca.

– Nie mam wyjścia.

– Nie lepiej poczekać, aż śnieżycy trochę odpuści? Jak znam życie, to już jutro przestanie sypać, a za kilka dni temperatura w końcu skoczy w okolice zera.

Synoptycy od samego początku zastanawiali się, kiedy pogoda przestanie tak doskwierać. Już pierwszego dnia wszyscy mieli dość śniegu, chociaż większość społeczeństwa dopiero co narzekała, że Święta nie były białe. No to teraz pogoda postanowiła im to z nawiązką zrekompensować.

Zapowiadano jednak, że podobny stan rzeczy nie utrzyma się dłużej niż dwa tygodnie. To była bardzo bezpieczna data, ale mówiono też, że w ciągu dwóch, trzech dni wszystko powinno wrócić do normy. Nie miało to jednak w tym momencie znaczenia, żadne nawet najlepsze prognozy Foksa nie przekonywały. Należało działać szybko.

– Niestety nie mogą czekać.

– Ale czego właściwie chce pan szukać?

Zadawał sobie to samo pytanie. Ludowe legendy go w tym momencie nie obchodziły, ale faktem było, że coś, czy raczej ktoś grasował po okolicy. Nie mogło być przypadkiem, że Gorczyca słyszała dziwne głosy w momencie, gdy w Warszawie Foks odnajdował kolejne ciała. A fakt, że właśnie tutaj natknął się na samochód Drelicha, w którym najprawdopodobniej przetrzymywano i zamordowano dwie osoby,

oznaczał tylko jedno. Tajemniczy skowyt wydawał nie drapieżnik, lecz człowiek. Ofiara, której zadawano niesamowicie dotkliwe cierpienie.

- Nie ma szans, żebyśmy znalazł tu gdzieś działający telefon? - spytał po raz kolejny.

- No mówiłam, że ja mam tylko stacjonarny, ale teraz linia nie działa. Śnieg coś popsuł. Może i ktoś ma komórkę, ale nawet jeśli, to zasięgu pan tu nie uświadczysz. Z nami nigdy nie ma kontaktu, tym bardziej teraz, dlatego biedujemy strasznie.

- Co z jedzeniem i wodą?

- Woda jest, wystarczy nazbierać.

- Z tego, co mi wiadomo, lepiej nie pić ani deszczu, ani nie topić śniegu. Wszystko zanieczyszczone.

- Może u was tak, ale tutaj często się to robi.

- A co z jedzeniem?

- Ja mam jeszcze trochę słoików z przetworami i może kilogram starych ziemniaków. Będę gotowała, co tylko się da, bardziej się martwię o drwa na podpałkę.

- Może uda mi się z tym później pani pomóc.

- O ile w ogóle pan wróci. Kto nie zna tych terenów, raczej nie ma szans.

- Proszę mi zaufać - odparł tylko, ale wcale nie zależało mu na zaufaniu kobiety.

Włożył buty, szyję owinął szalikiem, zarzucił kurtkę na ramiona i skierował się do wyjścia.

- Idę z panem - powiedziała nagle kobieta.

- To chyba nie jest dobry pomysł.

- Najlepiej znam te tereny, wiem, gdzie mieszka Drelich, i chciałabym zobaczyć, co grasuje po okolicy.

Nie dodała jednego, pomyślał Foks. Że boi się zostać sama w domu.

- Kiedy ostatni raz słyszała pani ten skowyt? - spytał, gdy byli już na zewnątrz.

- Dziś w nocy.

– I jest pani pewna, że dochodził zza zagajnika?

– Pewności nie mam, ale dźwięk zdawał się nieść właśnie stamtąd. Tutaj mało budynków jest, echo może się odbić co najwyżej od ściany drzew, ale to musiałyby ktoś krzyżeć mniej więcej z tego miejsca. A wtedy raczej bym o tym wiedziała.

– To fakt.

– Przez zagajnik ciągnie się podłużna polana, przecinająca go mniej więcej na pół. Tamtędy dźwięk musiał iść. – Przełknęła ciężko ślinę.

Foks widział, jak mocno ściska broń. Był pewny, że pod rękawiczkami kłykcie jej dłoni bieleją od mocnego chwytu. Sam też trzymał dłoń cały czas w gotowości w okolicach kabury. Wiedział, że prędzej czy później będzie zmuszony wyjąć swojego wysłużonego glocka. Ciekaw był bardzo, w kogo wtedy będzie celować. W człowieka czy w bestię.

Droga była tragiczna. Kowalczyk co rusz wpadała w poślizg, ale wychodziła cało z każdego niepewnego momentu.

– Nie powiesz niczego na wasz temat? – spytała. Zadała już wiele pytań, ale na żadne z nich Kuba nie chciał odpowiedzieć. – Co ci szkodzi? Tym bardziej teraz.

– Wierz mi, nie mam w zanadru żadnej ciekawej historii.

– Mógłbyś mówić normalnie. Jeśli masz udawać kolesia, który zabrał się ze mną stopem, to chociaż zmień ton.

Nic na to nie odpowiedział.

Kowalczyk westchnęła głośno. Nie miała już siły z nim dyskutować. Wstyd jej jednak było, że dała się tak łatwo podejść. Wystarczył młody i przystojny chłopak, żeby straciła czujność.

– A musisz być taki opryskliwy? Mógłbyś chociaż udawać, że przez cały ten czas nie robiłeś mnie w chuja, a po prostu dobrze się bawiłeś.

– Sorry, ale nie lubię kłamać.

– Wcześniej jakoś łatwiej ci to przychodziło.

– Bo wtedy było to częścią zadania – odparł, zanim zdążył ugryźć się w język.

– No i w końcu schodzimy na odpowiednie tematy.

– Nie będę z tobą poruszał takich tematów. A raczej żadnych – poprawił się. – Ktoś inny to zrobi, moja obecność tutaj jest wyłącznie formalnością.

– Więc równie dobrze mogę cię teraz wysadzić? – spytała, spoglądając na niego. Kuba po raz pierwszy spojrział jej w oczy, a Kowalczyk dostrzegła, że stał się kimś innym. Oczywiście nie zdążyła go poznać, ale niedawno wydawał się naprawdę miły.

– Na twoim miejscu bym tego nie próbował.

– Na swoim miejscu wiele próbowałeś. – Nie potrafiła zapanować nad tonem głosu, który zdradzał, jak bardzo jest rozgoryczona i zła.

– Cały czas próbowałaś pokazać, że jesteś twarda, a teraz nagle robisz z siebie ofiarę? – zadrwił.

Kowalczyk nacisnęła mocno na hamulec. Chciała otworzyć mu drzwi i kopniakiem wyrzucić z samochodu, lecz samochód zamiast hamować, wpadł w poślizg.

– Kurwa! – zakląła, próbując złapać przyczepność, ale nie mogła teraz nic zdziałać ani za pomocą kierownicy, ani pedału gazu czy skrzyni biegów. Wiedziała, że nie powinna dalej hamować, lecz próbować sprowadzić samochód na właściwy tor. Tyle tylko wskórała, że wpadli do rowu szybciej, niż się na to początkowo zapowiadało.

Nie sądziła, że uderzenie będzie silne, ale jej czoło szybko spotkało się z kierownicą. Po okolicy rozniosły się jednocześnie dwa dźwięki. Odgłos łamanego zderzaka i klakson, który ustąpił, dopiero gdy chłopak złapał Kowalczyk za ramiona i odciągnął ją do tyłu.

Straciła przytomność.

Foks nie wiedział, czy przyzwyczał się już do śniegu, czy ten naprawdę zelżał. Zdawał się być mniej uciążliwy, nie wciskał się w zgięcia kurtki i każdą najmniejszą szczelinę między kołnierzem a swetrem. Komisarz mógł być równie dobrze już na tyle zmarznięty, że kolejne płatki śniegu na karku były przez zmrożoną skórę niewyczuwalne, dlatego obawiał się, że do Warszawy wróci przynajmniej z zapaleniem płuc.

Postój zrobili tuż przy pierwszej linii drzew. Zmęczyli się niemiłosiernie, brnąc przez zaspę. Nawet Foks miał zadyszkę. Aż bał się pomyśleć, jak wielkim ogniem muszą płonąć teraz płuca i mięśnie kobiety.

– Słyszał pan? – spytała, nagle zamierając.

Wycelowała gdzieś przed siebie, w stronę drzew, ale niczego nie było tam widać.

Foks nasłuchiwał. W końcu pokręcił przecząco głową, bo do jego uszu nie doszedł żaden niepokojący dźwięk. Dopiero po chwili dało się słyszeć jakiś huk, lecz na pewno nie był to wspomniany wcześniej przez kobietę dziki skowyt.

– Skąd dochodzi ten dźwięk? – spytał, bo sam nie potrafił zlokalizować nawet przybliżonego kierunku, z którego napływał.

– Nie mam pojęcia.

Po okolicy rozeszły się jeszcze dwa głuche łoskoty, ale potem zapadła względna cisza. Tylko drzewa hałasowały, gdy pod naporem śniegu łamały się kolejne gałęzie lub spadały z nich białe czapy.

W końcu ruszyli dalej, ale nie przestawali nasłuchiwać. Foks miał wielką nadzieję, że w końcu kobieta zatrzyma go i powie: „To ten odgłos”,

ale minęli las i doszli na jego drugi koniec nie niepokojeni przez nic ani przez nikogo.

- To tamten dom. - Wskazała na piętrowy ceglany budynek majaczący może dwieście metrów dalej. Fakt, że mogli go teraz dostrzec, przemawiał za tym, że pogoda naprawdę powoli się poprawiała.

Dom wyglądał na zaniedbany. Dało się dostrzec niesamowicie brudne szyby, pozrywane rynny, łuszczącą się farbę na drzwiach wejściowych i ramach okien. Nigdzie nie było widać, żeby ktokolwiek pojawił się tutaj w ostatnim czasie. Żadnych śladów marszu od strony drogi, po schodach, drzwi też były zasypane, a wystarczyłoby raz nimi trzasnąć, żeby śnieg i wiatr od zera rozpoczęły kilkudniową, mozolną pracę w oklejanie drewna bielą.

- Chyba jednak dawno nie było tu Drelicha - powiedział Foks.

- Jeśli więc nie ma go ani w Warszawie, ani tutaj, to gdzie może być?

Pytanie brzmi, gdzie go w takim razie zabito? - pomyślał Foks. Wolał jednak nie wypowiadać na głos podobnych słów, dlatego w milczeniu ruszył w stronę domu.

- Niech tu pani lepiej na mnie poczeka - powiedział, ale Gorczyca nie zamierzała odpuszczać. Szła krok w krok za nim. Foks zauważył, że jej postawa i mimika w jakiś sposób się zmieniły. Kobieta stała się dziwnie spięta. Cały czas się rozglądała, jakby naprawdę wypatrywała dzikiej bestii, która w każdej chwili mogła ich zaatakować. Foks nie wiedział, czego kobieta oczekuje. Nie wierzył w żadne bestie, lecz gdy w końcu usłyszał skowyt, zamarł, a po plecach przebiegł mu przesywający na wskroś dreszcz.

- To on - powiedziała cicho kobieta, zamierając.

Foks nie musiał niczego odpowiadać. Myślał gorączkowo. Dźwięk, który właśnie usłyszał, zdecydowanie nie był normalny. Nie mógł go też wydać ani wiatr, ani śnieg. Skowyt był jednocześnie piskliwy i płaczliwy. Pełen bólu, ale też niósł zapowiedź jakiegoś niebezpieczeństwa. To jakby samica bliżej nieokreślonego gatunku, z pewnością jednak postawnego i groźnego, płakała za straconym potomstwem i właśnie zapowiadała swą zemstę.

- Czyli ten skowyt słychać od dawna? - zapytał Gorczyca.

- Od kilku tygodni – odparła drżącym głosem kobiecina.
- A wcześniej? Mówiła pani, że to wcale nic dziwnego ani nowego.
- Ludzie różne rzeczy gadają, niektórzy mówią, że co kilka lat skowyt wraca. Nigdy taki sam, ale trudno go pomylić.
- Czyli za każdym razem to inne... stworzenie?
- Jedno, ale o różnych wcieleniach – odparła. Teraz już nie ukrywała, że sama w to wszystko wierzy. Wcześniej chciała dobrze wypaść przed policjantem.

A przynajmniej tak mu się wydawało. Dopiero za chwilę miał się dowiedzieć, że intencje kobiety były zupełnie inne.

Chłopak obszedł auto. Nie dało się wyjechać z zasy. Miejski samochód nie miał z nią szans. Niemniej Kuba wiedział, że za chwilę i tak musieliby się zatrzymać i resztę drogi pokonać pieszo, przez pola.

Kowalczyk czuła, jak głowa jej pęka. Była dziwnie zamroczona i dopiero po kilkunastu krokach zorientowała się, że chłopak wyciągnął ją z samochodu i gdzieś prowadzi, na co mu bezwiednie pozwałała, zamroczona.

– Co ty odpierdalasz? – warknęła, czując przejmujące zimno.

Chłopak nie odpowiedział. Trzymał ją pod ramię i prowadził niczym kukiełkę. Rozejrzała się na tyle dobrze, na ile pozwalał jej chwyt chłopaka. Dostrzegła jeszcze samochód, ale powoli niknął za ścianą śniegu. Teraz zmierzali na południe od drogi, w stronę rzeki. Trasę przecinały tereny ubojni, ogrodzone betonowym płotem. Chłopak doskonale wiedział, gdzie znajduje się wylom, przez który mogli teraz swobodnie przejść. Powoli nastawał świt, więc trudno było go przegapić.

– Dokąd mnie prowadzisz? – spytała już nieco spokojniejszym tonem, gdy wyrównała krok i udawało jej się nie tracić co chwilę równowagi. Sądziła, że zaprowadzi ją do głównego budynku, ale zamiast tego odbili w bok, zmierzając teraz wzdłuż ogrodzenia, w stronę lasu, który wchodził na teren firmy. Kowalczyk nie rozumiała, po co ogrodzono tak duży obszar, skoro nie był on w żaden sposób wykorzystywany. Adamscy powinni sprzedać to, co niepotrzebne, i skupić się na ubojni, tymczasem zmarnowali ziemię, którą można było chociażby oddać w dzierżawę.

Gdy weszli między drzewa, wszystko się wyjaśniło. Po kilkunastu krokach spomiędzy pni wyłoniła się zrujnowana konstrukcja. Widać było, że niegdyś stała tam ceglana chata, którą zburzono, ale niedokładnie. Ktoś

albo się spieszył, albo chciał tylko na odczepnego usunąć pozostałości po dawnych mieszkańcach tego terenu, żeby nie przyćmiewały stojącego niedaleko budynku ubojni.

- Wchodź pierwsza - rozkazał jej, gdy zsunął śnieg z jakiejś kłapy w podłodze i otworzył solidny zamek.

Zawahała się, a Kuba złapał ją za ramię i zniecierpliwiony pchnął w stronę wejścia.

- Dobra, dobra, już - rzuciła, po czym po wąskich stopniach zaczęła schodzić do piwnicy. Gdy w końcu stanęła na nieregularnej betonowej powierzchni, kłapa zamknęła się za nią, mimo że Kuba nie wszedł do środka. - Jakoś mnie to nie dziwi... - mruknęła.

Usłyszała, jak przekręca klucz w zamku. Zastanowiła się, co dalej, ale nie miała wielu opcji. Kilka razy napała na kłapę, ale ta ani drgnęła. W końcu ruszyła więc przed siebie.

Po omacku sunęła wąskim korytarzem, w którym było o tyle przyjemnie, że nie wiało, a mróz nie zawładnął betonem tak mocno jak na powierzchni. Problemem była jednak całkowita ciemność i oślizła wilgoć na ścianach, których musiała się trzymać, żeby nie stracić równowagi na nierównej podłodze.

W pewnym momencie zatrzymała się, gdy w jej nozdrza zaczął wdziierać się dziwny smród. Z każdym krokiem coraz wyraźniej czuła odór gnicia.

Odór śmierci, pomyślała ze zgrozą. Ale czego innego można się spodziewać po takim miejscu?

Po kilkunastu krokach doszła w końcu do ściany piwnicy. Wtedy nad jej głową zapaliło się światło, zapewne za sprawą czujnika ruchu. Dostrzegła drabinę, tym razem prowadzącą do zwykłej dziury w podłodze, bez kłapy.

Zanim jednak przez nią przeszła, obejrzała się. Wtedy dostrzegła, że cała podłoga piwnicy pokryta jest dziwnym śluzem. Nie miała pewności, co to jest, ale nie chciała przyznawać, że widzi zaschniętą, gnijącą krew. W wielu miejscach w czarnej mazi zatopione były fragmenty czegoś, co mogło być zepsutym mięsem, ale nie chciała się teraz nad tym zastanawiać.

– To na pewno nie jest mięso. Ani ludzkie, ani zwierzęce – powiedziała, chcąc dodać sobie otuchy, ale echo jej słów, które odbiło się po piwnicy, tylko pogorszyło sytuację.

W końcu weszła po drabinie i zatopiła się w półcieniu dość dużego, przeszklonego pod sufitem pomieszczenia, przypominającego bardziej warsztat samochodowy niż część ubojni. Kowalczyk dostrzegła jakieś zakurzone metalowe półki i stoły, na nich stare wagi i pudła pełne śrubek i nakrętek, poza tym dużo puszek z farbą albo lakierem. Pod ścianami ustawiono kilka starych zamrażarek, domyślała się, że w jednej z takich umieszczono Adamską, ale na pewno nie tutaj, bo te wyglądały na dawno nieużywane. Dostrzegła też cień samochodu chłodni ze zdemontowaną kabiną, poza tym sporo najróżniejszego, mocno zakurzonego żelastwa.

Kowalczyk minęła zamurowane wejście, obok którego na podłodze spoczywała wyrwana z zawiasów brama, i poszła dalej. Wiedziała, że budynki ubojni są ze sobą połączone, więc w końcu powinna dojść do celu, jaki jej wyznaczono. Szukała jakichkolwiek dróg ucieczki, ale budynek okazał się szczelnie odcięty od świata.

Stali tak na szczycie schodów prowadzących do domu Drelicha, nasłuchiwali i rozglądali się niepewnie. Jednocześnie starali się nie wykonywać zbyt wielu ruchów, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Foks robił to odruchowo, ale nie sądził, żeby mogło ich w tym momencie cokolwiek zaatakować. Niemniej musiał być czujny, bo bez wątplenia po okolicy grasował ktoś niebezpieczny albo chociaż niepoczytalny.

– Może ja stanę na czatach – zaoferowała kobieta, cały czas skacząc wzrokiem od jednego punktu do drugiego.

– Nie woli pani wejść do środka? – spytał, gdy okazało się, że zbutwiałe drzwi na wygiętej od wiatru i mrozu ramie łatwo otworzyć. Wystarczyło nieco je podnieść za klamkę i pociągnąć.

– Myślę, że tam wcale nie jest lepiej.

Foks nic już na to nie odpowiedział. Przyjrzał się dziwnie spiętej kobiecie. Oczywiście rozumiał, że jest zdenerwowana, ale zaczęła zachowywać się dziwnie. Nie potrafił tego dokładnie wytłumaczyć, niemniej przecucie jak zwykle go nie zawodziło.

Wsunął się cicho do środka i rozejrzał pospiesznie. Na zewnątrz wciąż panowała szarówka, więc tutaj, przez zasypane okna, nie docierało zbyt wiele światła. Niemniej dało się zauważyć, że w domu panuje względny porządek. Chociaż ogołoco go z większości mebli i sprzętów, to jednak nigdzie nie było śladu po jakimkolwiek zamieszananiu, nie było plam krwi, których na początku się spodziewał, a ostatecznie nie było też widać obecności kogokolwiek. Żadnej brudnej szklanki, torby leżącej na jedynym w salonie krześle, ubrań na jego oparciu, jakiegokolwiek koca na gołym materacu w sypialni.

Obejrzał parter i wspiął się po schodach na piętro, gdzie było jeszcze bardziej pusto, jakby nikt tam nigdy nie mieszkał.

Gdy wszedł do ostatniego pokoju, wyganiając z niego dwie myszy, znalazł przejście na poddasze. Mając nadzieję, że nie spotka tam chmary szcurków, wszedł po rozklekotanej drabinie. Na strychu cuchnęło wilgocią i grzybem, ale na szczęście po gryzoniach zostały tylko odchody. Pomieszczenie było na tyle mocno wychłodzone, że nawet myszy nie chciały w nim przebywać.

Tam jednak także było pusto. Foks już chciał wrócić do kobiety, gdy rozległ się kolejny huk. Dopadł szybko do okna w szczycie budynku. Chwilę się z nim szarpał, ale w końcu udało mu się je otworzyć.

– Kurwa... – zaklął, gdy niczego nie dostrzegł. Przebiegł na drugi koniec poddasza. Tym razem próba otwarcia okna zakończyła się jego przypadkowym wybiciem, ale gdy Foks dostrzegł sięgające kilkunastu metrów płomienie, przestał się przejmować domem Drelichy.

Skupił wzrok i starał się przeniknąć przez śnieg. Ten powoli przestawał padać, dzięki czemu Foks mógł dostrzec dwa pożary, które trawiły stojące przy drodze dojazdowej samochody.

Poczuł mocne klucie w mostku.

– A to chuje – rzucił. Domyślał się, że to jego volvo właśnie płonęło, a toyota Kowalczyk już kilkanaście minut temu także przestała istnieć.

Teraz wiedział, czym był wcześniejszy huk. Ktoś oblewał samochody benzyną i podpalał, a te wybuchały, gdy płomienie docierały do baku.

Tak się w nie zapatrzył, że nie zauważył celującej w niego Małgorzaty Gorczyca. Dostrzegł błysk lufy w momencie, w którym pociągnęła za spust. Pocisk rozerwał ramę okna na ułamek sekundy po tym, jak Foks przesunął się może o centymetr w bok. Odskokzył, czując na twarzy podmuch niosący ze sobą tysiące fragmentów pokruszonego drewna i cegły.

Komisarz padł na podłogę maksymalnie daleko od okna. Chociaż domyślał się, że kobieta może zrobić coś niecodziennego, to jednak nie spodziewał się, że jej ruch będzie aż tak zaskakujący.

Doczołgał się do drabiny.

Wtedy poczuł gryzący w oczy swąd dymu.

Eliza Kowalczyk z hangaru przeszła do wyłożonego białymi, poprzeplatanymi czarną i ciemnozieloną pleśnią płytkami korytarza, w którym cuchnęło podobnie jak w piwnicy. Tutaj jednak nie było widać zaschniętej krwi, lecz prokurator domyślała się, że przez lata purpurowe krople docierały w te okolice i wgryzły się w fugi, skąd wyrastał teraz grzyb.

Korytarz rozwidlał się kilka razy. Sprawdzając każde drzwi, naciskała na wszystkie klamki, lecz ustępowały tylko te, przy których paliły się żarówki. Nie mogła pójść w niewłaściwym kierunku, ale domyślała się, że i tak nie znalazłaby wyjścia z ubojni. Musieli myśleć o wszelkiego rodzaju nieproszonych gościach. Ci, których sami „zapraszali”, mieli tu zapewne zostać na wieczność.

Po świeżym odorze krwi, który z każdą chwilą był coraz wyraźniejszy, domyślała się, że często ktoś tu bywał. Smród w piwnicy przypominał o ból głowy i mdłości, ale czuć go było starością. Kowalczyk domyślała się, że w czasie działalności ubojni ktoś właśnie tamtędy wnosił kradzione łupy. Z pewnością niejedna świńska tusza była ciągnięta po betonie przez kogoś, kto pracował u Adamskich i liczył na łatwy zarobek na czarno. Albo po prostu chciał wyżywić rodzinę, bo właściciel zalegał z pensjami.

Natomiast to, co śmierdziało z każdym krokiem coraz bardziej, nie było zaschniętą krwią wleczonego cielska świni bądź krowy.

Zatrzymała się przed wejściem do kolejnego pomieszczenia. Odwróciła się, lecz dostrzegła, że wszystkie mijane wcześniej lampy już zgasły. Ktoś ją prowadził, ktoś, kto najwyraźniej śledził każdy ruch prokurator.

– Jesteś tam? – zawołała, obracając się i szukając wzrokiem kamery albo kogoś, kto mógł podążać za nią bezszelestnie. – Gdzie, do cholery, się

ukrywasz? – rzuciła ciszej, bo echo jej słów odbijało się po korytarzu i mknęło w zimną, cuchnącą przestrzeń.

Sam ten dźwięk przyprawiał ją o dreszcze.

Wiedziała, że jej krzyk w tym momencie nie ma żadnego znaczenia, ale chciała wywołać jakąś reakcję. A przede wszystkim odwlec moment wejścia do kolejnego pomieszczenia, gdzie krew aż lśniła w ciemności.

Przełknęła ciężko ślinę i w końcu przekroczyła próg. Tym razem znalazła się w jednym z głównych pomieszczeń ubojni, gdzie zaczynała się obróbka mięsa.

Przez pomieszczenie biegły dwa rzędy suwnic nad stalowymi rynnami, które miały za zadanie zbierać krew ściekającą po dopiero co wypatroszonych tuszach zwierzęcych. Kowalczyk nigdy nie obserwowała procesu uboju zwierząt, ale domyślała się, że tuż obok pracownicy traktowali świnie bądź krowy prądem, a potem wieszali na stalowych hakach nad rynną. Potem rozcinano tusze i pozbawiano ciała wnętrzności. Chwilę później odcinano kończyny i głowy, a z poszarpanych kikutów wartkami strumieniami lała się cuchnąca posoka.

Zawieszona na hakach tusze przesuwają się właśnie tutaj, gdzie powoli spływała krew, aż w końcu cielska przewożono do kolejnego pomieszczenia, w którym obdzierano je ze skóry. Wtedy już o wiele bardziej przypominały to, co człowiek widział na półkach w sklepach, szczególnie tych rzemieślniczych. Kowalczyk wiele razy podobne tusze, całe lub podzielone na dwie, trzy części, widziała w hiszpańskich sklepach mięsnych, gdzie wisiały za gablotami, a ona, ubrana w bikini, z kapeluszem na głowie i ciemnymi okularami na nosie, próbowała nie patrzeć w ich stronę.

Wielu turystów patrzyło, bo podobny widok w Polsce nie był zbyt częsty. Zachwycali się świeżym mięsem, wiszącym na hakach przy ladzie, tuż obok rozneglizowanego tłumu, w palącym słońcu, kilkaset metrów od plaży.

W zestawieniu z podobnymi warunkami taki widok nie mógł być przerażający, co najwyżej niesmaczny. Lecz gdy Kowalczyk znalazła się w miejscu, w którym niegdyś każdego dnia oprawiano dziesiątki zwierząt, poczuła prawdziwy strach.

Tym bardziej że poskrzypujące haki nie były puste.

Szybko zszedł na pierwsze piętro, bo wiedział, że jeśli zostanie uwięziony na poddaszu, to jedyną drogę ucieczki znajdzie przez okno. A stamtąd wołał nie skakać. Poza tym strop był drewniany, więc szybko jakakolwiek droga ucieczki mogłaby zostać odcięta.

Już po kilku stopniach zobaczył czarny dym ciągnący się od strony schodów. Domyślał się, że Gorczyca albo ktoś, kto przyszedł tu za nimi, wylał w salonie i przy wejściu cały kanister benzyny, który teraz płonął, przenosząc płomienie na łatwopalne elementy domu. Wystarczyły dywany, panele oraz boazeria na korytarzu i w kuchni, żeby ogień swobodnie przeskakiwał od ściany do ściany.

Tyle dobrego, że pożar nie rozniesie się po okolicy, pomyślał Foks. Musiał uciec, inaczej martwienie się czymkolwiek poza własnym życiem nie będzie miało żadnego sensu.

Gorczyca na pewno się przemieściła, dlatego nie wiedział, gdzie teraz może być. Z pewnością nie obserwowała już tamtego okna, podobnie drzwi wejściowych, bo te płonęły. Foks czuł przeciąg, więc gdzieś musiało być wyjście, ale teraz nie miał czasu na jego szukanie. Tym bardziej że podmuchy wiatru nie szkodziły ogniowi, a jedynie go podsycaly, mimo że były niesamowicie lodowate.

Starcie dwóch żywiołów, pomyślał. *Gdybym tylko mógł obserwować tę walkę z zewnątrz, chętnie zostałbym na dłużej.* Otworzył butelkę szkockiej pod jakimś daszkiem, mocniej owinął się szalikiem i czuł, jak bijący z płonącego domostwa żar topi okoliczny śnieg i ogrzewa zmarzniętą skórę na jego policzkach.

Whisky w tym momencie brakowało mu najbardziej. W tej jednej sekundzie miał na nią większą ochotę niż na znalezienie prostej drogi

ucieczki, bo wiedział, że gdy tylko wyskoczy na zewnątrz, ktoś przyłoży mu lufę dwururki do karku. Wtedy to jedno otwarte okno niczego by nie zmieniło. Ale głęboki łyk złocistego trunku byłby niczym spełnione ostatnie życzenie skazańca.

A tak się właśnie teraz czuł. Ale wolał myśleć o sobie jako o agresywnym zwierzęciu zagonionym w ślepy zaułek. Brak wyjścia oznaczał w takim przypadku tylko jedno – jeszcze intensywniejszy atak na tego, który zagroził mu drogę.

Obserwował rozprzestrzeniające się płomienie i próbował sobie przypomnieć, co widział w pomieszczeniach, które wcześniej oglądał, a które znajdowały się najdalej od ognia. Pamiętał balkon, ale tam stałby się łatwym celem. Domyślał się, że kobieta już wycelowała lufę w tamtym kierunku i tylko czekała na ponowne naciśnięcie spustu. Już zapewne przeładowała broń po poprzednim strzale i mogła mu zagrozić dwiema kulami. Ale potem znów będzie musiała przeładować.

Pobiegł do pokoju z balkonem. Na podłodze leżał mały dywan. Szybko go zwinął, czując, jak lepi się pod palcami od brudu, i podczołgał się do okna. Gdy był już przy szybie, powoli zaczął podnosić dywan, do wysokości dorosłego człowieka, i wtedy przechylił go delikatnie.

Strzał padł niemal natychmiast. Szkło posypało się na podłogę, a Foks odruchowo przyłgnął do ściany. Dywan upadł, ale komisarz nie dostrzegł, żeby został naruszony.

Ma słaby wzrok, pomyślał. Nie tylko nie może dobrze trafić, ale nawet nie odróżnia dywanu od człowieka. Oby tylko była tam sama.

Nie mógł dłużej czekać. Szybko przeczłogał się na drugi koniec pomieszczenia, czując, jak szkło wbija mu się w kolana i łokcie. Zatrzymał się przy drzwiach balkonowych. Wyciągnął rękę wzdłuż ramy i przez chwilę mocował się z klamką. Był przekonany, że Gorczyca nie przeładowała, tylko cierpliwie czeka na kolejnych ruch, tym bardziej że musiała dostrzegać falującą firankę.

Foks przez kilka sekund nie mógł nic zdziałać, w końcu jednak klamka puściła, a drzwi delikatnie się uchyliły. Nie zdążył wystawić przynęty, kobieta musiała dostrzec jego rękę i wypaliła.

– Kurwa mać! – zaklął, czując piekący ból w nadgarstku.

Ujebała mi dłoń! – spanikował, gdy dostrzegł krew na ramieniu.

W pierwszej chwili pomyślała, że coś jej się przywidziało. Po chwili natomiast zaczęła rozumieć, że rzeźnia wcale nie przestała działać, a ktoś prowadził tu lewy biznes i ubijał zwierzęta bez żadnego zezwolenia, na zardzewiałych maszynach, pośród brudu dawno niesprzątanym pomieszczeń.

Taka myśl pojawiła się w jej głowie, gdy pośrodku sali zaczęło mrugać pojedyncze światło starej lampy.

Dopiero kilka sekund później, gdy światło się rozjarzyło, zrozumiała, że nie patrzy na tusze zwierzęce, lecz ludzkie, a metaliczny odgłos to nie dźwięk uderzającego w ściany budynku wiatru, lecz kapanie krwi do rynny.

Pisnęła cicho, dostrzegając purpurową twarz najbliższej wiszącej osoby, której poderżnięto gardło i czekano, aż żyły zostaną całkowicie opróżnione. Ciało delikatnie się kołysało. Łańcuch, na którym wisiał hak, brzęczał, przesuwając się w niestabilnej, zardzewiałej szynie, zapewne zapchanej kurzem, tłuszczem oraz krwią.

Kowalczyk próbowała odwrócić wzrok, ale lśniące ciało nagiej kobiety zdawało się ją wręcz hipnotyzować. Jej złożone przy haku nogi, związane ciasno, stały się już sine. Brzuch napuchł delikatnie. Gdyby panował upał, to już by pozieleniał, a wnętrzności próbowałyby wyleźć na zewnątrz, może przez gardło, z godziny na godzinę coraz bardziej oślizłe i zdolne wydostać się przez ściśnięty przelyk.

Piersi zbladły mocno, chociaż może było to mylne wrażenie wywołane ostrym kolorem tuż poniżej. Cięcie wyglądało na szybkie i precyzyjne. Ktoś podciął kobiecie gardło ostrym narzędziem dokładnie pośrodku szyi, głęboko, niemal przecinając ją na pół. Kobieta musiała już wtedy wisieć,

bo krew zalała głównie twarz. Rozbryzgi pojawiły się co prawda na dekolcie, kilka kropel dało się dostrzec na brzuchu i udach, ale wszystko, co mogło wypłynąć z ciała, przelało się przez rozchylone usta, nos, zalało policzki i zlepilo włosy w jeden kołtun.

Nie dało się rozpoznać rysów twarzy, ale Kowalczyk nawet nie próbowała tego robić. Przede wszystkim dlatego, że tuż za ciałem kobiety wisało kolejne. Tam został powieszony mężczyzna, dość otyły, którego brzuch w tej pozycji dosięgał niemal do brody. Wycięcie wątroby musiało być w tym przypadku nie lada wyczynem, ale udało się to oprawcy, który ostatecznie przebił się przez zwały wypływającego teraz na wierzch tłuszczu.

Za nim wisało dwóch kolejnych mężczyzn, szczupłych, można by nawet powiedzieć, że wychudłych, wręcz zagłodzonych. Ciała mieli brudne, ale nie od krwi, lecz kurzu, może jakiegoś smaru, pyłu. Jakby ktoś wzięił ich przez kilka miesięcy, zanim poderznął gardła i wypruł flaki, po których nie było nawet śladu.

Ich ciała musiały wisieć na hakach o wiele dłużej. Poderżnięte gardła sprawiły, że głowy niemal odpadły od korpusu. Trzymały się już wyłącznie na pojedynczych ścięgnach. Kowalczyk bała się, że gdy tamtędy przejdzie, to podmuch powietrza tylko dopełni dzieła.

A przejść musiała, aż do kolejnych drzwi.

Utkwiła wzrok w ciele kobiety, które przerażało ją najmniej. Było najświeższe. Mimo to dostrzegła zasuszone truchła po lewej, nad drugą rynną. Nie rozpoznawała, kto był kobietą, a kto mężczyzną, widziała tylko szerniałe, przypominające mumie owalne kształty, które ktoś powiesił tam zapewne jako trofea. Domyślała się, że ktoś mroził je długo i wyjął dopiero teraz, na pokaz, jakby chciał urządzać jej przedstawienie, prezentujące siły tego, do którego zmierzała.

Nie mogła powstrzymać odruchu wymiotnego. Już po dwóch krokach zgięła się wół i zwymiotowała na wyłożoną kiedyś białymi płytkami podłogę. Próbowala kucać, ale nie zdołała utrzymać równowagi, gdy poprawiała włosy. Jedną ręką oparła się o klejącą powierzchnię i wtedy zwymiotowała jeszcze raz.

Po kilku sekundach podniosła się, bo choć żołądek cały czas wywracał się na lewą stronę, nie miał już czego zwracać. Resztki niestrawionej chińszczyzny wypłuła za pierwszym razem. Mogła więc iść dalej, chociaż w akcie desperacji odwróciła się i chciała zawrócić, ale drzwi okazały się zamknięte.

Albo ktoś za nią szedł i przekręcił klucz, gdy wymiotowała, albo zamek był zdalnie sterowany. Teraz była w stanie uwierzyć we wszystko.

Sądziła jednak, że nic już jej nie zdziwi.

Mylła się.

Gdyby kula trafiła w nadgarstek, to byłoby duże prawdopodobieństwo, że jego dłoń odpadłaby od przedramienia niczym uschnięta gałązka. Był niemal przekonany, że tak właśnie się stało, bo ból zawładnął nerwami. Odruchowo, cofając rękę, docisnął ją do klatki piersiowej, od razu chcąc zacisnąć zdrową dłoń na przegubie i chociaż trochę zatamować krwawienie. Wiedział, że na uratowanie ręki nie byłoby już szans, karetka nie przyjechałaby na czas, a z postrzępionej skóry i kości nie byłoby czego zbierać. Albo szybko by się wykrwawił, albo spłonął, bo pożar docierał już do korytarza.

Temperatura była nie do zniesienia, podobnie jak czarny dym, z którym nie mógł sobie poradzić przeciąg, ciągnący od drzwi wejściowych do wybitych okien.

Foks docisnął rękę do mostka i poczuł kolejną falę bólu. Odetchnął z ulgą, gdy dostrzegł dłoń. Palce nie miały problemu z poruszaniem się. Poza środkowym, przy którego ścięgnię tkwił duży odłamek szkła. Syknął, wyciągając go i podnosząc się. Wiedział, że od strzału do teraz minęły trzy, może cztery sekundy.

Czas zdawał się płynąć znacznie wolniej, a należało działać.

Kobieta z pewnością opuściła teraz broń i w głębokich kieszeniach kurtki szukała nabojów. Złożyła dubeltówkę. Miał więc piętnaście, może dwadzieścia sekund, zanim będzie gotowa do kolejnego strzału.

Staął prosto i pociągnął drzwi balkonowe. Otworzył je wcześniej, bo wiedział, że teraz nie będzie miał czasu na siłowanie się ze starym plastikiem. Mógł swobodnie wypaść na betonowy balkon pozbawiony barierek. Nie spodziewał się jednak, że ma aż tak nerwowy krok i już przy

pierwszym spotkaniu stopy z betonową powierzchnią, oczywiście pokrytą solidną warstwą puchu, pośliznie się niebezpiecznie.

Stracił grunt pod nogami. Poczul, że za chwilę albo uderzy głową w ramę okna, albo runie bezwładnie za balkon. Traf chciał, że ślizg, który wykonał, był długi, a Foks pochylił się bardziej do przodu. Najpewniej to właśnie uratowało mu życie, gdy padły kolejne dwa szybkie strzały.

W ciągu sekundy znalazł się na ziemi.

Wylądował miękko, bo wiatr utworzył wokół budynku swoiste wały, jakby w oczekiwaniu na spadające ciała. Uderzył plecami w ziemię, a w locie poczul buchające płomienie.

Dostrzegł ją kątem oka. Kucała za drzewem kilka metrów dalej. Nie mierzyła w niego, szukała po kieszeniach nabożów.

– Co, skończyły się? – rzucił, wyciągając glocka i celując w jej stronę. Nie zauważyła tego, zignorowała też jego słowa. – Przestań! – warknął, chcąc, żeby na niego spojrziała, wprost w otwór lufy.

– No, dalej, pociągnij za spust – odparła szyderczo, z miłej babci zmieniając się w drapieżnika, którego od razu powinien odstrzelić.

Nie rozumiał, czemu do niego strzelała, ale domyślał się, że musiała mieć ważny powód. Chciał go poznać.

– Po co to wszystko? – spytał, a wtedy coś za nim wybuchło. Prawie się odwrócił, ale nie mógł spuścić z oczu kobiety. Dlatego zbliżył się szybciej, chcąc być jak najdalej od płonącego domu.

Kątem oka dostrzegł, że w oddali płoną jeszcze dwa inne punkty. Domyślał się, że to kolejne gospodarstwa, które ktoś oblewał benzyną.

Celując jej w głowę, podszedł i kopnął broń, którą trzymała na kolanie. Poleciała metr dalej. Obszedł kobietę i chwycił strzelbę. Wtedy mógł spojrzeć na budynek. Większość pomieszczeń płonęła, z innych wydobywały się kłęby dymu. Płomienie szalały już także w pokoju z balkonem. Foks uciekł stamtąd w ostatniej chwili.

– Macie zamiar spalić całą okolicę? – spytał, bo domyślał się, że za chwilę wszystkie okoliczne domy staną w płomieniach.

– Czystka dotyka wszystkich.

– Jaka znowu czystka?

- Ostateczna – dopowiedziała wymijająco.
- Co ty pierdolisz? – warknął, ale nie odpowiedziała.

Pozwolił jej odejść. Wstała i po prostu się oddaliła. Foks wycelował w jej plecy, ale nie miał zamiaru pociągać za spust. Obserwował jej ruchy, jednocześnie lustrując okolicę. Obawiał się, że ktoś inny może teraz celować w niego, więc trzymanie kobiety na muszce było jego kartą przetargową.

Kobieta po chwili zniknęła między drzewami. Wraz z nią nagle przestał też padać śnieg.

- *Czy to koniec?* – spytał samego siebie, ale doskonale wiedział, jaka jest odpowiedź.

W kolejnym pomieszczeniu paliło się więcej świateł, ale były dziwnie przytłumione, jakby ktoś chciał wywołać efekt rodem z horroru klasy B. Dopiero po chwili Kowalczyk dostrzegła, że klosze lamp są ciemnozielone, jakby zarośnięte glonami albo mchem, przez co światło umieszczonych w nich żarówek przybrało podobny kolor.

Dziwny rzadki mech porastał także ściany. Bez wątplenia pomieszczenie było narażone na dużą wilgotność, dlatego fugi między płytkami wręcz zakwitły.

– Podoba ci się moja kolekcja? – usłyszała nagle chrapliwy głos i aż zadrżała. Cofnęła się odruchowo, ale okazało się, że dobiega on zza niej.

Ktoś zamknął drzwi i przekręcił klucz w zamku.

– To ty? – spytała tylko, chociaż sama nie do końca wiedziała, co mogłoby to znaczyć. Dotychczas nie miała pojęcia, kogo właściwie szuka. Najpierw myślała, że jednej osoby, zwyrodnialca, który lubi się bawić ludzkim cierpieniem. Potem uwierzyła w dziwną grupę psychopatów, której działań nie rozumiała, a tymczasem trafiła na przywódcę dziwnej sekty, który kolekcjonuje ludzkie ciała.

Ale najpierw usuwa z nich organy.

Kowalczyk widziała teraz dziesiątki wątrób, serc i płuc, które spoczywały w wypełnionych formaliną słojach. Były nimi zastawione cztery szerokie szafki na jednej ze ścian.

– Nie wiem, kogo właściwie oczekiwałaś, więc trudno mi odpowiedzieć.

Mężczyzna miał zdarty głos, jakby jego tchawica została podziurawiona, a przynajmniej mocno uszkodzona. Gdy mu się przyjrzała, zrozumiała, że było to bardzo prawdopodobne.

Cały był poraniony. Miał pociętą twarz, gardło, dłonie. Głowa zdawała się dziwnie zniekształcona. Dopiero po chwili dostrzegła, że to przez brak jednego oka, dziurę w szczęce i ścięty niemal równo z policzkami nos. Nie zasłaniał pustego oczodołu. Jedynie dziurę w szczęce wypełniała niedopasowana proteza.

Brakowało mu kilku palców. Kowalczyk dostrzegła, że nie ma przynajmniej trzech, w tym kciuka u lewej dłoni. Coś wyszarpało mu go razem z dużą częścią mięsa i kości, przez co wyłom docierał aż do nadgarstka.

- Po twojej minie wnoszę, że jednak nie tego się spodziewałaś. - Spróbował się zaśmiać, lecz marnie mu to wyszło, bo jego śmiech brzmiał bardziej jak kaszel.

W odpowiedzi spojrzała w stronę poprzedniego pomieszczenia.

- Domyślam się, że tamte widoki też nie były najprzyjemniejsze, ale sądzę, że niejedno już widziałaś.

- I tak ty jesteś w tym wszystkim najgorszy - odważyła się w końcu odezwać.

- Masz na myśli to? - Wsunął delikatnie palec w oczodół, a po chwili w oderwaną część nosa. - Czy to?

- Dobrze wiesz, co mam na myśli. I gównie mnie obchodzi, jak wyglądasz.

- A szkoda, bo właśnie od mojego wyglądu wszystko się zaczęło.

Mężczyzna podszedł do jednego ze słojów. Wyglądał na najstarszy, był wyjątkowo zakurzony, a formalina mętna. Na sam jej widok człowiek podświadomie czuł okropny odór. Umieszczony wewnątrz organ był jednak niepełny, jak zauważyła Kowalczyk. Stanowił tylko połowę normalnej wielkości wątroby.

Nie rozumiała, o co chodzi i czemu mężczyzna jej to pokazuje. Gdy jednak przeniosła na niego wzrok, to zrozumiała. Rozpiął dwa ostatnie guziki koszuli i podniósł jej poły, ukazując poharatany brzuch. Pokryty był starymi bliznami, a największa ciągnęła się na wysokości wątroby. Kowalczyk doskonale знаła to miejsce, zbyt wiele razy już je widziała na dziesiątkach zdjęć.

- To dlatego zaczęłaś wycinać ludziom wątroby? Bo ktoś wyciął ją tobie?
- próbowała zrozumieć.

- Można tak to ująć, chociaż raczej nikomu nie zależało na moim organie. Ani na czymkolwiek innym. Chciał po prostu mnie zniszczyć.

Kowalczyk zbliżyła się do półki, na której umieszczono wszystkie pozyskane przez lata wątroby. Każda była opisana, ale nie danymi personalnymi, lecz po prostu numerkami. Na wszystkich słojach przyklejono dodatkowo rysunek przedstawiający dany organ z zaznaczonymi skazami na nim.

Czyli miałam rację, pomyślała Kowalczyk. Szukali na nich elementów, które...

- Co ci one powiedziały? - spytała, bo cały czas założenie dotyczące wróżenia z wnętrzości było dla niej absurdalne. - Bo domyślałam się, że wiele, skoro przez lata kontynuowałam swoje dzieło.

- Szukałem odpowiedzi, których nie da się znaleźć w inny sposób, które są zapisane w ludzkim ciele. Nie bez powodu właśnie tam szukano boskich znaków i sprawdzano, co przyniesie los. Ja nie byłem aż tak zachłanny. Chciałem się dowiedzieć tylko jednego.

- Czego?

- Czy dana osoba zasługuje na śmierć, tak samo, jak ja na nią zasługiwałem.

Foks stał tak przez chwilę i tylko patrzył, jak płomień topią zaspę. Jeszcze przed chwilą był przekonany, że śnieg szybko ugasi ogień, ale jak na zawołanie przestał sypać. W momencie najgorszym z możliwych, gdy ten jeden raz jego zwały mogłyby powstrzymać inny, o wiele groźniejszy żywioł.

Problem był o tyle istotny, że płonąła większość domów w okolicy. Teraz, gdy śnieżycy ustała, dało się dostrzec znacznie więcej ognistych punktów. Foks nie rozumiał, czemu ktoś miałby podpalać domy, tym bardziej że część mogła być jak ten należący do Drelicha – pusta, dawno temu porzucona.

– Gdzie ty, do cholery, jesteś? – rzucił, kierując pytanie zarówno do niego, jak i do Kowalczyk.

Nie wiedział, w którą stronę pójść. Już miał jednak ruszyć z powrotem do ubojni, bo sądził, że to jedyne miejsce, gdzie prokurator mogłaby najdłużej węszyć. Zrobił pierwszy krok, gdy zobaczył, jak ta wybucha. Tym razem nie było to zwykłe podpalenie, ogień nie rozprzestrzenił się powoli, żeby w końcu zająć wszystkie budynki. Pojawiła się kula ognia jak po wybuchu bomby, która rozsadziła główny budynek ubojni.

– Czy ona...? – Nie chciał kończyć tej myśli i zastanawiać się, czy Kowalczyk mogła być w środku. Jeśli jednak jakimś cudem tam trafiła, to nie miała szans na przeżycie.

Po pierwszym wybuchu nastąpiły dwa kolejne, w dwóch końcach budynku. Wystarczyła chwila, żeby zabudowania firmy Adamskich w ciągu jednej chwili w całości stanęły w płomieniach, stając się gigantycznym paleniskiem.

Foks zagryzł zęby, gdy po serii huków nastąpiło rozlegające się na całą okolicę skwierczenie, a odgłos zapadających się dachów i ścian uderzał niczym pioruny.

Nie miał gdzie się udać. Wiedział, że za wszystkim stoją ludzie, których szukała Kowalczyk. Sekta, najwyraźniej właśnie zacierająca po sobie ślady. Drelich musiał do niej należeć, skoro i jego dom płonął. Może nawet ktoś tam zginął, tam samo jak w pozostałych domach mieszkańców wsi, której nazwy Foks nawet nie pamiętał.

Płomienie skakały w kierunku nieba niemal z każdej strony. Tylko na zachodzie widać było wolną od zabudowań przestrzeń, gdzie ciągnął się las, a za nim zakręcała delikatnie rzeka, jak się domyślał Foks.

Rzucił w ogień zarekwirowaną broń, z rękawa swetra zrobił prowizoryczną opaskę uciskową na dłoń, bo z rany wciąż sączyła się krew, i ruszył w tamtym kierunku, nie widząc lepszego wyjścia. Tym bardziej że gdzieś tam powinien znaleźć szosę.

Od czarnego dymu niebo robiło się z chwili na chwilę coraz bardziej szare, jakby nadciągał zmierzch. Pożary musiały być w tym momencie widoczne nawet ze stolicy. Lada chwila ktoś w końcu powinien tu dotrzeć. Straż pożarna z pewnością już jechała za ciągnikiem z pługiem, który ledwo dawał radę wiele kilometrów stąd.

Nie było jednak słychać żadnej syreny, jedynie skwierczenie i odgłosy pękającego drewna oraz cegieł. Po okolicy rozchodził się huk strzelających z gorąca szyb i walących się dachów. Ale poza tym panowała cisza i spokój, tak jakby pożoga była tu stałym elementem krajobrazu.

Nikt nie wyszedł z ocalałych domów, nikt nie pospieszył na pomoc.

Foks minął zabudowania i z oddali patrzył, jak domy zamiast dogorywać, stają w coraz to większych płomieniach, jakby ktoś dorzucał do nich drewna, dolewał benzyny. Wiedział, że ludzie, na których polowali, kręcą się po okolicy. Gorczyca na pewno już kogoś zaalarmowała, że komisarz jej uciekł. Skoro mieli go wyeliminować, to na pewno nie zamierzali teraz odpuszczać.

W końcu przyjdą i po mnie, pomyślał. Tak samo jak po Adamską, jej męża i wszystkie te osoby, które z jakiegoś powodu zamęczyli.

Nie miał już siły. Mróz i zmęczenie dobijały jego ciało. Musiał na chwilę przystanąć. Obiecał sobie, że zrobi to za linią drzew, bo nie chciał się zatrzymywać przy trzecim płonącym samochodzie, który właśnie spotkał. Był przekonany, że to suzuki Adamskiej, którą ktoś tu zwabił podstępem.

Mijając wrak, w końcu kogoś dostrzegł. Siedział w puchowej kurtce przy beczce, w której płonął ogień. Ogrzewał dłonie i twarz. Za nim stała przyczepa kempingowa, która z pewnością nie miała żadnego ogrzewania. Foks nigdzie nie dostrzegł agregatu ani podłączenia do prądu. W takim wypadku ogrzewanie się przy ogniu na zewnątrz, szczególnie gdy przestało sypać, a wiatr zelżał, było najlepszym wyjściem.

– Wiedziałem, że kiedyś w końcu świat zacznie płonąć – powiedział mężczyzna, gdy Foks zbliżył się dość nieufnie. Komisarz od razu chwycił rękojęść glocka, tak na wszelki wypadek, ale tamten nawet tego nie zauważył. Nie odrywał wzroku od płomieni, wpatrywał się w nie z fascynacją.

– Słucham? – spytał, gdy podszedł nieco bliżej.

– Najpierw mróz i zamieć. A gdy zamieć ustąpiła, przyszedł ogień. Co będzie następane? – spytał, po czym sam sobie odpowiedział: – Śmierć.

– Wszyscy kiedyś umrzemy – odparł patetycznie Foks.

– Ale bez wątpienia niektórzy o wiele szybciej, niż powinni.

– Czyli co, najpierw zabijałeś, a potem zastanawiałeś się, czy ten ktoś powinien żyć czy umrzeć? – rzuciła z ironią w głosie, choć przyszło jej to z trudem. Cały czas nie potrafiła patrzeć na wszystko to, co ją otaczało. Przed oczyma stawały jej widziane przed chwilą trupy, a okropny odór zgnilizny wciąż wdzierał się siłą w nozdrza. Domyślała się, że mężczyzna tego nie czuje, przyzwyczyił się. Co więcej, mógł ten zapach lubić, w końcu kojarzył mu się z misją jego życia.

– Oj nie, to by było głupie – odparł poważnie. – Wiedziałem, że osoby, którym poderżnąłem gardła, zasługiwały na śmierć. Chciałem jednak sprawdzić, czy ten los został zapisany w ich ciałach.

– I jaki był rezultat tych jakże wyszukanych eksperymentów?

– Ani razu się nie pomyliłem.

Spodziewała się takiej odpowiedzi.

– Jakos nie chce mi się w to wierzyć. Pierdolisz tylko jakieś głupoty i...

Zamilkła, gdy po pomieszczeniu przetoczył się dziwny dźwięk. Zamarła, nasłuchując. W pierwszej chwili pomyślała, że coś się przewróciło, ale potem usłyszała kaszel i coraz cichsze rżenie, po którym nastąpił urwany krzyk.

Ktoś zemdlał.

– Co to było? – spytała, czując, jak po plecach, mimo panującego w pomieszczeniu zimna, spływa jej pot.

– Zaraz ci pokażę. Najpierw jednak chciałbym, żebyś przyjrzała się temu.

Podeszli do ściany, do której został przyczepiony szeroki karton składający się przynajmniej z sześciu rozłożonych i sklejonych taśmą

pudełek. Rozrysowano na nim wszystkie napaści, których dokonali. Ponumerowano je, ostatnie, na razie wolne miejsce, zostało oznaczone cyfrą 150.

– Zaczęło się od mojego wypadku – powiedział, wskazując na rysunek swojej wątroby podzielonej na dwie części. Jedna leżała w słoju, drugą zapewne nie raz skrupulatnie badano w jego wnętrzu, dlatego mężczyzna wiedział dokładnie, jak wygląda. Przy modelu zapisano imię.

– Wit – przeczytała na głos. – Tak się nazywasz?

Mężczyzna nie odpowiedział, ale Kowalczyk nie potrzebowała potwierdzenia. Kojarzyła osobę o takim imieniu, związaną niegdyś z firmą Adamskich. Zdążyli już prześwietlić ich historię, mieli listę wszystkich pracowników.

U Adamskich sporo się działo, szczególnie jeśli idzie o pojawianie się i odchodzenie pracowników. Nie było wiadomo, czemu tak się dzieje, ale każdego roku zwalniano i potem zatrudniano kilkadziesiąt osób. Sądziła, że w przypadku ubojni nie jest to nic dziwnego. Kowalczyk domyślała się, że nikt normalny nie byłby w stanie zagrażać miejsca w takiej firmie. Oczywiście sama z przyjemnością pochłaniała rocznie dziesiątki, jeśli nie setki tatarów, steków, żeberek czy nawet golonek. Za tymi ostatnimi nie przepadała, ale w męskim gronie była gotowa je zjeść, szczególnie gdy na stole stała zimna wódka. Niemniej nie potrafiłaby pracować w takim miejscu mimo zamiłowania do krwistych dań.

Wit pracował z nich wszystkich najdłużej, od samego początku działania firmy. Tym się wyróżnił, bo każdy prędzej czy później wylatywał. Najczęściej grupami po kilka osób.

Ale w końcu wyleciał i on. Potem firma działała już tylko kilka lat. Adamski się powiesił. Kowalczyk czytała raport dotyczący znalezienia ciała. Podobno facet wybrał zbyt długi sznur, a jego tusza na tyle mocno pociągnęła szyję, że kręgosłup nie wytrzymał. Znane były podobne przypadki, szczególnie wtedy, gdy ktoś chciał mieć pewność, że zginie szybko i nikt nie zdoła go uratować. Tylko widok dla osoby, najczęściej z rodziny, która znajdowała trupa, był naprawdę okropny.

Krew była wszędzie. Prokuratura nie wszczęła śledztwa, podobno facet tęsknił za zmarłą żoną, dużo pił, aż w końcu nie wytrzymał. Nie pasowało

tylko jedno. Podczas oględzin stwierdzono, że rana wyglądała na ciętą, jakby ktoś mu tę głowę odrąbał. Ale nie dało się tego stwierdzić jednoznacznie. Nie przeprowadzono sekcji, ciało spalono. Ktoś zamiótł wszystko pod dywan.

– Wy zabiliście Adamskiego?

Wit podniósł ręce.

– One to zrobiły.

Wcale jej nie zdziwiło szybkie przyznanie się do winy.

– A co, ty nie miałeś wtedy władzy nad własnymi rękoma?

– Mógłbym się rozwodzić nad tym, że kierowała nimi siła wyższa, bo w zasadzie tak się właśnie wtedy czułem, ale teraz już wiem, że to była zwykła złość. Chęć zemsty.

– Co takiego ci zrobił, że odrąbałeś mu głowę jak świniakowi?

Mężczyzna zaśmiał się.

– Widzisz, moja droga... – Zakasłał nieprzyjemnie. Kowalczyk od razu wyczuła, że coś jest z nim nie tak. – Wiem, do czego dotarłaś. Widziałem twoje notatki. Na pewno wiesz, dlaczego ta świnka zasługiwała na śmierć.

– Źle traktował pracowników, tak?

Tym razem wręcz wybuchł śmiechem, który przerodził się w napad duszności. Dopiero po kilkunastu sekundach sobie z nim poradził.

– Może ja wyglądam z nich wszystkich najgorzej, ale przez cały czas, jak tu pracowałem, widziałem kilkanaście, jeśli nie kilkadziesiąt obciętych palców. Setki ran zadanych nie tylko przez maszyny, ale i przez niego. Ostatecznie byłem świadkiem, jak na bruk wyrzucał ciężarne kobiety, jak mężczyzn bił niemal na śmierć tylko dlatego, że wstawiali się za kimś, kogo akurat, niby przypadkiem, Adamski pchnął na rynnę z krwią. Lubił to, sukinsyn, więc mu pokazałem, jakie to przyjemne uczucie. Jego zwolnić nikt nie mógł. Każdego, kto mu nie ulegał, kto nie był posłuszny, doprowadzał do takiego stanu, że sam odchodził. A potem albo biedak zapijał się na śmierć, bo nie miał za co wyżywić rodziny, albo biedaczka kończyła na drzewie, bo jej dzieci odbierali.

Kowalczyk miała ochotę rzucić w niego którymś ze słoików, gdy o tym mówił.

– Dlatego przyznałeś sobie prawo, żeby podobnie postępować z innymi kobietami i mężczyznami?

– Domyślam się, że mówisz o swojej siostrze. Ona dostała szansę na poprawę. Mam nadzieję, że z niej skorzysta.

– Nigdy już nie będzie sobą.

– I dobrze! – zakrzyknął, ucieszony. – O to właśnie nam chodzi. Żeby zmieniać świat. Jestem przekonany, że po tych wszystkich przejściach nigdy nie zgotuje czegoś podobnego ludziom w swoim otoczeniu. A miała to w zwyczaju. Tak jak dziesiątki innych. Część z nich niestety nie wykorzystwała swojej szansy. – Wskazał na słoje, przechadzając się od jednego do drugiego. Kowalczyk tymczasem stała nieruchomo pośrodku pomieszczenia. Chciała mieć pod kontrolą każdy jego ruch, a w zasięgu wzroku dwoje drzwi na dwóch końcach pomieszczenia. – A część miała ich wiele. Czasem nie miałem pewności co do niektórych. Wtedy trzeba było sprawdzić, co mówi ich wnętrze.

– Wtedy dochodziło do pobicia, tak? – spytała z zaciśniętymi zębami. Wiedziała, że nie może kontynuować wątku siostry, bo wtedy emocje wezmą nad nią górę.

– To jedyny możliwy sposób na sprawdzenie, jak wygląda wątroba danej osoby bez jej wyjmowania z ciała. Mam swoich ludzi, którzy czuwają nad archiwami, dotarcie do wyników badań danej osoby nie było żadnym problemem. A wtedy widziałem wszystko jak na tacy.

– Niby skąd mogłeś mieć pewność, kto zasługuje na śmierć? Co takiego widziałeś w tych wątrobach?

Wit podszedł do słoja z częścią swojego organu.

– Od niego się zaczęło. Gdy Adamski wrzucił mnie do maszyny oddzielającej mięso od kości, wylądowałem w szpitalu z oderwaną wątrobą. Część należało usunąć, reszta jakoś pracowała. Oczywiście nie miałem ubezpieczenia, więc musiałem sprzedać mieszkanie, żeby opłacić tę fanaberię Adamskiego. Po wszystkim lekarz, który mnie prowadził, powiedział, że powinienem nie żyć. Że to mam zapisane w swoim ciele.

– Czemu Adamski cię wrzucił do tej maszyny?

– Facet wykupił mój dom rodzinny, żeby móc ogrodzić swój teren, ale w umowie był zapis, że godzę się na sprzedaż działki wyłącznie wtedy, jeśli Adamski da mi umowę o pracę na czas nieokreślony. A ja wstawiałem się za jego ludźmi najbardziej. Często on i potem jego córka w swojej nowej firmie wydzielali odrębne spółki, do których przydzielali kobiety w ciąży, którym nie chcieli płacić, albo kogoś, kto musiał iść na dłuższy czas na chorobowe. A potem te spółki likwidowali. Z tego, co wiem, jego córka robi to cały czas, nagminnie. Krew ojca daje o sobie znać. Wiem o przynajmniej pięćdziesięciu pokrzywdzonych przez nią osobach.

– Myślę, że już nikomu nic nie zrobi.

Wit westchnął.

– Czyli już się nią zajął?

– W końcu sam zleciłeś jej zabójstwo.

Spojrzał na nią najwyraźniej zaskoczony.

– Pierwsze słyszę – odpowiedział poważnie.

Foks zacisnął mocniej dłoń na glocku, gdy mężczyzna sięgnął pod kurtkę. Obawiał się, że wyciągnie broń, ale zamiast niej dostrzegł w dłoni mężczyzny napoczętą butelkę whisky. Taniej, o ile komisarz dobrze rozpoznawał etykietę, ale lepsze to niż nic.

– Może łyeczka? – zaproponował, a zaraz potem odkręcił butelkę i sam pociągnął porządny haust. Nawet się nie skrzywił.

Foks podszedł dość nieufnie, ale musiał przyznać, że marzył o dwóch rzeczach, które nieznajomy mógł mu zaoferować. Ciepło i alkohol. Tutaj mógł czekać, aż w końcu nadjedzie straż pożarna, a wraz z nią policja.

Przejął butelkę i miał zamiar długo jej nie oddawać.

– Mieszka tu pan? – zainteresował się Foks.

– Od jakiegoś czasu. Tylko chwilowo.

– Czyli ma pan jakiś plan? Bo w taki mróz zapewne trudno tu wytrzymać.

– Plan mam, jasne – odparł, ale jakby smutno. Chociaż Foks musiał przyznać, że mężczyzna od samego początku wydawał się dziwnie przybity. Domyślał się, że jakiś niecodzienny los go tutaj sprowadził, a siedząc na mrozie, nie można promieniować szczęściem.

Pociągnął łyk whisky. Smakowała okropnie jak na ten trunek, ale przyjemnie rozgrzewała od wewnątrz, smak w tym momencie schodził na drugi plan.

Foks przybliżył się do nagrzanej beczki. Ukucnął, wziął kolejny łyk i oddał mężczyźnie butelkę. Zaraz potem dostrzegł nadpaloną, ręcznie zapisaną kartkę, leżącą tuż przy beczce. Nie chciał po nią sięgać, żeby mężczyzna nie przegonił go za czytanie prywatnych notatek. Ale

przecucie mu podpowiadało, że nie jest to ani lista zakupów, ani przypadkowe słowa zapisywane podczas nudnej rozmowy telefonicznej.

Zaprowadził ją do starej, zapleśniałej komody, z której wyjął teczkę oznaczoną danymi Adamskiej. Wyciągnął z niej USG wątroby.

– Po tym, jak własnoręcznie wymierzyłem sprawiedliwość, Adamska szybko uciekła do Warszawy ze swoim przydupasem. Wiedziała, że tutaj nie ma życia, miała świadomość tego, co robił jej ojciec. Sama się w to włączała, a na wszystko inne przymykała oko – uprzedził pytanie Kowalczyk. – Założyła firmę i zaczęła na własną rękę wykorzystywać ludzi. Zatrudniała, zwalniała, nie płaciła, wynajmowała do uwłaczających rzeczy. Dużo by wymieniać. Ściągała ludzi z marginesu, którzy za kilka złotych byli gotowi zrobić wszystko. A jeśli jednak nie, to Adamska szybko się ich pozbywała. Wiele się od ojca nauczyła.

– Więc miałeś powód, żeby wydać na nią wyrok.

Wit wyjął kilkanaście innych wydruków przedstawiających modele wątrób. Na każdej zaznaczono po kilka punktów, ale większość posiadała jeden, w każdym przypadku bardzo podobny.

– Po tym, jak usunięto mi część wątroby, bardzo dokładnie i długo studiowałem jej kształt wraz z moim lekarzem. Zdaje się, że miałaś okazję już go poznać. – Kowalczyk domyślała się, że mowa o starcu z przystanku albo mężczyźnie z biura firmy REM. – To on mnie wszystkiego nauczył, powiedział, czym tak naprawdę jest wątroba, i przekonał, że przed wiekami nie bez powodu właśnie z niej wróżono. Posiada zdolności regeneracyjne, więc jako jedyna pokazuje prawdziwy obraz człowieka. Czy się zmienia, czy wręcz przeciwnie. Czy się regeneruje, psuje, czy może stoi w miejscu. Obaj zgodnie stwierdziliśmy, że sięganie po proste, wręcz bluźniercze metody wróżbiarskie sprzed tysiącleci byłoby

nieporozumieniem. Gdybym miał sobie sam wymyślać odpowiedzi, a potem uznać je za klucz, to byłbym idiotą.

– Samo wróżenie z wątroby jest idiotyczne – wtrąciła się.

– Też tak kiedyś sądziłem, dopóki Radomir nie przedstawił mi swoich badań. Wiele lat spędził na oglądaniu wątrób. Ten organ fascynował go jako lekarza najbardziej, potrafił mu powiedzieć najwięcej. Stworzył schemat, według którego widać było, kto szybko umrze, a kto będzie żył długo, a także komu pisana jest śmierć z czyjejś ręki. Badał ciała wszystkich tych przypadków i wyniki jego pracy były jednoznaczne.

Pokazał jej schemat wątroby z zaznaczonymi zmianami występującymi na tym organie. Obok wspomniano, u ilu osób zauważono takie zmiany. Kowalczyk dostrzegła wyłącznie trzycyfrowe liczby.

– Moja wątroba powiedziała mu jasno, że umrę stosunkowo wcześniej, ale nie z czyjejś ręki. Aktualnie umieram na raka, więc mogę się tylko gorzko zaśmiać. Dotarliśmy do wyników badań Adamskiej. Po tym, jak ojciec ją pobił, miała robioną obdukcję, a jako że srała kasą, to przyjrano jej się naprawdę dokładnie. Wątroba była bardzo podobna do mojej. Powinna mieć więc szansę się zmienić. Nie mogłem się z tym kłócić, chociaż wiem, że wiele osób chętnie ukręciłoby jej łeb, tak jak ja jej ojcu.

– A co z jego wątrobą? Mówiła, że powinien umrzeć?

– Nie widziałem jej nawet. Nie chciałem. Ten jeden jedyny raz, pierwszy i ostatni, sam podjąłem ostateczną decyzję.

Kowalczyk parsknęła, rozbawiona.

– Piękna hipokryzja.

– Szczerze powiedziawszy, mam to w dupie. Facet zasłużył na śmierć. Ale teraz już wiem, że może to być nieco bardziej skomplikowane. Dlatego Adamskiej nie pozwoliłem zabić. Jej wątroba szybko się regeneruje. Miała na niej wiele zmian, ale te natychmiast ustępowały. To życie miało więc być bardzo dynamiczne.

– Ale zostało zakończone. Bez różnicy, dlaczego ją zabito i ile zła sama wyrządziła, samosąd nie jest rozwiązaniem.

– W takich przypadkach samosądy są jedynym, co ma jakikolwiek sens – poprawił ją. – Prawnie nic takiemu człowiekowi zrobić nie można. Czy

gdyby Adamska żyła, posłałabyś ją za kratki?

– Nie miałabym podstaw.

– Tam samo jak jej ojca i dyrektora banku, którego, jak się domyślam, niedawno znaleźliście, a także Łukasza Mielczarka, którego znaleźliście jako pierwszego. Czy raczej znalazł go ten pies, z którym się prowadzasz. –

Kowalczyk starała się nie pokazać po sobie, że nie znali personaliów pierwszej ofiary. Nie miała jednak pojęcia, kim jest Mielczarek. – Dyrektor musiał zginąć, to fakt, ale nie w ten sposób i nie teraz. Miał tak jak reszta spocząć gdzieś zapomniany, porzucony, niestwarzający żadnych podejrzeń, tak jak wiele innych osób. Tak jak tamci – wskazał na drzwi prowadzące do poprzedniego pomieszczenia – którzy zostaną przerobieni na mączkę kostną dla ryb. Ale nie. On i Drelich mnie nie słuchali i postanowili samodzielnie wymierzyć sprawiedliwość.

Jak na zawołanie gdzieś z głębi budynku rozległ się okrzyk bólu, który Wit skomentował jedynie skrzywionym uśmiechem.

Foks pochylał się bardziej w stronę beczki, udając, że chce się lepiej ogrzać. Poczul na czole piekące ciepło, ale nie cofnął się, powoli czytając słowa. Były dość niewyraźne, zapisane drżącą ręką, z pewnością na mrozie, gdzie długopis odmawiał posłuszeństwa.

Chwilę mu zajęło rozszyfrowanie, co jest tam napisane. Szczególnie że kartka była pobrudzona i nadpalona. Dlatego dopiero po chwili Foks dostrzegł, że całość wypełnia powtórzone dziesiątki razy słowo.

Przepraszam.

Gdzieniedzie wpleciono słowa „wybacz mi” albo „próbowałem”.

Foks spojrział na mężczyznę. Trzymał butelkę, którą zwrócił mu Foks, w przyciśniętych do tułowia ramionach. Ścisnął ją kurczowo i bujał się na trzeszczącym w śniegu pniaku. Foks nie miał pewności, czy płacze, ale wydobywający się z jego ust szloch na to właśnie wskazywał.

Komisarz znalazł już ten dźwięk.

– Po co właściwie mi to wszystko mówisz?

Kowalczyk była coraz bardziej zirytowana. Cieszyła się, że poznała wersję Wita, ale jeszcze bardziej od otrzymania tych wszystkich informacji pragnęła w końcu się stąd wydostać.

– Nie chcę być łączony z tym, co zrobił ten idiota. Chciał się pod nas podpiąć. Był jednym z nas, próbował się za nami ukryć, ale nie mogło mu to ujsć na sucho. Nawet biorąc pod uwagę jego przejścia.

– Nadal nie odpowiedziałeś na moje pytanie – odparła, domyślając się, jaki jest powód całej tej rozmowy i ich spotkania.

– Wiem, jaką jesteś osobą. Obserwuję cię od dawna. Wiem też, że mamy ze sobą wiele wspólnego. Światopoglądowo, oczywiście. Ja umieram, Elizo. – Po raz pierwszy zwrócił się do niej po imieniu, co aż wywołało ciarki na jej ciele. – Działasz w imię prawa. Ale możesz działać także w imię natury, w którą nie ingerował jeszcze człowiek. To – wskazał na tablicę ze schematami – jest najwyższe prawo. Nie wymyślone przez człowieka zasady, nie wysrane z palca boskie prawa, o których mówią ludzie, nazywając nas palcem bożym. – Splunął na podłogę, a Kowalczyk dostrzegła krew w jego ślinie. – Gdyby on istniał, nie pozwalałby na to, co się wokół nas dzieje. Dlatego sami musimy wymierzać sprawiedliwość. Jedyną słuszną.

– Naprawdę sądzisz, że jakiś przypadkowy szaleniiec zdoła mnie przekonać do swoich chorych racji?

Byli tu tylko oni. Oczywiście gdzieś za ścianą umierała kolejna osoba, ale jej się Kowalczyk bać nie musiała. Nie sądziła także, żeby Wit mógł jej w tym momencie jakkolwiek zagrozić. Dlatego poczuła się nieco pewniej. Przetrawiła w myślach widok trupów, zaakceptowała odgłosy

umierającego, dostrzegła, że Wit jest starym, słabym człowiekiem, i w końcu mogła przejąć inicjatywę.

Zdawała sobie sprawę, że gdy to wszystko się skończy, a stres i adrenalina opadną, to poczuje się niczym żuta przez cały dzień guma balonowa, ale teraz musiała w końcu coś zrobić.

– Absolutnie tego nie... Czy będziesz chciała pomóc, to już inna sprawa. Na razie potrzebuję tylko, żebyś milczała. Tyle i aż tyle.

– Po tym wszystkim, co tutaj zobaczyłam? – Wskazała na drzwi za sobą, chcąc podkreślić, co ma na myśli.

– Tak – odparł sucho. – Niemniej mam dla ciebie pewną kartę przetargową. A nawet trzy – dodał, wyjmując kolejne teczki. Podszedł do niej na odległość wyciągniętej ręki i wręczył jej dokumenty, patrząc prosto w oczy. Kowalczyk dostrzegła, jak bardzo są poźółkłe i przekrwione.

Niechętnie przyjęła teczki. Potem żałowała, że od razu nie wrzuciła ich do rynny z krwią.

– Wszystko w porządku? – wypalił w pewnym momencie Foks, chociaż mężczyzna nie musiał odpowiadać. Widać było, że coś jest nie tak. – Mogę jakoś pomóc?

Najchętniej szybko by się stamtąd wycofał, słysząc przejmujący szloch wydobywający się z ust mężczyzny. Miał dziwny napad, którego nie kontrolował. Albo nie chciał kontrolować. Płakał, kołyszając się na pieńku niczym dziecko na bujanym koniku. I tak też się zachowywał. Nie zwracał uwagi na Foksa.

Komisarz dostrzegł, że po drugiej stronie beczki znajduje się więcej kartek, które nie trafiły w ogień lub też jego podmuch wypchnął je z powrotem na zewnątrz. Wszystkie wyglądały identycznie. Mężczyzna kogoś za coś przeproszał, żarliwie, wręcz masochistycznie, ale nigdzie nie został wspomniany powód jego zachowania.

Foks nachylił się nad beczką. W środku dostrzegł pozostałości po setkach kartek, które zamieniły się w czarne skrawki przykrywające połamane meble, którymi mężczyzna rozpałił ogień.

Zaszlochał jeszcze kilka razy, a wydawane przez niego odgłosy przetoczyły się po okolicy. Nie były tak głośne jak te wcześniejsze ani jak te, które słyszała Gorczyca. Komisarz domyślał się, że pod osłoną nocy i zamieci mężczyzna wyrzucał z siebie wszystko, co choć na chwilę mogło przynieść mu ulgę. Teraz był bezsilny. Jednak w pewnym momencie jakby się ocknął, przystawił butelkę do ust i z kamienną twarzą wziął spory łyk.

Foks dostrzegł, jak szyjkę oplatają usta mężczyzny, zalane łzami i cieczą z nosa, którą ten raz po raz wciągał niczym najlepsze opioidy. Duża część jednak wypływała mu na twarz, z której została przenoszona do butelki.

Cieszył się, że nie zauważył tego wcześniej.

- Co się stało? - spytał, pokazując mu trzymaną w dłoni kartkę, ale mężczyzna w żaden sposób nie zareagował. Pił teraz, otumaniając się coraz bardziej. Foks zaczął chodzić wokół i szukać kolejnych stron. Wolał nie wchodzić na razie do przyczepy mężczyzny, bo domyślał się, że to mogłoby wywołać jego agresję, chociaż bardzo chciał sprawdzić, co się w niej znajduje.

Nie potrafił jednak przewidzieć jego kolejnego kroku.

W końcu znalazł to, czego szukał. Kartka była w wielu miejscach nadpalona, ale Foks był w stanie odczytać sens całego listu, napisanego o wiele bardziej drżącą ręką niż słowa „przepraszam”.

~~Blagam~~ Pomóż mi. Jesteś jedyną... która może mi pomóc mojej żonie. Ela, proszę. Odbierz telefon, porozmawiaj ze mną chociaż chwilę. Tyle razem przeszliśmy, a teraz tak po prostu ~~chcesz nas zostawić~~ dasz jej umrzeć? Piszę ten list, bo nie wiem już, jak do ciebie dotrzeć. Dzwonię, przychodzę, ale ciebie cały czas nie ma. ~~Albo tylko udajesz, że cię nie ma.~~ Wiem, że proszę o wiele, ale... Wszystko oddam, odpracuję. Teraz liczy się tylko jej ~~zdrowie~~ życie. Znasz ją przecież, pracowała dla ciebie. Wiem, że nasze stosunki... Zrób to przez wzgląd na naszą dawną znajomość.

Proszę!

Kartka była pomięta. To musiała być tylko jedna z wersji listu, który mężczyzna chciał wysłać.

- Co dolega twojej żonie? - spytał, a mężczyzna dopiero teraz jakby się ocknął.

- To, co niedługo spotka nas wszystkich.

Nie musiał wyjaśniać, Foks zrozumiał, że już jest za późno.

- Bardzo mi przykro - odparł, szukając wzrokiem innych kartek. Przy wejściu do przyczepy znalazł kilka.

Łukasz, ty śmieciu. Zaslługujesz na śmierć, ale ona może jeszcze żyć. Daję ci wybór. Albo oboje będziecie żyć, albo oboje umrzecie.

Elu, na pewno wiesz, dlaczego piszę cały czas proszę o to samo. O odrobinę dobroci. Znałaś Agatę, tak wiele razy z nią rozmawiałaś, śmiałyście się nie raz. Czemu teraz o tym zapomniałaś?

Gdy znalazł trzecią kartkę, już wiedział, kim jest szlochający przed przyczepą mężczyzna. Przy okazji trafił też na inne wersje dwóch poprzednich listów, ale każda brzmiała bardzo podobnie. W niektórych mężczyzna błagał, w innych starał się pisać bardziej stonowane słowa, jakby nie chciał wyglądać na desperata, ale nie dało się ukryć, że nim właśnie był.

Szukał pomocy. Nie dla siebie, ale dla umierającej żony.

Grzesiu, w tobie moja nadzieja. Wiesz, że jeśli ty mi pomożesz, to zrobią to także inni, bo... Wiem, że jesteś dobrym człowiekiem, ~~zawsze pomagałeś, gdy mogłeś~~. To duża kwota, ale sam sprzedałem, co tylko mogłem. Najpierw firmę, potem dom, aż w końcu każdą najmniejszą rzecz, jaka nam została. Udało się przedłużyć ~~cierpienia~~ życie Agaty, ale teraz ono znów wisi na włosku. Lekarze mówią, że niewiele jej zostało. Nie wiem, czy kwota, którą byś mi pożyczył, ją uratuje, czy tylko da jej kolejne miesiące. ~~Ale teraz to nie ma...~~ Chcę zrobić dla niej wszystko. Czy ty nie zrobiłbyś... Każdy dzień to... Dlatego proszę cię, ~~pomóż nam~~ podaj nam rękę ten ostatni raz.

Niejakiego Łukasza Foks nie kojarzył, ale zestawienie imion Elżbieta i Grzegorz nie mogło być przypadkowe. Tak bowiem mieli na imię druga i trzecia ofiara. Córka Adamskiego i dyrektor banku.

Łukasz to nasza pierwsza ofiara? – pomyślał.

Wiedział, kto w tej okolicy przed laty, znający Adamskich, sprzedał dużą firmę. Był to lokalny hodowca bydła, który dostarczał żywiec do ubojni. Od początku z nimi współpracował, ale w pewnym momencie, niedługo przed zamknięciem zakładu, odłączył się od biznesu. Sprzedał hodowlę i ślad po nim zaginął.

Jak się okazywało – robił, co mógł, by ratować swoją żonę.

Z różnych wersji listów Foks wyczytał, że kobieta od lat chorowała. Było to związane z niedomagającym sercem i przebytą niegdyś hipotermią, ale

w tym momencie nie mógł dowiedzieć się niczego więcej.

Mężczyzna w końcu przestał prosić w listach. Zaczął grozić, aczkolwiek Foks nie wiedział, które wersje były pierwsze. Może właśnie od tych zaczął, chcąc wymusić na byłych współpracownikach pomoc finansową. Najwyraźniej jednak nie tylko nie mieli zamiaru udzielić mu pożyczki, ale w pewnym momencie zerwali z nim wszelki kontakt.

– Dlaczego nie chcieli jej pomóc? – spytał, zamiast jak najszybciej skuć mężczyznę. Foks wiedział, że to właśnie jego szukali. On musiał stać za morderstwami, a w dłoniach trzymał teraz realne tego dowody. Miał motyw, ale komisarz jeszcze nie wiedział, jakie były jego początki.

Mężczyzna tylko pokręcił głową, zrezygnowany.

– Dlatego ich zabiłeś, prawda?

Spojrzał na niego złowrogim wzrokiem, a potem skinął głową.

– Niektórzy nie zasługują na to, by żyć – odparł. – Skoro oni mogli zdecydować o losie mojej Agaty, to ja mogłem potem zdecydować o losie tej trójki.

Foks pokiwał poważnie głową, jednocześnie chwytając mocno rękojeść glocka. Wycofał się powoli w stronę przyczepy. Podszedł do drzwi i pchnął je delikatnie, żeby sprawdzić, czy nie czai się za nimi nikt, kto mógłby przeszkodzić mu w aresztowaniu mężczyzny.

Wtedy zamarł, zaskoczony.

Kowalczyk czuła, jak po pomieszczeniu rozprzestrzenia się swąd gazu. Wit uprzedził, że za chwilę tak się stanie. Nie zaczął jednak pakować swoich rzeczy, najwyraźniej nie zależało mu na zebranej dokumentacji.

– Radomir prowadził własne badania, wiele z nich pokrywało się z moimi. On mnie wszystkiego nauczył, więc nic dziwnego, że większość wyników była podobna – wyjaśnił, gdy wyszli z pomieszczenia. Kowalczyk miała ochotę przejść obok ciał z zamkniętymi oczami, ale gdy tylko mężczyzna otworzył drzwi, dostrzegła, że nigdzie ich nie ma.

– Co z nimi zrobiłeś?

– Tak jak mówiłem. Zostaną przerobieni na mączkę kostną. Albo już zostali. Gdy tylko tu weszłaś, moi ludzie ściągnęli ciała i zaczęli obróbkę. Zaraz wszystko zjedzą ryby w Wiśle. O ile zdołały przetrwać ten mróz.

Przeszli blisko suwnic i dostali się do pomieszczenia obok, w którym Kowalczyk wcześniej nie była – ciemnego i o wiele zimniejszego od pozostałych. W rogu pomieszczenia stała odkręcona butla z gazem. Trzy inne znajdowały się w pomieszczeniu z rynnami pełnymi krwi, a jedna przy stole ze wszystkimi notatkami Wita. Odkręcił ją, gdy wychodzili.

Zapalił światło, a Kowalczyk zamknęła oczy, czekając, aż jakaś iskra doprowadzi do wybuchu. Tak się na szczęście nie stało. Otworzyła oczy i ujrzała podwieszono u sufitu nagiego mężczyznę.

– Drelich – powiedziała, a on zadrżał na dźwięk jej głosu.

Był ledwo żywy. Wyziębiony, odwodniony. Wyłamane ramiona miał związane sznurkiem, który zaczepiono o hak. Stał na palcach, ale te już dawno temu opadły z sił, a nadwyrężone barki posiniały.

Wit podszedł do niego, wziął jakiś leżący na podłodze nóż i szybkim cięciem pozwolił mu opaść na podłogę. Ostrze niebezpiecznie otarło się o ścianę, a Kowalczyk czuła, jak serce za chwilę wyskoczy jej z piersi.

– Idź! – Kopnął go. – Chyba że chcesz tu spłonąć.

Drelich ostatkiem sił podniósł się, choć widać było, że sprawia mu to niewyobrażalny ból.

– Dlaczego właściwie go tu więziłeś? – spytała, gdy skierowali się w stronę piwnicy. Kowalczyk nie mogła się doczekać, kiedy znów odetchnie świeżym powietrzem.

– Wyniki były jasne. Adamska i jej kochanek, Łukasz Mielczarek, mieli żyć. Chociaż ona spółkowała z nim za plecami męża, chociaż przyczyniła się do śmierci żony swojego byłego współnika, to było jasne, że musi żyć. A on tego nie uszanował.

– Jakie właściwie znaczenie miał ich romans?

– Ano takie, że któregoś razu na zdradzie przyłapała ich Agata Geppert. Wiesz, kto to, prawda?

Geppert był współnikiem Adamskiego. Hodował bydło, które potem szło tu na rzeź, pomyślała.

– Jego żona pracowała u Adamskiego jako kierownik produkcji. Kochanek Adamskiej zamknął ją w chłodni na całą noc, gdy zorientował się, co widziała. Dlatego Geppert zabił go jako pierwszego. A jako że facet miał sklep mięsny, to wypruł mu wszystkie flaki.

– Których nie udało nam się znaleźć – zauważyła Kowalczyk. Wnętrznosci znalezione w metrze nie należały do żadnej znanej im ofiary.

– Fakt. Torbę z flakami, które wam Geppert podsunął w metrze, zabrał ode mnie. Wtedy jeszcze udawał, że jest ze mną, i pomagał mi pozbywać się ciała. Wtedy jeszcze mu ufałem.

– W takim razie gdzie są wnętrznosci pierwszej ofiary?

– Facet prowadził w centrum sklep mięsny. Jego ciało spoczęło w miejscu, gdzie przed laty prowadził pierwsze stoisko, gdy dopiero rozpoczynał współpracę z Adamskimi. Potem przeniósł się do budynku ulicę dalej.

Kowalczyk kojarzyła sklep mięsny, który znajdował się niedaleko od miejsca znalezienia ciała.

– Ale co w związku z tym?

– Ja przerabiam ciała na mączkę kostną. On przerobił jego flaki na podroby. Pewnie ich nie znajdziecie. W Warszawie świeże mięso szybko się rozchodzi.

Kowalczyk stanęła, zszokowana.

– Co ty pierdolisz?

Wit nie odpowiedział. Nie musiał.

Kowalczyk po chwili ich dogoniła. Nie chciała zgubić się w plątaninie cuchnących pomieszczeń i korytarzy. Dziwiło ją to, że skatowany Drelich może mieć tak dobre tempo.

– Tak czy inaczej, od tego zaczęły się problemy zdrowotne żony Gepperta. Agata z miesiąca na miesiąc czuła się coraz gorzej. Geppert zrobił, co mógł, żeby jej pomóc, sprzedał, co miał, i zaciągnął pożyczki, gdzie tylko się dało. Ale to nie wystarczyło. Postanowił więc zmusić sumienia oprawców żony, żeby dały o sobie znać. Chciał wyciągnąć od nich pieniądze, ale oni nie czuli żadnej skruchy. Adamska zginęła zamrożona, tak? – dopytywał, ale raczej nie czekał na odpowiedź. – Wymyślna śmierć. Czuła o wiele większy ból od tego, który czuła żona Gepperta, gdy zamknięto ją w chłodni.

– Wyciął jej wątrobę – zauważyła Kowalczyk. – Podszycił się pod was?

– Przyniósł mi najpierw jego wątrobę, potem jej. Kazał je zbadać, ale wynik za każdym razem był taki sam.

– Dlaczego go nie powstrzymałeś?

– Dałem mu wybór. Ich życie za jego. Zgodził się, bo i tak kilka razy stawał na moście albo pod drzewem. Chciał jedynie zemsty. Niestety przeciągnął na swoją stronę Drelicha, którego znał z dawnych czasów. Na to już nie mogłem pozwolić.

– Dlatego zamknąłeś go tutaj?

– Działanie wbrew naturze wymaga stanowczego sprzeciwu. To jedyne, co mogłem zrobić, żeby go powstrzymać i dać nauczkę.

Idący przed nim Drelich słyszał to wszystko i dziwnie potakiwał, jakby chciał przyznać mu rację. Wit zapewne wiele już razy wymusił na nim podobne zachowanie, wiele razy Drelich musiał obiecywać posłuszeństwo. Teraz to był już tylko odruch.

- Ostatecznie Geppert zwrócił się do dyrektora banku, którego miałaś okazję spotkać. Zanim ten nim został, zarządzał finansami ubojni. Znali się dobrze, ale facet to zwykła pazerna świnia, więc ani myślał podzielić się choćby złotówką albo wykorzystać swoje znajomości. A twoja siostra z jakiegoś powodu myślała, że przygarnie ją pod swoje skrzydła.

Wit zakasłał, ale Kowalczyk wydawało się, że pierwotnie chciał się zaśmiać, ale mu to nie wyszło.

W końcu dotarli do piwnicy. Drelich o mało się nie zabił, schodząc po drabinie, co byłoby prawdziwą ironią losu. Udało mu się jednak dotrzeć na drugą stronę, a Wit otworzył zamek wjazdu. Wyszedł pierwszy, potem pomógł wydostać się na zewnątrz Drelichowi. Kowalczyk zdziwiła się, że nagle nie buchnął jej w twarz zimny przeciąg z drobinkami siekącego po policzkach śniegu.

Śnieżyca dobiegła końca. Śnieg leżał wszędzie, ale już przynajmniej nie spał na głowę, nie ograniczał pola widzenia. To oznaczało, że za chwilę świat przestanie być sparaliżowany. A co za tym idzie - Wit przestanie działać.

To była jego ostatnia w życiu akcja. Dopiero jego następca, przy kolejnym desperackim akcie natury, ruszy na ulice wykonać skrzętnie zaplanowane zadania.

- Uciekaj - rzucił Wit do Drelicha jak do dzikiego zwierzęcia, które wpadło we wnyki, ale człowiek pomógł mu się wydostać. Kowalczyk aż zadrżała, gdy zobaczyła nagiego mężczyznę biegnącego przez zasy. Była pewna, że albo nie dożyje jutra, albo przynajmniej będzie musiał się pożegnać ze stopami.

- Po co mi ta cała wiedza? Najpierw zdradziłeś samego siebie, teraz jednego ze swoich ludzi. Obaj jesteście mordercami i obaj powinniście zgnić w pierdlu. Po co to wszystko?

- Widzisz tamten dom? Czy raczej jego namiastkę? - Wskazał gdzieś przed siebie.

Kowalczyk wyteńczyła wzrok i po chwili dostrzegła jaśniejszy punkt na tle lasu. Skinęła głową na potwierdzenie.

– Tam znajdziesz człowieka, który odpowiada za trzy śmierci. I którego możesz osądzić za całą resztę. W zamian za... – Dotknął trzymanych przez nią teczek z plikami dokumentów. – Rozumiemy się?

Nie odpowiedziała, a on nie czekał na to.

– Nas, ludzi działających w cieniu, są setki. Jeśli nawet kogoś uda ci się złapać, będzie to kropla w morzu. Jednemu coś udowodnisz, a innego będziesz musiała puścić wolno. Od dziś jednak doskonale będziesz wiedziała, na kogo trafiasz. Kto należy do nas. Będziesz też wiedziała, że ktoś cały czas patrzy ci na ręce. I tylko czeka na twój błąd. Popelniaj je do woli. Ale pamiętaj, za jaką cenę.

Już nawet na nią nie spojrział, tylko odwrócił się i ruszył przed siebie. Po chwili zniknął gdzieś za drzewami i zwałami śniegu, a Kowalczyk ocucił dopiero pierwszy wybuch. Poczowała go na twarzy, gdy rozerwany został główny budynek ubojni.

Gdy po kolei zaczęły wybuchać butle z gazem w pozostałych pomieszczeniach, Kowalczyk już oddalała się biegiem, nawet nie myśląc o tym, żeby gonić odchodzącego niespiesznie mężczyznę.

W nozdrza uderzyła go mieszanka dwóch intensywnych zapachów. Najpierw rozpoznał świeżo wylaną benzynę, w naprawdę dużych ilościach. Potem dotarł do niego odór zgnilizny. Starej, zleżałej.

Przełknął ciężko ślinę.

Raz po raz spoglądał na Michała Gepperta, którego nazwisko od razu sobie przypomniał. Sprawdzili go dokładnie, naczelnik chciał pełną historię jego i Adamskich. Jednak Geppert nie miał żadnych powiązań ze zbrodniami. Wycofał się z biznesu, gdy jego żona zachorowała. Sądził, że wyjechał gdzieś na Mazury albo w Bieszczady, bo w pewnym momencie słuch po nim zaginął.

Jego żona spędziła wiele tygodni w szpitalu. Pierwotnie pracowała u Adamskiego, ale uległa wypadkowi, w wyniku którego doznała hipotermii. W tym czasie została przeniesiona do spółki, którą zarządzał niejaki Łukasz Mielczarek. Ich pierwsza ofiara, jak wynikało z listów. Spółka została szybko zamknięta, a kobieta została bez pracy i bez ubezpieczenia. W tym czasie hodowla bydła stała na krawędzi bankructwa. Foks domyślał się, że sprawili to współpracownicy mężczyzny. Musiał sprzedać firmę. Wtedy stan zdrowia kobiety się pogorszył, znów trafiła do szpitala, a jej dług rósł.

Została wpisana na listę osób oczekujących na transplantację serca. Zostało wyniszczone następstwami hipotermii. Na tym jednak kończyła się jej oficjalna historia.

Foks już wiedział dlaczego.

– Nie wchodzi tam! – ryknął mężczyzna, dopadając do niego. Odepchnął go, ale komisarz nie stracił równowagi. Zrobił tylko krok do tyłu, ale nadal

trzymał klamkę cienkich drzwi, które można byłoby rozbić jednym kopniakiem.

Geppert chciał mu je wyrwać i zamknąć z powrotem, żeby Foks nie dostrzegł tego, co się tam znajduje, ale było już za późno. Policjant odepchnął go, wykręcił mu rękę za plecy. Po chwili powalił na ziemię i chwycił jego drugie ramię.

Geppert nawet nie protestował.

– Nie szarp się, to nam obu będzie prościej – warknął.

Komisarz skostniałą dłonią wyciągnął kajdanki i skuł mężczyznę. Potem pomógł mu wstać i posadził go przy beczie, żeby nie zamarznął po zatrzymaniu, wtedy Foksowi nieźle by się oberwało. Otrzeptał ręce i wrócił do przyczepy. Stał na progu i rozejrzał się. Wszystkie ściany małego pomieszczenia zostały zapisane. Wszędzie widać było tylko to jedno słowo.

– Przepraszam... – przeczytał na głos, bo w głowie miał na tyle duży mętlik, że nie słyszał własnych myśli.

Geppert zrobił z przyczepy istny ołtarz. Czy może raczej ścianę płaczu. Zapisał wiadomość, którą chciał przekazać żonie, i szlochał, nie mogąc znieść rozstania.

Czy można kochać aż tak bardzo? – spytał samego siebie. Żeby aż tak cierpieć? Żeby zabijać w zemście, z zimną krwią?

Nie był człowiekiem, który mógł odpowiedzieć na to pytanie, ale okazywało się, że Geppert nie potrafił znieść tego, co się stało. Nie potrafił rozstać się z żoną. Dlatego ona wciąż tam leżała. Na środku, na starym, wysłużonym materacu. Miała na sobie białą szatę niczym Ofelia na obrazie Millaisa. W dłoniach trzymała kwiaty, których życie mróz starał się zatrzymać. Musiała tam leżeć wiele dni, może tygodni. Pogoda zakonserwowała ciało, rozkład postępował, ale bardzo powoli, bardziej zmieniając ciało w mumię niż w padlinę.

Jej kasztanowe włosy, brwi i różowe usta pokrył szron, podobnie jak nieszczelne plastikowe okienka przyczepy, metalowe elementy, a nawet tusz markera na ścianach.

Foks chciał podejść, ale niepokoił go smród benzyny. Widział, że wszystko zostało nią oblane. Przede wszystkim jednak nasączono

poplamiony i podarty w wielu miejscach materac i samo ciało. Sukienka kleiła się do ciała, sprawiając wrażenie, jakby kobieta zanurzona była w wodzie. Jej kasztanowe włosy pozostały nietknięte, podobnie jak naprawdę ładna twarz, pokryta licznymi piegami, z pełnymi, różowymi ustami i delikatnie wystającymi kośćmi policzkowymi. Nawet po śmierci była piękna, choć śmierć starała się coraz mocniej ją zniekształcać. Policzki zapadały się, podobnie jak oczodoły. Kobieta miała zamknięte powieki, ale Foks dostrzegł, że coś spod nich wypływa. Oleista ciecz, która z pewnością nie była benzyną.

Podobne plamy dostrzegał pod nosem, w okolicach ust i uszu. Rozkład postępował mimo wszystko, nie dało się tego uniknąć. Geppert na pewno też to widział, dlatego przygotował to prymitywne palenisko, chcąc oddać cześć swojej kobiecie.

Foks zrobił krok za próg, bo dopiero po chwili dostrzegł, że wokół jej głowy ułożono coś na kształt aureoli. Nie musiał się długo zastanawiać, żeby zrozumieć, co to jest. Patrzył właśnie na spoczywające tuż nad głową serce i dwie ułożone po bokach wątroby.

No to wiadomo, co się stało z wyciętymi organami ofiar, pomyślał, nie zdając sobie jeszcze sprawy, co stało się z resztą wnętrza Mielczarka i jak dużo będzie przez to pracy.

Przy lewym ramieniu kobiety spoczywał jakiś notes, teraz nasączony benzyną, z napeczniałymi od wilgoci i tuszu kartkami.

– Chcesz ją spalić? – spytał, wracając do mężczyzny. Stojąc na progu, do którego trzeba się było wspiać po kilku stopniach, dostrzegł mocne wgłębienie na prawo od przyczepy. Ewidentnie coś tam przez długi czas stało. Foks domyślał się, że był to samochód chłodnia, który potem on albo Drelich porzucił pod ubojnią. Najwyraźniej chcieli zmylić ślady.

Przeszedł blisko przyczepy i stanął na jej tyłach. Od razu wiedział, że zasypany śniegiem kształt to zamrażalka, w której trzymał Adamską. Była przewrócona na bok, a kilka kroków dalej leżała podarta plandeka, na której zapewne przeniesiono bryłę lodu do samochodu. W nim też zamordowano kochankę Adamskiej. Zapewne tylko dyrektor banku nie zgodził się ostatecznie spotkać z Geppertem, dlatego zginął we własnym domu. Adamską i jej kochankę musiał zwabić podstępem.

A może w końcu postanowili pomóc i przyjechali, ale kobieta już nie żyła.

Wrócił, żeby spytać go o to, ale zamarł, wychodząc za róg przyczepy.

– Eliza? – zdziwił się, widząc stojącą przy Geppercie prokurator.

– Tak właśnie myślałam, że tu będziesz.

– Szukałem cię. Gdzie byłaś?

Spojrzała w kierunku płonącej wciąż ubojni, która spod lasu wyglądała jak mieniąca się dioda na tle pokrywającej ziemię bieli i coraz bardziej szarego nieba.

– Trzeba wezwać wsparcie – powiedział. – Masz telefon?

– Masz papierosa? – odpowiedziała pytaniem.

– Eliza, nie ma czasu na... – Zamilkł, patrząc, jak Kowalczyk podnosi trzymane w dłoni trzy teczki.

– Co to jest?

– Najpierw papieros – poprosiła.

Foks sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki i wyjął zmiętą i nieco zamoczoną paczkę czerwonych marlboro. Podał ją Kowalczyk, a potem zapalniczkę.

– Mogę jednego? – spytał Geppert.

– Stul pysk, śmieciu – warknęła Foks, ale Kowalczyk wsunęła mu papierosa w usta. – Co ty robisz? To jest...

– Wiem, kto to jest – przerwała mu. – Bardzo dobrze zdaję sobie ze wszystkiego sprawę. Nawet nie wiesz, jak dobrze – mruknęła ciszej, a Foks nie rozumiał, o co jej chodzi. – Rozkuj go.

– Co?

– Głuchy jesteś? – warknęła nieprzyjemnym tonem, który tak doskonale znał. – Za chwilę stąd znikniemy i udamy, że nigdy nas tu nie było, więc lepiej, żebyś nie zostawiał po sobie śladów, Foks.

Komisarz stał tak przez kilka sekund i nie wiedział, co zrobić.

– Musimy go zabrać i przesłuchać, on...

– On nigdzie nie pojedzie – znów weszła mu w słowo.

– Rozmawiałaś z Witem? – spytał nagle Geppert, a Kowalczyk skinęła głową potakująco. – Pozwolicie mi to zrobić?

Kowalczyk przeniosła wzrok na Foksa i ponagliła go skinieniem. Komisarz odnalazł kluczyk do bransoletek i rozkuł Gepperta. Ten wziął papierosa między palce, zaciągnął się naprawdę głęboko i wypuścił gęsty dym ustami.

– Mogę się z nią pożegnać? – spytał i od razu wstał. Foks złapał go jednak za ramię.

– Przyczepa jest cała nasiąknięta...

– Dobrze – powiedziała do Gepperta. – Puść go, Foks – dodała teraz już spokojnym, wręcz wypranym z emocji tonem. – Ja wszystko załatwię – powiedziała. – Lepiej stąd chodźmy.

Foks odprowadził wzrokiem mężczyznę, który w chmurze dymu wszedł do środka przyczepy kempingowej.

– Przepraszam, że mogłem tylko tyle zrobić – powiedział, po czym zaskrzypiał materac. Usłyszeli, jak całuje martwe usta, a chwilę później ze wszystkich okien buchnął ogień. W tym samym momencie usłyszeli pierwsze nadciągające syreny.

Tym razem nie dołączył do nich żaden skowyt. Geppert umierał w milczeniu. Długo czekał na ten moment.

Straż pożarna robiła, co mogła, ale trudno było cokolwiek zdziałać. Podobnie w przypadku dwóch samochodów przy drodze, z których zostały tylko czarne szkielety, teraz wyglądające niczym rekwizyty w apokaliptycznym filmie.

– A zdążyłem go naprawić... – mruknął Foks, przyglądając się z daleka swojemu volvo. Chociaż teraz to mogłaby być każda inna marka, płomienie strawiły wszelkie znaki rozpoznawcze.

– Chcieli zniszczyć to, co mogło ich dotyczyć – odparła Kowalczyk. – Nie mogli sobie pozwolić, żeby został po nich jakikolwiek ślad.

– Ale to były nasze ślady – warknął. Miał nadzieję, że złość w końcu go opuści, ale zamiast tego z każdą chwilą narastała.

– Które zostały pozostawione na ich terenie – wyjaśniła Kowalczyk. – A zdaje się, że wyczyścili go naprawdę dokładnie – dodała, patrząc na tłące się oddali domy. Ostały się wyłącznie te położone najdalej od ubojni. Był wśród nich dom Gorczycy i kilka innych, gdzie zapewne mieszkali ludzie niemający pojęcia, co działo się pod ich nosami.

Reszta musiała zniknąć.

Tylko czy te zależności mogą nas jakkolwiek naprowadzić na trop osób zamieszanych? – spytała samą siebie Kowalczyk i od razu zaprzeczyła. Wiedziała, że część budynków była od dawna porzucona, jak chociażby dom Drelicha. On sam jakiś czas temu przebiegł przed wozem straży pożarnej. Od razu się nim zajęli, karetka miała nadjechać za chwilę.

Wiele osób od dawna już tu nie mieszkało. Po tym, jak ubojnia padła, część mieszkańców straciła pracę, więc musieli znaleźć nowe, lepsze miejsce do życia. Kowalczyk domyślała się, że wielu z nich widziało w biurze firmy REM. Część zapewne zostanie zwolniona, bo albo firma

upadnie, albo będzie dalej działała, gdy tylko Olejnik wyzdrowieje, ale na pewno już nie w dawnej formie.

- Tylko po co właściwie dorobili do tego wszystkiego tę pokrętną filozofię? - spytała na głos, komentując własne myśli. Wcześniej opowiedziała Foksowi o tym, co ją spotkało. Nie wyjaśniła jedynie, czego dotyczyły otrzymane dokumenty.

Foks domyślił się, o co jej chodzi.

- To dość proste zagranie psychologiczne - wyjaśnił.

- Co masz na myśli?

- Wit zrzuca odpowiedzialność za czyny swoje i swoich ludzi na los. Uznaje, że świat daje mu znaki, którym się podporządkowuje.

- Twierdził, że nie działa według narzuconego schematu, ale to natura podpowiada mu, kto jest dobry, a kto zły.

- Więc tak czy inaczej sam to wymyślił. Po prostu dzieli się winą i odpowiedzialnością za to, co i tak by zrobił. Sam doskonale wie, kto musi umrzeć, bo tępią tych, którzy zasłali im za skórę. Sądzą, że to jedyne słuszne wyjście. Albo że nie ma innego.

- Wyjście jest zawsze - wtrąciła Kowalczyk.

Foks pokiwał poważnie głową, chociaż nie mógł się z nią zgodzić. Widział już zbyt wiele ludzkich tragedii, których nie dało się uniknąć. Życie człowieka jest niczym antyczna sztuka naznaczona fatum. W wielu przypadkach każdy ruch jest zły, a ludzie do końca życia cierpią. Czy jednak zesłanie cierpienia na innych jest rozwiązaniem?

Na takie pytania nie ma odpowiedzi. Przynajmniej dobrej. Ale oni postanowili obstawać przy własnej i uznawać ją za jedyną słuszną.

- Oszukują się, że czynią dobrze, bo widzą znaki potwierdzające ich tezy. Znaki gówno warte, bo równie dobrze można byłoby powiedzieć, że, no nie wiem... - Zastanowił się chwilę. - Że jeśli zobaczę dziś czarnego kota, to znaczy, że sąsiad, który mnie wkurwia, powinien zginąć. I kiedyś w końcu się tego kota zobaczy. Tak działa każdy zabobon. Człowiek tłumaczy sobie coś w sposób, który będzie dla niego dogodny, żeby wyjaśnić niektóre zdarzenia. Te, które miały miejsce, lub te, które dopiero mają nadejść. Wtedy współwinny staje się los, a dzięki temu sumienie

pozostaje czystsze. I ludzie mogą dalej twierdzić, że trzeba działać. Wierzą, że to nie do nich należy decyzja, bo są jedynie narzędziami. Typowa logika psychopatów – uprościć.

– To tak, jakby natura kazała im zabijać.

– Dokładnie. Tak samo jak nieistniejący bogowie na przestrzeni lat kazali zabijać w ich imię. Wystarczy spojrzeć na historię inkwizycji i polowań na czarownice czy wampiry.

– Tyle że w tym przypadku wampiry istnieją naprawdę. Są złe, mściwe i żądne krwi. A oni się ich pozbywają lub zmuszają do zmiany postępowania.

Po dokumentacji Wita wniosowała, że zemścili się na naprawdę wielu osobach pokroju Adamskich. Wiedziała, że będzie ich teraz szukać, ale zapewne nigdy nie pozna wszystkich nazwisk. Nigdy też nie odnajdzie bezpośrednich sprawców.

– Oko za oko, ząb za ząb. To już kiedyś było i nie sądzę, żeby ktokolwiek dobrze na tym wyszedł.

– Co najwyżej my, bo dzięki zmianie tego systemu na bardziej sprawiedliwy mamy pracę.

Ale czy na pewno ten system jest sprawiedliwszy? – pomyślała, dotykając schowanych pod kurtką dokumentów.

Wiedziała, że niedługo będzie musiała odpowiedzieć na to pytanie.

Warszawa dopiero po dwóch tygodniach wyłoniła się w pełni ze śniegu. Ulice znów były czarne, z chodników zniknął lód, a choć mróz zelżał tylko o kilka stopni, ludzie wychodzili z domów z uśmiechami na twarzach. Przynajmniej ci, którzy nie natknęli się w ciągu ostatnich dni na żadne ciało.

Usuwany ze wszystkich zaułków śnieg odkrył truchła trzech osób. Wszystkie zostały dotkliwie pobite, nie miały ze sobą nic wspólnego, przez co można byłoby potraktować te sprawy osobno.

– Myślisz, że oni wszyscy za tym stoją? – spytał Foks, gdy któregoś wieczoru, niedługo po powrocie z okolic ubojni, spotkali się znów u Kowalczyk.

– Nie mam co do tego żadnych wątpliwości – odparła.

Powrót do normalnego życia zajął im kilka dni. Sam powrót do Warszawy okazał się problematyczny. Gdy w końcu wycofali się spod przyczepy Gepperta, trafili na pierwsze wozy strażackie, które powoli jechały za pługiem i zmierzały w stronę domów mieszkalnych, które należało ratować jako pierwsze. Ale wszyscy doskonale wiedzieli, że zostaną po nich tylko zgliszcza.

Kowalczyk wezwała wsparcie, więc niedługo potem pojawił się Radecki, naczelnik, prokurator generalny, technicy i przynajmniej dziesięć patroli. Zabezpieczono teren, samochód chłodnię, ostatecznie także zwęglone ciało Gepperta i jego żony.

Gdy pochylili się nad nimi wszyscy razem, naczelnik już znał całą sytuację. Mieli świadomość, że znaleźli człowieka, który z zimną krwią zamordował trzy osoby, bo te nie chciały ratować jego żony, za której śmierć sami odpowiadali. Pierwsza ofiara zamknęła ją w chłodni, bo

Agata Geppert stała się świadkiem zdrady Adamskiej. Oboje zginęli przez to w męczarniach, zamrożeni. Najmniej emocji w mordercy wywoływała trzecia ofiara. Pracowali razem przed laty, ale dyrektor banku nie miał nic wspólnego ze śmiercią żony Gepperta. On sam wyładował swoją złość wobec ludzi, których błagał o pomoc, jednocześnie kierując podejrzenia na Wita, który nie chciał mu pomóc w zemście.

Morderca został sam. U jego boku była tylko martwa żona i dawny bliski przyjaciel. Zrobili, co mogli. Co uważali za słuszne.

Tymczasem reszta spraw, nad którymi pracowała Kowalczyk, miała zostać nierozwiązana.

Żadnych innych ofiar nie znaleziono, chociaż technicy mieli potem znaleźć w ubojni ślady krwi kilku osób. Przynajmniej trzech. Ogień niestety zatarł większość dowodów, nie dało się uratować niczego, co znajdowało się w środku. Jakiegokolwiek resztki po krwi zostały się wyłącznie w kanalizacji, nie można było stwierdzić, kiedy właściwie się tam pojawiła ani kto za to odpowiadał.

Geppertowi przypisano trzy morderstwa. Znaleziono jego odciski zarówno w samochodzie chłodni, jak i w mieszkaniu dyrektora banku. W pojeździe natomiast znaleziono ślady biologiczne Adamskiej i Mielczarka, a ich niemal doszczętnie spalone narządy w jego przyczepie kempingowej. Tuż obok głowy martwej żony i jego samego.

Resztki narządów pierwszej ofiary znaleziono w sklepie mięsnym Mielczarka. Zostało to jednak utajnione, media nie miały prawa o tym wiedzieć.

– Po co tam właściwie pojechałaś? – dopytywali naczelnik i sędzia, ale Kowalczyk za każdym razem tłumaczyła to przecuciem i wcześniejszą rozmową z Foksem.

On sam bardzo dokładnie opowiedział swoją historię, która dopełniła to, co przemilczała Kowalczyk. Czy raczej – na co nie miała dowodów. Jedynym słusznym wytłumaczeniem dla prokuratora generalnego i sędziego było założenie, że to Geppert przewodniczył sekcje, chociaż w jej istnienie i tak nikt nie wierzył. Teraz liczył się wyłącznie on i jego współlnik. Ustalenia Kowalczyk uznano za naciągane i nierealne.

Nie było tylko wiadomo, skąd Geppert wziął wnętrzności, które wyrzucił w metrze. Śledczy założyli jednak, że ma na koncie więcej morderstw, których przypisanie mu nie powinno stanowić żadnego problemu, o ile znajdą się ciała. Na pewno jednak nie mieli zamiaru iść tropem dokumentacji Kowalczyk.

I o to właśnie chodziło Witowi.

Wszystkie notatki z biura Kowalczyk zniknęły tamtej nocy. Nie zostało po nich nic. Nie było też śladu osoby, która się do niego włamała. Najwyraźniej musiała mieć klucz.

Teraz na stole leżały tylko trzy pliki dokumentów, które dostała od Wita.

Foks otworzył je wcześniej, po wypiciu drinka, którego Eliza wręcz w niego wmusiła. Powiedziała, że musi najpierw się napić, zanim mu coś pokaże. Wykonał jej polecenie i zaraz potem nalał sobie kolejnego. Zanim wyszedł z kuchni, spojrzął na zegarek. Była godzina dwudziesta druga dwadzieścia dwie. Skrzywił się na ten widok.

- Wypijmy za tych, którzy już nie mogą się napić - wzniósł toast.

- Wiem, że teraz to twoje powiedzenie pasuje idealnie, ale wciąż nie rozumiem, skąd się wzięło.

- Kiedyś, jak mnie mocno upijesz, to może opowiem ci o swoim bracie. Wtedy zrozumiesz, o co mi chodzi.

- Teraz nie opowiesz mi tej historii, prawda?

Pokręcił przecząco głową i przeszedł do jej gabinetu. Od razu pochylił się nad teczką, która dotyczyła jego samego.

- A jak żona? - zainteresowała się, ale raczej nie z troski, lecz z czystej ciekawości.

- Wciąż jest pod stałą opieką psychologa i psychiatry. O niczym jej nie mówiłem.

- Wróciła już do domu?

- Tak. Rodzinnego - dodał po chwili. - Jej rodzice chcieli się nią zaopiekować - wyjaśnił krótko, ale Kowalczyk domyślała się, co to

oznaczało.

– Rozstaniecie się?

– A sądzisz, że da się tego uniknąć? – warknął nieco zbyt ostro.

Bał się samotności. Okazało się jednak, że mieszkanie nie będzie zupełnie puste. Gdy do niego wszedł, usłyszał dziwne dźwięki. Był pewny, że ktoś się włamał, by dokończyć dzieła, ale okazało się, że po łazience tłucze się wrona, którą feralnego dnia znalazł na parapecie. Wypiła wodę, zjadła wszystkie orzechy. Próbowwała się wydostać, ale skrzydła odmawiały jej posłuszeństwa.

Miał ochotę śmiać się w głos, gdy ją zobaczył.

Teraz w milczeniu przyjrzał się dokumentom, które zawierała jego teczka. Nie było ich wiele. W środku znajdowało się stare zdjęcie USG jego wątroby i opis wykonany przez Wita. Podobne materiały znajdowały się w teczkach Kowalczyk i jej siostry.

– Według niego wszyscy zasługujemy na karę. Jeśli się nie zmienimy, to czeka nas śmierć? – spytał, starając się zabrzmieć ironicznie, ale nie za bardzo mu to wyszło.

– Dokładnie tak. I nie mam pojęcia, co z tym zrobić.

– Skąd on właściwie to ma? – spytał, przyglądając się zdjęciu.

Wiedział jednak, że nie było to trudne, skoro miał tak wielu zaprzyjaźnionych ludzi. Wiele poprzednich spraw Foksa, które niekiedy wykańczały go fizycznie, wymagało badań i prześwietleń, więc Wit miał pełny wgląd w jego kartotekę medyczną.

Badania siostry Kowalczyk zdobyli po jej pobiciu, a kartę medyczną prokurator wyciągnęli z przeszłości, gdy jeszcze chodziła na studia i raz trafiła na pijaną grupę mężczyzn, którzy nieźle ją poturbowali. Więcej powiedzieć nie chciała, ale widać było, że wstydzi się tego incydentu.

Choć to ona była ofiarą.

– Jeśli ktoś to zobaczy, to nas wyśmiej – powiedział w końcu Foks. – A oni wciąż pozostaną nieuchwytni.

– Ale czy to znaczy, że mam przymykać oko na wszystko, co będą robić?

– Myślę, że warto ich obserwować i szukać tego całego Wita. I myśleć na bieżąco.

Rozmowę przerwał im telefon. Kowalczyk odebrała, ale nie odezwała się ani słowem.

– Chodź – rzuciła tylko do Foksa, gdy jej rozmówca się rozłączył.

Do Zakładu Medycyny Sądowej weszli pół godziny później. O ciele nieznanym na ulicy, przy jednym ze śmietników, poinformował ją znajomy prokurator, który pełnił właśnie dyżur i podjął decyzję o jego zabezpieczeniu, przetransportowaniu do Zakładu i poddaniu sekcji.

– Nie ma żadnych obrażeń, zapewne w zgonie nie brały udziału osoby trzecie, ale trzeba to sprawdzić – powiedział, gdy zadzwonił. Ciało bezdomnych często poddawano sekcji, bo nie było wiadomo, jak zginęli. Gdyby sobie to odpuścili, to bardzo szybko ktoś wpadłby na pomysł, że zabijanie włóczęgów to bardzo ciekawe hobby, za które nic nie grozi.

Weszli do ciemnego, pustego prosektorium. Ciało przyjął dyżurny, a rano miał je obejrzyć patolog. Można więc było zobaczyć je tak, jak znalazła je straż miejska w jakimś pustostanie, pośród śmieci.

– To on? – spytał Foks, gdy dyżurny wysunął szufladę z ciałem i rozsunął czarny worek.

– Czyli jednak to wszystko nie było tylko pojebanym koszmarem – mruknęła Kowalczyk. – A miałam nadzieję, że tak właśnie było.

W worku bez wątpienia spoczywał Wit. Wystarczyło spojrzeć na jego oko i poharatany nos. Widać było, że przed śmiercią pluł krwią, miał nią zalaną brodę, klatkę piersiową i dłonie.

– Skurwiel miał raka – powiedziała. – Zdechł w samotności w jakimś neutralnym miejscu, spryciarz.

– Kto w takim razie będzie teraz zarządzał grupą?

– Nie wspomniał o tym. Ale myślę, że prędzej czy później się tego dowiem.

Odeszli od szuflady, którą zajął się już dyżurny. Wyszli z pomieszczenia, ale Foks jeszcze na chwilę odwrócił się w jego stronę. Ubrany w biały kitel mężczyzna przyłożył głowę do piersi Wita, jakby się nad nim modlił, pokorny i oddany, a chwilę później wsunął z powrotem szufladę. W końcu

wyprostował się, spojrzął Foksowi prosto w oczy i uśmiechnął się złowrogo.

Komisarz wiedział, że dreszcz na plecach, który właśnie poczuł, będzie mu towarzyszył jeszcze bardzo długo.

Cztery miesiące później

Robert Foks chyba jeszcze nigdy tak bardzo nie czekał na lato jak w tym roku. Podobnie większość mieszkańców stolicy, których zima wręcz sponiewierała. W końcu jednak przyszedł czerwiec, a najzimniejsza pora roku stała się tylko przykrym wspomnieniem, które każdy wolał wyrzucić z pamięci. Jedynie Robert Foks i prokurator Eliza Kowalczyk nie mogli sobie na to pozwolić. Tym bardziej że topniejący śnieg odkrywał więcej, niż ktokolwiek by chciał. Z tego też powodu Foks musiał pojawić się w miejscu, które przez lata zapracowało sobie na złą sławę.

W promieniach upalnego, piekącego w kark słońca wszedł do kosza ratowniczego umieszczonego na szczycie drabiny mechanicznej. Po chwili, w towarzystwie biegłego lekarza, zszedł na rozgrzany dach opuszczonego budynku zwanego Szkieletem. Od razu poczuł nieprzyjemny odór zgnilizny.

Bez wątpienia ciało długo w tamtym miejscu przeleżało, myślał, niepokojone wyłącznie przez owady i ptaki.

Foks spojrzął na stojący obok budynek. Miał kilka pięter więcej. Jeśli ktoś skoczyłby z niego, trafiłby dokładnie w miejsce, gdzie teraz spoczywało rozkładające się truchło. Kałuża krwi, która rozlała się wokół niego, stała się teraz jedynie ciemniejszą plamą na betonie. Liczne deszcze i śnieg mocno ją rozmyły, ale dla wprawnego oka była nie do przecoczenia. Łączyła się z płynami ustrojowymi, które wypłynęły z ciała podczas rozpadu gnilnego. Gdy puściły zwieracze, ciało wręcz wypluło z siebie wszystko to, czego ofiara nie zdążyła wydalić. Potem zaczął się szybki proces gnicia, w którym pomogli padlinożercy. Tym sposobem ciało zostało naprawdę mocno naruszone. W wielu miejscach widać było огоłoczone ze skóry kości, oblepione gdzieniegdzie szerniałymi kawałkami mięsa.

Foks otarł czoło ramieniem, bo upał dawał się mocno we znaki. Starał się nie drapać, ale gdy widział wypełniające ciało czerwie, czuł nieprzyjemne mrowienie na głowie i plecach. Zwłoki wręcz ruszały się pod naporem larw.

Większe zwierzęta próbowały napocząć skórę głowy, ramion i nóg w okolicach kostek. Na więcej nie pozwalało ubranie. I liście, którymi ktoś, jak sądził Foks, specjalnie zakrył ciało przed wzrokiem nieproszonych gości.

Patrząc z daleka, w ogóle nie można było rozpoznać, że spoczywający na betonie kształt to ludzkie szczątki. Chociaż wystające kości i żebra z wyjedzonym mięsem były dość charakterystyczne, to jednak cała sylwetka została osłonięta. Jesienne liście mogły tu dotrzeć z okolicznych drzew, lecz trudno, żeby aż tak szczelnie okryły zwłoki. Wiatr zarówno pomagałby w tym procesie, jak i przeszkadzał, ale z pewnością nie przyniósłby tutaj dużych gałęzi i śmieci.

Ktoś długi czas czuwał przy ciele, pomyślał Foks. Dopiero niedawno odpuścił i pozwolił, żeby wiatr zepsuł jego prowizoryczną kryjówkę dla zwłok. Ciekawe, ile piskląt zostało wykarmionych tym biedakiem.

Obszedł zwłoki i pochylił się nad głową ofiary. Na karku dostrzegł dziwne żłobienia, które nie zostały wywołane rozkładem ani działaniem padlinożerców. Właśnie z ich powodu Foks w ogóle się tu pojawił. Towarzyszący mu lekarz powoli ściągnął pęsetą liść, który przykleił się do karku. Foks dostrzegł wyryty w skórze znak. Nie miał pojęcia, co oznacza. Domyślał się jednak, że ofiara też niewiele mogłaby o nim powiedzieć. Było niemal pewne, że powstał na chwilę przed śmiercią lub chwilę później.

– Co to może być? – spytał Foks. Miał pewne podejrzenia, ale wolał od razu poznać opinię lekarza.

– To wygląda na znak wypalony w skórze rozgrzanym żelazem.

– Ktoś oznaczył trupa niczym bydło?

Lekarz skrzywił się, słysząc to. Ale musiał się z tą uwagą zgodzić.

Jeśli to prawda, myślał Foks, to znaczy, że ciało będzie więcej. I z pewnością ich widok jeszcze nie raz nas zaskoczy.

KONIEC TOMU DRUGIEGO

POSŁOWIE

Mogłoby się zdawać, że niewolnictwo skończyło się wraz z XIX wiekiem, lecz okazuje się, że niedługo potem powróciło w nowej, przerażającej formie. Współczesne niewolnictwo spotykane jest niemal wszędzie. Wszyscy zapewne choć raz jedliśmy przygotowany przez niewolnika posiłek, kupiliśmy uszyte przez niewolnika ubranie lub po prostu mijaliśmy ich na ulicy.

Współcześni niewolnicy są obdzierani z pieniędzy, czasu i godności. Wykorzystywani przez pracodawców, pracują od rana do wieczora, siedem dni w tygodniu, za grosze lub samą ich obietnicę. Często żyją wyłącznie nadzieją, że kiedyś ich sytuacja się poprawi. Wyrwali się z marginesu społeczeństwa lub biedoty, żeby poprawić sytuację swoją lub swoich najbliższych, ale okazało się, że ich życie z dnia na dzień pogarsza się jeszcze bardziej. Są zmęczeni, nie potrafią wstać z łóżka, gdy w końcu dostaną choć dzień wolnego. Próbują się wyspać, a czasu starcza jedynie na wypranie ubrań, które już po chwili zakładają na kolejny pracowniczy maraton. Nie mają siły walczyć, nie znają przepisów prawnych, często nie znają języka, żeby protestować, lecz gdy już to zrobią – trafiają na bruk. Chcąc przeżyć z dnia na dzień, muszą dalej pracować, bo nie potrafią wydostać się z sidła swoich oprawców, którzy wymusili podpisanie katorżniczych umów, zabrali dokumenty.

Niewolnictwo opiera się także na groźbie nagłego zwolnienia pracowników chronionych: młodych matek, kobiet w ciąży, pracowników z długim stażem. Zdarza się, że pracodawcy nie wypłacają pensji, sprzedając pracowników wraz z wydzieloną spółką. Wyzysk maskują „whitewashingiem”. Tworzą sympatyczny wizerunek firmy, zasłaniając nim wykorzystywanie pracowników odbywające się poza wzrokiem konsumentów.

Jeżeli pracownik za swoją pracę otrzymuje pensję poniżej kosztów własnego utrzymania, oznacza to, że świadczy pracę niewolniczą. Jeśli ktoś nie ma możliwości wykarmienia nie tylko swoich dzieci, ale i samego siebie, to staje się współczesnym niewolnikiem. Często duże koncerny wykorzystują spółki córki albo firmy podwykonawcze zakładane w krajach, gdzie koszt pracy jest niski, a prawo niedostatecznie broni pracowników przed wyzyskiem. Coraz częściej firmy pozwalają sobie na nieetyczne manewry na granicy prawa, do wyodrębnionych spółek przenoszą chociażby kobiety w ciąży, na urlopie macierzyńskim lub wychowawczym, po czym spółkę likwidują. Zwalniani tak pracownicy próbują walczyć, ale ich szanse na wygraną z wielkimi korporacjami jest nikła.

Na świecie żyje ponad 40 milionów niewolników, jak wynika z Global Slavery Index (dane za 2016 r.), opublikowanego przez Walk Free Foundation, organizację zwalczającą różne formy współczesnego niewolnictwa. W Polsce – według tych samych wyliczeń – 128 tysięcy.

Na świecie zysk z pracy przymusowej przekracza 150 miliardów dolarów rocznie.

Polki i Polacy najczęściej bywają werbowani i wykorzystywani do pracy przymusowej, żebrania, kradzieży lub wyłudzenia świadczeń oraz kredytów za granicą. Dodatkowo kobiety zmuszane są do prostytucji i innych usług seksualnych, tak w kraju, jak i za granicą.

Ze współczesnym niewolnictwem należy walczyć i je piętnować. Jednak co się stanie, jeśli ktoś postanowi wymierzyć sprawiedliwość na własną rękę?

OD AUTORA

Cieszę się, że znów mogliśmy się spotkać za pośrednictwem mojej książki. Wciąż spływają do mnie pozytywne opinie o *Pomście*, za co serdecznie Wam dziękuję. Cieszę się, że polubiliście Foksa i zechcieliście poznać kolejne wyzwania, jakie dla niego przygotowałem. Obiecuję, że będzie ich jeszcze wiele.

Chociaż wszystkie sytuacje opisane w *Skowycie* zostały przeze mnie wymyślane (a wszelkie podobieństwo do osób prawdziwych jest przypadkowe), to jednak sam problem współczesnego niewolnictwa jest prawdziwy. Warto o tym pamiętać i mieć na uwadze, jak wiele osób, które znamy bądź mijamy na ulicy, zostało w to wciągniętych. Jeśli ktoś kiedyś poprosi nas o pomoc, twierdząc, że jest wykorzystywany – nie bądźmy obojętni.

Dziękuję Ci serdecznie za lekturę tej książki. Mam nadzieję, że zamkniesz ją z satysfakcją i chętnie sięgniesz po kolejny tom.

Pozdrawiam serdecznie!

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

ul. Sienna 73

00-833 Warszawa

tel. +4822 6211775

e-mail: info@muza.com.pl

Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl

Wersja elektroniczna: [MAGRAF sp.j.](#), Bydgoszcz